

CZARNA SERIA

Wciągający kryminał oparty na dobrym pomysle. Współczesna powieść, która jest zarówno oryginalna, jak i przekonująca.

Helsingborgs Dagblad

Jak zawsze fenomenalne dialogi sprawiają, że *Granice* zasługują na miano najlepszej powieści kryminalnej roku.

Smålandsposten



Liza
MARKKLUND
Granice

Liza
Granice
MARKLUND

Przełożyła
Elżbieta Frątczak-Nowotny

Tytuł oryginału
Du gamla, du fria

Redakcja
Grażyna Mastalerz

Projekt okładki
Magda Kuc

Zdjęcie na okładce
Magda Kuc

DTP
Marcin Labus

Korekta
Małgorzata Denys

Copyright © Liza Marklund 2011
All rights reserved.
Published by agreement with Salomonsson Agency.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2013

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji

ISBN 978-83-7554-573-9

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

www.czarnaowca.pl

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

<u>DZIEŃ 0 Wtorek, 22 listopada</u>
<u>DZIEŃ 1 Środa, 23 listopada</u>
<u>DZIEŃ 2 Wtorek, 24 listopada</u>
<u>DZIEŃ 3 Piątek, 25 listopada</u>
<u>DZIEŃ 4 Sobota, 26 listopada</u>
<u>DZIEŃ 5 Niedziela, 27 listopada</u>
<u>DZIEŃ 6 Poniedziałek, 28 listopada</u>
<u>DZIEŃ 7 Wtorek, 29 listopada</u>
<u>DZIEŃ 8 Środa, 30 listopada</u>
<u>DZIEŃ 9 Czwartek, 1 grudnia</u>
<u>DZIEŃ 10 Piątek, 2 grudnia</u>
<u>EPILOG Jedenaście dni później</u>
<u>Wtorek, 13 grudnia Dzień 0</u>
<u>Podziękowania</u>
<u>Przypisy</u>



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

DZIEŃ 0

Wtorek, 22 listopada

NIE BAŁEM SIĘ. Szlaban na drodze wyglądał jak wszystkie poprzednie. Zardzewiałe becзки na ropę po obu stronach traktu – trudno było go nazwać drogą – ogołoceny z gałęzi kikut drzewa, kilku mężczyzn z karabinami maszynowymi w rękach.

Nie było powodu do niepokoju, a jednak poczułem, że Catherine mocniej przywarła udem do mojego uda. Przez moje ciało przeszła fala ciepła, przeszył mnie dreszcz, spojrzałem na nią, uśmiechając się zachęcająco.

Była zainteresowana, czekała tylko na mój ruch.

Ali, nasz kierowca, opuścił szybę i wychylił się przez okno z przepustką w ręku. Siedział dokładnie przede mną, samochód miał kierownicę z prawej strony, był przystosowany do jeżdżenia we Wspólnocie. Do środka wpadł podmuch gorącego powietrza, niosąc drobinki kurzu i ziemi. Wyrząłem przez okno: ciernie, niskie, rozłożyste akacje, spalona ziemia i ciągnące się bez końca niebo. Z przodu po prawej stronie zobaczyłem ciężarówkę z naciągniętą plandeką, stertę pustych butelek, stare kartony, truchło jakiegoś zwierzęcia. Drugi z naszych land cruiserów podjechał do nas z lewej strony, niemiecka urzędniczka pomachała do nas. Udaliśmy, że jej nie widzimy.

Po co wysyła się urzędnika w taką podróż? Wszyscy zadawaliśmy sobie to pytanie.

Spojrzałem na zegarek, była trzynasta dwadzieścia trzy. Byliśmy trochę spóźnieni, ale niewiele. Rumuński delegat zrobił mnóstwo zdjęć, Catherine zdążyła już wysłać pierwsze sprawozdanie do pozostałych uczestników konferencji. Domyślałem się dlaczego. Nie chcia-

ła spędzić wieczoru na pisaniu. Zamierzała darować sobie oficjalną kolację i spędzić czas ze mną. Nic mi jeszcze nie powiedziała, ale czułem to przez skórę.

Nachyliła się w moją stronę, postanowiłem, że pozwolę jej jeszcze trochę o siebie powalczyć.

– Thomas – wyszeptała w swojej eleganckiej, iście królewskiej angielszczyźnie. – Co się dzieje?

Kierowca otworzył drzwi i wysiadł na spaloną, czerwoną ziemię. Mężczyźni z bronią okrążyli samochód. Jeden z nich otworzył drzwi od strony pasażera i donośnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem powiedział coś do tłumacza. Szczupły młody mężczyzna podniósł ręce do góry i wysiadł. Usłyszałem, jak jeden z ochroniarzy za nami sięga po broń. Nagle oślepił mnie błysk metalu. I wtedy po raz pierwszy poczułem, że robi się nieprzyjemnie.

– Nic nam nie grozi – powiedziałem, starając się zachować spokój. – Ali wszystko załatwi.

Ktoś otworzył tylne drzwi od strony pasażera, z lewej. Siedzący najbliżej mnie przedstawiciel Francji, Magurie, westchnął teatralnie i wysiadł. Suche, gorące powietrze wchłonęło resztki wilgoci z klimatyzacji, czerwony pył pokrył skórzaną tapicerkę niczym cienki welon.

– O co chodzi? – spytał Francuz gardłowym głosem. Był wyraźnie oburzony.

Wysoki mężczyzna o niezwykle prostym nosie i wysokich kościach policzkowych stanął przy drzwiach po mojej stronie i zaczął mi się przyglądać. Jego czarna twarz była bardzo blisko mojej. Widziałem czerwoną szramę na jego oku, jakby przed chwilą ktoś go uderzył. Uniósł broń i zapukał kolbą w szybę. Przestrzeń za nim była biała, jakby poszarpana przez gorące, drżące powietrze.

Poczułem, jak strach ściska mi gardło.

– Co mamy robić? – szeptała Catherine. – Czego ci ludzie od nas chcą?

Gdzieś w podświadomości zobaczyłem Annikę, jej duże oczy i burzę włosów wokół głowy.

– Pokazać, że mają władzę – powiedziałem. – Nie martw się. Rób, co ci każą, a wszystko będzie dobrze.

Wysoki mężczyzna otworzył drzwi po mojej stronie.

DZIEŃ 1

Środa, 23 listopada

KOBIETA LEŻAŁA PRZYSYPANA ŚNIEGIEM w lesie na wzgórzu, jakieś dwadzieścia metrów od przedszkola. Spod śniegu wystawał but, przypominał gałąź albo kawałek korzenia. Na ścieżce widać było ślady nart. Ktoś, kto tędy jechał, najwyraźniej na moment się zawahał, ślady po kijkach straciły nagle regularność. Poza tym śnieg był nienaruszony.

Gdyby nie ten but, można by pomyśleć, że to wcale nie ciało, tylko kamień albo mrowisko, albo worek zeszlórocznych liści. Lekka wypukłość wśród niskich krzaków, niczym biała foka, połyskująca i miękka. Kryształki śniegu na bucie iskrzyły w mroku, but był brązowy, miał cienki obcas.

– Nie wolno pani tu przebywać.

Annika Bengtson postanowiła nie przejmować się policjantem, który szedł za nią, z trudem łapiąc powietrze. Dotarła do miejsca, gdzie znaleziono ciało. Szła ścieżką wiodącą wzdłuż Selmedalsvägen, minęła puste boisko do piłki nożnej, a potem ruszyła zboczem przez las. Buty miała pełne topniejącego śniegu, stóp prawie już nie czuła.

– Nie zauważyłam wygrozdzenia – powiedziała, nie spuszczać wzroku z bezwładnego ciała.

– To jest miejsce zbrodni – oświadczył policjant niskim głosem. – Proszę natychmiast opuścić teren.

Annika zrobiła komórką dwa zdjęcia i spojrzała na funkcjonariusza. Młody chłopak, prawie bez zarostu.

– Zaimponowałaś mi – powiedziała. – Ciało nie zostało jeszcze wydobyte spod śniegu, a ty już znasz przyczynę śmierci. No więc dlacze-

go umarła?

Oczy policjanta zamieniły się w dwie wąskie szparki.

– Umarła? Skąd pani wie, że to ona?

Annika spojrzała na ciało.

– Co prawda transwestyci też chodzą w szpilkach, ale chyba rzadko w rozmiarze... trzydzieści sześć? No, powiedzmy trzydzieści siedem.

Wrzuciła komórkę do torby. Zniknęła w gąszczu dziecięcych rękawiczek, przepustek, pendrive'ów, notesów i ołówków. Zobaczyła, jak drugi funkcjonariusz, dysząc, drapie się pod górę, ze zwiniętą w rulon policyjną taśmą w dłoni.

– Ktoś zgłosił zaginięcie? – spytała Annika.

– Niech to szlag – zaklął policjant.

– Co takiego? – zdziwiła się Annika.

– Centrala przyjmująca zgłoszenia zawiadamia popołudniówki, zanim zdążymy wsiąść do radiowozu. Proszę stąd odejść.

Annika zarzuciła torbę na ramię, odwróciła się plecami do ciała i ruszyła w dół, w stronę boiska.

Kilka miesięcy wcześniej uruchomiono w Szwecji cyfrowy system komunikacji radiowej, RAKEL, wspólny dla policji, straży pożarnej i pogotowia ratunkowego, całkowicie zabezpieczony przed podsłuchem. W ten sposób pozbawiono zajęcia policyjnych informatorów. Ich funkcję i związane z tym dodatkowe zarobki przejęli pracownicy wojewódzkich central policji. Zaczęli ochoczo informować media o popełnionych zbrodniach i ludzkich tragediach.

Annika dotarła na skraj lasu, zatrzymała się i spojrzała na rozpościerający się przed nią podmiejski krajobraz.

Stojące w dole brązowoszare dziewięciopiętrowe bloki spowijał welon mroźnej mgły. W oknach odbijały się czarne gałęzie drzew. Osiedle powstało zapewne na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w ramach krajowego programu budowy miliona mieszkań. Budynki miały porządne, zadbane elewacje, ktoś najwyraźniej miał ambicję, żeby zapewnić mieszkańcom przyzwoity standard.

Straciła czucie w palcach nóg. Było późne popołudnie. Między betonowymi blokami hulał wiatr.

Axelsberg. Dzielnica mieszkaniowa bez widocznej granicy, nazwa

na tablicy na wietrznym peronie metra.

„Ciało na tyłach przedszkola w Axelsberg. Nie mogło tam leżeć długo”.

Kiedy odebrała wiadomość z redakcji, wracała z Ikei w Kungens Kurva. Natychmiast zawróciła, pokonując zasypane śniegiem cztery pasma autostrady, i zjechała zjazdem przy Mälärhöjden. I rzeczywiście dotarła na miejsce pół minuty przed pierwszym radiowozem.

Przesłała do redakcji dwa zdjęcia: miejsce, w którym znaleziono zwłoki, i zbliżenie buta.

To, że znaleziono zwłoki, nie musiało oznaczać, że popełniono przestępstwo. Policja zajmuje się wszelkimi podejrzanymi zgonami. Często przyczyna śmierci jest jak najbardziej naturalna, zdarzają się wypadki, ludzie popełniają samobójstwa.

Coś jednak kazało jej podejrzewać, że w tym przypadku tak nie było.

Kobieta mogła się wybrać na poranną przebieżkę i na przykład dostać zawału, ale wtedy na pewno miałyby na nogach inne buty. Poza tym na pewno nie biegałaby między krzakami, tuż przy ścieżce.

Mogła się poślizgnąć i upaść, ale to też było mało prawdopodobne.

Była zasypana śniegiem, ale informator miał rację – nie leżała tam długo.

Śnieg zaczął padać poprzedniego wieczoru, ostre kryształki biły o szyby i cięły w twarz każdego, kto odważył się wyjść w taką pogodę albo był do tego zmuszony, jak Annika, która o wpół do jedenastej wieczorem wybrała się po mleko.

Rano opady przybrały na sile. Instytut Meteorologii i Hydrologii ostrzegł nawet przed śnieżycą: „może wywołać szkody i spowodować liczne utrudnienia”.

Nagle, przed godziną, śnieg przestał padać.

Tak więc gdyby ciało rzeczywiście leżało tam całą noc, byłoby zasypane całkowicie.

To musiało się stać wcześniej rano, pomyślała Annika. Co robi kobieta w botkach na szpilkach na ścieżce za przedszkolem podczas śnieżycy o ósmej rano? – zastanawiała się.

Skręciła w prawo, ruszyła w dół, w stronę ulicy.

Przy Selmedalsvägen było nie jedno, ale dwa przedszkola. Jedno gminne, drugie prywatne, właściwie jedno przy drugim. Przed budynkami stały trzy radiowozy z włączonym niebieskim światłem na dachu, ukryte w chmurze spalin, których białe welony unosiły się nad placem zabaw, nad drabinkami, między zjeżdżalnią i piaskownicami. Silniki pracowały, żeby nie dopuścić do rozładowania akumulatorów. Bo kilka razy już się zdarzyło, że radiowozy zostawione na chwilę z włączonym na dachu sygnalizatorem nie chciały potem zapalić.

Rodzice, dwie mamy i jeden ojciec, stali przed wejściem do prywatnego przedszkola, wyraźnie zaniepokojeni, z szeroko otwartymi oczami. Czy coś się stało? Chyba nie w naszym przedszkolu? Nie, nie mogło chodzić o ich dzieci, wtedy na pewno ktoś by ich zawiadomił.

Annika stanęła za jednym z radiowozów. Postanowiła poczekać, aż rodzice odejdą. Widziała, jak jakiś ojciec podchodzi do funkcjonariusza, który najwyraźniej został oddelegowany do stawienia czoła prasie i ciekawskim.

Tak, znaleziono ciało. W lesie... Nie, nie od strony przedszkola, na wzgórzu... Nie, raczej niemożliwe, żeby któreś z dzieci widziało ciało... Nie, przyczyna śmierci nie jest jeszcze znana, ale nic nie wskazuje na to, żeby ofiara miała cokolwiek wspólnego z przedszkolem...

Rodzice odetchnęli z ulgą i wrócili do swoich pociech. Na szczęście i tym razem śmierć dotyczy kogoś innego.

Annika podeszła do młodego policjanta.

– Bengtson. Z „Kvällspresen” – przedstawiła się. – Do którego przedszkola chodziły dzieci ofiary?

Policjant spojrzał w stronę przedszkola należącego do gminy.

– Dziecko. O ile mi wiadomo, miała jedno dziecko. Synka.

Annika podążyła za jego wzrokiem. W oknie nad wejściem wisiła rozświetlona bożonarodzeniowa gwiazda. Szyby były zaklejone wyciętymi z papieru białymi śnieżynkami.

– Pewnie koledzy zaczęli się niepokoić, kiedy rano nie przyszła do pracy?

Policjant pokręcił głową.

– Sąsiadka – rzucił krótko i zrobił krok w tył. – Radzę porozmawiać

z centralą albo z kimś wyższym rangą. Ja właściwie nic nie wiem.

Annika poczuła gułę w żołądku. Że też za każdym razem przeżywa to tak samo.

Młoda matka w botkach na szpilkach oddaje dziecko do przedszkola i ginie w śnieżycy w drodze do domu.

Zdała sobie sprawę, że trzęsie się z zimna. Gwiazda w oknie kołysała się lekko. Ulicą przejechał mężczyzna na rowerze.

Sięgnęła do torby, wyjęła komórkę, zrobiła zdjęcie przedszkola, skinęła głową młodemu policjantowi i ruszyła w stronę redakcyjnego wozu.

Śnieg przestał padać, temperatura gwałtownie spadła. Jej oddech zamarzał na szybie samochodu, włączyła nawiew ciepłego powietrza, ale musiała odczekać dobrych kilka minut, zanim mogła ruszyć. Rozpięła buty, zaczęła nerwowo poruszać palcami lewej stopy, próbując przywrócić je do życia.

Ellen i Kalle wracali już ze świetlicy sami, co było prostsze, niż mogłoby się wydawać, ponieważ świetlica mieściła się po drugiej stronie Hantverkargatan. Między innymi dlatego postanowili nie szukać innego mieszkania, chociaż w trzech pokojach było im zdecydowanie za ciasno.

Samochody ruszyły się nieco, puściła sprzęgło, samochód potoczył się kilka metrów po zaśnieżonej drodze.

Nawet obwodnica, Essingeleden, nie była odśnieżona. Annika nie potrafiła powiedzieć, czy winne jest globalne ocieplenie, czy może zapy na autostradzie są częścią polityki nowej prawicowej rady miasta.

Westchnęła i sięgnęła po prywatną komórkę. Wcisnęła ostatnio wybierany numer i zaczęła się wsłuchiwać w trzaski. W końcu usłyszała głos automatycznej sekretarki:

Hello, you have reached Thomas Samuelsson at the Department of Justice...

Poirytowana i lekko zawstydzona rozłączyła się. Jej mąż nie odbierał komórki od wczorajszego wieczoru. Za każdym razem, gdy próbowała się do niego dodzwonić, odzywała się automatyczna sekretarka. Thomas uparł się zachować angielską wersję poczty głosowej, mimo

że od ich powrotu z Waszyngtonu minęły już cztery miesiące. *Department of Justice...* Dżizas...

Gdzieś w czeluściach torby dzwoniła druga komórka. Służbowa. Sięgnęła po nią bez pośpiechu. Stała w korku, więc i tak niewiele mogła zrobić.

– Co to za zdjęcie? Co na nim jest, do diabła?

Patrik Nilsson, szef działu wiadomości, najwyraźniej właśnie otrzymał jej zdjęcia z lasu.

– Kto. Martwa matka małego dziecka. Odprowadziła rano synka do przedszkola i umarła w drodze do domu. Przyczyna nie jest jeszcze znana, ale idę o zakład, że jest w trakcie rozwodu i że to ojciec dziecka ją zabił.

– Wygląda jak kawałek korzenia. Jak ci poszło u Ingvara?

U Ingvara?

– Ingvar Kamprad z Elmtaryd Agunnaryd.

Szukała w pamięci: czego dotyczyło pierwotne zlecenie?

– Pogłoski się nie potwierdziły – powiedziała po chwili.

– Jesteś pewna?

Patrik ubzdurał sobie, że dach Ikei w Kungens Kurva, największego sklepu tej sieci na świecie, zawali się pod ciężarem śniegu. Gdyby jego hipoteza się potwierdziła, byłaby to rzeczywiście nie lada sensacja. Ale gdy spytała w informacji, czy mają jakieś problemy z odśnieżaniem dachu, wyglądali na autentycznie zdziwionych. Powiedziała, że redakcja dostała taką wiadomość od anonimowego informatora. Nie było to prawdą. „Informacja” zrodziła się podczas zebrania redakcji o jedenastej, najprawdopodobniej w mózgu Patrika. A ona została wysłana, żeby sprawdzić, czy rzeczywistość da się w jakiś sposób nagiąć do potrzeb „Kvällspresen”. W tym przypadku okazało się to trudne. Pracownik informacji zadzwonił do działu technicznego, którego szef zapewnił przez telefon, że konstrukcja dachu utrzyma pokrywą śnieżną grubości dwudziestu dwóch metrów. Co najmniej.

– Żadnego uszkodzonego dachu – odpowiedziała lakonicznie.

– Niech to szlag. Weszłaś na górę i sprawdziłaś?

– Jasne – skłamała.

– Nawet małej szczeliny?

– Nic.

Samochody stojące przed nią nagle ruszyły. Wrzuciła jedynekę, poczuła, jak koła ślizgają się na śniegu, i po chwili jechała z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę.

– Co z tą martwą mamą? – spytała.

– Co? Z kim? Chodzi ci o ten korzeń?

– Policja wie, kto to jest. Sąsiadka zadzwoniła i zgłosiła jej zaginięcie, wieczorem podadzą to w wiadomościach.

– Chodzi o tę facetkę na tyłach przedszkola? – spytał Patrik, nagle znów zainteresowany. – Jakiś dzieciak ją znalazł?

– Nie – odpowiedziała Annika, wrzucając dwójkę. – Znalazł ją narciarz.

– Jesteś pewna? A może najechał na nią ktoś na skuterze śnieżnym? Ręka się uniosła i uderzyła o płożę?

– Korek się rozładował – weszła mu w słowo Annika. – Za kwadrans będę w redakcji.

Zostawiła samochód w redakcyjnym garażu i ruszyła na dół, do wejścia na klatkę. Dawniej do redakcji prowadziły cztery klatki, ale ze względu na zagrożenie terrorystyczne w pewnym momencie wszystkie – z wyjątkiem jednej – zostały zamknięte. Jeśli więc nie chciała przechodzić obok portierni, musiała zejść do piwnicy. Tam mogła wsiąść do windy znajdującej się za recepcją. Tore Brandt, niemal legendarny już wieloletni redakcyjny portier, został co prawda zwolniony, kiedy odkryto, że sprzedawał redaktorom z nocnej zmiany alkohol, ale nadal nie lubiła przechodzić obok długiej lady recepcji. Dlatego na ogół wybierała drogę przez piwnicę.

Czekała na windę kilka minut. W drodze na górę poczuła ssanie w żołądku. Czowała je za każdym razem, kiedy wchodziła do redakcji. Podniecenie zmieszane z niepokojem: nigdy do końca nie wiedziała, co ją za chwilę czeka.

Wzięła głęboki wdech i wyszła na poplamioną wykładzinę.

W ciągu trzech lat, kiedy była korespondentką gazety w Waszyngtonie, redakcję kilkakrotnie przebudowywano, dostosowując do zmieniających się potrzeb i nowych wymagań ściślejszej współpracy

i większej mobilności. Najwięcej miejsca zajmował teraz stół działu wiadomości, przypominający wielki rozświetlony statek kosmiczny. Pierwotny dział wiadomości zaczął w pewnym momencie pączkować i tak z jednego zrobiły się trzy. W dwóch półkolach, plecami do siebie, siedzieli redaktorzy wydania papierowego i internetowego, wpatrzeni w swoje monitory. Jej redakcyjnej koleżance, Berit Hamrin, przypominały dwa półksiężyce. Miejsce dawnej centrali telefonicznej zajął dział telewizji internetowej. Kilkanaście gigantycznych ekranów migotało nad głowami pracowników, pokazując wiadomości i seriale. Dział rynku i ogłoszeń też przeniósł się do pomieszczeń redakcyjnych. Ekran oddzielający biurka reporterów dziennych zostały usunięte.

Kiedy już przekroczyła próg redakcji, zawsze ogarniał ją pełen skupienia spokój.

Mimo zmian w zasadzie wszystko pozostało takie samo, tylko stłoczone na mniejszej powierzchni. Setki świetlówek nadal migotały lekko niebieskim światłem. Stoły były zarzucone stertami papierów. Głowy ludzi pochylone w skupieniu. Nerwowo próbowano naginać rzeczywistość do potrzeb gazety – albo tworzyć nową.

Lata spędzone w Waszyngtonie wydawały się jej odległą przeszłością, historią, którą ktoś jej opowiedział albo która mogła jej się przyśnić. Życie znów toczyło się swoim torem. Dokładnie tak samo jak trzynaście lat wcześniej, kiedy trafiła do redakcji po raz pierwszy, jako wakacyjna stażystka. Zlecano jej wtedy wszystkie drobne sprawy: sprawdzała informacje, zdobywała je, była gońcem, człowiekiem do wszystkiego.

Ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie. Czas zatoczył koło: śmierć tej kobiety przypominała jej morderstwo sprzed lat, pierwsze zadanie, kiedy jeszcze była stażystką. Na dodatek znów mieszkała w tej samej okolicy, chociaż w innym mieszkaniu.

– Jadłaś już? – spytała koleżankę, w skupieniu piszącą coś na laptopie.

– Kanapkę – odpowiedziała Berit Hamrin, nie spuszczać wzroku z monitora i ani na chwilę nie przestając uderzać w klawiaturę.

Annika wyjęła z torby laptopa. Mechanicznie wykonała niezbędne czynności: włożyła wtyczkę do kontaktu, otworzyła pokrywę, włączy-

ła komputer, zalogowała się do sieci. Berit przybyło siwych włosów, miała nowe okulary, ale poza tym świat wyglądał w zasadzie tak samo jak wtedy, kiedy Annika miała dwadzieścia cztery lata. Pamiętała tamto upalne lato i ciało młodej kobiety za nagrobkiem na cmentarzu. Teraz była zima i trzaskający mróz, a ciała zmarłych leżały w lesie nieopodal przedszkola. Na parkingu. Na małej uliczce gdzieś w willowej dzielnicy...

Zmarszczyła czoło.

– Berit, czy ostatnio w Sztokholmie nie zamordowano kilku osób? Kobiet.

– Nie sądzę, żeby ofiar było więcej niż zwykle.

Annika weszła do archiwum prasowego, na płatną stronę, na której duża część szwedzkich mediów przechowywała opublikowane artykuły i notatki. Wpisała: kobieta, morderstwa, sztokholm i datę poszukiwań: od pierwszego sierpnia bieżącego roku. Wskoczyło kilka wyników, głównie krótkie notatki, przede wszystkim z „Fina Morgontidningen”.

Pod koniec sierpnia na parkingu w Fisksätra, niedaleko Sztokholmu, znaleziono ciało pięćdziesięcioletniej kobiety. Zadano jej cios nożem w plecy. Jej mąż miał na koncie kilka krótkich wyroków za pobicie, bił ją, groził jej. Został zatrzymany, ale wkrótce zwolniono go z braku dowodów. Ponieważ zatrzymano go niemal natychmiast, poranne dzienniki ograniczyły się do krótkich notatek na stronach miejskich, sprawę nazwano tragedią rodzinną.

Tydzień później w tym samym dziale odnotowano śmierć dziewiętnastoletniej imigrantki. Została zamordowana na popularnej plaży przy Ullnasjön w Arninge, na północ od Sztokholmu. Zadano jej ciosy nożem. Policja zatrzymała jej chłopaka, zresztą jej kuzyna. Nie przyznał się do winy. W połowie października w Hässelby znaleziono ciało trzydziestosiedmioletniej kobiety, matki trojga dzieci. Policja zatrzymała jej byłego męża. Został oskarżony, ale czy trafił do więzienia, o tym już nie wspomniano.

Znalazła jeszcze kilka innych podobnych notatek, ale nie dotyczyły okolic Sztokholmu i były jeszcze krótsze.

– Annika, możesz sprawdzić, co z tym pożarem w Sollentunie? –

spytał Patrik, który nagle wyrósł przed nią jak spod ziemi. – Pewnie jakaś babcia zapalała wieniec adwentowy i źle się to skończyło. Napisz coś o tym, że Szwedzi nie potrafią korzystać z gaśnic i nie zmieniają baterii w czujnikach dymu. Trzeba ludzi edukować.

– A co z martwą matką pod przedszkolem?

Patrik zamrużył oczami, jakby nie bardzo wiedział, o co chodzi.

– A co z nią?

– To czwarte takie morderstwo od mojego powrotu – powiedziała Annika. Odwróciła komputer i pokazała mu monitor. – We wszystkich przypadkach ofiarami są kobiety. Wszystkie mieszkały w Sztokholmie, wszystkie zginęły od ran zadanych nożem. Może mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

Patrik się zawahał.

– Myślisz? A ta jak zginęła? Gdzie to było? W Bredäng?

– W Axelsberg. Widziałeś zdjęcie. Co o tym sądzisz?

Patrik patrzył chwilę na redakcję, wyraźnie starał się odnaleźć w pamięci zdjęcie korzenia. Tamta kobieta ciągle była dla niego jedynie kupką śniegu.

– Seryjny morderca? – parsknął. – Marzy ci się.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę innej reporterki.

– A więc to ciebie tam wysłano – powiedziała Berit. – Miała małe dziecko? Była po rozwodzie? Zgłaszała, że jej były jej grozi, ale nikt się tym nie przejął?

– Pewnie tak. Policja jeszcze nie podała jej nazwiska.

Brak nazwiska ofiary oznaczał brak adresu, a więc i sąsiadów, których zawsze można wypytać o różne rzeczy. Na razie nie wiadomo było nawet, czy to rzeczywiście było zabójstwo.

– Coś ciekawego? – spytała Annika.

Wskazała głową na tekst, nad którym Berit pracowała, i sięgnęła do torby po pomarańczę.

– Pamiętasz Alaina Thery’ego? Zeszłej jesieni sporo o nim pisano.

Annika szukała w pamięci, ale zeszłej jesieni zajmowała ją przede wszystkim amerykańska Partia Herbaciana i wybory do Kongresu. Pokręciła głową.

– Francuski potentat, który wyleciał w powietrze na swoim jachcie

niedaleko Puerto Banús? – Berit próbowała jej pomóc. Przyglądała jej się znad okularów.

Annika znów zaczęła szukać w pamięci.

Puerto Banús, białe łodzie i błękitne morze. To tam ona i Thomas wrócili do siebie. W Hotelu Pyr, w pokoju z widokiem na autostradę. Pojechała tam służbowo, relacjonować sprawę zagazowania szwedzkiej rodziny, Söderströmów. Thomas mieszkał wówczas z Sophią Grenborg, ale został wysłany służbowo na konferencję do Malagi i tam zdradził Sophie z nią.

– Na YouTube można sobie obejrzeć film, z którego wynika, że Alain Thery był największym handlarzem niewolnikami w Europie. Jego firmy były jedynie fasadą dla przemytu młodych Afrykańczyków do Europy, gdzie byli wyzyskiwani do granic możliwości, niekiedy nawet umierali.

– Brzmi to jak pomówienie zmarłego – skwitowała Annika.

Wyrzuciła skórkę pomarańczy do śmieci, wzięła cząstkę. Była kwaśna jak cytryna.

– Autor filmu twierdzi, że na świecie jest dzisiaj więcej niewolników niż kiedykolwiek i że nigdy nie byli tacy tani.

– Właśnie takimi sprawami zajmuje się Thomas – Annika weszła jej w słowo. Wzięła kolejną cząstkę pomarańczy i znów się skrzywiła.

– Frontex – powiedziała Berit.

Annika wyrzuciła resztę pomarańczy do kosza.

– Zgadza się. Frontex.

Thomas i jego dziwna praca.

– Według mnie to straszne – ciągnęła Berit. – Frontex to niezwykle cyniczny eksperyment, nowa żelazna kurtyna.

Annika weszła na Facebooka, sprawdziła status swoich znajomych.

– Celem Frontexu jest zamknięcie sytej Europy przed biedną częścią świata. Istnienie tego typu organizacji pozwala rządowi uniknąć krytyki. Pozbywają się ludzi, wskazują na Frontex i umywają ręce, jak Piłat.

Annika się uśmiechnęła.

– I pomyśleć, że w młodości popierałaś Wietkong.

Eva-Britt Qvist informowała, że wieczorem wybiera się do teatru,

Patrik czterdzieści trzy minuty temu zjadł kanapkę. Fotograf Pelle łączył linka do dokumentu nakręconego latem 1975 roku.

– Ostatni pomysł Frontexu to pozwolić, żeby Trzeci Świat sam zamknął swoje granice. Bardzo praktyczne. Wtedy my, w swoim najlepszym ze światów, w ogóle nie będziemy musieli zajmować się tą kwestią. Kadafi dostał od naszej pani komisarz pół miliarda, żeby trzymał uchodźców z Somalii, Erytrei i internowanych Sudańczyków w ogromnych obozach koncentracyjnych.

– To prawda – przytaknęła Annika. – Właśnie dlatego Thomas pojechał do Nairobi. Chca, żeby Kenijczycy zamknęli granicę z Somalią.

Annika wyjęła komórkę i znów wybrała numer Thomasa.

– Masz nowy aparat? – zauważyła Berit.

Annika skinęła głową.

Hello, you have reached Thomas Samuelsson at the...

Rozłączyła się, próbowała opanować emocje. Zastanawiała się, z kim dzisiaj poszedł do łóżka, i czuła się bezradna.

Kiedy latem wrócili do Szwecji, Thomas dostał posadę sekretarza projektu. Jego celem było zapewnienie jedności działania w kwestiach związanych z migracją. Nic szczególnie prestiżowego, nie był zadowolony. Miał nadzieję, że po latach spędzonych w Waszyngtonie dostanie coś lepszego. Pewnie pocieszał się myślą o konferencjach, na które będzie musiał jeździć.

Annika odsunęła ponure myśli i zadzwoniła do prokuratora, któremu podlegały przestępstwa popełnione w gminie Nacka. Wiedziała, że centrala jest czynna całą dobę.

Niestety telefonistka nie potrafiła jej powiedzieć, który prokurator prowadził sprawę zabójstwa na parkingu w Fisksätra, popełnionego w sierpniu ubiegłego roku.

– Bardzo mi przykro, nie mam w tej chwili dostępu do takich danych. Musiałabym przełączyć panią dalej, a biuro jest już zamknięte. Pracują do piętnastej.

No cóż, warto było spróbować, pomyślała Annika.

Zadzwoniła do biura prokuratora zajmującego się Norrort i Västertort, ale nikt nie potrafił jej powiedzieć, kto zajmował się morderstwami na plaży w Arninge i w willowej dzielnicy Hässelby. Wszyscy

natomiast oczywiście wiedzieli, kto prowadził głośne sprawy, takie jak kradzież przewożonych pieniędzy dokonana z użyciem śmigłowca, wszyscy znali też nazwiska wszystkich ćpających gwiazd sportu.

– Teraz Frontex zaczął też wynajmować samoloty – ciągnęła Berit niezrażona. – Zbierają uchodźców bez dokumentów, wsadzają na pokład i pozbywają się ich gdzieś w Lagosie albo w Ułan Bator. Szwecja już kilka razy korzystała z takich usług.

– Chyba już pójdę – oświadczyła nagle Annika.

Wyłączyła laptopa, zamknęła pokrywę i wprawnym ruchem schowała go do torby. Włożyła kurtkę i ruszyła do wyjścia.

– Bengtson! – usłyszała z recepcji, kiedy już prawie stała w drzwiach.

Nich to szlag, kluczyki do samochodu, pomyślała.

Zawróciła, weszła do holu z wymuszonym uśmiechem.

– Przepraszam – powiedziała, kładąc na ladzie kluczyki do TKG297.

Portier, młody chłopak, po prostu je wziął, bez żadnych uwag. Nie zapytał, czy zatankowała i czy wypełniła kartę wozu. A nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

– Schyman cię szuka – powiedział. – Jest w sali konferencyjnej, w Grodan. Prosił, żebyś natychmiast tam przyszała.

Annika zatrzymała się w pół kroku.

– Dlaczego?

Portier wzruszył ramionami.

– Może chodzi o nowe godziny pracy? – rzucił. – Jeszcze gorsze – dodał.

Annika ruszyła do sali konferencyjnej. Dlaczego, na litość boską, tak nazwano to miejsce. Grodan. Ropucha.

Redaktor naczelny osobiście otworzył jej drzwi.

– Witaj. Wejdz i usiądź.

– Przenosicie mnie do Jönkopingu? – spytała.

Weszła do sali. Wokół niewielkiego stołu konferencyjnego z jasnej brzozy siedziało trzech mężczyzn. Na jej widok wstali, a ona zamrugała, oślepiona światłem halogenowej lampy odbijającym się od białej tablicy wiszącej na ścianie naprzeciwko drzwi.

– O co chodzi? – spytała.

Podniosła rękę, osłaniając oczy przed rażącym światłem reflektora.

– My się znamy – odezwał się mężczyzna stojący najbliżej.

Podał jej prawą rękę.

Jimmy Halenius, szef Thomasa, sekretarz ministra w ministerstwie sprawiedliwości. Chwyciła jego dłoń, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– To Hans Erik Svensson i Hans Wilkinsson – powiedział Halenius, wskazując na pozostałych mężczyzn. Najwyraźniej nie zamierzali podejść bliżej.

Hasse i Hasse, pomyślała i nagle nabrała czujności.

– Annika, usiądź – powiedział Schyman.

Strach pojawił się znikąd, po prostu nagle chwycił ją w swoje szpony z taką siłą, że zabrakło jej tchu.

– Słucham? – spytała, nadal stojąc. – Chodzi o Thomasa? Coś mu się stało?

Jimmy Halenius zrobił krok w jej stronę.

– O ile nam wiadomo, Thomas jest cały i zdrowy – powiedział, przytrzymując jej spojrzenie.

Miał niebieskie oczy, pamiętała to. Bardzo niebieskie. Może nosi soczewki, pomyślała.

– Thomas jest w Nairobi na konferencji Frontexu na temat rozszerzenia współpracy na europejskich granicach – mówił sekretarz.

Nasza nowa żelazna kurtyna, pomyślała Annika. Ma chronić naszą wolność.

– Przez pierwsze cztery dni debatowano w międzynarodowym centrum konferencyjnym imienia Kenyatty. Wczoraj rano Thomas opuścił obrady i z ramienia Szwecji udał się na rekonesans do Liboi, miasta położonego na granicy z Somalią.

Z jakiegoś powodu Annika nagle zobaczyła zasypane śniegiem ciało na tyłach przedszkola w Axelsberg.

– Nie żyje?

Stojący za Haleniusem ubrani na ciemno mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Nie mamy żadnych informacji, które by na to wskazywały – mówił dalej Halenius.

Wysunął krzesło i zaproponował, żeby usiadła. Opadła na nie, zauważyła, że dwaj mężczyźni, obaj Hansowie, wymienili spojrzenia.

– Co to za jedni? – spytała Annika, wskazując na nich ruchem głowy.

– Annika – odezwał się Halenius. – Chcę, żebyś uważnie wysłuchała tego, co mam ci do powiedzenia.

Annika powiodła wzrokiem po sali, jakby szukając wyjścia, jakiejś drogi ucieczki, ale pokój nie miał nawet okien. Na krótszej ścianie wisiała biała tablica, gdzieś w kącie leżały przestarzałe słuchawki, na suficie zamontowano niewielki wentylator. Ściany były jasnozielone, w kolorze limonki, niezwykle modnym w latach dziewięćdziesiątych.

– Delegacja składała się z siedmiu osób. Przedstawiciele różnych państw Unii Europejskiej mieli na miejscu sprawdzić, jak wygląda granica z Somalią, a następnie podzielić się wiedzą z pozostałymi uczestnikami konferencji. Problem w tym, że cała delegacja zniknęła.

Annika czuła pulsowanie w skroni. Przed oczyma znów miała wystający spod śniegu but.

– Jechali dwoma samochodami, dwiema toyotami land cruiser sto. Od wczorajszego popołudnia nikt nie widział ani samochodów, ani pasażerów...

Halenius zamilkł.

Annika patrzyła na niego.

– Jak to: zniknęli? Nie rozumiem.

Halenius zaczął coś mówić, przerwała mu.

– Co to znaczy, że nikt ich nie widział?

Wstała. Krzesło się przewróciło. Halenius podniósł się, stanął tuż obok niej. Jego niebieskie oczy iskrzyły.

– Samochody były wyposażone w aparaturę umożliwiającą ich śledzenie. Sprzęt z jednego z wozów odnaleziono w pobliżu Liboi – zaczął. – Razem z ciałami tłumacza i jednego z ochroniarzy. Obaj byli martwi.

Annika poczuła, że podłoga ucieka jej spod nóg, chwyciła się stołu, żeby nie upaść.

– To niemożliwe – powiedziała.

– Nie mamy żadnych informacji, które świadczyłyby o tym, że ktoś

jeszcze został uszkodzony.

– Musiała zająć jakaś pomyłka – upierała się. – Może po prostu zabłądzili. Jesteście pewni, że się gdzieś nie zgubili?

– Minęła doba. Możemy wykluczyć, że zabłądzili.

Annika skupiła się na oddychaniu. Musi pamiętać, że ma oddychać.

– Jak zginęli? Ochroniarz i tłumacz?

Halenius przyglądał się jej bacznie kilka sekund, zanim odpowiedział.

– Od strzału w głowę, z bliskiej odległości.

Annika chwiejnym krokiem podeszła do drzwi, chwyciła torbę, którą tam zostawiła, wchodząc, położyła ją na stole i zaczęła szukać komórki, jednej z dwóch. Nie znalazła. Wyrzuciła zawartość torby na brzozy stół. Po blacie potoczyła się pomarańcza, spadła i wylądowała obok staromodnych słuchawek. W końcu znalazła służbową komórkę i drżącymi palcami zaczęła wybierać numer Thomasa. Pomyliła się, zaczęła jeszcze raz, coś zatrzeszczało, zapiszczało, odezwała się skrzynka głosowa.

Hello, you have reached...

Upuściła telefon. Upadł na podłogę, obok jej rękawiczek i małego notesu. Jimmy Halenius schylił się i podniósł go.

– To nieprawda – powiedziała tak cicho, że nie była pewna, czy ktokolwiek ją usłyszał.

Halenius coś powiedział, ale jego słowa do niej nie docierały, widziała, że porusza wargami, widziała, że wyciąga do niej rękę. Odtrąciła ją. Spotkali się kilka razy, ale on nic o niej nie wiedział, nie wiedział, jak jest naprawdę między nią a Thomasem.

Schyman wychylił się do przodu, powiedział coś, miał spuchnięte powieki.

– Zostawcie mnie – powiedziała zdecydowanie za głośno.

Mężczyźni patrzyli na nią. Zaczęła zbierać swoje rzeczy, włożyła je do torby, wszystko z wyjątkiem notesu. Miała w nim notatki z bezsensownej wyprawy do Ikei, uznała, że nie będą jej potrzebne. Wstała i ruszyła do drzwi.

– Annika... – zaczął Halenius, próbując zająć jej drogę.

Uderzyła go w twarz.

– To twoja wina – powiedziała, przekonana, że ma absolutną rację. Wyszła szybkim krokiem.

* * *

Ciężarówka jechała powoli, zrywami. Nie było dróg. Koła najeżdżały na kamienie, grzęzły w rowach, rośliny rysowały podwozie, gałęzie ocierały się o plandekę, silnik hałasował, sprzęgło piszczało. Spuchnięty język przywarł mi do podniebienia. Od rana nic nie piliśmy, głód zamienił się w ćmiący ból, kręciło mi się w głowie. Straciłem węch, miałem nadzieję, że moi towarzysze podróży również, a przynajmniej Catherine.

Sébastien Magurie, Francuz, w końcu umilkł. Marudził tak strasznie, że pomyślałem, że dobrze byłoby, gdyby i jego zabrali. Nie, nie, co ja mówię, oczywiście, że tak nie myślałem, chociaż rzeczywiście już wcześniej z trudem go znosiłem. Ale dość o tym.

Za to Alvaro, Hiszpana, podziwiałem. Zachował chłodny spokój, nie odzywał się nieproszony, wykonywał polecenia. Leżał na samym skraju paki, tam, gdzie najbardziej trzęsło, ale nie żalił się. Miałem nadzieję, że inni też to doceniają.

Początkowo próbowałem zapamiętać, w jakim kierunku jedziemy. Kiedy zostaliśmy zatrzymani, słońce stało w zenicie, może lekko przesunięte na zachód. Początkowo jechaliśmy na południe, tak mi się przynajmniej wydawało. Byłoby dobrze, bo to by znaczyło, że nadal jesteśmy w Kenii, a Kenia jest krajem, gdzie wszystko funkcjonuje, jest infrastruktura, są mapy, działają komórki. Ale po kilku minutach skręciliśmy na wschód. To gorzej, bo pewnie znaleźliśmy się w Somalii, w kraju będącym w stanie całkowitego rozpadu. Wojna domowa, która zaczęła się dwadzieścia lat temu, doprowadziła kraj do anarchii. Dzisiaj... byłem niemal pewien, że najpierw jechaliśmy na północ, a potem na zachód, a to by oznaczało, że dotarliśmy mniej więcej do punktu wyjścia. Pomyślałem jednak, że to mało prawdopodobne, ale pewności mieć nie mogłem.

Zabrali nam zegarki i telefony. Od tego zaczęli. Ciemność, która panowała już od jakiegoś czasu, oznaczała jednak, że od naszego upro-

wadzenia minęło dobrych trzydzieści godzin. Byliśmy oficjalną delegacją, więc zapewne pomoc była już w drodze.

Obliczyłem, że w Sztokholmie powinna być mniej więcej szósta po południu. Annika powinna już wiedzieć, pewnie jest teraz w domu, z dziećmi.

Catherine leżała przytulona do mnie. Przestała płakać, oparła twarz o moją koszulę. Wiedziałem, że nie śpi. Miałem związane ręce, niemal ich nie czułem. Związali je nam na plecach tymi wąskimi plastikowymi paskami z ząbkowanymi brzegami. Raz zaciągnięte nie dawały się poluzować i przy najmniejszym ruchu wrzynały się w skórę. Czy mogło nam to odciąć krążenie w stopach i dłoniach? Czy skutki byłyby nieodwracalne?

Nagle ciężarówka wpadła w wyjątkowo głęboką dziurę i głowa Catherine uderzyła o moją. Samochód zatrzymał się pod niebezpiecznym kątem, zostałem wciśnięty w miękki brzuch niemieckiej urzędniczki. Głowa Catherine ześlizgnęła się na moje krocze. Poczułem, że mam guza na czole, ból rozsadzał mi głowę. Usłyszałem, jak ktoś otwiera drzwi po stronie kierowcy, rozległy się krzyki, samochód przechylił się jeszcze bardziej. Mężczyźni rozmawiali, krzyczeli, wyraźnie o coś się kłócili. Po chwili – po pięciu minutach, może po kwadransie – zamilkli.

Temperatura zaczęła spadać.

Milczenie się pogłębiało, aż w końcu stało się ciemniejsze od nocy.

Catherine znów zaczęła płakać.

– Czy ktoś ma przy sobie jakieś ostre narzędzie? – spytał cicho Hiszpan.

Jasne. Plastikowe taśmy.

– To absolutnie nie do przyjęcia – oświadczył Magurie.

– Sprawdźcie, czy nie ma tu gdzieś ostrego kamienia, jakiegoś gwoźdźca albo kolca – mówił dalej Hiszpan.

Próbowałem wymacać coś wokół siebie palcami, ale na mnie leżała Catherine, a Niemka opierała się o mój bok. Poza tym straciłem czucie w palcach. Po chwili usłyszeliśmy warkot silnika zbliżającej się ciężarówki.

Zatrzymała się obok naszej, wysiedli z niej jacyś mężczyźni. Słysza-

łem zgrzyt metalu i wściekle głosy.
Zdarli plandekę.

* * *

Anders Schyman siedział w swojej szklanej klatce i patrzył na redakcję. Nadal używał tego określenia, chociaż oficjalnie nazywało się to otwartą przestrzenią biurową, mieszczącą wszystkie działy, łącznie z działem analiz i działem informatycznym.

Dzień nie obfitował w wydarzenia. W krajach arabskich panował spokój, nigdzie nie odnotowano trzęsienia ziemi, nie wybuchł żaden skandal z udziałem polityków czy gwiazd oper mydlanych. Nie było sensu przestrzegać przed chaosem na drogach, spowodowanym załamaniem się pogody, zrobili to już wczoraj, dzisiaj zresztą też dużo o tym pisali. Znał swoich czytelników, czy raczej ufał swoim analitykom. Do jutrzejszego wydania muszą znaleźć coś innego. Patrik nadal był niezadowolony, że konstrukcja dachu Ikei okazała się bardziej wytrzymała, niż przypuszczał. W końcu na jakiejś amerykańskiej stronie znalazł informację o kobiecie cierpiącej na coś, co nazwano *alien hand syndrome*. Zespół obcej ręki. Po operacji mózgu u sześćdziesięcioletniej Harriet wystąpił konflikt półkul mózgowych: żadna nie chciała, by druga nad nią dominowała, co w praktyce oznaczało, że niektóre części jej ciała nie przyjmowały poleceń płynących z mózgu. Biedną Harriet atakowała jej własna prawa ręka. Zachowywała się tak, jakby rządziła nią jakaś pozaziemska siła, stąd nazwa dolegliwości. Nagle zaczynała ją drapać, rozbierać albo wydawać pieniądze, a ona nie była w stanie nic na to poradzić.

Schyman westchnął.

Miał temat na pierwszą stronę, ale nie mógł o tym napisać, więc redakcja szukała nerwowo materiałów o zespole obcej ręki. *Alien hand syndrome*.

Oczywiście zastanawiał się, czy nie zignorować próśb ministerstwa sprawiedliwości o zachowanie dyskrecji i jednak napisać o zaginionej delegacji Unii Europejskiej, ale zasady etyczne wyniesione z telewizji państwowej, gdzie kiedyś pracował, nakazywały mu wstrzemięzli-

wość. No i chodziło mu też o Annikę. Prezentowane na blogach teorie spiskowe o tym, jak media chronią swoich ludzi, były mocno przesadzone. W rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Media wykazują wręcz chorobliwe zainteresowanie „swoimi” ludźmi i pilnie śledzą wszystko, co na ich temat piszą inni dziennikarze. Było jednak jeszcze coś: zwykłe ludzkie współczucie. Zresztą sprawa była rozwojowa, nie ucieknie. Na razie poinformowani zostali jedynie najbliżsi, a wśród nich nie było dziennikarzy. Zdążył to już sprawdzić.

Pytanie brzmiało: jak to wpłynie na Annikę i jak on powinien się w tej sytuacji zachować.

Wstał, podszedł do szklanych drzwi, jego oddech zostawił na nich plamę mgiełki.

Tam, za zewnątrz, był nowy świat. Dzisiaj już nikt nie potrzebuje dziennikarzy starających się dogłębnie zbadać każdy trop. Dzisiaj trzeba działać szybko, potrzebni są multimedialni producenci, którzy potrafią robić materiały dla telewizji, pisać krótkie notatki do internetu i może przygotować jakiś materiał na wieczór. Annika należała do wymierającego gatunku, przynajmniej jeśli chodzi o „Kvällspresen”. Na skomplikowane śledztwa, w których się specjalizowała, redakcja nie miała pieniędzy. Tak więc musiała wykonywać polecenia Patrika, co było dla niej czymś w rodzaju kary. Schyman wiedział to doskonale, ale nie mógł w nieskończoność traktować jej inaczej niż innych pracowników redakcji. Nie stać go było na to, żeby nadal trzymać ją w Waszyngtonie, nie mógł też dezawuować wszystkich pomysłów Patrika. „Kvällspresen” nadal było drugim co do wielkości tytułem na szwedzkim rynku prasy. Jeśli chcieli kiedykolwiek wyprzedzić „Konkurrenten”, musieli działać odważniej, na większą skalę.

Prawda była taka, że bardziej potrzebował Patrika niż Anniki.

Odwrócił się od szklanych drzwi i zaczął nerwowo krążyć po swoim niewielkim gabinecie.

Nie mógł Annice nic zarzucić. Jako korespondentka spisała się świetnie. Gdy przed kilku laty zamordowano w Stanach szwedzkiego ambasadora, doskonale sobie z tym poradziła. Wszyscy to przyznawali.

Powrót do męża dobrze jej zrobił. Nigdy nie tryskała radością, ale

ten rok, kiedy ona i Thomas się rozstali, był ciężki nie tylko dla niej, ale też dla jej najbliższego otoczenia.

Schyman nawet nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby jej mąż zginął. Miał świadomość, że to może trochę cyniczne, ale uważał, że redakcja „Kvällspresen” nie jest zakładem opiekuńczym. Jeśli Thomas nie wróci, będą pewnie musieli się z nią pożegnać, oczywiście za cenę odpowiedniej odprawy, i mieć nadzieję, że dobry terapeuta będzie w stanie jej pomóc.

Znów westchnął.

Alien hand syndrome.

Na litość boską.

* * *

– Kiedy tata wróci?

Dzieci mają jakiś szósty zmysł, pomyślała Annika.

Pogładziła córeczkę po włosach, tak miękkich i delikatnych, że zawsze się dziwiła, gdy od czasu do czasu zdarzało jej się znaleźć w nich wszy.

– Przecież wiesz, że tata pracuje w Afryce – powiedziała, okrywając Ellen szczelniej kołdrą.

– Ale kiedy wróci?

– W poniedziałek – poinformował Kalle siostrę ze swojego łóżka. – Wszystko zapominasz.

Kiedy Annika mieszkała sama z dziećmi, Kalle i Ellen mieli swoje pokoje, a ona spała w salonie. Teraz, kiedy Thomas do nich wrócił, taki układ nie był już możliwy. Kalle musiał więc przenieść się do pokoju Ellen, co potraktował jako osobistą obrazę.

Annika spojrzała na jego łóżko.

Ma powiedzieć dzieciom? Co? Prawdę? Nieco złagodzoną?

Tata zaginął w Afryce i pewnie nie wróci w poniedziałek, niewykluczone, że w ogóle nie wróci, ale wtedy odzyskasz swój dawny pokój. Fajnie, prawda?

Czy może powinna litościwie milczeć?

Tacie bardzo się w Afryce spodobało. Zostanie tam jakiś czas. Kie-

dyś pojedziemy go tam odwiedzić, co wy na to?

Ellen przytuliła Poppy, zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy.

– Śpij dobrze – powiedział Annika i zgasiła lampkę przy jej łóżeczku.

Salon był pogrążony w półmroku. Na parapetach paliły się małe lampki, pozostałość po ostatnim lokatorze. Dawały ciepłe, przyjemne światło. Telewizor grał, ale wyłączyła głos. Leif GW Persson opowiadał o zbrodni tygodnia w programie, który zawsze chciała obejrzeć, ale nigdy nie miała na to czasu. Jasna blondynka, najwyraźniej współgospodyni programu, powiedziała coś do kamery i po chwili zmienili temat. Oboje prowadzący szli wzdłuż ciągnących się kilometrami półek z dokumentami i protokołami z przesłuchań. Pewnie zdjęcia z archiwum Palmego, pomyślała Annika i sięgnęła po komórkę. Żadnych nieprzeczytanych SMS-ów.

Usiadła na kanapie z telefonem w dłoni i wpatrywała się w ścianę za Leifem GW Perssonem. Po tym jak wyszła z sali konferencyjnej, jej komórka zaczęła dzwonić jak oszalała. Schyman próbował się z nią skontaktować, drugiego numeru nie знаła. Pewnie Halenius. W końcu wyłączyła komórkę. Kiedy wróciła do domu, wyłączyła też telefon stacjonarny. Numeru jej prywatnej komórki nie znał prawie nikt. Tylko Thomas, szkoła, Anne Snapphane i może jeszcze kilka osób. Właśnie ten aparat trzymała teraz w ręku, jak martwą rybę.

Co miała robić? Miała komuś o tym powiedzieć? Czy w ogóle mogła komuś o tym powiedzieć? Komu? Komu powinna przekazać wiadomość? Barbro, swojej mamie? Mamie Thomasa? Może powinna polecieć do Afryki i zacząć go szukać? Tylko kto się wtedy zajmie dziećmi? Jej mama? Nie, nie mogła się przemóc, żeby do niej zadzwonić. A może jednak powinna? Co miała robić?

Potarła twarz dłońmi.

Barbro bardzo się zdenerwuje. Zacznie się nad sobą uzalać. Kolejny problem. Pewnie skończy się tym, że będzie musiała ją pocieszać i przeproszać za to, że ją niepokoi. O ile oczywiście matka będzie trzeźwa, bo jeśli nie, to w ogóle nie będzie żadnej rozmowy.

Matka nigdy jej nie wybaczyła, że nie przyjechała na ślub siostry, Birgitty, kiedy ta wychodziła za Stevena, który mimo obco brzmiące-

go imienia był tak szwedzki, jak to tylko możliwe. Było to w końcówce amerykańskich wyborów prezydenckich i nie chciała opuszczać stanowiska, które dopiero co objęła, żeby spędzić jeden wieczór na przyjęciu weselnym w Domu Ludowym w Hälleforsnäs.

– To najważniejszy dzień w życiu twojej siostry – szlochała matka przez telefon, siedząc w swoim mieszkaniu na Tattarbacken.

– Ani ty, ani Birgitta nie byłyście na moim ślubie – odparowała Anika.

– Ale ty brałaś ślub w Korei! – Pełne niezrozumienia oburzenie.

– I co z tego? Powiedziałabym, że odległości są porównywalne.

Od tamtej pory w ogóle z siostrą nie rozmawiała, ale jeśli miała być szczerą, to wcześniej też nie zdarzało się im to zbyt często. W każdym razie od czasu, kiedy w wieku osiemnastu lat wyprowadziła się z domu.

Do Berit też nie chciała dzwonić. Przyjaciółka na pewno dochowywałaby tajemnicy, ale nie chciała jej obarczać taką odpowiedzialnością.

Oczywiście powinna poinformować Doris, matkę Thomasa. Tylko co ma jej powiedzieć? Twój syn od kilku dni nie odbiera telefonu, ale nie niepokoiliam się tym, bo podejrzewałam, że posuwa jakąś panienkę?

Wstała z kanapy, nadal z komórką w ręku, i poszła do kuchni. Okno rozświetlał kupiony niedawno w Åhlénsie na Fridhemsplan adwentowy świecznik. Kalle sam go wybrał. Ellen przechodziła fazę aniołków i wybrała trzy kuchenne magnesy właśnie w kształcie aniołków. W zlewie stały talerze z resztkami kolacji, kupionej na wynos w hinduskiej knajpie. Zapaliła światło i zaczęła wkładać naczynia do zmywarki.

Mechaniczne ruchy ją uspokajały. Odkręciła kran, wzięła do ręki szczotkę do zmywania, okrężnymi ruchami spłukiwała resztki jedzenia z talerzy, a potem włożyła je do zmywarki. Odłożyła szczotkę na miejsce.

Nagle ni z tego, ni z owego zaczęła płakać. Puściła sztućce, które miała w ręku, i usiadła na podłodze. Z kranu nadal leciała woda.

Siedziała tak dłuższą chwilę.

Jestem żałosna. Mój mąż zaginął, a ja nie mam nikogo, do kogo

mogłabym zadzwonić, z kim mogłabym porozmawiać. Co jest ze mną nie tak?

Zakręciła kran, wytarła nos w kawałek kuchennego ręcznika i poszła do pokoju, wciąż z komórką w ręku.

Żadnych nieodebranych rozmów, żadnych SMS-ów.

Usiadła na kanapie, przełknęła głośno ślinę.

Dlaczego nie miała własnego grona znajomych? Thomas miał kolegów z drużyny piłkarskiej, znajomych jeszcze z liceum, a potem z czasów studiów w Uppsali, poza tym kolegów z pracy i kumpli z drużyny hokejowej. A ona? Poza Anne Snapphane?

Ona i Anne pracowały razem tego pierwszego lata w redakcji. Potem Anne przeniosła się do radia. Ich relacje bywały lepsze i gorsze, ale ostatnio znów spotykały się częściej. Czasem umawiały się na kawę w sobotnie popołudnie, czasem w niedzielę szły do muzeum.

Opowieści Anne o jej niesamowitych przygodach i górnolotnych planach działały na nią uspokajająco. Słuchając jej, mogła się odprężyć. Anne zawsze była u progu wielkiej kariery. Miała ambitne plany, wierzyła, że w końcu zostanie gwiazdą telewizji. Co tydzień miała inny pomysł, raz zamierzała prowadzić program dla dzieci, tydzień później miała pomysł na serię wywiadów, a w następnym tygodniu – na konkurs dla widzów. Co chwila przychodziło jej do głowy coś nowego. Zamawiała stopy raportów i najróżniejsze dane. Wertowała je w poszukiwaniu afery, która poruszy wszystkich. Jej fantastyczne pomysły kończyły się z reguły na wpisie na blogu, któremu nadała tytuł: „Niezwykłe przeżycia i przygody telewizyjnej mamuśki”, lub na wpisie na Facebooku, gdzie miała cztery tysiące trzysta pięćdziesięciu siedmiu znajomych. Annika dobrze wiedziała, że Anne nigdy nie napisała więcej niż pół strony poważnego tekstu, że nawet jeśli umówiła się na spotkanie z kimś z telewizji, to zwykle potem nie miała na nie czasu. Nie przejmowała się tym, na co dzień zarabiała na życie jako researcherka w dużej firmie producenckiej.

– Annika! Niesamowite, że dzwonisz! Właśnie o tobie myślałam.

Annika zamknęła oczy i poczuła, jak zalewa ją fala ciepła, niewiele brakowało, a byłaby się rozplakała. A więc jednak jest ktoś, komu na niej zależy.

– Chodzi mi o te brązowe boty. Potrzebujesz ich na weekend?

– Thomas zaginął – wydusiła Annika i wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Łzy leciały jej po policzkach strugami, spływały na komórkę. Próbowwała je wytrzeć, bała się, że ją uszkodzą.

– Cholerny drań – powiedziała Anne. – Że też nigdy nie może sobie darować. Kogo tym razem uwodzi?

Annika zaczęła mrugać, próbowała powstrzymać się od płaczu.

– Nie, to nie tak...

– Annika, nie musisz go kryć. I nie obwiniaj siebie. To nie twoja wina.

Annika zaczerpnęła powietrza, w końcu odzyskała głos.

– Nie wolno ci nic nikomu mówić. Na razie to tajemnica. Delegacja, której był członkiem, zaginęła. Na granicy z Somalią.

Zapomniała, jak się nazywało to miasto.

Zdumiona cisza po drugiej stronie.

– Cała delegacja? Czym jechali? Lecieli jumbo jetem?

Annika wytarła nos w kuchenny ręcznik.

– Jechali dwoma samochodami. W sumie siedem osób. Zaginęli wczoraj. Znaleziono ciała ochroniarza i tłumacza. Zginęli od strzału w głowę.

– O kurde! Thomasa też zastrzelili?

Annika znów poczuła łzy pod powiekami, płacz podchodził jej do gardła.

– Nie wiem!

– Boże, co zrobisz, jeśli go zabiją? Jak sobie poradzisz, ty i dzieci?

Annika siedziała na kanapie. Objęła rękami kolana i lekko się kołysała.

– Biedaczko, dlaczego tobie zawsze przytrafiają się takie rzeczy? Boże, jak mi ciebie żal. Kochanie...

Jednak miło, że ktoś się o nią troszczy.

– Biedny Kalle. Będzie dorastał bez ojca. Thomas miał ubezpieczenie na życie?

Annika oniemiała, przestała płakać.

– A Ellen jest jeszcze taka maleńka – ciągnęła Anne. – Ile ona ma lat? Siedem? Osiem? Chyba w ogóle nie będzie go pamiętać. Boże,

Annika, co ty teraz zrobisz?

– Ubezpieczenie na życie?

– Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało cynicznie, ale w takiej sytuacji trzeba myśleć o sprawach praktycznych. Przejrzyj wszystkie papiery, musisz wiedzieć, na czym stoisz. Dobrze ci radzę. Chcesz, żebym do ciebie przyjechała i ci pomogła?

Annika zakryła oczy dłonią.

– Dziękuję, może jutro. Teraz chcę się już położyć. To był ciężki dzień.

– Jasne, kochanie. Rozumiem. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiesz, obiecaj mi...

Annika wymamrotała coś pod nosem, przytaknęła cicho.

Potem siedziała jeszcze chwilę na kanapie z komórką w ręku. Leif GW Persson poszedł już do domu, jego miejsce zajęła atrakcyjna ciemnoskóra kobieta prowadząca wieczorne wydanie „Raportu”. Program zaczął się od zdjęć z różnych szwedzkich miejscowości dotkniętych śnieżycą. Zasypane śniegiem tiry, wozy pomocy drogowej i dach hali tenisowej, który nie wytrzymał naporu śniegu. Sięgnęła po pilota i nastawiła głośniej. Tak obfite opady śniegu w listopadzie nie zdarzają się często, ale też nie są czymś wyjątkowym, informowała czarnoskóra piękność. Podobne sytuacje zdarzały się i w latach sześćdziesiątych, i osiemdziesiątych.

Annika wyłączyła telewizor. Poszła do łazienki, umyła zęby i ochłapała twarz zimną wodą, w nadziei, że do rana opuchlizna zejdzie.

Poszła do sypialni i obolała położyła się na łóżku, po stronie Thomasa.

* * *

Kiedy przecięli nam taśmy na nadgarstkach, przestaliśmy się przewracać.

Poczuliśmy ulgę.

Wstał księżyc. Szliśmy gęsiego. Krajobraz przypominał trójwymiarową fotografię: ciemne, granatowe tło obrzeżone srebrem. Kolczaste krzaki, mrowiska termitów, wyschnięte drzewa, kawałki skał i góry

w oddali. Nie bardzo wiedziałem, jak to nazwać: może to była sawanna, może już pustynia, w każdym razie szlak był wyboisty i szło się trudno.

Pierwszy szedł Magurie. Mianował się naszym dowódcą, nie pytając nikogo o zdanie, mnie na pewno nie. Zaraz za nim podążał Rumun, potem ja i Catherine, Duńczyk i Hiszpan, Alvaro, a na końcu, bez przerwy się potykając, Niemka. Płakała, pociągała nosem, zero godności.

Catherine poruszała się z trudem. Wysiadając z ciężarówki, źle stąpnęła i chyba skrzyła lewą stopę. Wspierałem ją, jak tylko mogłem, ale z pragnienia kręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że zaraz zemdleję. Obawiam się, że niewiele mogłem jej pomóc. Co chwilę zaczepiałem spodniami o jakieś kolce, pod prawym kolanem miałem wielką szramę.

Jadąc samochodem w ciągu dnia, w ogóle nie widzieliśmy zwierząt, z wyjątkiem kilku pojedynczych antylop i chyba afrykańskich dzików. Natomiast noc była pełna ciemnych cieni i błyszczących w mroku oczu.

– Żądam, żebyście nam powiedzieli, dokąd nas zabieracie!

Muszę przyznać, że podziwiałem Francuza za wytrwałość.

– Jestem obywatelem Francji. Chcę rozmawiać z ambasadą!

Magurie mówił po angielsku z nieco zabawnym francuskim akcentem. Co pięć minut wyrzucał z siebie kolejne żądania. Zaczynał powoli tracić głos, ale jego oburzenie nie malało.

– To zbrodnia przeciwko prawu! *Jus cogens*! Jesteśmy członkami międzynarodowej organizacji! Popelniacie przestępstwo, panowie!

Nie miałem bladego pojęcia, gdzie jesteśmy. W Kenii? W Somalii? Bo chyba nie w Etiopii? To byłoby za daleko na północ. Noc była czarna jak smoła. Na horyzoncie nie było widać żadnego miasta, żadnej aureoli świateł.

Uzbrojeni mężczyźni szli przed nami i za nami. Było ich czterech: dwóch bardzo młodych chłopców i dwóch dorosłych mężczyzn. Zdaniem Catherine nie byli Kenijczykami. Nie rozumiała, co mówili, a znała zarówno arabski, jak i suahili i język Masajów, no i oczywiście angielski. Mogli oczywiście posługiwać się którymś z sześćdziesięciu

kenijskich języków, na pewno jednak nie był to ani język bantu, ani żaden z języków nilotyckich. Domyślała się, że może to być somalijski, należący do języków wschodniokuszyckich, do rodziny języków afroazjatyckich. Jeden z mężczyzn, ten wysoki, który otworzył drzwi samochodu od mojej strony, zwracał się do nas w kiepskim suahili. Poinformował nas między innymi, że jesteśmy niewiernymi psami i zasłużyliśmy na powolną i bolesną śmierć, a także że o naszym losie zadecyduje wielki wódz, a może generał. Nazywał go *Kiongozi Ujumla*. Niewykluczone, że w jego języku znaczyło to właśnie wódz. Ale kim był ich przywódca ani gdzie przebywał – tego nam nie zdradził.

Nagle ci idący przed nami się zatrzymali. Wyższy powiedział coś do idących z tyłu chłopców. W jego głosie słyhać było zmęczenie i irytację. Mówiąc, machał bronią.

Jeden z chłopców ruszył biegiem przed siebie, w ciemność.

Wysoki mężczyzna wskazał na nas bronią.

– *Kaa! Chini! Kaa chini...*

– Każe nam usiąść – powiedziała Catherine i osunęła się na ziemię.

Usiadłem obok niej. Czułem na rękach pełzające robactwo, ale nie miałem siły się ruszyć. Położyłem się i poczułem, że do ucha wchodzi mi mrówka. Poczułem kopnięcie w plecy.

– Kaa!

Usiadłem. Najwyraźniej kobietom pozwolono leżeć, mężczyznom nie.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Marzłem, wilgotne od potu ubranie zamieniło się w lodowaty pancerz. Słyszałem, jak szcękają mi zęby. Może jednak zasnąłem, bo nagle zobaczyłem, że chłopak z bronią wrócił, a wysoki mężczyzna zaczął krzyczeć, żebyśmy wstali. Komendy w suahili nie wymagały tłumaczenia, machał bronią aż nadto czytelnie.

Ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą, którą szliśmy wcześniej, chociaż nie byłem tego tak do końca pewny. Nagle Catherine opadła z sił. Osunęła się na mnie i razem upadliśmy na ziemię.

Wysoki mężczyzna kopnął ją w chorą stopę i zaczął ciągnąć za włosy, aż znów stanęła na nogi.

– *Tembea!*

Rumun – nie dosłyszałem jego nazwiska, kiedy nas sobie przedstawił, a potem zapomniałem sprawdzić w dokumentach – podszedł do Catherine z drugiej strony. Uznałem, że zachowuje się trochę zbyt bezpośrednio, ale nie wypadało mi protestować.

Nie wiem, czy człowiek, który stracił przytomność, jest w stanie iść, wiem jednak, że podczas tamtego nocnego marszu traciłem przytomność wiele razy.

Po jakimś czasie gdzieś na horyzoncie pojawiła się smuga poranka i nagle znaleźliśmy się przed murem z chrustu i suchych krzewów.

– *Manyatta* – wyszeptała Catherine.

– To absolutnie nie do przyjęcia! – zawołał Francuz. – Żądam, żeby nam podano wodę i jedzenie!

Zobaczyłem, że wysoki mężczyzna podchodzi do Sébastiena Magurie i unosi kolbę karabinu.

DZIEŃ 2

Wtorek, 24 listopada

KALLE RANO ZAWSZE domagał się rozpuszczalnego kakao. Annika nie była tym zachwycona, bo czekolada podnosi poziom cukru we krwi i Kalle najpierw stawał się nadmiernie podniecony, a potem szybko tracił energię. Wypracowali więc kompromis: dostawał swojego o'boya, ale musiał zjeść też jajecznicę z bekonem, czyli białko o niskim indeksie glikemicznym i trochę tłuszczu. Ellen uwielbiała gęsty grecki jogurt z malinami i orzechami włoskimi, więc z nią nie musiała negocjować.

– Pójdziemy w niedzielę na mecz hokeja? – spytał Kalle. – Djurgården gra z AIK.

– Nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł. Te mecze mają czasem gwałtowny przebieg. Ci z Black Army rzucają na lód petardy, a Żelazne Piece nie pozostają im dłużni, więc chyba jednak nie.

Ellen zastygła z łyżeczką jogurtu w ręce. Patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Dlaczego tak robią?

– To fani – powiedział Kalle. – Kochają swoją drużynę.

Annika ze zdziwieniem spojrzała na synka.

– Kochają? I tak wyrażają uczucia? Rzucając racami w zawodników?

Kalle wzruszył ramionami.

– No to bardzo mi ich żal. Muszą mieć piekielnie nudne życie. Nic ich nie interesuje? Ani szkoła, ani praca, ani inni ludzie, ani polityka? Jedyne, co im zostaje, to kochać drużynę. To smutne.

Kalle zjadł resztki jajeczniczy i wypił kakao.

– Tak czy inaczej, jestem za Djurgården – oświadczył.

– A ja za Hälleforsnäs – odpowiedziała Annika.

– Ja też – dodała natychmiast Ellen.

Żadne z dzieci nie spytało o ojca. Annika uznała, że w takiej sytuacji nie ma sensu im nic mówić, bo co właściwie miałyby im powiedzieć?

Dzieci szybko umyły zęby i ubrały się, nie marudząc.

Chociaż raz nie wyszli z domu za późno.

Na dworze zrobiło się nieco cieplej. Niebo było bezbarwne, w powietrzu unosił się zapach wilgoci i spalin. Śnieg na chodnikach był już czarny jak węgiel.

Szkoła, do której chodziły dzieci, American International Primary School, znajdowała się po drodze do redakcji, tuż za liceum Kungsholmen. Odprowadziła je do bramy z kutego żelaza, uściskała Ellen, a potem stała jeszcze chwilę i patrzyła, jak ona i Kalle znikają za potężnymi drzwiami. Obok niej przepływał strumień dzieci i rodziców, matek, ojców, chłopców i dziewczynek. Oczywiście czasem słyhać było ostry, poirytowany głos jakiegoś rodzica, ale przede wszystkim wyczuwało się tolerancję i bezgraniczną dobrą wolę. Rodzice byli dumni ze swoich dzieci i dawali wyraz miłości do nich.

Annika stała tak długo, aż strumień przestał płynąć. Poczowała, że zmarzły jej palce u nóg.

Szkoła okazała się dobra, chociaż większość lekcji odbywała się po angielsku.

To nie był jej pomysł. To Thomas uparł się, żeby Kalle i Ellen po powrocie do Sztokholmu kontynuowali naukę w języku angielskim, ona miała wątpliwości. Dzieci miały szwedzkie obywatelstwo, miały w przyszłości mieszkać w Szwecji, po co wszystko dodatkowo komplikować?

Kto tu wszystko komplikuje? – słyszała jego głos.

Tłumaczył jej, że w szkole dzieci będą miały również lekcje szwedzkiego. Ucząc się obu języków, mają szansę być dwujęzyczne. W przyszłości może to być ich atutem. Powinni im dać tę szansę.

W końcu uległa. Nie dlatego, że zależało jej na międzynarodowej edukacji dzieci, tylko z powodu wcześniejszych przykrych doświad-

czeń Kallego w szwedzkiej szkole, gdzie stał się ofiarą małych potworków, kolegów z klasy, którzy za wszelką cenę pragnęli udowodnić, że są od niego lepsi.

Co zrobię, jeśli Thomas nie wróci? – zaczęła się nagle zastanawiać.

Oparła się o ścianę, skupiła się na oddychaniu, musiała się uspokoić.

Powinna zostawić dzieci w tej szkole, tak jak chciał Thomas? Pozwolić, żeby to on zdecydował o tym, jak ma wyglądać ich dorastanie, czy może powinna zdecydować sama? Czuła brzemię odpowiedzialności. Zostanie jedynym opiekunem dzieci, chodzi o ich życie, ich i jej...

Zamknęła oczy, nadal opierała się plecami o ścianę budynku.

Kiedy dotarła do redakcyjnej recepcji, nie potrafiła powiedzieć, jak się tam znalazła. Zakreśliło się jej w głowie, recepcja zafalowała, zamieniając się na jej oczach w stateczek z kory huśtający się na wodzie. W jakiś niewytłumaczalny sposób udało się jej znaleźć przepustkę. Wyjęła ją z torby i poszła dalej, jakby się unosiła na potężnej fali.

Berit jeszcze nie było.

Redakcja istniała nadal. Nappełniało ją to smutkiem, ale też dawało poczucie pewnej stabilności. Czuła zapach kurzu, kabli i przypalonej kawy.

Wyjęła laptopa, zalogowała się do sieci, weszła na Facebooka i od razu trafiła na peany Evy-Britt na cześć spektaklu *Czekając na Godota*. Słyszała rozmawiających przez telefon kolegów, znajomy sygnał telewizyjnych wiadomości i hałas wentylatora. Odsunęła komputer i sięgnęła po leżące na stoliku papierowe wydanie najnowszego numeru gazety.

„Harriet atakowana przez własną rękę”.

I zdjęcie grubej kobiety w szpitalnym łóżku, drapiącej się po twarzy i krzyczącej z bólu. Cierpiała na syndrom obcej ręki.

To było niemal jak pocieszenie. Jej mąż co prawda zaginął na północnym wschodzie Kenii, ale przynajmniej nie atakuje jej własna prawa ręka. Matki małych dzieci padają ofiarą morderców, a ona ma swoją pracę i może czuć się bezpiecznie.

Szybko przerzucała strony z najnowszymi wiadomościami – rękami,

które robiły to, co im kazała.

Nie znalazła nic o kobiecie, której ciało znaleziono na tyłach przedszkola w Axelsberg.

Odłożyła gazetę na stertę makulatury, podeszła do stanowiska analityków i pożyczyla – no dobrze, niech będzie, po prostu im zabrała – ich egzemplarz „Fina Morgontidningen”. Na stronach sztokholmskich znalazła notatkę o ciele znalezionym w lesie w Hägersten. Ani słowa o podejrzeniu zabójstwa, o pobliskim przedszkolu, ani słowa o człowieku. Martwe ciało. Znalezione. W lesie.

Odłożyła gazetę na tę samą stertę, na którą chwilę wcześniej trafiła jej własna, przysunęła laptopa i zaczęła przeglądać blogi.

W sieci nie obowiązują zasady etyczne. Nikt się nie przejmował uczuciami rodziny zmarłej. Blogerzy bez zahamowań dociekali, co się mogło stać w lesie na tyłach przedszkola. Spekulacje na ten temat zajmowały kilka stron. Hipotezy były przedstawiane jako niepodważalne fakty. Podano oczywiście imię i nazwisko ofiary. Nawet cztery różne. Jedni twierdzili, że miała na imię Karin, inni, że Linnea, jeszcze inni, że Simone, pojawiła się też Hannelore. Tylko wybierać. Niektórzy twierdzili, że miała kilkoro dzieci, inni, że w ogóle nie miała dzieci. Jeden z blogerów w pełnym błędów ortograficznym wpisie „Pżyjemne życie w Mälarhöjden” ubolewał nad tym, jak teraz poradzi sobie mały Wilhelm. W stylu nieco podobnym do tego, w jakim poprzedniego wieczoru Anne Snapphane współczuła jej dzieciom.

„Linnea Sendman zawsze była sympatyczna i miła, chociaż widać było, że rozwód ciężko ją doświadczył...”

Czyżby naprawdę nazywała się Sendman? – pomyślała Annika. Podejrzewała, że nazwisko mogło zostać zapisane z błędem.

Wpisała w Google „linnea sendman”, wyskoczyły strony na Facebooku i na LinkedIn, wygrana w zawodach pływackich w Järfälla, lista uczniów przyjętych jesienią do miejscowego liceum – i bingo!

Pochyliła się nad monitorem, zaczęła czytać wpis niejakiej Vivecki Hernandez na blogspot.kvallspressen.se, jednym z serwerów gazety.

„Kiedy Linnea zgłosiła się na policję, ta potraktowała sprawę poważnie. Zarzuty wobec jej byłego męża, Everta, były tak liczne, że obiecano jej, że zostanie natychmiast zatrzymany pod zarzutem naru-

szania miru domowego i znęcania się. Tak się jednak nie stało, więc Evert nadal robił swoje. Wydzwaniał do niej na okrągło, kopał w drzwi i wrzeszczał tak, że echo niosło się po całej klatce. Po tygodniu zadzwoniła do prokuratora, żeby zapytać, dlaczego jej były mąż jeszcze nie został zatrzymany. Przecież złożyła skargę. Dowiedziała się, że sprawa uległa przedawnieniu. Wymienione przez nią czyny, pobicie, groźby i akty przemocy seksualnej ulegają przedawnieniu po dwóch latach. Ale naruszenie miru domowego i brutalne pobicie przedawnia się po dziesięciu latach, argumentowała Linnea, bo wcześniej dokładnie to sprawdziłyśmy. Prokurator uznał jednak, że nie jest to czyn ciągły. Każde przewinienie powinno być oceniane osobno i dla każdego obowiązuje inny okres przedawnienia, stwierdził. Dziesięć lat to jedynie założenie...”

Annika odchyliła się do tyłu. Była zdziwiona. To możliwe? W swoim czasie często zajmowała się tego typu sprawami, pisała artykuły, przeprowadziła wiele wywiadów, rozmawiała na ten temat i z naukowcami, i z prawnikami. Miała wrażenie, że dość dobrze zna regulujące te sprawy prawo.

Nie można wymagać, żeby maltretowana przez męża czy partnera kobieta pamiętała, czy podbił jej oko w czwartek, a potem w piątek połamał zebra, czy odwrotnie. Dlatego ustawa mówi wyraźnie, że taka przemoc domowa winna być traktowana właśnie jako czyn ciągły, a nie szereg oddzielnych przestępstw. Zaś okres przedawnienia wydłużono do dziesięciu lat, żeby podkreślić wagę takich przestępstw.

Czyżby coś źle zrozumiała? To oczywiście możliwe, ale to by oznaczało, że także prawnicy i wielu innych dziennikarzy się mylili.

Zadzwonił telefon na jej biurku. Rozmowa wewnętrzna, informował ją wyświetlacz. Podniosła słuchawkę.

– Nie wyłączaj komórki i telefonu, kiedy coś takiego się dzieje – usłyszała głos Schymana. – Halenius szukał cię całą noc. A gdyby stało się coś ważnego? Gdyby trzeba było ci przekazać jakąś wiadomość?

Annika miała wrażenie, że jej szef stoi gdzieś na dworze, słyszała zawodzenie wiatru i trzaski.

– A co?

– Jak to co?

– Co się stało?

– O ile wiem, nic.

– Więc to, że wyłączyłam telefony, nie miało żadnego znaczenia.

– Zachowujesz się nieracjonalnie i nieodpowiedzialnie – stwierdził Schyman. Był zły. – A jeśli Thomas próbował się z tobą skontaktować?

– Thomas dzwoni na inną komórkę. Tamtej oczywiście nie wyłączyłam.

Jakiś duży pojazd, autobus albo ciężarówka, przejechał gdzieś w pobliżu. Usłyszała, jak Schyman woła: „Patrz, gdzie jedziesz, kretynie!”.

Kiedy powrócił do rozmowy, był znów skupiony i poważny.

– Halenius chce cię poinformować o sytuacji i o krokach, jakie zamierza poczynić rząd. Może przyjechać do ciebie do domu albo może się spotkać na mieście. Na pewno nie w redakcji. Rząd nie chce jeszcze ujawniać sprawy.

– Nie chcę się z nim spotykać w domu.

– Możesz podjechać do ministerstwa, jeśli chcesz.

– Wiedziałaś, że przemoc i znęcanie się nad kobietą przedawnia się już po dwóch latach?

Gdzieś w tle przejechał radiowóz na sygnale.

– Co mówiłaś?

Annika zamknęła oczy.

– Nic. Gdzie jesteś?

– Żona podrzuciła mnie na Fridhemsplan. Zaraz będę w redakcji.

Rozłączyli się. Annika wróciła do laptopa, weszła w szukaj.se. Nie był to pełny rejestr osobowy, ale można było tam znaleźć niemal wszystkie numery telefonów, często z adresami abonentów, niekiedy nawet z dołączoną mapką.

Linnea Sendman nie figurowała w rejestrze. Może nie miała telefonu zarejestrowanego na swoje nazwisko, a może miała zastrzeżony numer, o co – według blogerki Vivecki Hernandez – przez wiele lat walczyła bez powodzenia. Natomiast adres Vivecki Hernandez znalazła bez problemu. Mieszkała przy Klubbacken 48 w Hägersten, na dołączonej mapce widać było jej dom, stał na tyłach przedszkoli przy

Selmedalsvägen. Pewnie jeden z tych typowych dla lat sześćdziesiątych domów na wzgórzu, pomyślała Annika. Widziała je ze ścieżki pod lasem.

Wróciła do bloga. Można było odnieść wrażenie, że Vivecka jest doskonale zorientowana w sytuacji Linnei Sendman.

„...krzyki odbijały się echem w całej klatce...”.

Więc najprawdopodobniej Linnea Sendman też mieszkała przy Klubbacken 48, pomyślała Annika. To pewno właśnie Vivecka jest tą sąsiadką, która zgłosiła jej zaginięcie.

Sięgnęła po słuchawkę, żeby do niej zadzwonić, ale kiedy podniosła głowę, zobaczyła szefa. Stał przed nią w wełnianej czapce, z sopelkami lodu na wusach.

– Jedziemy do Rosenbad – powiedział. – Natychmiast. To rozkaz.

* * *

Siedziba kancelarii rządu, zespół pałacowy wzniesiony na przełomie XIX i XX wieku i przeznaczony pierwotnie dla Nordiska Kreditbanken, królował nad kanałem na końcu Norrström. Podczas pierwszej wojny światowej bank upadł, ale jego logo nadal widniało nad jednym z bocznych wejść. Schyman nie pamiętał, nad którym.

Zapłacił za kurs redakcyjną kartą kredytową i rzucił szybkie spojrzenie na siedzącą obok niego reporterkę. Wyglądała jak nieposłane łóżko.

Kilka lat wcześniej w związku ze ślubem następczyni tronu redaktor naczelny wprowadził w redakcji dress code. Podarte dżinsy, minispódniczki, sprane dresowe bluzy, głębokie dekolty i gołe pępki zostały zakazane. Annika nie musiała wymieniać garderoby. Nosiła eleganckie markowe ubrania, ale i tak zawsze wyglądała, jakby je włożyła przez przypadek. Schyman nie wykluczał, że zdarzało jej się włożyć koszulę męża i nawet tego nie zauważyć. Teraz wyglądała gorzej niż zwykle. Miała na sobie koszulę i pulower w stylu, który był modny, kiedy on chodził do gimnazjum.

Ludzie, którzy wyjeżdżali do Stanów, zwykle wracali o kilka kilogramów ciężsi, ale nie ona. Ona, o ile to w ogóle możliwe, była jesz-

cze chudsza niż dawniej. Gdyby nie dość wydatny biust, można by ją wziąć za długowłosego nastoletniego chłopca.

– Ta kobieta, której ciało znaleziono na tyłach przedszkola w Hägersten... – zaczęła Annika. Urwała, ale po chwili mówiła dalej: – Więc ta kobieta oskarżyła swojego byłego o znęcanie się nad nią, ale dochodzenie zostało umorzone, bo sprawa się przedawniła.

– Nie zapomnij rękawiczek – powiedział Schyman, wskazując na rzeczy, które wypadły jej z torby i leżały na podłodze taksówki.

Wysiadł, podszedł do bramy, wcisnął znajdujący się z lewej strony spatynowany mosiężny przycisk z trzema koronami i drzwi się otworzyły z cichym sykiem. Ruszyli na górę po marmurowych schodach, Annika trzy kroki za Schymanem. Minęli hol z białego marmuru z kolumnami i krzyżowo sklepieniem sufitem i skierowali się do recepcji, w głębi, po lewej. Schyman kątem oka obserwował Annikę, widział, jak przygląda się posągom stojącym wzdłuż jednej ze ścian.

Nagle poczuł ukłucie tęsknoty. Ze wzruszeniem przypomniał sobie czasy, kiedy sam uprawiał dziennikarstwo polityczne. Kiedy wchodził tu, a właściwie wbiegał z ekipą telewizyjną, świadom, że skupia na sobie uwagę wszystkich. I politycy, i urzędnicy, i sekretarze prasowi, i specjaliści od gospodarki wymawiali jego nazwisko z szacunkiem, a czasem nawet i z lekkim strachem. Tak było kiedyś, a dzisiaj?

Spojrzał na Annikę.

– Twoja legitymacja – powiedział.

Annika zerknęła w stronę dyżurki, podała prawo jazdy.

Dzisiaj jest opiekunem roztargnionych reporterek i maszynką do robienia pieniędzy dla właścicieli koncernu. Nowe czasy. Uczył się ich, mając niekiedy wrażenie, że niebezpiecznie zbliża się do krawędzi tego, co jeszcze można nazwać dziennikarstwem.

Syndrom obcej ręki.

Za kontuarem siedziała młoda dziewczyna. Starła się wyglądać szalenie poważnie. Włosy ściągnięte w węzeł, krawat na szyi. Nieco naburmuszona poprosiła Schymana o dokument. Uważnie studiowała jego legitymację prasową, nie rozpoznała go. Najwyraźniej w ogóle nie śledzi debaty publicznej, pomyślał Schyman. Wystukała coś na klawiaturze, podniosła słuchawkę, jakby chciała sprawdzić, czy rze-

czywiście mają prawo tam być, a potem wskazała im drogę do wind.

Schyman czuł się jak u siebie w domu.

– To ta po prawej. Ta z lewej to winda towarowa, zatrzymuje się na każdym półpiętrze – rzucił.

Nie zrobiło to na Annice szczególnego wrażenia.

* * *

A więc to tutaj pracował.

Thomas. Na swoim bardzo ważnym stanowisku.

Starła się nie patrzeć w lustro wiszące na ścianie windy.

Nigdy tu nie była. Nigdy się nie zdarzyło, żeby wpadła do niego w drodze z redakcji do domu albo umówiła się z nim na lunch w pracowniczej stołówce. Nigdy nie zrobiła mu niespodzianki i nie wpadła z biletami do teatru albo do kina.

Thomas pracował dla rządu, jej praca polegała na patrzeniu rządowi na ręce.

Wysiedli na szóstym piętrze, piętro wyżej mieściły się wszystkie najważniejsze gabinety. Thomas pracował na drugim, ale w innej części budynku. Zawsze kiedy odwiedzał to skrzydło, a już szczególnie ostatnie piętra, opowiadał o tym później w domu, poważnym, pełnym szacunku głosem. Bo tu urzędowali minister, jego sekretarz, szefowie działu prawnego i administracyjnego i eksperci polityczni. Białe ściany, jasnoszara wykładzina, uchylone drzwi. W powietrzu unosił się zapach władzy i środków czystości.

– Witam – powiedział Jimmy Halenius. Podszedł do nich, wyciągnął rękę. – Usiądźmy tutaj...

Sprawiał wrażenie, jakby znalazł się tu przez przypadek. Pognieciony, rozczochrany. Annika zaczęła się zastanawiać, jak dostał tak wysokie stanowisko. Pewnie po znajomości. Podlizywał się.

– Macie jakieś wiadomości od Thomasa? – spytała.

– Nie, ale wiemy już trochę więcej niż wczoraj.

Dźwięki były stłumione, jakby gruby dywan chłonał wszystkie odgłosy, a niewidoczne oczy za drzwiami widziały wszystko.

Szli korytarzem prowadzącym do sali konferencyjnej z widokiem na

Tegelbacken i Strömsborg. Jasne drewniane meble, na stole szwedzka woda mineralna. Annika wzdrygnęła się, poczuła, że marznie. Nie miało to nic wspólnego z temperaturą powietrza. W środku czekało na nich dwóch mężczyzn, których poznała wczoraj, dwóch Hansów, dzisiaj już bez płaszczy.

Pomyślała, że nie chce tu być. Została do tego zmuszona. Wydano jej rozkaz.

Usiadła na krześle najbliżej drzwi, starała się nie zwracać uwagi na Hansów.

Halenius wziął taboret i usiadł dokładnie naprzeciwko niej. Instynktownie odchyliła się do tyłu, podkurczyła nogi.

– Rozumiem, że to dla ciebie trudne. Proszę, powiedz, jeśli będziesz czegoś chciała – powiedział, patrząc na nią swoimi błękitnymi oczami.

Annika podciągnęła ramiona i spuściła wzrok.

Tak, poproszę o mojego męża, pomyślała.

– Rano kontaktowaliśmy się z Nairobi. Wiemy już trochę więcej o tym, co się stało. Pytaj, proszę, jeśli coś cię zastanowi.

Coś ją zastanowi? Co?

Mówiąc, Halenius patrzył wprost na nią. Siedział lekko pochylony, z łokciami wspartymi o kolana, jakby chciał być jak najbliżej niej, dotrzeć do niej. Annika odwróciła wzrok, wyjrzała przez okno. Widziała wieżę ratusza z trzema koronami. Prawie sięgała nieba. Siedząc na krześle, nie widziała wody.

– Delegacja, w skład której wchodził Thomas, przedwczoraj rano poleciała prywatnym samolotem do Liboi. Składała się z siedmiu osób i trzech ochroniarzy, tłumacza i dwóch kierowców. Tłumacz i jeden z ochroniarzy zostali zabici, przeżył natomiast jeden z kierowców. Miejscowi pasterze znaleźli go niedaleko Liboi. Dostał silny cios w głowę, ale rano mógł już wziąć udział w krótkim przesłuchaniu przez telefon. Nie chcesz wody?

Chciała? Napić się wody?

Pokręciła głową.

Halenius sięgnął po leżący na stole dokument, włożył okulary i zaczął czytać. Patrzyła na niego, zastanawiając się, ile może mieć lat.

Przypomniała sobie, że kiedyś jej mówił. Był starszy od niej, o jakieś trzy lata, więc miał pewnie koło czterdziestki. Wyglądał starzej.

– Członkowie delegacji to, nie licząc Thomasa, pięćdziesięcioczeroletni Francuz Sébastien Magurie, delegowany do Parlamentu Europejskiego, sprawami granic zajmuje się od niedawna. To była jego pierwsza konferencja poświęcona temu tematowi. – Zamachał kartką. – Dostaniesz to wszystko na papierze, jak tylko uzyskamy oficjalne potwierdzenie.

W sali było pełno kurzu. Czuła w gardle lepkie szare drobinki.

– Jednak poproszę trochę wody – powiedziała.

Jeden z Hansów wstał i przyniósł butelkę wody Loka. O smaku malinowym. Okropna. Annika poczuła w ustach smak nafty.

– Catherine Wilson, trzydzieści dwa lata, Brytyjka, mówi po arabsku i w suahili. Jako dziecko spędziła kilka lat w Kenii, pojechała tam jako sekretarka, zdążyła wysłać pierwsze sprawozdanie, zanim grupa zniknęła. Alvaro Ribeiro, trzydzieści trzy lata, przedstawiciel Hiszpanii. Prawnik. Pracuje dla hiszpańskiego rządu. Helga Wolff. Niemka, ma sześćdziesiąt lat. Nie mamy dokładnych informacji, ale podobno jest urzędniczką w Brukseli. I jeszcze delegat Danii, Per Spang, sześćdziesiąt pięć lat, członek duńskiego parlamentu, nie najlepszy stan zdrowia. I Sorin Enache, czterdzieści osiem lat, przedstawiciel Rumunii, urzędnik w ministerstwie sprawiedliwości, zatrudniony na stanowisku odpowiadającym mniej więcej stanowisku Thomasa. Maratończyk.

Helga Wolff. Co za banalne połączenie. Na pewno nie ta Niemka. Sześćdziesiąt lat. Nie. Gdyby przynajmniej była panią minister, wtedy... może. Szczupła, po lekkim liftingu, ale urzędniczka? Nie. Thomas mierzył wyżej.

– Thomas sam się zgłosił? – spytała Annika.

Halenius opuścił rękę, w której trzymał dokument.

– Co masz na myśli?

Annika pomyślała, że może się założyć, że trzydziestodwuletnia Angielka jest drobną blondynką.

– To był ważny wyjazd?

Halenius spojrzał na nią zmęczonymi oczami.

– Nie, to nie było jakieś prestiżowe zadanie. Zresztą żaden z uczestników nie piastuje szczególnie wysokiego stanowiska. Nie wiem, czy Thomas sam zgłosił chęć wyjazdu, czy ktoś polecił mu jechać. Sprawdzę to.

Sięgnął po kolejny dokument.

Annika rozejrzała się po niewielkiej sali. Nie było to miejsce, gdzie zapadały najważniejsze decyzje, Błękitny Pokój, w którym odbywały się ministerialne narady. To tylko niewielka salka, w której rozmawia się z żonami zaginionych mężów i może również pracuje nad niewielkimi zmianami w ustawach dotyczących zaginionych kobiet, których ciała znajduje się na tyłach przedszkoli i na parkingach.

– Pierwsze sprawozdanie, jakie dostaliśmy, zawiera opis miasta Liboi i streszczenie rozmowy delegacji z szefem miejskiej policji – ciągnął Halenius. – Na granicy z Somalią nie ma żadnego posterunku. Znajdujący się kilka kilometrów od granicy komisariat policji jest również punktem odprawy celnej...

Annika pochyliła się do przodu.

– Dlaczego twierdzicie, że ciężkie pobicie kobiety należy do przestępstw, które przedawniają się po upływie dziesięciu lat?

Schyman przyłożył dłoń do oczu i westchnął.

– Annika... – jęknął.

Halenius przyglądał się jej w milczeniu.

– Tak nie jest – mówiła dalej Annika. – Ta ustawa została przyjęta po to, żeby zamknąć usta gawiedzi, prawda? Ministerstwu sprawiedliwości zależy na poparciu ruchów kobiecych i organizacji walczących o prawa człowieka. Dlatego opracowano tę ustawę, ale tak naprawdę jest zupełnie bezzębna.

Rozejrzała się. Dwaj mężczyźni, Hans i Hans, przyglądali się jej zdziwieni, jakby nagle odezwała się do nich w jakimś obcym języku. Halenius patrzył na nią, szukając w jej twarzy jakiegoś wytłumaczenia.

– Kierowca, który przeżył, złożył krótkie zeznanie – zaczął powoli.
– Delegacja została zatrzymana przez grupę uzbrojonych mężczyzn, siedmiu, może ośmiu. Kierowca nie jest pewien, ilu ich było naprawdę. Twierdzi, że wszyscy byli Somalijczykami, ale tego nie możemy

oczywiście potwierdzić.

Annika poczuła na plecach chłodne powietrze, objęła się rękami. Anne Snapphane chyba знаła jakiegoś Somalijczyka. Był raperem? Superprzystojny.

– Samochody jechały szosą prowadzącą kilka kilometrów na południe od A3, wzdłuż granicy z Somalią. Przynajmniej jeden z ochroniarzy współpracował z napastnikami. Zdemontował aparaturę umożliwiającą śledzenie trasy. W obu toyotach.

Nagle, dość niespodziewanie, odezwał się jeden z Hansów:

– Toyota land cruiser 100 to model cieszący się w Afryce dużym powodzeniem – powiedział. – Dociera wszędzie. Amerykańska armia korzystała z nich podczas inwazji na Irak. W Kenii są obiektem pożądania każdego złodzieja, popularnie nazywa się je toyota take away.

Annika spojrzała na niego.

– A co to ma do rzeczy? – spytała.

Hans się zaczerwienił.

– Mówi nam to sporo o mężczyznach przy szlabanie – odpowiedział Halenius za niego. – Ci ludzie wiedzieli, co robią. To nie był przypadkowy napad. Czekali na unijną delegację. Wiedzieli, że wozy były wyposażone w sprzęt naprowadzający, wiedzieli też, gdzie jest nadajnik. Zdawali sobie sprawę, że same wozy są sporo warte.

Wiedzieli, co robią.

Człowiek powinien wiedzieć, co robi.

Ale czy naprawdę wiemy, co robimy? Jak? I dlaczego? Annika czuła się coraz bardziej skonsternowana.

– Pomagał im ktoś z ochrony? – spytał Schyman.

– Na to wygląda. Miejsce zostało wybrane bardzo starannie. Porywacze przyjechali tam wcześniej innym samochodem, na miejscu czekała na nich ciężarówka z plandeką. Kierowca twierdzi, że to był mercedes, jakiś starszy model.

Annika miała ochotę wstać i podejść do okna, ale opanowała się. Chwyciła się podłokietników.

– Gdzie są teraz? – spytała.

– Tego nie wiemy – odpowiedział Halenius. – Kiedy policja i wojsko przybyli na miejsce, ciężarówki już nie było. Prawdopodobnie prze-

wieziono nią członków delegacji gdzie indziej.

Nie wiem. Wydaje się. Prawdopodobnie.

– Właściwie to nic nie wiecie, prawda?

Schyman i Hansowie wymienili spojrzenia. Schyman sięgnął po butelkę wody i zapytał o urządzenia naprowadzające, w które oba samochody były wyposażone. Zaczęli rozmawiać, jakby to było ważne, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, to, że urządzenie było niemieckiej produkcji, niewielkie, ale o dużej mocy, pełniło zarówno rolę GPS-a, jak i tradycyjnego nadajnika...

Słyszała, co mówią, słowa docierały do niej, wpadały jej do głowy i ulatywały gdzieś w przestrzeń. Nie potrzebowało ani zewnętrznej anteny, ani zasięgu satelitarnego, a najmniejszy model, którego najwyraźniej użyto w tym przypadku, był wielkości telefonu komórkowego, ważył sto trzydzieści pięć gramów i mieścił się w obudowie silnika, tuż za chłodnicą...

Wyjrzała przez okno, spojrzała na wodę Riddarfjärden. Zanosilo się na śnieg, nad dachami wisiały ciężkie chmury.

– To prawda – zaczął Halenius. – W sumie wiemy bardzo niewiele, ale pewne rzeczy możemy założyć. Niewykluczone, że jest to porwanie. Członkowie delegacji zostali uprowadzeni, w tamtej części świata nie jest to takie niezwykłe. Pewnie słyszałaś o somalijskich piratach porywających statki? Możliwe, że mamy do czynienia z czymś podobnym, tylko w wersji lądowej.

– Jak w przypadku tego jachtu z duńską rodziną? – podchwycił Schyman.

– Uprowadzenie? – powtórzyła Annika.

– To się powinno wyjaśnić dość szybko, pewnie jeszcze dzisiaj albo jutro.

Annika nie była w stanie dłużej siedzieć, wstała i podeszła do okna. Po kanale pływały kaczki. Że też nie marzną im nogi, pomyślała.

– Zazwyczaj porywacze trzymają się ustalonej procedury – ciągnął Halenius. – Jeśli będziemy mieli szczęście, zażądają okupu. Gorzej, jeśli mamy do czynienia z porwaniem z powodów politycznych. Wtedy zapewne jakaś grupa fundamentalistów weźmie na siebie odpowiedzialność i zażąda zwolnienia swoich kolegów terrorystów uwięzio-

nych gdzieś na świecie albo zacznie się domagać, żeby Stany wyszły z Afganistanu, albo będzie chciała wytepić światowy kapitalizm. Wtedy sytuacja będzie znacznie bardziej skomplikowana.

Annika czuła, jak trzęsą jej się ręce. Zespół obcej ręki.

– Nie ma możliwości, że w pewnym momencie po prostu się odnajdą? Zdrowi i cali? – dopytywał się Schyman.

– Jest. Na pewno – odparł Halenius. – Ponieważ nie wiemy nic o ludziach spod szlabanu, każdy scenariusz jest możliwy. – Wstał i podszedł do Anniki. – Będziemy cię na bieżąco informować o wszystkim, co dotrze do nas z Brukseli, z Nairobi czy z któregośkolwiek z krajów, których obywatele też są w to zamieszani. Chodzi o Wielką Brytanię, Rumunię, Francję, Niemcy, Hiszpanię i Danię. Nasze postępowanie będzie zależeć od tego, czego się dowiemy. Cokolwiek się stanie, możesz liczyć na nasze wsparcie. Mam twojego mejla. Jak tylko wszystko zostanie ustalone i potwierdzone, prześlę ci dane delegatów. Na jaki numer mogę do ciebie dzwonić?

Annika zawahała się, sięgnęła do przepastnej torby i wyjęła redakcyjną komórkę.

– Na ten – powiedziała cicho.

Włączyła telefon, wstukała PIN.

Schyman wstał, dwaj Hansowie poszli w jego ślady.

– Zajmowaliśmy się kwestią przedawnienia przemocy domowej – powiedział Halenius cicho. – Pracowaliśmy nad tym w 2007 roku. Zajęliśmy się tym właśnie z powodu tego, o co pytałaś. Prawnicy doszli do wniosku, że w takich przypadkach nie mamy do czynienia z czynem ciągłym, tylko z szeregiem różnych przestępstw. Dlatego okres przedawnienia musi być różny, inaczej nie byłoby to zgodne z prawem.

Annika odwróciła się, spojrzała na niego. A jednak jej słuchał.

– Nadal są prokuratorzy, którzy twierdzą, że to ustawa o charakterze politycznym. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Halenius pokiwał głową.

– Więc jakie są wszystkie inne? Ześlane nam przez Boga? – spytała retorycznie i odwróciła się plecami do bezradnych mężczyzn.

Słyszała, jak Schyman i sekretarz ministra coś szepczą. Domyśliła

się, że pewnie się zastanawiają, jak długo uda im się utrzymać sprawę w tajemnicy. Pewnie do czasu, kiedy jakaś grupa weźmie za to odpowiedzialność, z pewnością nie dłużej. W sprawę zaangażowanych było zbyt wiele krajów, zbyt wiele organizacji. Kiedy gazeta będzie mogła o tym napisać? Kto ma o tym poinformować?

Wyszła z sali i nie czekając na Schymana, zjechała windą do holu.

* * *

W chacie było tylko jedno pomieszczenie. Bez okien, ściany były czarne od sadzy. Na samym środku było palenisko, na którym przygotowywano jedzenie. Było też źródłem ciepła i światła. Teraz, puste i wygaszone, zajmowało jedynie miejsce. Dziura w dachu, przez którą ulatywał dym, wpuszczała trochę światła, co sprawiało, że ciała rozmywały się w mroku. Znowu związano nam ręce. Zabrano nam też buty.

Było bardzo ciasno.

Leżałem z twarzą na kroczu Alvaro, Hiszpana. Podobnie jak wszyscy, musiał się wypróżnić w spodnie. Smród trudno było wytrzymać.

Duńczyk, Per, miał problemy z oddychaniem. Nie narzekał, ale jego syczący oddech wypełniał przestrzeń. Niemka chrapała.

Zamknięto nas w chacie za ogrodzeniem z suchych gałęzi i krzaków. Miejscowi żyją w takich wioskach razem ze zwierzętami gospodarskimi. Nazywają je *manyatta*. Zanim nas w niej zamknięto, udało mi się doliczyć ośmiu takich chat. W świetle księżyca były wyraźnie widoczne, poza naszymi strażnikami nie zauważyłem natomiast w ogóle ludzi. Nie było też zwierząt, ani krów, ani kóz. Mam wrażenie, że nad ranem się na chwilę zdrzemnąłem.

Powietrze stało. Było niewyobrażalnie gorąco. Jasny czworokąt na górze pokazywał, że słońce jest niemal w zenicie. Pot spływał mi do oczu, szczypały od soli, ale przestałem zwracać na to uwagę.

Dostaliśmy jedzenie. *Ugali*, gotowana mączka kukurydziana, podstawowa potrawa we Wschodniej Afryce. Rzuciłem się na nią zachłannie i natychmiast dostałem kolki.

Byłem jednak spokojny. Wierzyłem, że cała ta historia zaraz się skończy. Wysoki mężczyzna zapewniał nas o tym w łamanym suahili.

Czekaliśmy ponoć na szefa, wielkiego wodza, *Kiongozi Ujumla*. Wysoki mężczyzna nie mógł sam zdecydować o naszym uwolnieniu. Takie decyzje mógł podejmować jedynie wódz, co właściwie było zrozumiałe. Jakiś podział kompetencji musiał obowiązywać, to było dla nas oczywiste.

Nawet Sébastien wydawał się zadowolony. Przestał się domagać lekarza, chociaż rana po uderzeniu kolbą w głowę nadal mu dokuczała.

Annika uśmiechała się do mnie w półmroku. Jej włosy pachniały szamponem.

Ci ludzie nie mieli wobec nas złych zamiarów. Wykorzystywali nas co prawda w swojej nieczej grze, ale w końcu byli ludźmi, takimi jak my. Doskonale wiedzieli, że jesteśmy w swoich krajach wysoko postawionymi urzędnikami, że mamy dzieci, rodziny. Chcieli po prostu zwrócić w ten sposób uwagę świata na to, corobili. Po jakimś czasie na pewno nas puszcza. Wysoki mężczyzna zapewniał nas o tym wielokrotnie.

Jeśli nie dotrzymają obietnicy, będzie ich to drogo kosztować. Policja, zarówno kenijska, jak i somalijska, została już postawiona na równe nogi, jak pewnie cała Unia Europejska.

Spróbowałem odwrócić twarz, żeby nie musieć wachać smrodu odchodów.

Wkrótce znów będę z Anniką i dziećmi.

* * *

Kiedy mieszkali w Waszyngtonie, fasada ich kamienicy została odmalowana. Kiedyś brudno brązowa, teraz była jasna, prawie biała, z lekkim odcieniem zieleni. Niemal raziała ją w oczy. Mimo pochmurnego nieba musiała je zmrużyć.

Po spotkaniu w kancelarii rządu Schyman odesłał ją do domu. Musiała przyznać, że była to rozsądna decyzja.

Wystukała kod w domofonie, weszła i ruszyła schodami na górę. Weszła do mieszkania i zaraz za drzwiami rzuciła ubranie na podłogę. Weszła do dużego pokoju, wyjęła z torby laptopa, położyła go na niskim stoliku obok kanapy. Poszła do kuchni, nastawiła wodę i poszła

do toalety. Kiedy myła ręce, jej wzrok padł na wiszący obok umywalki ręcznik Thomasa. Jako jedyny w rodzinie miał własny ręcznik do rąk.

Wytarła w niego ręce.

Poszła do pokoju dzieci, wyjęła z szafki papier toaletowy, zaniosiła do łazienki, wróciła do kuchni, weszła do internetu, wsypała rozpuszczalną kawę do kubka z napisem „The White House”, zalała wodą, wymieszała. Wróciła do laptopa, sprawdziła pocztę.

Zauważyła, że Halenius nie przesłał jej sprawozdania sporządzonego przez młodą Brytyjkę, zapewne sympatyczną, ładną blondynkę.

Wpatrywała się w pocztę, ściskając kurczowo dłonie na kolanach. Z jakiegoś powodu cały czas miała przed oczami zdjęcie grubej kobiety z pierwszej strony „Kvällspresen”.

Może wszystko to jest jednym gigantycznym nieporozumieniem?

Może ludzie stojący przy szlabanie pomylili delegację Unii Europejskiej z jakąś inną? Może wzięli ich za Amerykanów, może uznali, że to agenci CIA. Kiedy zrozumieją, że się pomylili, na pewno odwiozą ich na lotnisko do Liboi, tak chyba się nazywało to miasto. Thomas pewnie od razu pójdzie do baru, będzie chciał się napić piwa, a potem zrobi zakupy w sklepie wolnocłowym, kupi jej perfumy, a dzieciom pewnie po półkilogramowej torbie słodyczy. Wróci do domu zmęczony i brudny, będzie narzekał na obsługę lotniska i kiepskie jedzenie w samolocie...

Znów sprawdziła pocztę.

Nic. Sprawozdania Brytyjki nadal nie było.

Zaczęła się zastanawiać, czy już zdążyli się ze sobą przespać.

Wstała, poszła do pokoju dzieci. Kalle posłał rano swoje łóżko, Ellen nie.

Dobrze, że ma przy sobie dzieci. Życie bez nich doprowadzało ją do szaleństwa. Kiedy Thomas mieszkał z Sophią Grenborg, dzielili się opieką nad nimi, więc miała je dla siebie tylko co drugi tydzień. Wiedziała, że dla wielu ludzi, może nawet dla większości, nie stanowi to większego problemu, może niektórzy uważają to nawet za bardzo praktyczne rozwiązanie. Ale nie ona. Dla niej ten rok był straszny.

Opadła na poduszki leżące na łóżku Ellen.

Naprawdę bardzo się starała.

Kiedy wrócili do siebie, ona i Thomas, i wyjechali do Stanów, zaczęła przykładać większą wagę do seksu, czasem się masturbowała, żeby się wprawić w stan podniecenia. Poza tym zajęła się prowadzeniem domu, starała się nie wracać za późno z pracy, dbała, żeby posiłki były urozmaicone, kupiła nawet kilka książek kucharskich z kuchnią meksykańską i azjatycką, a na szkolne bale piekła ciasteczka z czekoladą.

Ale i tak wiedziała, że Thomas miewa inne kobiety. Nie miał nikogo na stałe, to wymagałoby zbyt wiele wysiłku. Szedł do łóżka z tą, która akurat była chętna. Annika podejrzewała, że było ich wiele. Thomas wyglądał jak wiking: jasne włosy, szare oczy, szerokie ramiona. Często się śmiał, potrafił słuchać, uprawiał sport, właściwie we wszystkim był dobry, i w kręglach, i w bandy, no i świetnie się prezentował w każdym wnętrzu.

Konferencje, jak ta w Nairobi, były jego ulubionym terenem polowań. To, że pracował dla rządu, wzmacniało jego pozycję. Zadanie zlecone mu przez Frontex nie było specjalnie atrakcyjne. W takich przypadkach mawiał zwykle, że zajmuje się analizowaniem międzynarodowego bezpieczeństwa. W pewnym sensie była to prawda.

Annika powstrzymała się, nie posłała łóżka Ellen. Wyszła z pokoju dzieci, wróciła do laptopa, wyszukała w internecie informacje na temat Frontexu.

Musiała przyznać, że dotychczas nie interesowała się nową pracą Thomasa. Przyjęła do wiadomości, że kilka razy do roku będzie musiał uczestniczyć w międzynarodowych konferencjach, ale o samej organizacji wiedziała niewiele.

Jedna z pierwszych pozycji pochodziła z jej własnej gazety.

Od kilku lat kwestie związane z ochroną europejskich granic leżą w gestii szwedzkiej komisarzy unijnej, co w praktyce oznacza, że część zadań przypadła Szwecji.

A część z nich trafia na biurko Thomasa.

Na oficjalnej stronie Frontexu przeczytała, że realizacja ostatniego zadania rozpoczęła się nieco przed czasem, gdy na wody wokół włoskiej wyspy Lampedusa trzeba było wysłać samoloty i łodzie, żeby po-

wstrzymać strumień ludzi uciekających z nękanych walkami obszarów Afryki Północnej. Chodziło o to, by uchodźcy nie przedostali się do

Europy. Według szwedzkiej komisarz unijnej zadaniem Frontexu było „ratowanie ludzkiego życia”, i w pewnym sensie była to prawda. Docierających do wybrzeży Włoch i Hiszpanii uchodźców było tak wielu, że nikt już się nimi nie przejmował. Media już w ogóle nie poświęcały im uwagi, ani włoska prasa, ani tym bardziej szwedzka. Chyba że jakiś szwedzki turysta potknął się o leżące na plaży ciało i doznał urazu, a biuro podróży nie chciało mu wypłacić odszkodowania.

Usłyszała brzęczenie. Wiadomość od Haleniusa. Przesłał jej raport ślicznej Brytyjki. Opisywała w nim zwięźle, oczywiście po angielsku, sytuację w przygranicznym mieście.

Przejście graniczne między Kenią a Somalią było w zasadzie niestrzeżone. Obok komisariatu w Liboi wisiał szyld z napisem: „Republic of Kenya, Department of Immigration, Liboi Border Control”. Komisariat pełnił rolę punktu celnego. Na samej granicy nie było żadnego posterunku.

W obozach dla uchodźców w sąsiednim mieście Dadaab mieszka obecnie ponad czterysta tysięcy ludzi, większość to Somalijszczy.

Annika uniosła głowę. Skąd zna tę nazwę? Dadaab. Czytała o nim w jakimś artykule o suszy w Afryce.

Znów weszła w Google, wpisała: liboi, kenya, na ekranie pokazało się zdjęcie satelitarne spalonej słońcem żółtobrązowej ziemi. Liboi leżało pośrodku niczego i było wielkości łebka od szpilki. Żółta droga, Garissa Road A3, przecinała mapę niczym wąska kreska. Annika powędrowała dalej, na południowym zachodzie ukazało się miasto Dadaab, potem Garissa, ocean i Nairobi. Kenia leży na samym równiku, w sąsiedztwie Somalii, Etiopii, Sudanu, Ugandy i Tanzanii. Dżizas, jęknęła w duchu. Wpatrywała się w zdjęcie i miała poczucie, że patrzy na coś całkowicie nierealnego. We wszystkich tych krajach żyją jacyś ludzie, a ja nic o nich nie wiem, pomyślała.

Gdzieś w mieszkaniu zadzwonił telefon, wstała. W pierwszej chwili nie potrafiła zlokalizować dźwięku. W końcu dotarło do niej, że to telefon stacjonarny. Właściwie jedyną osobą, która dzwoniła na ten nu-

mer, chociaż robiła to niezwykle rzadko, była jej matka. Wbiegła do pokoju dzieci i chwyciła słuchawkę.

Usłyszała głos Haleniusa.

– Annika – zaczął. – Otrzymaliśmy od grupy, która przetrzymuje Thomasa i pozostałych członków delegacji, dwie wiadomości.

Annika usiadła na podłodze, poczuła, że ma sucho w gardle.

– Jakie?

– Wolałbym nie rozmawiać o tym przez telefon...

Annika podniosła się z podłogi.

– Powiedz mi, co wam przekazali! – wrzasnęła w słuchawkę.

Słyszała, jak Halenius nabiera w płuca powietrza.

– W zasadzie tego rodzaju informacji nie powinno się przekazywać przez telefon, ale rozumiem cię. No więc pierwszą wiadomość przechwycili Brytyjczycy. Jakiś mężczyzna w nagraniu dość kiepskiej jakości oświadczył, w języku kinyarwanda, że Fiqh Jihad wziął sześciu unijnych delegatów jako zakładników. Reszta wystąpienia to hasła polityczne i religijne.

– Co powiedział? I po jakiemu? Kinya... co takiego?

– To jeden z języków bantu używanych we wschodniej Afryce, głównie w Rwandzie. Powiedział to, co właściwie już wiemy: że członkowie delegacji zostali uprowadzeni przez jakąś organizację.

Annika usiadła, rozejrzała się po pokoju: lampki w oknie, pled, który Thomas dostał pod choinkę od matki, płytki z grą Kallego.

– Więc to sprawa polityczna. Porwanie z powodów politycznych. Takie są podobno najgorsze, tak mówiłeś.

– To prawda – potwierdził Halenius. – Ale jest też inna możliwość. Ktoś zadzwonił do Alvaro Ribeiro, na telefon stacjonarny. Jego partner odebrał i usłyszał krótką wiadomość, po angielsku, ze wschodnioafrykańskim akcentem: Alvaro został porwany, ale może zostać zwolniony po przekazaniu okupu w wysokości czterdziestu milionów dolarów.

Annika jęknęła.

– Czterdzieści milionów? Ile to w koronach? Ćwierć miliarda?

– Nawet trochę więcej.

Poczuła, że trzęsą jej się ręce. *Alien hand syndrome.*

– Boże, nie...

– Annika, spokojnie – powiedział cicho Halenius.

– Ćwierć miliarda?

– Wygląda na to, że to porwanie zamierzają wykorzystać różne grupy – ciągnął Halenius. – Nagranie sugeruje motyw polityczny, natomiast rozmowa telefoniczna wskazuje raczej na porwanie dla okupu. To ostatnie byłoby korzystniejsze.

– Ale ćwierć miliarda? Kto ma tyle pieniędzy? Ja nie...

Porwanie dla okupu? *Kidnap for ransom?*

Słowa wydały jej się znajome. Gdzie mogła je słyszeć?

Przyłożyła dłoń do czoła, szukała czegoś w pamięci.

Kiedyś pisała artykuł o nowojorskiej firmie ubezpieczeniowej specjalizującej się w K&K Insurances: *Kidnap and Ransom Insurances...*

– Ubezpieczenie! – krzyknęła do słuchawki. Poczowała ulgę, niemal się roześmiała. – Ministerstwo na pewno jest ubezpieczone! Od porwań, żeby w razie czego mogło wypłacić okup! Oczywiście!

– Nie – powiedział Halenius. – Szwedzki rząd nie wykupuje takich ubezpieczeń. Z zasady.

Annika przestała się uśmiechać.

– Takie ubezpieczenia są niebezpieczne. Poza tym rozwiązują problem jedynie doraźnie. Tak naprawdę zwiększają ryzyko i podbijają żądania. Poza tym nasz rząd nie negocjuje z terrorystami.

Annika poczuła, że ziemia rozstępuje jej się pod nogami. Zamachała rękami, chwyciła się framugi.

– Więc co mam zrobić? Co teraz będzie? Myślisz, że do mnie też zadzwonią? Na ten numer?

– Miejmy nadzieję, że tak.

Annika czuła, że wpada w panikę. Oddychała coraz szybciej, widziała niewyraźnie, głos Haleniusa dobiegał jakby gdzieś z daleka.

– Annika, musimy o tym wszystkim porozmawiać. Wiem, że nie chcesz, żebym do ciebie przychodził, ale w tej sytuacji tak byłoby chyba najprościej.

Podawała mu kod do domofonu.

* * *

Francuz znów zaczął narzekać. Bez przerwy wzywał strażników i kazał Catherine tłumaczyć na suahili. Robiła to cichym głosem, ze spuszczonej oczami. Skarżył się już nie tylko na nieopatrzoną ranę, ale przede wszystkim na warunki sanitarne. Od początku, od dwóch dni, nikomu z nas nie pozwolono iść do toalety. Mocz i kał powodowały rany na pośladkach, ubrania mieliśmy sztywne.

Niemka płakała.

Czuliśmy, że strażnicy są coraz bardziej zirytowani i niepewni. Za każdym razem kiedy otwierali drewniane drzwi chaty i tłumaczyli nam, że nie mogą nas wypuścić, byli coraz bardziej zdenerwowani. Musimy czekać na *Kiongozi Ujumla*, na wodza, na generała, powtarzali. Czy chodziło o jedną osobę, czy o dwie, tego nie wiedzieliśmy. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że tylko on – albo oni – może zdecydować o naszym dalszym losie. O losie *wafungwa*, więźniów, czyli naszym, mówili.

Kiedy usłyszałem warkot silnika przed chatą, prawdę mówiąc, poczułem ulgę. Francuz umilkł i zaczął nasłuchiwać, jak my wszyscy. Zza drzwi dobiegł gwar głosów.

Słońce już zachodziło. W chacie było niemal zupełnie ciemno.

Mieliśmy wrażenie, że minęło bardzo dużo czasu. W końcu drzwi się otworzyły.

– To absolutnie nie do przyjęcia! – krzyknął natychmiast Francuz. – Traktujecie nas jak bydło! Nie macie żadnej przyzwoitości?

Drzwi wypełniła sylwetka niskiego, korpulentnego mężczyzny. Na głowie miał mały turban, ubrany był w koszulę z krótkim rękawem, szerokie spodnie i porządne buty.

Miał jasny, niemal chłopięcy głos.

– *You no like?* – spytał.

Francuz – nazywałem go tak, żeby się od niego odciąć – odpowiedział: *c'est vrai*. Owszem, nie podoba mu się to wszystko.

Niski mężczyzna krzyknął do strażników coś, czego nie zrozumieliśmy. Kiedy się odwrócił, zobaczyłem, że ma na plecach duży nóż. Wisiał na sznurze jak szabla. Maczeta.

I nagle strach, który nadal zalegał mi gdzieś w żołądku, chociaż zdążył już nieco przygasnąć, eksplodował z siłą, której mocy nie po-

trafiłem pojąć. Wszyscy strażnicy byli uzbrojeni, więc to nie półmetrowy nóż, który zobaczyłem na jego plecach, był tego powodem, tylko coś w jego zachowaniu, w jego gestach, w jego lodowatym głosie. To pewnie *Kiongozi Ujumla*, generał, pomyślałem.

Dwóch strażników weszło do chaty. Deptali po nas w ciemnościach. Podeszli do Francuza, chwycili go za ręce i nogi, podnieśli i ruszyli z nim do drzwi. Niemka krzyknęła. Wysoki mężczyzna nadepnął jej w ciemnościach na brzuch, zachwiał się, byłby stracił równowagę. Strażnicy otworzyli szeroko drzwi, po raz pierwszy mogliśmy wyjrzeć na zewnątrz, i poczuliśmy powiew świeżego powietrza. Wziąłem głęboki wdech, poczułem zapach ziemi, spojrzałem w stronę światła, zamrugałem, niebo było czerwone i żółte, w kolorze ochry, wyglądało przepięknie.

Tuż za drzwiami strażnicy postawili Francuza na ziemi. Jego stopy natychmiast pokrył kurz. Otwór był tak mały, że mimo że leżeliśmy, widzieliśmy jedynie jego tułów, do ramion. Niski mężczyzna stanął przed nim w półmroku.

– *No like?* – spytał ponownie.

Francuz zaczął się trząść, ze strachu, a może z wysiłku. Po dwóch dniach leżenia trudno mu było utrzymać się na nogach. Zaczął się chwiać. Nogi i ręce nadal miał skrepowane plastikowymi paskami.

– To zbrodnia przeciwko ludzkości – powiedział drżącym głosem. – To, co robicie, jest niezgodne z prawem międzynarodowym.

Generał stanął w rozkroku, skrzyżował ręce na piersi.

– *You say?*

Catherine, która leżała po mojej lewej stronie, przywarła do mnie mocniej.

– Jestem Francuzem, członkiem parlamentu europejskiego. Żądam natychmiastowego uwolnienia. To się musi skończyć!

– *EU? Work for EU?*

Korpulentny mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– *You hear?* – zwrócił się do nas. – *Work for EU!*

Ze zwinnością, której po kimś tej postury mało kto by się spodziewał, wyciągnął ręce do tyłu i zamaszystym ruchem chwycił maczetę, a potem uniósł ją łukiem nad głowę i ugodził Francuza w lewą pa-

chwinię.

Catherine krzyknęła i schowała twarz pod moją pachę. Powiniennem być zrobić to samo, a przynajmniej się odwrócić, ale niestety tego nie zrobiłem. Z szeroko otwartymi oczami patrzyłem, jak Francuz pada na ziemię. Jak kłoda. Po chwili uszło z niego powietrze, z jego ust wydobył się cichy syk. Po raz pierwszy słyszałem taki dźwięk.

Na dworze szybko zapadał zmierzch, jakby ktoś nagle zaciągnął kurtynę.

* * *

Annika stała w oknie pokoju i wpatrywała się w niebo. Miało kolor szarego betonu. Czuła się pusta, jakby była tylko łupiną. Jakaś część jej nadal wierzyła, że wszystko to jest tylko nieporozumieniem wynikającym z braku komunikacji, gdzieś tam w dalekiej Afryce. Thomas wkrótce zadzwoni na jej komórkę i poirytowany poinformuje ją, że samolot ma opóźnienie. Inna jej część była przerażona drobiazgami: tym, że znów będzie sama z Haleniusem, i co powie matce Thomasa. No i kto napisze artykuł o zamordowanej matce z Axelsberg?

Za chwilę zjawi się tu Jimmy Halenius. Może niepokój, który czuła, miał coś wspólnego ze zdjęciem, które kilka lat wcześniej ktoś im zrobił przed restauracją Järnet na sztokholmskim Starym Mieście? Umówiła się z sekretarzem ministra, żeby się od niego dowiedzieć kilku rzeczy. Potrzebowała ich do artykułu. Kiedy wychodzili z restauracji, jakiś chłopak pstryknął im zdjęcie, akurat w chwili kiedy Halenius pokazywał jej, jak się całują Hiszpanie. Kiedy Bosse z „Konkurrenten” zadzwonił do niej, żeby jej powiedzieć o zdjęciu, przestraszyła się. Wiedziała, co będzie, jeśli media podchwycą temat i urzędują nagonkę.

A może to wspomnienie tamtej wspólnej kolacji tak ją zaniepokoiło? On zamówił carpaccio z jelenia i antrykot z rusztu, ona ikrę z sielawy i gulasz z rena. Pamiętała urywki tamtego wieczoru, czas szybko mijał, utonął w słowach jak w strugach deszczu. Kuzyn Haleniusa, Roland Larsson, był jej kolegą z klasy, z Brukskolan w Hälleforsnäs. Biedny Rolle kochał się w niej. Pamiętała, jak Halenius jej o tym opo-

wiadał: „Latem leżeliśmy na sianie w stodole jego babci w Vingåker. Opowiadał mi o tobie godzinami. Miał jakieś stare zdjęcie, wycięte z gazety. Byłaś na nim ty i jeszcze jacyś inni młodzi ludzie, ale złożył je tak, że widać było tylko ciebie. Nosił je w portfelu...”.

Pamiętała nawet, gdzie Halenius dorastał: na trzecim piętrze niewielkiej kamienicy w Norrköping. Jego ojciec był komunistą. On sam jako nastolatek wstąpił do czerwonej młodzieżówki, żeby później przejść do młodzieżówki socjaldemokratów. Mieli lepsze imprezy i ładniejsze laski.

Poszła do kuchni. Nalała do szklanki wody z kranu, wypila połowę, resztę wylała.

Pamiętała, że rozmawiali też o rozwodach. Halenius nie ukrywał, że jest człowiekiem trudnym we współżyciu. Nie potrafi się komunikować, toczy wojny o drobiazgi, a w naprawdę ważnych sprawach odpuszcza.

Ona uważała, że to Sophia Grenborg, nowa partnerka Thomasa, była winna rozpadu ich małżeństwa.

Halenius, nie podnosząc wzroku znad talerza, spytał: „Nie pomyślałaś, że ty i Thomas też się do tego przyłożyliście?”.

Niewiele brakowało, a upuściłaby widelec. Nagle zrozumiała, że ma rację.

Rzeczywiście zachowywała się okropnie. Nigdy nie powiedziała Thomasowi, że wie o jego związku z Sophią. Mściła się na nim miesiącami, nie mówiąc dlaczego. Thomas oczywiście nie rozumiał, o co jej chodzi. W końcu pewnego dnia po prostu wyszedł z domu i zostawił ją samą.

A może powodem jej niepokoju było ich pierwsze spotkanie, kiedy ona i Thomas wciąż jeszcze mieszkali w Djursholm?

„Miałaś stare volvo, prawda? – spytał ją wtedy. – Sto czterdzieści cztery, granatowe, zardzewiałe jak diabli”.

Wciąż pamiętała, jak na niego patrzyła, a krew napływała jej do głowy. Zrobiła się czerwona. Skąd o tym wiedział? Imponował jej, pracował w ministerstwie sprawiedliwości, był sekretarzem ministra, jego prawą ręką.

Odpowiedziała, że to był samochód jej chłopaka, ona go tylko

sprzedała.

„Oddałaś mu przysługę, powiedział. Świetnie sobie poradziłaś. Nikt nie potrafił zrozumieć, jak ci się udało wziąć pięć tysięcy za ten złom”.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie, co odpowiedziała.

Sven nie mógł go sprzedać, bo już nie żył.

Kiedy usłyszała dzwonek do drzwi, zdrygnęła się, jakby poraził ją prąd. Wyszła szybko do holu, otworzyła drzwi, nagle świadoma panującego w domu bałaganu. Jimmy Halenius wszedł i natychmiast potknął się o jej buty. Zapaliła światło, odgarnęła włosy z czoła, przesunęła nogą buty w stronę drzwi łazienki, podniosła z podłogi kurtkę.

– Gdzie masz swoich Hansów? – spytała.

– Zostawiłem ich na posterunku – odpowiedział.

Postawił teczkę na podłodze.

– Ktoś się do ciebie odezwał?

Odwróciła się do niego plecami, powiesiła kurtkę na haczyku i pokręciła głową.

– Dzieci są w domu?

– Wracają koło piątej. Wtedy zwykle kończę pracę. Nie wiedzą, że jestem w domu.

– Nic im nie powiedziałaś?

Odwróciła się, spojrzała na niego. Halenius zdjął kurtkę, sięgnął po wieszak. A więc należy do tych, którzy wieszają ubrania na wieszaku. Nie spodziewała się tego.

Znów pokręciła głową.

Stanął przed nią. Niemal zapomniała, jaki jest niski. Może dziesięć centymetrów wyższy od niej, a przecież Thomas nazywał ją swoją Pigmejką.

– Dobrze, że do tej pory nikomu nic nie mówiłaś, ale teraz będziesz musiała to zrobić. Wkrótce sprawa trafi do mediów, może dzisiaj wieczorem, najpóźniej jutro rano, a dzieci powinny to usłyszeć od ciebie.

Zasłoniła rękami oczy. Poczowała, że pachną solą.

– Co mam im powiedzieć? – spytała głuchym głosem. – Że ich tatuś uwieziono w Afryce?

Cofnęła ręce. Halenius nie ruszył się z miejsca.

– Tak – powiedział. – Mów najogólniej jak to tylko możliwe. Żadnych szczegółów. Nie mów, jak zniknął, jak długo go nie ma ani kto jeszcze zniknął. Powiedz, że więzi go jakaś grupa. Tak powiedział ten człowiek na nagraniu. Media na pewno go zacytują.

– Co dokładnie powiedział?

– Że organizacja Fiqh Jihad wzięła siedmiu delegatów Unii Europejskiej jako zakładników, żeby ukarać świat zachodni za dekadencję. Coś w tym stylu. No i że Allah jest wielki.

– Fiqh Jihad?

– Nikt nic o nich nie wie. Fiqh to islamska nauka o prawie, interpretowanie Koranu i takie tam. Jihad... zapewne wiesz, co znaczy.

– Święta wojna.

– Tak. Albo po prostu walka czy dążenie. Podejrzewamy, że w tym przypadku słowa nie mają konkretnego znaczenia. Zostały pewnie wybrane ze względu na symboliczny wydźwięk. Jest kilka spraw, o których powinniśmy jak najszybciej porozmawiać. Możemy gdzieś usiąść?

Annika poczuła, że się czerwieni. Kiepska z niej gospodyni.

– Tak, oczywiście – powiedziała pośpiesznie i wskazała w stronę dużego pokoju. – Podać ci coś? Może kawę? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję.

Zerknął na zegarek.

– Porywacze zadzwonili do rodziny Hiszpana dokładnie godzinę i dziesięć minut temu. Tuż przed wyjściem z pracy dowiedziałem się, że także rodzina Francuza otrzymała wiadomość. Nagrali się na komórkę jego żony.

Powiedział: przed wyjściem z pracy, nie z ministerstwa.

– Nie mamy dużo czasu, lada chwila mogą zadzwonić do ciebie.

Annika poczuła, że wszystko wokół zaczyna wirować. Zerknęła na swoją komórkę i głośno przełknęła ślinę.

– Co powiedzieli żonie Francuza?

– Była tak zdenerwowana, że nie zrozumiała, o jaką sumę chodzi. Niestety podczas rozmowy popełniła kilka podstawowych błędów. Obiecała zapłacić okup, natychmiast. Bez względu na wysokość.

Haleniusz usiadł w fotelu Thomasa.

– A nie powinna była? Nie powinna pokazać, że będzie współpracować?

Annika usiadła na kanapie. Nie bardzo wiedziała, co zrobić z rękami.

Halenius pochylił się do niej, pochwycił jej spojrzenie.

– Nie mamy ubezpieczenia na wypadek porwania, ale uczestniczyliśmy w kursach FBI i wiemy, jak należy się zachować w takiej sytuacji. Hans i Hans Erik mają w tym względzie największe doświadczenie, ale odniosłem wrażenie, że nieszczególnie przypadli ci do gustu. Dlatego poproszono mnie, żebym się tym zajął.

Annika poczuła nagle, że jest jej zimno. Podciągnęła kolana pod brodę, objęła nogi.

– Nadal nie wiemy na pewno, z jakim rodzajem porwania mamy do czynienia – zaczął Halenius. – Jeśli motywy są finansowe, nie polityczne, to porywacze zwykle działają według pewnego wzoru. Jeśli chodzi o okup, to negocjacje mogą trwać długo. Mówisz po angielsku?

Annika odchrząknęła.

– Tak...

– Z jakim akcentem? Uczestniczyłaś w wymianie studenckiej? Pracowałaś za granicą?

– Byłam korespondentką w Waszyngtonie.

– Oczywiście.

Osobiście zadbał o to, żeby Thomas mógł w tym czasie pracować w szwedzkiej ambasadzie.

– Dobra znajomość języka jest w takim przypadku szalenie ważna. Nawet drobne nieporozumienie może mieć poważne konsekwencje. Masz w domu jakiś sprzęt nagraniowy?

Annika opuściła stopy na podłogę.

– Do podłączenia do telefonu?

– W tym pośpiechu nie wziąłem nic z ministerstwa...

Annika nadal siedziała na kanapie, z lekko uniesionymi ramionami.

– Mam siedzieć w domu i rozmawiać przez telefon z porywaczami? Taki macie plan?

– Masz lepszą propozycję?

To nie ona wysłała Thomasa do Nairobi, nie ona kazała mu lecieć do Liboi, ale to ona będzie musiała ponosić tego konsekwencje.

Wstała.

– Mam magnetofon, do wywiadów telefonicznych. Chociaż właściwie nigdy go nie używam. Przesłuchanie taśmy zabiera za dużo czasu, wolę robić notatki.

Poszła do sypialni, zaczęła szukać magnetofonu w szafie, na górnej półce. W końcu znalazła cyfrowy, nieco już przestarzały magnetofon, który można było podłączyć do telefonu i bezpośrednio do komputera.

Halenius zagwizdał i wstał.

– Nie jest to najnowszy model. Gdzie coś takiego znalazłaś? W muzeum historycznym?

– Bardzo zabawne – powiedziała Annika.

Przyciągnęła laptopa, podłączyła magnetofon.

– Teraz trzeba tylko podłączyć telefon albo komórkę... i gotowe.

– Odbierzesz, kiedy zadzwonią?

Annika zerknęła na laptopa, ścisnęła mocniej oparcie fotela.

– A jesteś pewny, że zadzwonią?

– To nasza jedyna szansa. Trzeba negocjować. Ktoś musi to zrobić.

Odgarnęła włosy z twarzy.

– O czym powinnam pamiętać?

– Musisz nagrać rozmowę. Rób notatki, zapisz wszystkie żądania, wszelkie instrukcje, komentarze. Daj do zrozumienia, że traktujesz ich poważnie. Spróbuj ustalić jakieś hasło albo kod, żebyś następnym razem miała pewność, że rozmawiasz z tą samą osobą. To bardzo ważne. Spróbuj też ustalić, kiedy znów zadzwonią. Ale niczego nie obiecuj, nie zaczynaj mówić o pieniądzach, nie groź im, unikaj konfrontacji, nie okazuj podejrzliwości, nie okazuj zdenerwowania, no i nie zaczynaj płakać...

Annika znów usiadła.

– Co mogę usłyszeć?

– Ten, kto do ciebie zadzwoni, może być bardzo wzburzony. Zwykle to mężczyzna. Zażąda ogromnego okupu, będzie chciał, żebyś jak najszybciej dostarczyła pieniądze w określone miejsce. Będzie chciał

wyprowadzić cię z równowagi, skłonić, żebyś się zgodziła na coś, z czego później nie będziesz mogła się wycofać.

– Jak ta Francuzka – Annika weszła mu w słowo. – A jaka jest alternatywa? Że ty odbierzesz? Prowadziłeś kiedyś takie rozmowy? Uczyli cię tego na kursie FBI?

Halenius spojrzał na nią.

– Mogę to zrobić, ja albo Hans, albo Hans Erik...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do mieszkania wpadli Kalle i Ellen.

Halenius kiwnął głową, jakby chciał jej powiedzieć, że musi im powiedzieć. Teraz.

Annika objęła dzieci, ucałowała i mocno przytuliła. Policzki miały zimne i czerwone jak zmarznięte jabłka. Pomogła im zdjąć kurtki i szaliki, spytała Ellen, gdzie ma rękawiczki. Usłyszała, że gdzieś zniknęły, zaczęła pocierać zmarznięte paluszki córki.

– Zaraz obejrzyjecie program dla dzieci, a potem zjecie, ale najpierw muszę z wami o czymś porozmawiać.

Kątem oka zauważyła, że Halenius zdążył już podłączyć magnetofon do telefonu. Stał w dużym pokoju, trzymał w ręku słuchawkę, magnetofon i laptopa i uśmiechał się szeroko do dzieci. Zieloną koszulę miał rozpiętą pod szyją, był rozczochrany, włosy sterczały mu na wszystkie strony.

– Cześć – powiedział. – Mam na imię Jimmy i pracuję z waszym tatą.

Kalle zamarł, spojrzał na niego spod oka.

– Jimmy jest tu po to, żeby nam pomóc – zaczęła Annika i kucnęła obok synka. – Bo widzicie...

– Przepraszam, że ci przerywam, ale jest tu jakieś miejsce, gdzie można spokojnie rozmawiać?

Annika wskazała na sypialnię, swoją i Thomasa.

– Pod biurkiem jest gniazdko telefoniczne – powiedziała.

Znów odwróciła się do dzieci. Ellen bawiła się kosmykiem włosów, przytuliła się do niej, Kalle nadal stał bez ruchu w drzwiach.

– Co się stało z tatą? – spytał.

Annika spróbowała się uśmiechnąć.

– Został uwięziony. W Afryce – powiedziała.

Ellen odwróciła się i spojrzała na nią.

– Uwięziony na zamku? – spytała.

Kalle otworzył szeroko oczy, wyraźnie zdezorientowany.

– Nie wiem, skarbie – odpowiedziała Annika. – Dowiedzieliśmy się o tym dzisiaj po południu. Jacyś ludzie w Afryce schwytali tatę i jego kolegów z tej konferencji, na którą pojechał, i uwięzili.

– Ale w poniedziałek wróci? – spytała Ellen.

– Tego nie wiemy – odpowiedziała Annika, całując ją. – Jeszcze nic nie wiemy, skarbie. Jimmy, taty kolega z pracy, przyszedł tu, żeby nam pomóc.

– A co z tamtymi? – dopytywała się Ellen. – Z kolegami taty. Wypuszczą ich?

– Oczywiście – zapewniła Annika i zwróciła się do synka: – Kalle, podejdź do mnie...

Chwyciła go za rękę, ale chłopiec szybko się wyswobodził. Pobiegł do swojego pokoju, zatrzęsął drzwiami.

Zadzwoił telefon.

– Ja odbiorę! – krzyknęła Ellen, uwalniając się z objęć Anniki.

– Nie! – zawołała Annika, głośno, z desperacją.

Mocno chwyciła córeczkę za ramię. W oczach Ellen zaszklily się łzy, bólu i zdziwienia.

Telefon znów zadzwonił. Annika usłyszała, jak zamykają się drzwi sypialni.

– Nie – powtórzyła już spokojniej. Puściła córeczkę. – To mogą być strażnicy pilnujący taty. Przez jakiś czas ani ty, ani Kalle nie będziecie mogli odbierać telefonów.

Ellen zaczęła rozcierać ramię, w oczach nadal miała łzy.

– Zrobiłaś mi krzywdę.

Telefon zadzwonił po raz trzeci. Annika usłyszała, jak Halenius podnosi słuchawkę. Przełknęła głośno ślinę i zaczęła gładzić córeczkę po włosach.

– Przepraszam, nie chciałam. To bardzo ważne, żebyś teraz nie odbierała telefonu. Rozumiesz mnie?

– Mogłabym porozmawiać z tymi strażnikami – upierała się Ellen. –

Powiem im, że są głupi, bo nie pozwalają tacie wrócić do domu.

– Nie – przerwała jej Annika zdecydowanie. – Tylko dorośli mogą z nimi rozmawiać.

Dolna warga Ellen zaczęła drżeć. Annika westchnęła, ledwie słyszalnie. Najwyraźniej nie radziła sobie.

Do pokoju wszedł Halenius.

Annika wstała, zakręciło jej się w głowie.

– Co powiedzieli? – wydusiła w końcu.

– Dzwoniła kobieta. Niejaka Anne Snapphane. Pytała, czy wiesz coś nowego o Thomasie.

Annika odetchnęła z ulgą.

– Przepraszam, musiałam z kimś o tym porozmawiać.

– Ktoś jeszcze coś wie?

Mówił spokojnie, w jego głosie nie było słychać wyrzutu.

Annika pokręciła głową.

– Jaką masz komórkę?

Ruchem głowy wskazała na stolik stojący przy kanapie. Leżały na nim obie jej komórki, jedna obok drugiej.

Halenius wziął do ręki tę prywatną i zagwizdał.

– Ostatni działający egzemplarz na świecie – stwierdził. – Równie nowoczesny, jak twój sprzęt nagrywający. Jestem pod wrażeniem.

– Bardzo proszę, nie drwij sobie z mojego ericssona – powiedziała Annika, zabierając mu swoją starą komórkę.

Kiedy po powrocie z Waszyngtonu poszła do redakcji, podarowano jej wypasioną supernowoczesną komórkę. Sądząc po zainteresowaniu kolegów, zapewne potrafiła nawet stepować, prać i skakać w dal. Ale ona nie była w stanie jej ogarnąć. Może aparat rzeczywiście fantastycznie nadawał się do filmowania pożarów lasów i montowania klipów muzycznych, ale jako telefon był beznadziejny. Rzadko kiedy udawało jej się odebrać. Niemal zawsze dotykała ekranu w niewłaściwym miejscu i bynajmniej tego nie chcąc, odrzucała połączenie. Wyślanie SMS-a było jeszcze bardziej stresujące, na początku zajmowało jej pół dnia. W tajemnicy przed wszystkimi zachowała więc swojego starego ericssona. Był tak stary, że nazywał się po prostu Ericsson, bez Sony. Ładowanie dwóch komórek było dość uciążliwe, miała nadzieję,

że iPhone wkrótce zbankrutuje. Chociaż, sądząc po liczbie reklam, jakie zamieszczała chociażby jej własna gazeta, i ogólnych zachwytach nad aparatem, było to raczej mało prawdopodobne.

Halenius sięgnął po tę wypasioną.

– Na który numer zwykle dzwoni Thomas? – spytał.

– Na prywatny.

– Nie na służbowy?

– Chyba nawet go nie zna.

Halenius z zadowoleniem pokiwał głową.

– Doskonale. Przynajmniej wiemy, że na ten nikt nie zadzwoni.

Wrócił do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

* * *

BBC wrzuciło informację na swoją stronę tuż po osiemnastej czasu lokalnego. Kilka minut później Reuters podał bardzo ogólnikową, krótką wiadomość. Nie wymieniono żadnych nazwisk, nie podano narodowości porwanych członków delegacji. Zarówno BBC, jak i Reuters poinformowali jedynie, że wszyscy porwani uczestniczyli w konferencji poświęconej sprawom bezpieczeństwa, która odbywała się w Nairobi.

Szefostwo redakcji „Kvällspresen” było wtedy na naradzie, co pewnie wyjaśniało, dlaczego wiadomość przeszła bez echa.

Schyman jednak wiedział swoje.

Wiadomości z Afryki nigdy nie budziły specjalnego zainteresowania. Czarny kontynent pozostawał białą plamą na informacyjnej mapie świata. Owszem, „Kvällspresen” pisało niekiedy o głodzie w Afryce, o biedzie, o AIDS, o piratach, o wojnach domowych i szalonych dyktatorach, ale to wszystko.

Chyba że w sprawę zamieszany był obywatel Szwecji czy w ogóle Skandynaw. Jak wtedy, kiedy w Kongu skazano na śmierć obywateli Norwegii czy kiedy piraci porwali duński jacht.

Schyman otrzymał oficjalną informację po zebraniu redakcji. Podczas narady nie wspomniał o Thomasie. Chciał poczekać. Reuters podał, że organizacja nazywająca samą siebie Fiqh Jihad wzięła siedmiu zakładników, europejskich uczestników międzynarodowej konferen-

cji, i wysunęła dość niesprecyzowane żądania, a także przedstawiła swoje przesłanie polityczne.

Przesłanie sformułowano w języku kinyarwanda i opublikowano na serwerze zainstalowanym w stolicy Somalii, Mogadiszu. Agencja jako źródło podawała BBC. Podała także link do krótkiego filmu, w którym porywacze przedstawili swoje żądania.

Schyman kliknął w link i wstrzymał oddech.

Na ekranie pokazał się czarnoskóry mężczyzna w prostym wojskowym mundurze i zawoju na głowie. Tło było niewyraźne, ciemnoczerwone. Mężczyzna miał około trzydziestki, wpatrywał się w jakiś punkt na lewo od kamery. Zapewne w kartkę, z której czytał. BBC przetłumaczyła jego wypowiedź na angielski, na szczęście.

Mężczyzna mówił powoli i bardzo wyraźnie, dziwnie wysokim głosem.

„Fiqh Jihad wzięło siedmiu zakładników, członków delegacji Unii Europejskiej, by w ten sposób ukarać świat zachodni za zło i ignorancję. Mimo broni i ogromnych środków, którymi dysponuje Unia, islamskiemu lwu udało się porwać niewierne psy. Nasze żądania są proste: domagamy się otwarcia granic z Europą, podziału dóbr i zniesienia ceł ochronnych. Wolność dla Afryki! Śmierć europejskim kapitalistom! Allah jest wielki!”

Na tym się kończyło. Trzydzieści osiem sekund, łącznie z drżącym zakończeniem i czarnym obrazem końcowym.

Nie będzie łatwo, pomyślał Schyman, ruszając do działu wiadomości.

* * *

Telefon nie dzwonił.

Ciągle nie dzwonił.

Annika krążyła po pokoju i gryzła paznokcie, aż niemal rozbolały ją zęby.

Schyman poinformował ją mejlem, że zarówno Reuters, jak i BBC podały informację o porwaniu, nie informując jednak o narodowości ofiar. Jutro „Kvällspresen” jako jedyna gazeta poda, że jeden z za-

kładników jest obywatelem Szwecji.

Patrik przysłał SMS-a: czy nie miałyby ochoty wypłakać się w papierowym wydaniu gazety? Chętnie zamieściłby też jej zdjęcie, najlepiej z dziećmi, zapłakanymi, z maskotkami w rękach. Miał już nawet tytuł: „Tata więźniem partyzantów”. Albo: „Tato, wracaj!”. Podziękowała i grzecznie odmówiła.

Także Berit zapytała mejlem, czy może w czymś pomóc. Ma po prostu dać jej znać.

Annika siedziała z zaciśniętymi ustami i spoglądała w stronę sypialni. Kiedy jadła z dziećmi klopsiki z makaronem i keczupem, Halenius zamknął się w sypialni ze swoją teczką. Ona karmiła dzieci, on rozwiązywał problemy międzynarodowe.

Niepokoila się coraz bardziej. Czy Halenius na pewno sobie poradzi?

Wyszła do kuchni, słyszała, jak rozmawia w sypialni.

Sprzątnęła ze stołu po kolacji, wytarła stół, zamiotła podłogę. W kuchni cicho szumiała zmywarka. Dzieci przebrały się w piżamki, umyły zęby.

Annika weszła do ich pokoju, nadal ssąc palec. Zaczął już krwawić.

– Zagramy w karty? – rzuciła.

Kalle się rozpromienił.

– W monopol!

– To by za długo trwało. Może w domino? Ellen, masz ochotę?

Kalle szybko znalazł pudełko z klockami domina, usiadł na podłodze i zaczął je ustawiać, metodycznie, po kolei.

– Każdy dostaje po pięć?

– Każdy po pięć – potwierdziła Annika.

Spojrzała na zajęte ustawianiem klocków dzieci. Poradzą sobie, pomyślała, nawet jeśli zabraknie Thomasa. Tak czy inaczej, dadzą sobie radę.

– Chodź, mam, zaczynamy – ponaglał ją Kalle.

Usiadła na podłodze, wybrała pięć klocków i ustawiła przed sobą.

– Mam dwie piątki – oświadczył Kalle.

– Więc zaczynasz.

Kalle położył swój klocek z podwójną piątką. Ellen natychmiast do-

łożyła swój.

Annika czuła, że zaraz się rozplacze.

– Teraz ty, mamó.

Położyła klocek i usłyszała jęk.

– Nie tak, mamó...

Gra wydawała się nie mieć końca.

A telefon nadal nie dzwonił.

Halenius wszedł do dużego pokoju i stanął przed telewizorem.

– Mogę obejrzeć wiadomości?

– Oczywiście.

– Jak długo on tu będzie? – wyszeptał Kalle, zerkając na sekretarza ministra.

– Dokładnie nie wiem – odpowiedziała Annika, także szeptem. – To zależy od tego, co powiedzą strażnicy, jeśli w ogóle się do nas odezwą.

– Dlaczego ty nie możesz z nimi rozmawiać? – nie ustępował chłopiec.

Annika wyciągnęła rękę i przyciągnęła synka do siebie, tym razem się poddał. Zwinął się jak piłeczka w jej objęciach, włożył dłoń w jej włosy.

– Nie mam odwagi. Boję się ich. Jimmy ma większe doświadczenie, rozmawiał już z niejednym łotrem.

Kalle spojrział na nią zdziwiony. Właśnie dowiedział się czegoś nowego o dorosłych: że też mogą się czegoś bać.

– Teraz już idźcie spać. Jutro jest piątek. Macie ochotę pojechać do babci?

Kalle wtulił się w jej ramię.

– Tam jest nudno – wymruczał.

– Ale Tjorven jest fajny – Ellen weszła mu w słowo.

Tjorven był tłustym cocker spanielem Doris, matki Thomasa.

Mój kochany, radosny promyczek, pomyślała Annika, słysząc córeczkę. Dla ciebie szklanka zawsze jest do połowy pełna.

– Porozmawiam z babcią wieczorem i spytam, czy możecie u niej trochę pobyc.

– Będziecie rozmawiać o tacie? – spytał Kalle.

– Jutro będzie o tym w gazetach. Lepiej, żeby obie babcie dowiedziały się ode mnie.

– Inaczej dostaną obuchem w łeb – powiedział Kalle.

Annika się roześmiała. Śmiała się długo i szczerze, przyciągnęła synka, chłonęła jego zapach.

– Żebyś wiedział – powiedziała w końcu. – No, wskakujcie do łóżek! – dodała szybko.

O dziwo, oboje położyli się posłusznie i już po chwili spali.

Annika zgasiła stojącą na parapecie lampkę, wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

– Czują się przy tobie bezpieczne – zauważył Halenius.

– Znamy się dosyć długo – uśmiechnęła się Annika.

Usiadła obok niego na kanapie.

– Podali coś w „Aktuellt”?

– Nic. Myślisz, że ktoś przeczytał telegram Reutersa?

Annika wzruszyła ramionami.

– Agencje codziennie zasypują nas mnóstwem informacji. Większość jest mało ciekawa, chociaż pewnie zawsze jest ktoś, dla kogo mają znaczenie.

– Jak częste są takie porwania?

Halenius przeciągnął się, potarł oczy.

– Nie mamy wiarygodnych danych. Takie porwania zdarzają się w krajach, w których policja jest słaba, prawo właściwie nie działa, natomiast korupcja jest wszechobecna. W Afryce dochodzi do nich głównie w Nigerii i w Somalii. Te kraje zajmują pierwsze miejsca na światowej liście. Masz może jakąś kanapkę?

Annika się zaczerwieniła, podniosła się pospiesznie.

– Przepraszam, na pewno zgłodniałeś. Jadasz klopsiki z makaronem? Odgrzewane w mikrofali?

Na wszelki wypadek postanowiła spytać. Thomas nie jadał takich rzeczy, chyba że były to klopsiki z mięsa łosia z makaronem z sosem truflowym.

Poszła do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła plastikowy pojemnik i wyłożyła resztki z kolacji na talerz. Wstawiła go do mikrofali. Wcisnęła guzik, trzy minuty powinny wystarczyć. Kuchenka zaszumiła.

Podeszła do zlewu i zaczęła myć pojemnik. Ostatnio niemal codziennie zabierała ze sobą do pracy drugie śniadanie. Zamknięcie wejść do redakcji doprowadziło do tego, że właściwie już nikt nie schodził na lunch do Siedmiu Szczurów. Ludzie przynosili jedzenie z domu.

Odstawiła pojemnik na ociekacz.

Brakowało jej Siedmiu Szczurów, talonów lunchowych, stołu z sałatkami, ekspresu do kawy w kącie i zakurzonych kruchych ciasteczek podawanych razem z cukrem. Z pojemnikami na lunch był pewien problem: ludzie często o nich zapominali. Nagle dostawali zlecenie, jedli na mieście, a pojemniki zostawały w lodówce.

Oparła się o drzwi szafki i obiecała sobie, że kiedy cała ta historia się skończy i Thomas wróci do domu, znów zacznie jadać w Siedmiu Szczurach. Nie będzie przynosić lunchu z domu.

Mikrofalówka zapiszczała trzy razy. Annika wzięła do ręki pomidora, pokroiła go na cząstki, udekorowała nim talerz.

A telefon nadal nie dzwonił.

– Kolacja w Operakällaren to nie jest – powiedziała, stawiając przed Haleniusem talerz i szklanę wody z kranu.

– Matka Thomasa żyje, prawda? – spytał Halenius, ładując do ust widelec z makaronem. Najwyraźniej był bardzo głodny.

– Doris? Tak, żyje.

– Powinnaś do niej zadzwonić.

– Wiem. Chociaż lepiej będzie, jeśli ty to zrobisz.

Halenius wypił łyk wody.

– Dlaczego?

– Nie przepada za mną. Podać ci serwetkę?

– Nie, dzięki, nie trzeba. Dlaczego cię nie lubi?

Annika wzruszyła ramionami.

– Thomas był już raz żonaty. Jego była jest dyrektorem banku. Nie dorównuję jej. Doris uważa, że jej syn powinien być znaleźć sobie kogoś z lepszą pozycją. Partner jego brata, Holgera, jest lekarzem.

Halenius jadł klopsiki i przyglądał się jej.

– A wnuki?

Annika zerknęła w stronę zamkniętych drzwi do pokoju dzieci.

– Holger i jego facet, Sverker, mają córeczkę, Victorię. Mają ją z parą lesbijek. Doris jest nią zachwycona. Jak ci smakują klopsiki?

– Trochę zimne w środku. Twój ojciec nie żyje?

Annika zamarła. Ingvar, jej ojciec, był szefem związków zawodowych w fabryce w Hälleforsnäs. Był z tego bardzo dumny, ale niewiele mu to pomogło, kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych fabryka zaczęła przynosić straty i zwalniać ludzi. Stracił pracę, podobnie jak stu innych robotników, i zaczął pić. Wcześniej pił umiarkowanie, potem wpadł w nałóg. Kiedy miała osiemnaście lat, zamarzył w zaspie przy drodze do Granhed, tuż za zjazdem na plażę Tallsjöbadet.

– Skąd wiesz? – spytała.

Halenius przeżuwał.

– Rolle – rzucił, odsuwając talerz. – Masz jej numer? Mam na myśli Doris Samuelsson.

– Jest w kontaktach, pod Dinozaur – powiedziała Annika.

Podawała mu służbową komórkę, zabrała talerz i poszła do kuchni. Talerz był wyczyszczony do cna, mimo braku sosu truflowego do makaronu. Z pokoju dobiegł odgłos wybierania numeru w jej wypasionej komórce.

– Pani Doris Samuelsson? Dobry wieczór, mówi Jimmy Halenius, sekretarz ministra w ministerstwie sprawiedliwości... Tak, zgadza się, jestem szefem Thomasa. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, ale niestety mam dla pani przykrą wiadomość...

Annika stała obok mikrofalówki, ściskając w ręku ścierkę. Czekwała, aż Halenius skończy. Potem nie mogła domyć dłoni, musiała niemal skrobać je ostrą gąbką.

– Zakładam, że nie przyjęła tego najlepiej – powiedziała, stawiając na stole talerz z ciastem.

– Rzeczywiście, nie najlepiej. Upiekłaś ciasto?

Dlaczego był taki zdziwiony?

– Z malinami i śmietaną?

– Jeśli chcesz.

Annika poszła do kuchni, ubiła śmietaną i włożyła do mikrofalówki mrożone maliny. Po chwili postawiła wszystko na stoliku, usiadła na kanapie, wyprostowała się.

– Powinnam zadzwonić do mamy, prawda?

– Jeśli nie chcesz, żeby się o wszystkim dowiedziała z mediów...

Annika zaczerpnęła powietrza, wzięła do ręki służbową komórkę i wybrała numer swego dzieciństwa. Matka nigdy go nie zmieniła.

Słyszała kolejne sygnały. Nakładało się na nie bicie jej serca.

– Mama? Mówi Annika. Co u ciebie?

Nie usłyszała odpowiedzi, słyszała tylko, jak pulsuje jej w głowie. Po chwili dotarło do niej, że matka opowiada jej o swoim reumatyzmie i o wypłacie z ubezpieczalni, która nie dotarła na czas.

– Mamo – przerwała jej. – Stało się coś przykrego. Thomas zaginał w Afryce.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

– Jak to zaginał? – spytała matka. – Poszedł w tango z jakąś Murzynką?

Teraz już wyraźnie było słycać, że nie jest trzeźwa.

– Nie, mamo. Został porwany. Nie wiemy jeszcze, jak poważna jest sytuacja, ale uznałam, że powinnaś wiedzieć...

– Porwany? Jak ten milioner? Nie rozumiem. Przecież wy nie macie pieniędzy!

Annika zamknęła oczy, zakryła je dłonią. Nie miała pojęcia, o jakim milionerze mówi jej matka.

– Mamo, mogłabym ci przywieźć dzieci w weekend? Nie wiem, jak długo to wszystko potrwa, ale przez kilka dni na pewno będę bardzo zajęta...

Matka coś wymamrotała.

– Bardzo byś mi pomogła...

– Porwany?

– Urowadzony razem z sześciorgiem innych uczestników konferencji w Nairobi. O ile wiemy, nie jest ranny. Będziesz mogła się zająć Kallem i Ellen? Tylko przez kilka dni...

– Niemożliwe. Mam u siebie Destiny.

Annika zamrugnęła oczami.

– Słucham?

– Birgitta dostała pracę, pracuje w weekendy, w sklepie. Muszę się zająć De-hstiny.

Matkę męczyła pijacka czkawka. A mała córeczka Birgitty miała najwyraźniej na imię Destiny, biedaczka.

– Ale przecież Biggan ma męża. Steven nie może się zająć własnym dzieckiem?

Matka upuściła coś na podłogę. Annika usłyszała, że ktoś gdzieś w głębi mieszkania zaklął. Może matka ma nowego partnera?

– Posłuchaj, muszę kończyć. A poza tym powinnaś przeprosić siostrę.

– Tak, mamo. Na razie. – Pożegnała się szybko.

Rozłączyła się, pod powiekami poczuła piekące łzy.

– Czy jest coś gorszego, niż być niekochaną przez własną matkę? – spytała zduszonym głosem.

– Owszem – odpowiedział Halenius. – Być niekochaną przez własne dzieci.

Roześmiała się.

– Czy to nie jest scena z jakiegoś filmu?

– Owszem – uśmiechnął się Halenius. – Główną rolę grał Sven Bertil Taube.

Sekundę później zadzwonił telefon.

* * *

Zaczęli nas wynosić, po kolei, mnie wzięli pierwszego.

Było już całkiem ciemno. Księżyc nie świecił. Nie żarzył się żaden ogień. Chwycili mnie za nogi i ręce, dokładnie tak jak wcześniej Franca. Ogarnęła mnie czarna nicość. Czuję, że za chwilę stracę przytomność, ze strachu się wypróżniłem. Wydawało mi się, że wszędzie widzę połyskujące w ciemnościach wygięte noże, i pewnie rzeczywiście je widziałem, bo po chwili ktoś przeciął plastikowe paski krepujące mi nogi, potem ktoś ściągnął mi spodnie i wylał mi na krocze wiadro wody. Była zimna, ale paliła moją poranioną skórę jak ogień. Nie krzychałem, bo to było zakazane. *No allowed. Kiongozi Ujumla* tak powiedział. Zakazał też wszelkich rozmów. Leżeliśmy więc obok siebie w milczeniu, w końcu ucichły także wszelkie odgłosy na zewnątrz, słychać było jedynie świszczący oddech Duńczyka.

W nocy temperatura szybko spadała. Zgrzytaliśmy zębami.

Któryś ze strażników, nie zauważyłem który, podał mi kawałek materiału w kratę. Owinął mnie nim w biodrach, zamiast spodni. Pozwolono mi natomiast zachować koszulę, tę, którą tak starannie wybrałem rano, przed wylotem z Liboi. Jasnoróżową, z lekkim połyskiem. Ulubiona koszula Anniki, nazywa ją pedalską. Możesz dzisiaj włożyć swoją pedalską koszulę, mówiła, śmiejąc się do mnie szeroko... Potem zaprowadzono mnie na drugi koniec manyatty i zamknięto w innej chacie. Była znacznie mniejsza i inaczej w niej pachniało. Nie było paleniska, w dachu nie było dziury. Kiedy się ruszałem, blaszane ściany wydawały ostre, metaliczne dźwięki.

Znów związali mi nogi. Na jakiś czas musiałem stracić przytomność, bo kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem, że obok mnie leżą Duńczyk, Per i Rumun, którego imienia nie znałem, a obok niego Hiszpan, Alvaro. Rozdzielili nas: osobno mężczyźni, osobno kobiety.

Per nadal oddychał z trudem, chwilami niemal rzeził.

Było nas czterech, czterech mężczyzn.

* * *

– Czterdzieści milionów dolarów. Mają zostać przekazane w Nairobi jutro rano – powiedział Halenius, siadając w fotelu naprzeciwko niej.

Annika zasłoniła twarz dłońmi.

– To nie katastrofa – uspokajał ją. – Zależało nam na nawiązaniu kontaktu. I to nastąpiło.

Brzmiało to bardzo profesjonalnie, zapewniało poczucie bezpieczeństwa.

Annika opuściła ręce, próbowała uspokoić oddech.

– Takiej samej sumy zażądano za uwolnienie Hiszpana.

– Powiedziałem, że rodzina nie dysponuje tak dużą sumą i na pewno nie zdąży jej zebrać w tak krótkim czasie. Mówił bardzo poprawnym południowoafrykańskim angielskim. Na pewno jest człowiekiem wykształconym. Żądanie było absurdalne i doskonale o tym wiedział. Spytałem, jak Thomas się czuje, ale nie odpowiedział...

Annika spojrzała na niego.

- Jak mu się przedstawiłeś?
- Powiedziałem, że jestem kolegą Thomasa i przyjacielem rodziny.
- Ale nie pracodawcą?
- Oficjalnie szwedzki rząd nie ma z tym nic wspólnego.

Annika wyjrzała przez okno. Niebo przybierało nocami dziwnie czerwony kolor, w lekko szarym odcieniu, światła miasta rozpląwały się w chmurach.

- Powiedział coś jeszcze?

Halenius patrzył na nią, widać było, że się waha.

– Powiedział, że Thomas umrze, jeśli okup nie zostanie wpłacony jutro do dziesiątej miejscowego czasu. Chcesz odsłuchać?

Annika pokręciła głową.

Halenius chwycił jej dłonie.

– Musisz się uzbroić w cierpliwość. Rokowania w takich sprawach trwają zwykle od sześciu do sześćdziesięciu dni. Może będziesz musiała zapłacić za jego uwolnienie.

Annika cofnęła dłoń.

- Policja nie może nic zrobić? – spytała.

– Interpol powołał w Brukseli specjalną grupę, Joint Investigation Team, JIT. Ma zbierać wszelkie informacje i przekazywać je członkom rodzin zakładników. Policja Krajowa wyśle dwóch ludzi do Nairobi. Będą tam działać za pośrednictwem szwedzkiej ambasady. Z ramienia ministerstwa sprawę będzie pilotować dwóch ludzi: Hans i Hans Erik.

Annika skinęła głową. Wiedziała, że szwedzka policja nie może działać samodzielnie na terenie innego kraju.

- A kenijska policja?

Halenius chwilę milczał.

– Kenijska policja słynie z korupcji i brutalności. Kilka lat temu byłem tam w czasie świąt Bożego Narodzenia. Policja poinformowała o planowanej akcji poszukiwania broni na północnym zachodzie kraju. Natychmiast zniknęły stamtąd wszystkie kobiety i dzieci, ponieważ w takich przypadkach policjanci zwykle dopuszczają się gwałtów. Wywołuje to poważne problemy. Znaczna część funkcjonariuszy jest zarażona wirusem HIV, więc zgwałcone przez nich kobiety zwykle są odtrącane przez mężów. Jeśli się skontaktujemy z tamtejszą policją,

ryzykujemy, że będziemy musieli jej oddać część okupu. Wzrośnie ryzyko...

Annika uniosła rękę, przerwała mu.

– Kenijska policja odpada. A co z somalijską?

– Somalia od 1991 roku właściwie nie ma rządu. Istnieje coś, co się nazywa Somali Police Force, ale nie mam pojęcia, na czym polega ich działalność.

Annika zacisnęła dłoń.

– Nawiążemy kontakt z kilkoma innymi organizacjami, ale musisz się też zastanowić nad swoją sytuacją finansową. Niewykluczone, że jednak będziesz musiała coś zapłacić. Masz jakieś pieniądze?

Annika spojrzała w stronę pokoju dzieci.

Pieniądze z ubezpieczenia za dom w Djursholm, pomyślała.

W końcu je dostali, dwa lata po pożarze. Trochę ponad sześć milionów koron leżało na koncie w Handelsbanken, niecały milion dolarów. Na innym koncie miała nieco ponad dwieście tysięcy, tyle udało jej się zaoszczędzić podczas pobytu w Stanach.

– Porywacze odezwą się zapewne dopiero jutro wieczorem, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę tu rano. Trzeba przygotować kilka rzeczy.

– Nie musisz pracować? – spytała.

– Właśnie to robię – odpowiedział Halenius.

Sięgnął po kurtkę, wieszak uderzył o metalowy pałąk. Annika wstała z kanapy, nogi miała jak z ołowiu. Wyszła do holu. Halenius wyglądał na zmęczonego. Zauważyła, że od ich ostatniego spotkania kilka lat temu przerzedziły mu się włosy.

– Co musisz przygotować?

Podrapał się po głowie, kosmyki włosów sterczały mu na wszystkie strony.

– To trochę zależy od ciebie. Czy chcesz się tym zająć sama, czy mamy ci pomóc?

Annika poczuła ukłucie paniki.

– Sama, nie...

Halenius skinął głową.

– Musimy zorganizować centralę, miejsce, gdzie będziemy mogli

pracować, gdzie zainstalujemy sprzęt...

– Sypialnia może być?

– Będziemy musieli prowadzić dziennik. Musimy się podzielić rolami. Ja mogę prowadzić negocjacje, ty będziesz odpowiedzialna za logistykę. Będziesz musiała pilnować, żeby sprzęt był sprawny, komórki naładowane, żeby w domu było coś do jedzenia, żeby była kawa... Możemy się tak umówić?

Annika wyprostowała się. W ciągu kilku sekund została zdegradowana: z negocjatora do zaopatrzeniowca.

– Jeśli zadzwoni telefon stacjonarny, musisz pamiętać, żeby włączyć magnetofon, zanim odbierzesz. Jeśli zadzwoni któryś z porywaczy, nie mów, że jesteś żoną Thomasa. Przedstaw się jako opiekunka do dzieci i powiedz, że jesteś w domu sama. Potem natychmiast mnie zawiadom. W mejlu podałem ci wszystkie numery, pod którymi można mnie złapać.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz? – spytała.

Halenius zaciągnął zamek kurtki, włożył teczkę pod pachę. Wkładając rękawiczki, odpowiedział w skupieniu:

– Myślałam, że Jimmy to imię popularne w kręgach przestępczych – powiedział. – I dodałaś: Nigdy nie słyszałam, żeby zbiegły morderca miał na imię Stig Björn.

Posłał jej szybki uśmiech, otworzył drzwi i zniknął.

DZIEŃ 3

Piątek, 25 listopada



ANDERS SCHYMAN PRZETARŁ okulary rękawem koszuli i zaczął uważnie studiować pierwszą stronę najświeższego wydania.

Uznał, że to jedna z najlepszych stron w tym roku. Nie tylko dlatego, że „Kvällspresen” jako jedyna gazeta mogła poinformować, że jednym z zakładników jest Szwed, ale również dlatego, że Thomas Samuelsson świetnie prezentował się na zdjęciu. Przystojny blondyn, wysportowany, uśmiechnięty, budzący szacunek. Facet, którym każdy mężczyzna chciałby być i którego każda kobieta chciałaby mieć.

Autor artykułu co prawda trochę mijał się z prawdą, bo dzieci Aniki i Thomasa były już w wieku szkolnym, a poza tym nikt do końca nie wiedział, gdzie przebywa Thomas, ale graficznie w tytule Kenia pasowała lepiej niż Somalia. To wszystko były jednak drobiazgi, nikt nie mógłby się do niczego przyczepić.

Autorem większości artykułów był Sjölander, redakcyjny weteran, który w swojej karierze zdążył już być szefem redakcji kryminalnej,

redaktorem odpowiedzialnym wydania, korespondentem w Stanach i redaktorem wydania internetowego. Należał do nielicznych dziennikarzy starszego pokolenia, którzy potrafili się dostosować do nowych wymagań i którzy z równym entuzjazmem pisali artykuły do wydania papierowego, jak i filmowali wstawki komórką. Wszelkie informacje uzupełniające zostały przygotowane przez redaktorów nocnej zmiany, przede wszystkim przez Elin Michnik, inteligentną młodą dziewczynę, podobno krewną Adama Michnika, redaktora naczelnego największego polskiego dziennika, „Gazety Wyborczej”.

Thomas Samuelsson został przedstawiony jako najważniejszy pracownik kancelarii rządu, ekspert do spraw bezpieczeństwa odpowiadający za bezpieczeństwo europejskich granic. Można było odnieść wrażenie, że teraz, gdy go zabrakło, Szwedzi powinni właściwie bać się wychodzić na ulicę...

Schyman pozwolił sobie na ciche westchnienie.

Fakty były momentami nieco naciągane, ale w zasadzie zgodne z prawdą. W sumie ludzie wykonali kawał dobrej roboty. O ile potrafił ocenić, w tekstach nie było błędów faktograficznych, główny artykuł opisywał dramatyczny przebieg porwania, ale w żadnym momencie nie przekraczał granicy śmieszności.

Schyman odłożył gazetę, przetarł oczy.

Dzisiaj sprzedaż na pewno będzie dobra, może nie tak dobra jak w dawnych czasach, kiedy wychodziło tylko wydanie papierowe, ale pewnie niewiele gorsza.

Pochylił się nad monitorem, wyszukał kwartalne dane sprzedaży podawane przez Tidningsstatistik AB, powiódł wzrokiem po tabelkach.

Nakładu „Kvällspresen” nadal nie można było porównywać do nakładu „Gazety Wyborczej”, ale różnica w sprzedaży dwóch czołowych szwedzkich dzienników nigdy nie była mniejsza. Niezależnie od tego, jak bardzo „Konkurrenten” usiłowało manipulować faktami, dodawać egzemplarze gratisowe i podważać dane podawane przez monitoring prasy, fakty były nieubłagane: różnica w nakładach systematycznie się zmniejszała i obecnie wynosiła sześć tysięcy siedemset egzemplarzy dziennie. Jeśli tylko uda mu jeszcze trochę wytrwać, wkrótce

„Kvällspresen” będzie największą gazetą w Skandynawii, a on przejdzie do historii.

Podrapał się po brodzie.

Był co prawda pierwszym dziennikarzem, który dwukrotnie otrzymał Wielką Nagrodę Dziennikarską, ale nie takie rzeczy zostają ludziom w pamięci.

Podejrzewał, że zostanie raczej zapamiętany jako dziennikarz, który sprowadził etykę dziennikarską do parteru, do czego zapewne przyczyni się także sprawa Thomasa Samuelssona. Skoro najważniejsza jest sprzedaż...

Spojrzał na redakcję.

Patrik Nilsson był już na miejscu. Niewiele spał tej nocy. Schyman zakazał redaktorom nocować w redakcji. Żądał, żeby wracali do domu i przynajmniej brali prysznic, ale nie sądził, że Patrik stosuje się do jego poleceń. Pewnie zdrzemnął się chwilę na tylnym siedzeniu służbowego samochodu.

Do sali weszła Berit Hamrin, w płaszczu, z teczką. Wyglądała jak nauczycielka angielskiego z liceum. Nie najlepiej radziła sobie z przedstawianiem się na nowe techniki pracy. Jej filmowym komentarzom brakowało zaangażowania, montaż też pozostawiał wiele do życzenia, ale była chodzącą encyklopedią, skarbnicą wszelkiej wiedzy. Poza tym pracowała w redakcji od czasów Hedenhosa i zwolnienie jej byłoby zbyt kosztowne.

Sjölander zjawi się zapewne dopiero za kilka godzin. Należy do tych, którzy muszą się wyspać. Elin Michnik była już na miejscu, zdążyła nawet zaktualizować dane do wydania miejskiego. Minął ją rano w drzwiach.

Sam pracował w „Kvällspresen” już trzynaście lat. Początkowo był szefem redakcji, potem redaktorem naczelnym i wydawcą. Zapewne można było go różnie oceniać, ale nikt nigdy nie kwestionował, że bardzo się starał. Robił to, czego od niego oczekiwano, nieszczęśliwie się nad tym zastanawiając, i na ogół był skuteczny. Redakcja była zgranym organizmem, dystrybucja i sprzedaż była zabezpieczona, liczby mówiły same za siebie. Poza tym udało mu się wykształcić potencjalnych następców. A mimo to czuł w środku jakąś pustkę, która

z czasem ciążyła mu coraz bardziej. A może miało to związek z wiekiem? Jego ciało stało się cięższe, a członek nie reagował już tak ochoczo jak kiedyś. Brak zainteresowania erotyką zbiegł się z mniejszym zainteresowaniem zasadami etycznymi, ale nie miał siły docho-
dzić, czy jedno ma cokolwiek wspólnego z drugim.

Spojrzał na zegarek.

Trzy godziny do jedenastej, do zebrania redakcji.

Zdąży pojechać do Anniki, sprawdzić na miejscu, jak wygląda sytuacja.

* * *

Annika leżała na łóżku i patrzyła w sufit. Ciało miała jak z ołowiu.

Zawsze potrafiła zasnąć na zawołanie, wszędzie i o każdej porze, ale tego ranka obudziła się o czwartej osiemnaście. Zadzwoiła jej służbowa komórka. Redaktor porannej zmiany Telewizji Szwedzkiej, który właśnie dostał do ręki najświeższe wydanie „Kvällspresen”, pytał, czy nie zechciałaby się wypłakać w porannej audycji. Właściwie nie powiedział „wypłakać się”, ale o to mu przecież chodziło. Kwadrans później zadzwonił ktoś z TV4, a potem wyłączyła komórkę.

Przeciągnęła się na łóżku i wyjrzała przez okno.

Niebo było szare, jakby niezdecydowane.

Wiedziała, że wszystkie media w Szwecji będą próbowały się do niej dodzwonić, że będą próbowały namówić ją na wywiad, najchętniej na wyłączność. Już na samą myśl o tym, że miałyby siedzieć w studiu na kanapie i szlochać albo rozdzierać szaty przed jakimś kolegą z magnetofonem, robiło jej się niedobrze. Właściwie było to nie-
logiczne i świadczyło o podwójnej moralności. Skończyła Wyższą Szkołę Dziennikarstwa, potem trzy lata pracowała w lokalnej gazecie w Katrineholm, a od trzynastu była dziennikarką sztokholmskiego ta-
bloidu. Odmawiając udzielenia wywiadu, właściwie sprzeniewierzała się zasadom swojego zawodu. Ile razy sama niemal zmuszała ludzi do udzielenia jej wywiadu. Czasem, musiała to przyznać, groźbami, czasem posuwała się do kłamstwa. Miała przed oczyma swoje ofiary: poszkodowanych w kradzieżach, morderców kobiet, polityków, oszu-

stów podatkowych, widziała ich przerażone, czasem też zaleknione oczy.

Ale ona nie chciała, po prostu nie chciała i już.

Nie chciała siedzieć na kanapie z dziećmi i opowiadać o tym, jak tęsknią za tatusiem. Nie chciała opowiadać o ostatnim dniu przed jego wyjazdem, przypominała sobie, że była zła i naburmuszona, nie chciała być tą biedną kobietą, której wszyscy współczują. Dzieci nadal spały. Postanowiła, że zostaną w domu. Inaczej na pewno dopadłby je jakiś nadgorliwy fotoreporter i doprowadził do płaczu, byle tylko zapewnić sobie dobre zdjęcie.

Nie muszę, pomyślała. Nie muszę, nic nie muszę.

Już słyszała szepty za plecami: Patrz, to ona, to jej mąż został porwany w Somalii, a to na pewno ich dzieci, strasznie blade, prawda? Biedni ludzie. A potem szepczący pójda dalej, w głębi duszy zadowoleni, że tym razem to nie oni padli ofiarą okrutnego losu.

A potem zrobiło jej się wstyd. Zachowywała się potwornie egocentrycznie, ulegała emocjom. Postanowiła wziąć się w garść, zamknęła oczy, cienie na suficie zniknęły. Próbowwała odszukać w pamięci mapę Afryki i Liboi, przywołać postać Thomasa, próbowała wczuć się w jego sytuację, ale nie potrafiła. Miała przed oczami fragmenty zdjęć satelitarnych, żółty piach, spaloną słońcem ziemię, ale nic jej to nie mówiło, nie miała żadnego punktu odniesienia. Nic.

Wzdrygnęła się, ktoś zadzwonił do drzwi. Zdezorientowana wstała z łóżka, owinęła się szlafrokiem, wyszła do holu, przystawiła ucho do drzwi, zawahała się.

Nie mogła wykluczyć, że jakiś ambitny dziennikarz postanowił przyjechać do niej do domu. Sama pewnie właśnie tak by zrobiła.

Tym razem był to Halenius. Wszedł do holu, też jeszcze trochę zaspany, z włosami w nieładzie. Owinęła się szczelniej szlafrokiem. Nagle się zawstydzila, poczuła się naga, poza tym okropnie chciało się jej sikać. Halenius spojrzął na nią w przelocie, zdjął wierzchnie ubranie, rzucił: ładna piżama i zniknął w dusznej sypialni. Usłyszała, jak kaszle i coś przestawia. Sytuacja była dość absurdalna. Powietrze stało w miejscu, wokół panowała cisza, jakby cały świat wstrzymał oddech i czekał.

Poszła do łazienki, potem do kuchni, wstawiła wodę, zrobiła kawę rozpuszczalną, zniosła dwa kubki, jeden dla niego, drugi dla siebie, do sypialni. Halenius pochylał się już nad laptopem.

– Gdzie dzieci? – spytał, kiedy Annika weszła.

– Śpią.

Sięgnął po notatki.

– Porywacz, który zadzwonił wczoraj wieczorem, zadzwonił na stacjonarny. Myślisz, że dostał numer od Thomasa czy zdobył w jakiś inny sposób?

Annika stanęła tuż za progiem, zawahała się. W pokoju były dwa krzesła. Na jednym siedział sekretarz ministra, drugie było zarzucone jej ubraniami. Powinna je uprzątnąć, ale zamiast to zrobić, podeszła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę. Rozlała kawę, pobrudziła prześcieradło.

– Wizytówki – powiedziała, próbując zetrzeć plamę. – Thomas ma w portfelu wizytówki. Jest na nich numer telefonu komórkowego i domowego. Klóciliśmy się o to. Numer jest zastrzeżony, więc uważałam, że nie powinien go umieszczać na wizytówkach. Wystarczyłby numer służbowy i komórka...

– Numeru twojej komórki na wizytówce nie było?

Na wizytówce Thomasa? A niby dlaczego miałyby na niej być?

– Więc możemy założyć, że porywacze nadal będą dzwonić na stacjonarny. Mamy też pewność, że negocjujemy z właściwymi osobami.

Przyciągnął laptopa.

– Z właściwymi osobami? – powtórzyła Annika.

Halenius spojrzał na nią, podciągnęła kołdrę pod brodę.

– Dość często się zdarza, że ktoś się podaje za porywacza, chociaż nim nie jest. Bywało, że okup wypłacano niewłaściwym osobom. W tym przypadku mamy zeznania świadka i wiemy, że Thomas naprawdę został porwany, mamy też nagranie wideo, które zdaje się to potwierdzać, poza tym porywacze mają numer telefonu, który, jak mówisz, jest zastrzeżony.

Zaczął stukać w klawiaturę. Annika wypila kawę, była gorzka i mocna.

– Co się dzisiaj będzie działo? – spytała.

– Pewnie sporo – odpowiedział Halenius, nie spuszczać wzroku z monitora. – W drodze do ciebie rozmawiałem z komisarzem Q z Policji Krajowej. Zespół Interpolu zabrał się już do pracy, policja też dotarła już na miejsce. Koordynacją działań zajmują się Hans i Hans Erik. Jeszcze chwila, a zaczniemy się o siebie potykać... – Urwał, spojrzał na nią. – Powinnaś sprawdzić, jaką sumą dysponujesz. I ile ewentualnie możesz pożyczyć. Czy matka Thomasa albo twoja mama mają jakieś oszczędności?

Annika postawiła kubek z kawą na nocnym stoliku.

– Kiedy ta historia dotrze do mediów – ciągnął Halenius – nie będzie powodu, żebyś nadal milczała. To oczywiście twoja decyzja, ale jeśli zdecydujesz się mówić, musimy ustalić, co możesz powiedzieć. Na pewno nie wolno ci nikomu zdradzić, że tu jestem. Nie mów też nikomu, że porywacze nawiązali z nami kontakt...

Annika uniosła rękę, przerwała mu.

– Nie sądzę, żebym w ogóle chciała się wypowiadać. Coś jeszcze?

– Sądzę, że wieczorem możemy się spodziewać kolejnego telefonu, ale pewności nie mamy. Zastanów się, co z dziećmi. Chodzi mi o najbliższych kilka dni.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Chcesz, żeby chodziły do szkoły? Kto może się nimi zaopiekować, gdybyśmy nagle musieli wyjechać?

Annika zamarła.

– Wyjechać? Dokąd?

Halenius zaczął targać włosy.

– Jeśli trzeba będzie przekazać okup, porywacze na pewno nie stawią się po niego w Sztokholmie.

Annika zobaczyła satelitarne zdjęcia brązowożółtej ziemi. Wszystko to nadal wydawało jej się nierealne.

– Zakładasz, że będziemy musieli zapłacić tym łotrom jakąś niewiarogodną sumę. Nie ma innego sposobu?

– Nagranie jest już w sieci. Podejrzewam, że zarówno Brytyjczycy, jak i Amerykanie szukają innych rozwiązań.

Annika zamrugnęła.

– Amerykanie mają ogromną bazę niedaleko Liboi – mówił dalej

Halenius. – Oczywiście nie ma jej na żadnej mapie, ale zapewniam cię, że przy południowej granicy z Somalią jest ponad pięć tysięcy Amerykanów. Są tam też Brytyjczycy. Mam kontakt do nich, tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to zapisałem...

Annika się uśmiechnęła.

Facet wie, gdzie Stany mają tajne bazy, a nie wie, gdzie zapisał numery kontaktowe.

Sięgnęła po kubek z kawą i wstała z łóżka. Szlafrok rozchylił się, pokazując jej gołe nogi niemal do pachwin, ale Halenius nie zwrócił na to uwagi. Ładna piżama, powiedział. Rzeczywiście, szlafrok był ładny. Z grubego kremowego jedwabiu. Kupiła go sobie w prezencie urodzinowym w centrum handlowym Pentagon City. Od Thomasa dostała wtedy chromowany opiekacz do chleba w stylu lat pięćdziesiątych. Wymagał napięcia sto dziesięć woltów, więc kiedy wracali do Europy, zostawili go w Stanach.

Że też człowiek pamięta takie szczegóły, pomyślała, idąc do łazienki, żeby wziąć prysznic. Nagle zatrzymała się, wróciła do sypialni, czy raczej centrali dowodzenia.

– A twoje dzieci? – spytała.

Miał przecież bliźnięta, chłopca i dziewczynkę, w wieku Ellen.

– Moja dziewczyna się nimi zajmuje – powiedział, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od monitora.

Jego słowa paliły ją w twarz. Jego dziewczyna. Ma dziewczynę. Oczywiście, że kogoś ma.

– Myślałam, że jesteś rozwiedziony.

– To moja nowa dziewczyna – rzucił. – Mam – odezwał się po chwili. – Numery telefonów. Zaraz się z nimi skontaktuję.

Annika odwróciła się i poszła do łazienki, niemal unosząc się w powietrzu.

Dzieci obudziły się, gdy brała prysznic. Kiedy wyszła z łazienki z ręcznikiem na głowie, zobaczyła Kallego. Stał w holu, wyglądał jak chmura gradowa.

– Dlaczego on tu jeszcze jest? – spytał głucho.

Przez ścianę słyszała, jak Halenius rozmawia z kimś głośno po angielsku. Kucnęła obok synka, objęła go.

– Jimmy rozmawia z kimś, kto może będzie mógł pomóc uwolnić tatę – powiedziała. – Co chcesz na śniadanie?

– Nie *scrambled eggs* – odpowiedział chłopiec.

– Dobrze – zgodziła się Annika. Wstała, wyprostowała się. – Ugotuję ci jajko. A może wolisz grecki jogurt z orzechami włoskimi?

Kalle się zawahał.

– Są maliny?

Ostatnie rozmroziła poprzedniego wieczoru, podała je Haleniusowi do ciasta.

– Mamy konfitury.

Ellen siedziała na łóżku i bawiła się maskotkami. Miała ich osiemnaście. Wszystkie „mieszkały” na jej łóżku, ale tylko Poppy – nowa Poppy, stara spłonęła w pożarze – miała prawo spać z nią na poduszce. Annika wślizgnęła się do łóżka córeczki, zaczęła łaskotać ją po brzuszku. Szybko uzgodniły, co będzie na śniadanie, i Annika wróciła do kuchni, żeby nakryć do stołu.

I wtedy w sypialni zadzwonił telefon. Stacjonarny.

Annika zastygła w pół kroku. Porywacze mieli dzwonić najwcześniej wieczorem, i to nie na pewno. Wyteżyła słuch, próbując usłyszeć, o kogo mówi Halenius za ścianą. Miała wrażenie, że rozmawia po szwedzku, po chwili usłyszała odgłos odkładanej słuchawki.

– Skontaktuj się z przyjaciółką, z Anne Snapphane. Poproś, żeby nie dzwoniła na stacjonarny – powiedział Halenius.

Poszedł do łazienki, po chwili zza cienkich drewnianych drzwi usłyszała, jak oddaje mocz. Wróciła do nakrywania do stołu. Wyjęła pojemniki z jogurtem.

– Jak skończycie jeść, włóżcie talerzyki do zlewu – powiedziała do dzieci i wyszła do dużego pokoju ze służbową komórką w rękę.

Wyłączyła ją, kiedy zadzwonił facet z TV4, więc kiedy teraz ją włączyła, od razu posypały się SMS-y. Trzydzieści siedem nowych wiadomości. Wcisnęła zachowaj i wybrała numer Anne.

– Boże, Annika – powiedziała Anne. – To straszne. Prawdziwy horror! Co to za facet odebrał twój telefon?

Halenius właśnie wyszedł z łazienki, minął ją w drodze do sypialni.

– Jakiś człowiek z Telii – odpowiedziała Annika, nie spuszczając

wzroku z Haleniusa. – Czytałaś gazety?

– Gazety? Nie nadążasz za czasem.

Annika się roześmiała. To był stały temat ich dyskusji: wydanie papierowe kontra informacje z sieci.

– No i co wyczytałaś na blogach?

– Wiesz, co tamtejsi porywacze robią z zakładnikami? To okropne!

Annika wstała z kanapy, podeszła do okna. Termometr za oknem pokazywał minus piętnaście stopni.

– Nie wiem i nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć. W tej chwili interesuje mnie tylko mój własny mąż. Czy ktoś może wie, gdzie go przetrzymują?

– Nie drwij sobie. Strona kenijskiego rządu na Facebooku ma pięćdziesiąt jeden tysięcy lajków. Jesteśmy wszędzie.

– No to mogę się czuć bezpieczna – skwitowała Annika. Zabrzmiało to jak reklama pieluch dla dzieci, pomyślała.

– Wiesz, zastanawiałam się, czy wasze mieszkanie jest zapisane na ciebie – usłyszała nagle głos Anne.

Kalle wszedł do pokoju z resztkami jogurtu na górnej wardze.

– Już zjadłem – oświadczył.

– Czy mieszkanie jest zapisane na mnie? O czym ty mówisz? – spytała Annika ze zdziwieniem. Odwróciła się do synka: – Idź do łazienki, wyszczotkuj zęby i ubierz się.

– Nie macie ślubu, prawda? Rozwiedliście się, a potem już się nie pobraliście.

– Nie idziemy dzisiaj do szkoły? – dopytywał się Kalle.

– Właściciele nieruchomości potrafią być bezwzględni. Jeśli facet zacznie coś podejrzewać, może cię wyrzucić, a potem podpisać nową umowę z kimś, kto zgodzi się zapłacić więcej. Takie rzeczy się zdarzają.

Anne sama kupiła niedawno prawo do swojego mieszkania na czarno, więc zapewne wiedziała, o czym mówi.

– Dzisiaj macie wolne – powiedziała Annika do synka. – A w weekend pojedziecie do babci. Co wy na to?

Ellen, z jogurtem na paluszkach, objęła ją za nogę i mocno ścisnęła.

– Chcę być z tobą, mamo.

– Boże, Annika, wiesz, o czym jeszcze pomyślałam... – głos Anne znów rozległ się w słuchawce. – Skoro nie macie ślubu, to po Thomasie dziedziczą jego brat i matka! Zastanawiałaś się nad tym? To trochę podobnie jak ze Stiegiem Larssonem, prawda?

– Ellen, ubrudziłaś mi szlafrok. Idź do łazienki, umyj się i ubierz. No już, maszeruj! – powiedziała Annika i lekko pchnęła córeczkę w stronę holu.

– Wiesz, czy Thomas ma adwokata? Jakaś skrytkę bankową? Musisz przeszukać jego komputer, sprawdzić jego prywatne archiwum...

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Do pokoju wszedł Halenius, wskazał w stronę holu.

– To Schyman. Pójdę otworzyć.

– Po Thomasie dziedziczą dzieci – powiedziała Annika do komórki. – Muszę kończyć. Ktoś dzwoni do drzwi – dodała.

– Rzeczywiście, masz rację, Stieg nie miał potomstwa – ciągnęła Anne niezrażona.

– Posłuchaj – przerwała jej Annika. – Dzwon na moją komórkę, telefon stacjonarny ostatnio szwankuje. A teraz już naprawdę muszę kończyć...

Schyman nie przyszedł sam. Towarzyszyła mu Berit Hamrin.

Annika weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i zaczęła się ubierać.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego mniej ją krępowało paradowanie półnago przed sekretarzem ministra niż przed własnym szefem.

Schyman przyniósł całą stertę gazet: oczywiście „Kvällspresen”, poza tym „Konkurrenten”, oba poranne dzienniki i kilka darmowych gazetek. Położył je wszystkie na stole przy kanapie. Upadły z hukiem, wzniecając kurz. Na samym wierzchu leżało „Kvällspresen”. Ze zdjęcia na pierwszej stronie uśmiechał się do niej Thomas w ciasno zawiązanym krawacie.

Było to oficjalne zdjęcie Thomasa ze strony ministerstwa. Nie lubił go. Uważał, że wygląda na nim jak karierowicz.

– Jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać – powiedział Schyman. – Przemysł to dobrze, nie musisz odpowiadać od razu.

Annika wzięła do ręki gazetę: Ojciec dwójki dzieci zakładnikiem w Kenii.

Podłoga zaczęła jej uciekać spod nóg, puściła gazetę, jakby ją parzyła.

Berit podeszła do niej, objęła ją. Chyba po raz pierwszy w życiu. Wiedziała, że tego nie lubi.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała. – Tylko musisz przez to przejść.

Annika kiwnęła głową.

– Może kawy? – zaproponowała.

– Chętnie – powiedział Schyman i skinął głową.

– Ja dziękuję – odpowiedziała Berit. – Właściwie to przyszedłam zaproponować dzieciom spacer do Kronobergsparken.

Dzieci wydały okrzyk radości i od razu zaczęły się ubierać.

Annika poszła do kuchni, drżącymi rękami nastawiła wodę. Słyszała, jak mężczyźni rozmawiają, ale nie była w stanie zrozumieć, o czym mówią. Berit pomagała Ellen włożyć buty.

– A może poszłabyś z nami? – spytała.

Annika zatrzymała się w drzwiach do holu.

– Chyba się nie odważę zostawić ich tu samych – zażartowała z uśmiechem, patrząc w stronę dużego pokoju. – Muszę mieć kontrolę nad tym, co tu się dzieje.

– Wrócimy za godzinę – zapowiedziała Berit. – To wasze sanki stoją na klatce?

– Moje są te niebieskie! – zawołała Ellen.

Zniknęli za drzwiami. Tupanie ciężkich butów i gwar wysokich dziecięcych głosów.

Woda w czajniku bulgotała i szumiała, z głębi mieszkania dobiegały urywki rozmowy Schymana i Haleniusa. Spokojne, ale stanowcze głosy mężczyzn przywykłych do władzy, mężczyzn, którzy chcą pokazać, że kontrolują sytuację, że są skupieni, nie wpadają w panikę.

– ...zainteresowanie innych mediów jest oczywiście ogromne – powiedział Schyman zadowolony, ale jakby z rezygnacją.

Annika otworzyła lodówkę. Niewiele widząc, wpatrywała się w chłodną przestrzeń.

– ...w Nigerii szefowie zagranicznych spółek naftowych nazywani są *white gold* albo po prostu bankomatami ATM – powiedział Halenius, jak zwykle dobrze poinformowany.

Annika wyjęła śmietankę, mleko i pasztet, po chwili schowała wszystko z powrotem do lodówki.

– ...chcielibyśmy wiedzieć, czego możemy się spodziewać, jakie scenariusze są najbardziej prawdopodobne – mówił Schyman podniecony.

Annika włączyła elektryczną trzepaczkę, zaczęła ubijać śmietanę, mimo że miała jeszcze trochę z poprzedniego dnia. Mikser zagłuszył głosy. Zamknęła oczy, nie przestając ubijać. Śmietana niemal zamieniła się w masło. Malin już nie miała, wzięła więc konfitury, przełożyła je do miseczki. Nasypała rozpuszczalnej kawy do trzech kubków, zalała wodą. Wyjęła tacę, postawiła na niej trzy talerzyki, kubki z kawą, łyżeczki, mleko, cukier, miseczkę z konfiturami, bitą śmietanę, łopatkę do ciasta, widelczyki i ciasto, a raczej to, co z niego zostało. Talerz z ciastem ledwie zmieścił się na tacy, z trudem utrzymywała równowagę. Zatrzymała się na chwilę w holu.

– Jakie są szanse? – doszedł ją głos Schymana zza ściany.

– Raczej duże. Dziewięciu na dziesięciu zakładników przeżywa porwanie, chociaż ostatnio liczba ofiar śmiertelnych nieco wzrosła.

Co dziesiąty zakładnik umiera, pomyślała Annika i chwyciła mocniej tacę.

– Wracają w dobrym stanie?

W dobrym stanie?

– Kolejne dwadzieścia procent doznaje trwałego urazu...

Halenius zamilkł, kiedy weszła do pokoju.

– To ciasto stanowi zagrożenie dla życia – powiedział na widok tacy.

Annika postawiła ją na stoliku i usiadła w najdalszym końcu kanapy.

– Proszę – powiedziała.

Halenius i Schyman nałożyli sobie ciasta. Jej robiło się niedobrze na samą myśl o czymś słodkim. Sięgnęła po granatowy kubek ze złotym nadrukiem „The White House”. Bynajmniej nie został kupiony

w Białym Domu. Kupili go na straganie z pamiątkami, był równie prawdziwy jak chińskie volvo.

– Rozmawiamy o porwaniach, o kwestiach ogólnych – powiedział Halenius, wkładając do ust łyżeczkę ze śmietaną i konfiturami. – Chcesz posłuchać?

Jakby słowa mogły cokolwiek zmienić, w jakikolwiek sposób wpłynąć na sytuację zakładników.

Skuliła się w rogu kanapy. Halenius zjadł ciasto.

– Porywacze często znęcają się nad ofiarami – powiedział, nie patrząc na nią. – Co stanie się w tym konkretnym przypadku, tego oczywiście nie wiemy – dokończył.

– Jakie scenariusze są najbardziej prawdopodobne? – spytał Schyman.

Znów rozległ się dzwonek do drzwi. Annika podniosła się pośpiesznie.

– Może to koledzy z innych mediów – powiedziała.

W pierwszej chwili nie rozpoznała stojących na klatce mężczyzn. Stali milczący, szarzy, przyglądali się jej uważnie. Przypomniała sobie. Dwóch Hansów.

Nic nie mówiąc, zamknęła drzwi i wróciła do dużego pokoju. Miała wrażenie, że jej mózg się gotuje.

– Co to ma znaczyć? – spytała. – Urządziliście tu filię kancelarii premiera?

Halenius wstał, spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Za drzwiami stoi dwóch Hansów – powiedziała, wskazując na drzwi do mieszkania. – Zaczynam mieć tego dosyć. Powiedz im, żeby sobie poszli.

– Pewnie chcą...

– Niech napiszą mejla – przerwała mu i wyszła do łazienki.

Słyszała, jak Halenius wychodzi na klatkę i rozmawia z urzędnikami. Potem wrócił, sam, zamknął drzwi i poszedł do pokoju.

– Koledzy z ministerstwa – powiedział przepraszającym tonem do Schymana.

Nogi fotela zaszurały po parkiecie.

– Możesz zaryzykować jakąś hipotezę? – spytał jej szef.

– To zależy od rodzaju przestępstwa. Jeśli porwanie ma podłoże czysto finansowe, zwykle wszystko przebiega stosunkowo gładko. Sytuacja się komplikuje, gdy mamy do czynienia z porwaniem z powodów politycznych.

– Daniel Pearl – rzucił Schyman.

Annika zamknęła drzwi łazienki.

Zajmowała się tą sprawą, kiedy była korespondentką w Stanach. Daniel Pearl, dziennikarz, szef biura „Wall Street Journal” na południowowschodnią Azję, został porwany przez Al-Kaidę w styczniu 2002 roku. Dziewięć dni później został ścięty. Taśma z nagraniem z egzekucji krążyła w sieci jeszcze kilka lat, może nadal krąży. Trzy minuty trzydzieści sześć sekund obrzydliwej propagandy. Zmusiła się, żeby to obejrzeć. Pearl mówił do kamery, nagi od pasa w górę, wokół jego twarzy umieszczono zdjęcia zmarłych muzułmanów. Po minucie i piętnastu sekundach podszedł do niego jakiś mężczyzna i poderżnął mu gardło. Ostatnią minutę nagrania wypełniła lista żądań politycznych, tekst pokazywano na tle ściętej głowy dziennikarza. Ktoś stał i trzymał ją w ręku, za włosy.

– Zakładniczki często są gwałcone. – Z pokoju dobiegał głos Haleniusa. – Mężczyźni zresztą też. W Meksyku obcina się zakładnikom uszy albo place i przesyła rodzinie. Na terenie byłego Związku Radzieckiego wrywa się im zęby...

– A w Afryce Wschodniej? – spytał Schyman niemal szeptem.

Annika wyprostowała się, nastawiła uszu. Halenius odchrząknął.

– Nie dysponuję dokładnymi danymi, ale zgonów jest dużo. Dranie mają broń, zakładnicy często zostają zastrzeleni. W Somalii często dokonuje się okaleczeń. Kobiety poddaje się rytualnemu obrzezaniu...

Annika odkręciła kran nad umywalką, woda leciała i obmywała jej dłonie. Głosy utonęły w szumie. Chciało jej się płakać, w końcu jednak złość wzięła górę.

Są jakieś granice. Nie chce słuchać o okaleczonych ludziach. Potrzebuje pomocy, ale nie za wszelką cenę. Nie może czuć się odpowiedzialna za całą przemoc świata. Uznała, że nie chce dzielić domu i sypialni z obcymi facetami.

Zakręciła wodę, wytarła ręce, otworzyła drzwi i wyszła.

– Porywacze mogli mieć różne motywy, zarówno finansowe, jak i polityczne – mówił Schyman, kiedy przechodziła obok niego, żeby usiąść na kanapie.

Halenius odsunął nogi, żeby ją przepuścić.

– Jedne nie muszą wykluczać drugich. Mając na uwadze sytuację polityczną w całej wschodniej Afryce...

Annika opadła na poduszki w swoim kącie kanapy, wyjrzała przez okno na niebo. Mróz sprawił, że wyglądało jak szkło. Żeby tylko dzieci nie zmarzły w parku, pomyślała. Przypomniała sobie, jak kiedyś zimą odmroziła sobie lewą stopę, u babci, w jej domku w Harpsund, w Lyckebo. Babcia przez wiele lat była gospodynią w weekendowej rezydencji premiera. Do dzisiaj miała problemy z tą stopą, palce sztywniały i robiły się białe za każdym razem, kiedy przemarzła. Kiedy Thomas zobaczył to pierwszy raz, tak się przestraszył, że chciał wzywać karetkę. Takie cielesne dolegliwości go przerastały. Ale w Somalii na pewno nie marznie, pomyślała Annika. O tej porze roku jest tam strasznie gorąco. Przypomniała sobie zdjęcia satelitarne: spalona ziemia w okolicach Liboi...

–...a także uwarunkowania geograficzne i kulturowe... – usłyszała głos Haleniusa.

– A porywacze? – Schyman wszedł mu w słowo. – Co to za ludzie?

– Na całym świecie są mniej więcej tacy sami. Zwykle działają w niewielkiej grupie, osiem, góra dziesięć osób, na czele stoi silny przywódca. Członkowie grupy uważają się za zwykłych pracowników, chodzą do pracy, wolny czas spędzają z rodziną, czasem biorą urlop. Nierzadko się zdarza, że są to wręcz przyjaciele z dzieciństwa, ze studiów, członkowie jakiejś organizacji politycznej czy religijnej. Zwykle zaczynają od drobnych kradzieży w sklepach, napadów na banki czy innej działalności przestępczej.

Annika spojrzała na niego. Siedział w jej fotelu, odprężony, pewny siebie, w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, na bosaka, rozczochrany, z podwiniętymi rękawami koszuli.

Dla niego był to po prostu kolejny dzień pracy, pewnie nieco bardziej podniecający niż zwykle, bo nareszcie mógł się wykazać wiedzą, a rzeczywiście ją miał. Wiedział wszystko – o wszystkim.

– Porywacze działający z pobudek politycznych albo religijnych postępują nieco inaczej. Ich przywódcą jest zwykle ktoś dobrze wykształcony, ktoś, kto w czasie studiów dostrzegł nagle światło rewolucji i zapragnął zmienić świat. Niewykluczone, że zaczynał ze szlacheckich pobudek, ale potem, kiedy rozsmakował się w pieniądzach, zapłon polityczny ostygł.

– Czy to jest właśnie ten przypadek? – dopytywał się Schyman.

Halenius wypił ostatni łyk kawy.

– Tak sędzę. Drań, który do nas dzwonił, mówił poprawnym językiem, wschodnioafrykańskim angielskim, takim, jakim mówią ludzie z uniwersytetu w Nairobi.

– Skąd to wiesz? – zdziwiła się Annika. Jej oczy zwęziły się, były jak szparki.

Halenius spojrzał na nią.

– Moja była żona tam studiowała. W czasach apartheidu uniwersytety w Afryce Południowej nie były otwarte dla takich jak ona.

Annika poczuła, jak uchodzi z niej całe powietrze. Halenius miał żonę Afrykankę. Nie miała o tym pojęcia. Patrzyła na niego zdziwiona.

– SSU, Socjaldemokratyczna Młodzieżówka, była współorganizatorem kongresu młodzieżówki Afrykańskiego Kongresu Narodowego, ANC Youth League w Nairobi w 1989 roku. Ówczesny prezydent Kenii, Daniel arap Moi, właśnie zwolnił wszystkich więźniów politycznych, próbując w ten sposób wkraść się w łaski międzynarodowej opinii publicznej. Tam się spotkaliśmy. Moja była żona urodziła się i wychowała w Soweto – powiedział. Po chwili zwrócił się do Schymana: – Właśnie dlatego powierzono mi to zadanie. Znam język, rozumiem miejscowe dialekty.

– Mieszkałeś w Nairobi? – spytał Schyman.

– Tam wzięliśmy ślub. Potem, kiedy żona obroniła doktorat, przenieśliśmy się do Sztokholmu i zamieszkaliśmy na Söder.

– Ale potem się rozwiedliście?

– Ona pracuje teraz dla południowoafrykańskiego rządu. Prawdę mówiąc, mamy niemal równorzędne stanowiska, tylko że ona jest związana z tamtejszym ministerstwem handlu.

– Jak się nazywa? – przerwała mu Annika.

– Angela Sisulu.

Angela Sisulu. Brzmiało to niemal jak słowa piosenki.

– Jest może spokrewniona z Walterem Sisulu? – dopytywał się Schyman.

– Dalekie pokrewieństwo.

Annika słuchała z otwartymi ustami. Wiedzieli wszystko, a ona nie wiedziała nic.

– Kto to jest Walter Sisulu?

– Działacz ANC – powiedział Halenius. – Prawa ręka Nelsona Mandeli. Obaj zostali skazani w głośnym procesie politycznym w 1964 roku, a potem razem odbywali wieloletni wyrok więzienia na wyspie Robben. W 1991 roku, podczas pierwszego legalnego kongresu ANC, został wybrany na wiceprzewodniczącego partii. Zmarł w 2003 roku.

Schyman ze zrozumieniem pokiwał głową. Odebrała to jako cios wymierzony bezpośrednio w nią. Bo ona nie znała na pamięć imion i nazwisk wszystkich byłych przywódców Afrykańskiego Kongresu Narodowego, nie miała doktoratu, nie wychowała się w Soweto. Dorastała na Tattarbacken w Hälleforsnäs, a studia w Wyższej Szkole Dziennikarstwa kosztowały ją wiele wysiłku. Oni siedzieli teraz w jej salonie, na kanapie poplamionej dziecięcym jedzeniem, i wygłaszali górnolotne uwagi o problemach świata, rozważając przy okazji różne hipotezy dotyczące porwań. Trudno jej było się z tym pogodzić, ale było to jak najbardziej realne i odbijało się na całej jej rodzinie, czy jej się to podobało, czy nie.

– O czym chciałeś ze mną rozmawiać? – spytała Schymana.

Schyman się odwrócił, spojrzał na nią.

– Poinformowałem o twojej sytuacji szefa zarządu. Zgodził się, żebyśmy ci pomogli. Jeśli dobrze zrozumiałem, wcześniej czy później będziesz musiała zapłacić okup. Redakcja chce ci przedstawić propozycję, dzięki której będziesz mogła to zrobić.

Annika otworzyła szeroko usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale słowa nie przechodziły jej przez gardło. Zaniemówiła. Czyżby redakcja chciała zapłacić okup za Thomasa?

– Ile? – spytała w końcu.

– Tyle, ile będzie trzeba – odpowiedział Schyman.

– Żądają czterdziestu milionów dolarów – powiedziała Annika i natychmiast poczuła na sobie karcące spojrzenie Haleniusa.

Schyman zbladł.

– Jeśli dojdzie do przekazania okupu, na pewno będzie to znacznie mniejsza kwota – uspokoił go Halenius. – Bardzo proszę, żebyś nikomu o tym nie mówiła – zwrócił się do Anniki.

Schyman skinął głową.

– Co miałabym zrobić? – dopytywała się Annika.

– Gazeta otrzymałaby wyłączność na wszystko. Możesz sama opisać całą historię albo filmować swoje wypowiedzi, możesz też poprosić, żeby zrobił to wybrany przez ciebie dziennikarz. Towarzyszyłby ci podczas negocjacji czy ewentualnej podróży do Afryki. Jeśli dojdzie do sytuacji zagrożenia życia, oczywiście poczynimy odpowiednie kroki. Chodzi nam o rzetelną dokumentację przebiegu zdarzeń. Łzy, tęsknota, ból, ulga, radość.

Annika odchyliła się do tyłu, oparła się o kanapę. Jasne. Powinna była od razu się domyślić. Poczuła, że robi jej się niedobrze, może dlatego, że od rana nic nie jadła.

– Mam też prowadzić bloga? – spytała. – Proponuję, żeby się nazywał „Życie mamy dzieci zakładnika”. Chcesz, żebym zamieszczała zdjęcia?

Wstała, rozlała kawę na stół.

– Codziennie będę robiła dzieciom zdjęcia, żeby pokazać, jak usychają z tęsknoty za tatusiem. I opisywała, jak każdej nocy brakuje mi jego miłości. Seks świetnie się sprzedaje, prawda? A może mogłabym też prowadzić bloga z modnymi ubraniami żałobnymi? Blogi z modą są szalenie popularne.

Ruszyła do holu, oślepiona łzami. Potknęła się o grę telewizyjną Kallego. Schyman rozłożył ręce.

– Annika...

Poszła do łazienki. Otworzyła drzwi, znów się potknęła, tym razem o próg, weszła, zamknęła za sobą drzwi. Stała chwilę w ciemnościach, czuła, jak jej tętno wypełnia całą przestrzeń.

– Annika? – usłyszała głos Schymana za drzwiami.

- Odejdź.
 - Zastanów się nad tym. To tylko propozycja. Nie musisz jej przyjąć.
- Nie odpowiedziała.

* * *

Oddech Duńczyka stawał się coraz bardziej chrapliwy i rzęzący, przy każdym wydechu jęczał. Jego pierś unosiła się nieregularnie. Chociaż leżał obok mnie, nie byłem w stanie dostrzec rysów jego twarzy. W szopie, w której nas teraz zamknięto, było ciemniej niż w chacie, w której nas wcześniej trzymano. Nie było okien ani w ogóle żadnych otworów, światło wpadało przez szpary w blaszanej ścianie. Drzwi były jak błyszczący czworokąt w mroku, właściwie nie były to drzwi, tylko kawał blachy wstawiony w otwór i zablokowany jakimś pałąkiem albo kamieniem.

Udało mi się położyć tak, żebym nie musiał leżeć na dłoniach, ale też żebym nie miał twarzy tuż przy klepisku. Oparłem głowę o kamień, który przez przypadek znalazł się obok mnie. Przeniosłem ciężar ciała na prawe ramię i lewe kolano, leżałem na boku ze związanymi rękami i nogami.

Nie wypróżniałem się. Co za ulga, chociaż pewnie nie wróżyło to nic dobrego. Po prostu od jakiegoś czasu nic nie jadłem ani nie piłem. Miałem wrażenie, że od czasu do czasu tracę przytomność.

Hiszpan i Rumun w ogóle się nie ruszali. Może spali.

Powietrze w szopie drżało z gorąca. W ustach miałem smak piasku.

Nikt z nas nie wspomniał o Francuzie.

Powędrowałem myślami do Catherine, która razem z Niemką była w drugiej chacie. Nie mogłem już być dla niej wsparciem, została sama. A może od początku była sama? Bo w czym mogłem jej pomóc?

Łzy paliły mi oczy, podrażnione piaskiem i ziemią.

W ciemnościach majaczyła postać Anniki. Miałem wrażenie, że jest blisko mnie. Uśmiechała się do mnie, jak zawsze, niepewnie, jakby z lekkim wahaniem, jakby nie do końca wiedziała, czy ma prawo się cieszyć, czy w ogóle ma prawo istnieć. Może trudno w to uwierzyć,

ale jest krucha i wrażliwa. A ja byłem wobec niej bezduszny. Wiedziałem, że ją ranię, i to mnie irytowało, złościło. Sprawiała, że czułem się osaczony, złapany na gorącym uczynku. Stałem przed nią, a ona wpa-trywała się w wieczność za mną. Potrafi przejrzeć człowieka, wychwytuje słabości. To bywa trudne, niekiedy krępujące. Nie twierdzę, że właśnie dlatego byłem z tymi wszystkimi kobietami, bo to by znaczyło, że ją o to obwiniam, a tak nie jest. A te inne kobiety – nie było ich wcale tak dużo, co oczywiście nie jest żadnym usprawiedliwieniem – co one mi dawały? W ich oczach widziałem akceptację. Dostarczały mi rozrywki. Adrenalina, szczęście, a potem poczucie pustki. Widziały mnie przez krótką chwilę, tak naprawdę w ogóle mnie nie widząc.

Co jest ze mną nie tak?

Dlaczego ranię tych, których najbardziej kocham?

* * *

Berit wróciła z dziećmi. Hałas, buty pełne śniegu.

Annika zrobiła duszonego dorsza z krewetkami, ze śmietaną, pie-truszką i białym winem. Do tego ryż. Nie było to ulubione danie Kal-lego. Zwykle zjadał dorsza, a krewetki odkładał na bok.

Halenius jadł w sypialni – w centrali dowodzenia – Berit zjadła z nimi w kuchni. Dzieci, przekrzykując się, opowiadały o śniegu, o sankach i o tym, jakie to dziwne uczucie nie być w szkole w zwykły, powszedni dzień. Pod koniec, kiedy wszyscy czekali już tylko na Ellen, Kalle nagle spowaźniał, jakby zapadł się w siebie. Czasem mu się to zdarzało.

– Co się stało, synku? – spytała Annika.

– Myślę o tacie.

Objęła go i zaczęła kołysać. W końcu Ellen zjadła i odstawiła talerz do zlewu. Kalle wyswobodził się z objęć Anniki i poszedł do swojego pokoju oglądać film. W piątkowe popołudnie było to czymś niesłychanym, niezależnie od okoliczności.

– Przejrzałaś gazety? – spytała Berit, myjąc garnek po rybie.

– Nie wiem, czy mam ochotę – odpowiedziała Annika.

– Napisałam artykuł o matce, której ciało znaleziono niedaleko przedszkola w Axelsberg. Trafił mi się wczoraj gadatliwy śledczy.

– Zatrzymali już ojca?

– Wygląda na to, że ma alibi. W pracy odbija kartę. Całe przedpołudnie spędził w drodze do Upplands-Väsby.

– Tak twierdzi – Annika weszła jej w słowo.

– Jego komórka to potwierdza.

Annika rozłożyła ręce, woda ze ścierki ochlapała okno.

– Czy to takie trudne zostawić komórkę w czyimś samochodzie? Albo wyłączyć ją we właściwym momencie, żeby na chwilę zniknąć i zadźgać byłą?

Berit naląła wody do czajnika.

– Wszędzie wieszysz spiski.

– Wcale nie – zaprotestowała Annika. – Złodzieje i mordercy na ogół nie są specjalnie bystrzy, ale gdybyś ty zamierzała kogoś zamordować, nie wyłączyłabyś komórki?

Berit zamarła z łyżeczką pełną rozpuszczalnej kawy.

– Punkt dla ciebie – stwierdziła.

Annika włączyła dzieciom film *Gdzie jest Nemo?* Miały w pokoju własny telewizor. Kupiła go tuż przed wyjazdem do Stanów. Po powrocie Thomas kupił plazmę i stary odbiornik wyłądował u dzieci. Zostawiła je więc same przed telewizorem i wróciła do kuchni, niosąc w rękę lampkę na biurko.

– Schyman przedstawił mi pewną propozycję – powiedziała.

Usiadła przy kuchennym stole, sięgnęła po kubek z kawą.

– Redakcja zapłaci okup, jeśli zgodzę się wszystko opisać i dać „Kvällspresen” wyłączność.

Berit skinęła głową.

– Wiem. Prosił, żebym spróbowała cię do tego przekonać. Zgodzisz się?

Annika powiodła wzrokiem po kuchni, z której teraz miała wszystkim zarządzać. Odpowiadała za logistykę, miała pilnować, żeby w domu było jedzenie, woda i zawsze naładowane komórki.

– Przedstawił to tak, jakby to było coś, z czego powinnam się cieszyć. Jakby eksponowanie własnej tragedii miało być powodem do

szczęścia.

- Chce ci pomóc.
- Nie pójdę na to. Nigdy w życiu.
- Jeśli chcesz, możesz mi wszystko opowiedzieć, a ja to opiszę.

Annika się uśmiechnęła.

- Jestem ci wdzięczna, ale nie, dziękuję.

Usłyszała, jak za ścianą dzwoni komórka Haleniusa. Odebrał i zaczął mówić cichym głosem. Miała wrażenie, że mówi po angielsku, ale nie potrafiła wychwycić słów. Wstała i postawiła kubek z niemal nietkniętą kawą na blacie, obok zlewu.

– Chodźmy do pokoju. Tyłek mnie boli od siedzenia na tych krzesłach.

Berit na sztywnych nogach ruszyła za nią.

- Nigdy nie pomyślałaś, żeby kupić nowe?
- Te są jeszcze z domu rodziców Thomasa.
- No tak – przytaknęła Berit i podeszła do kanapy.

W pokoju Haleniusa nie było słyhać tak wyraźnie, ale nadal go słyszała i nadal miała wrażenie, że słyszy angielski.

Skuliła się na kanapie, ze sterty gazet leżącej na stoliku wzięła „Kvällspressen”. Szybko przerzuciła strony z informacjami o Thomasie. Sześć, w tym dwie ze zdjęciami Thomasa, jej i dzieci.

– Świetnie – powiedziała nieco zgryźliwie. – Tym bardziej, że tak naprawdę to zupa na gwoździu, a nawet i to nie.

W artykułach była mowa o konferencji w Nairobi, o samym mieście, o centrum konferencyjnym Kenyatta, o działalności Frontexu, o Thomasie i jego bardzo ważnej pracy, o szwedzkiej komisarz unijnej odpowiadającej za Frontex, o nagraniu, które wrzucono na serwer w Mogadiszu, no i o samym Mogadiszu, o Somalii, o toczących się tam walkach. Opublikowano też listę ostatnich porwań. O Danielu Pearlu nie wspomniano.

– Elin Michnik to prawdziwa gwiazda – powiedziała Berit. – Chłopcy z działu wiadomości uparli się, że jest spokrewniona z Adamem Michnikiem z „Gazety Wyborczej”, ale to nieprawda.

Annika nie miała pojęcia, co to jest „Gazeta Wyborcza”, ale nie za-

mierzała się tym przejmować.

– Zapomniała o Danielu Pearlu – powiedziała tylko, przerzucając kolejne kartki.

Artykuł o zamordowanej matce znalazła na stronach piętnastej i szesnastej. Berit opisała trzy podobne przypadki, które miały miejsce w Sztokholmie jesienią.

– Wierzysz, że to może być seryjny morderca? – spytała Annika.

Uniosła gazetę, otwartą na stronie z artykułami. TRZY MARTWE KOBIETY, TRZY CIOSY NOŻEM W PLECY – krzyczał tytuł.

Berit wypła łyk kawy z kubka, który zabrała ze sobą do pokoju. Postawiła go na stoliku stojącym przy kanapie.

– Nie wierzę – stwierdziła zdecydowanie. – Poza tym to nie do końca prawda. Ta kobieta, ta młoda dziewczyna znaleziona na plaży w Arninge, dostała pięćdziesiąt cztery ciosy. Nie tylko w plecy. Także w klatkę piersiową, w bok i w łono.

W pokoju obok, w centrali dowodzenia, Halenius zakończył rozmowę. W pokoju dzieci Nemo znalazł się w akwarium dentysty z Sidney.

Annika przeleciała szybko wzrokiem artykuł o młodej imigrantce.

– Jej chłopak nadal przebywa w areszcie – powiedziała Berit. – Jeśli zostanie skazany, będzie też prawdopodobnie wydalony ze Szwecji. Przyjechał tu jako uchodźca, kiedy miał piętnaście lat. Nie dostał pozwolenia na pobyt. Miał zostać wydalony, ale uciekł z obozu dla uchodźców i gdzieś się ukrył. Ukrywał się cztery lata. Rok temu zaręczył się z kuzynką i wtedy się ujawnił.

Zadzwonił telefon stacjonarny. Annika znieruchomiała. Jej słuch wyostrzył się tak bardzo, że słyszała, jak z kranu w kuchni kapie woda i jak Halenius stuka w klawiaturę, uruchamiając sprzęt nagraniowy. Po chwili usłyszała, jak mówi: Halo? Bicie jej serca zagłuszyło wszystko i nie była w stanie zrozumieć nawet jednego słowa ani nawet powiedzieć, w jakim języku Halenius mówi. W końcu usłyszała, jak odkłada słuchawkę. Po chwili wszedł do pokoju. Zauważyła, że włosy sterczą mu na wszystkie strony. Przez bicie serca usłyszała, jak mówi:

– Sophia Grenborg chce z tobą rozmawiać. Powiedziałem, że do niej zadzwonisz.

Położył jej na kolanach karteczkę z numerem telefonu i wrócił do sypialni, a ona nagle zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze będzie w stanie tam spać.

Po chwili jej serce trochę się uspokoiło. Zaraz po porywaczach Sophia Grenborg była ostatnią osobą, z którą miała ochotę rozmawiać.

Sięgnęła po służbową komórkę: czternaście nieodebranych połączeń. Uznała, że musi szybko wybrać numer, bo jeszcze chwila, a się rozmyśli.

– Annika? – usłyszała łamiący się głos kobiety, z którą Thomas kiedyś kręcił na boku.

– Czego chcesz, do cholery? – warknęła Annika, czując nagły przypływ adrenaliny.

Sophia płakała w słuchawkę.

– Tak mi przykro – wydusiła w końcu.

Że też miała czelność!

– Biedaczka.

– Przepraszam, że dzwonię i ci przeszkadzam, ale musiałam się dowiedzieć, co się stało. To prawda, co piszą w gazetach? Porwano go? Jest zakładnikiem? Wiecie, gdzie jest?

– Tak, to prawda. Nie, nie wiemy, gdzie jest. – Annika nie mogła spokojnie usiedzieć na kanapie, wstała. – Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

Sophia wytarła nos, zaczerpnęła powietrza.

– Wiem, że jesteś na mnie zła, ale przecież w końcu to ty wygrałaś.

Annika poczuła się zbita z tropu. Chciała coś powiedzieć, ale tylko ze zdziwieniem przełknęła ślinę.

– Wybrał ciebie – ciągnęła Sophia. – Ciebie i dzieci. Ja byłam tylko przerywnikiem. Myślę o nim codziennie, ale nie sędzę, żeby on kiedykolwiek myślał o mnie. Podejrzewam, że nigdy tego nie robi. A teraz nie ma mi nawet prawa być smutno.

Znów się rozplakała.

Annika zamrugła oczami. Berit przyglądała się jej uważnie. Po chwili Annika usiadła.

– Masz prawo być smutna – powiedziała.

– Ktoś ci pomaga? Co powiedzieli w ministerstwie? Coś wiedzą? Przekazali ci coś?

Annika spojrzała w stronę sypialni.

– Nic jeszcze nie wiem – skłamała i nagle poczuła się winna.

W słuchawce zapadła cisza. Sophia przestała płakać.

– Przepraszam, że zadzwoniłam. Nie chcę ci się narzucać.

– W porządku – zapewniła ją Annika. Szczerze.

– Jak dzieci? Co mówią? Bardzo to przeżywają?

Annika uznała, że Sophia Pieprzona Grenborg dotarła do granicy, której nie pozwoli jej przekroczyć.

– Oglądają film. O Nemo – powiedziała.

– Rozumiem – odpowiedziała Sophia Grenborg.

Znów zapadła cisza. Sophia odchrząknęła.

– Gdybym mogła coś zrobić, w czymś ci pomóc, mam na myśli jakieś praktyczne sprawy...

Może zastawisz swoją kamienicę na Östermalm, żebyśmy mieli na okup? – pomyślała Annika.

– Nie dzwoń na nasz stacjonarny telefon. Nie chcę, żeby był zajęty, na wypadek gdyby Thomas zadzwonił.

– Oczywiście – wyszeptała Sophia. – Przepraszam. Pozdrów dzieci.

Raczej wątpliwe.

Rozłączyła się.

– Nie chciałabym mieć cię za wroga – odezwała się nagle Berit.

– Gdyby mi nie zabrała męża, byłabym łagodna jak baranek.

– Hm... – skwitowała Berit. – Męża ci nie zabiorę, ale mogłabym wziąć dzieci na weekend. Co ty na to?

Berit miała stadninę niedaleko Norrtälje. Trzymała tam tylko konie sąsiadów i psa, labradorkę Sorayę. Kalle i Ellen często ją odwiedzali. Kiedyś, po pożarze domu w Djursholmen, Annika mieszkała tam przez jakiś czas z dziećmi, w domku gościnnym.

Poczuła, jak się odpręża, jak opadają jej ramiona.

W pokoju dzieci Nemo właśnie spotkał się z tatą, w porcie w Sydney.

* * *

Komary na Gällnö były wielkie i głośne. Brzmiały niemal jak diabel-

skie odrzutowce, kiedy w letnie noce krążyły po moim pokoju. Bzzz, bzzz, rozlegało się bez przerwy. Ale nie były niebezpieczne. Kiedy zapadała cisza, zapalałem światło i zaczynało się polowanie. Byłem niezły, celowałem w te najbardziej opite krwią. Zostawiały na tapecie w róże wielkie plamy. Mama krzyczała na mnie, narzekała, że niszcze tapetę, i oczywiście miała rację, bo z czasem tapeta przy moim łóżku nabrała głębokiego rdzawego odcienia.

W szopie, w której nas zamknięto, było więcej komarów niż w poprzedniej. Były znacznie mniejsze niż te na Gällnö i nie wydawały dźwięków. Wirowały w ciemnościach niczym drobinki kurzu, słyszałem je tylko, gdy któryś nieopatrznie wpadł mi do ucha. Zdarzyło się to kilka razy. Za to w ogóle nie czułem ukłuć. Dopiero potem, kiedy miejsce, w które wpuściły jad, spuchło do rozmiarów połowy piłki tenisowej i zaczynało okropnie swędzieć. Próbowałem pocierać te miejsca o ziemię, czasem mi się udawało i wtedy czułem ulgę.

Byłem zgrzany, spocony, jakby gorąco pochodziło gdzieś z mojego wnętrza i wychodziło ze mnie wszystkimi porami.

– Jest tu malaria? – spytał Rumun. – Występuje tu malaria? – powtórzył.

Nadal nie wiedziałem, jak się nazywa, a teraz nie bardzo wypadało go o to pytać. Wtedy by się wydało, że nie dosłyszałem jego nazwiska, kiedy mi się przedstawił, albo, co gorsza, zapomniałem, jak brzmi.

– Owszem – odpowiedział Hiszpan. – Ale te komary nie są niebezpieczne. To nie *Anopheles*, nie przenoszą malarii. Samice komarów z rodzaju *Anopheles* nie są aktywne w ciągu dnia, tylko wieczorami, w nocy i nad ranem. Ale malaria na pewno tu występuje. Co prawda jest tu trochę za sucho, ale za to bardzo gorąco, i to wystarczy. Nie ma wątpliwości, że jest tu malaria...

Powróciła nadzieja. Podano nam wodę i jedzenie, *ugali* i warzywo przypominające nieco szpinak, ugotowany w posolonej wodzie. Było nawet smaczne, chociaż woda nie była zbyt czysta. Tylko Duńczyk nie chciał jeść. Wypił trochę wody, a potem leżał bez ruchu, oddychając z trudem, bardzo płytko. Ale nie rzeził już tak bardzo. Przyjeliśmy to z ulgą.

Podtrzymywano nas, żebyśmy mogli po kolei oddać mocz i wypróż-

nić się do stojącego w kącie wiadra. Piekło i bolało, i strasznie cuchnęło. Kiedy któryś z nas się załatwiał, inni odwracali głowy, jakbyśmy zawarli cichą umowę.

– To pasożyt, prawda? – spytał Rumun. – Malaria to choroba pasożytnicza, pierwotniak, który dostaje się do krwi.

– *Plasmodium* – potwierdził Hiszpan. – Malaria to rodzaj gry między samicą komara a człowiekiem. Do zakażenia dochodzi przez ślinę, a komary, które przenoszą malarię, występują niemal w całej Afryce na południe od Sahary.

– Ile czasu musi minąć, zanim człowiek zachoruje? – spytałem, mając na myśli trawiącą mnie gorączkę.

– W ciągu pół godziny pasożyt dociera do wątroby, ale pierwsze objawy pojawiają się dopiero po sześciu dniach. Czasem trwa to znacznie dłużej, nawet kilka lat...

– *Hakuna majadiliano!* – zawołał jeden ze strażników. Miałem wrażenie, że ten wysoki.

Spojrzeliliśmy po sobie. Nikt nie wiedział, co to znaczy. Nie było Catherine, która mogłaby nam przetłumaczyć. Nagle przyszło mi do głowy, że zabrzmiało to jak *hakuna matata* z piosenki Disneya. Dzieci miały taki film na DVD. Chyba *Król Lew. Hakuna matata*. Słowa dobrze mi się kojarzyły. *Hakuna matata*. Czy to mogło być coś radosnego?

W szopie zapanowała absolutna cisza. Nawet oddech Duńczyka był niemal niesłyszalny. Milczeliśmy w ciemnościach.

Nagle ktoś pociągnął za drzwi. Rozległ się hałas, czworokąt się przesunął, do środka wpadło trochę światła, jak promień lasera. Oślepiło mnie. Nic nie widziałem, ale słyszałem, że kilku strażników weszło do szopy. Usłyszałem, jak mówią: *moja ni hapa*, i jeszcze: *nyakua naye kwa miguu*. Poczulem powiew powietrza, domyśliłem się, że biorą Rumuna. Chwycili go za nogi i ręce i zaczęli ciągnąć do wyjścia. Słyszałem, jak cicho pojękuje, może z bólu, a może ze strachu.

Nie rozmawialiśmy o Francuzie. Nie wspomnieliśmy o nim ani słowem.

Jakby tamta historia w ogóle się nie zdarzyła.

A teraz zniknął także Rumun. A ja nadal nie wiedziałem, jak się na-

zywa.

Otwór został zasłonięty. Ciemność powróciła, bardziej dojmująca niż przedtem.

Zimny dreszcz wstrząsnął moim ciałem.

* * *

Anders Schyman podrapał się w brodę.

Nie mogą pozwolić, żeby ktoś inny przejął inicjatywę. Mają na tapecie dwa duże tematy, muszą pilnować, żeby ktoś ich im nie odebrał. Pierwszy to oczywiście porwanie Thomasa, drugi to potencjalny seryjny morderca grasujący na sztokholmskich przedmieściach. Patrik zadzwonił w kilka miejsc i w końcu udało mu się dotrzeć do inspektora policji, który przyznał, że są „pewne punkty zbieżne” łączące wszystkie trzy przypadki: ofiary to kobiety, wszystkie zostały zamordowane na otwartej przestrzeni, wszystkie zginęły od ciosów nożem i wszystkie pochodziły ze Sztokholmu. Nagrał rozmowę z inspektorem. Kiedy potem przesłuchiwali nagranie w redakcji, Schyman nie był pewien, czy policjant mówił serio, czy sobie drwił. Tak czy inaczej, uznali, że mają zielone światło. W jutrzejszym wydaniu spokojnie mogą napisać o seryjnym mordercy. Jeśli w sprawie zakładników nie wydarzy się nic spektakularnego, mają temat rezerwowy.

Schyman zaczął siorbać kawę. Zwykle pił kawę do czwartej po południu, potem przechodził na bezkofeinową, inaczej nie mógłby w nocy spać.

Zastanawiał się, co może napisać o porwaniu. W poprzednim wydaniu wystrzelali się ze wszystkich informacji. W kolejnym mogliby oczywiście do niektórych wrócić, podać je w nieco innym opakowaniu, co zresztą często robili, ale i tak potrzebowali czegoś nowego.

Wiedział, że nie może wykorzystać tego, czego się dowiedział od Haleniusa. Halenius wypowiadał się *off the record*. Dziennikarze zwykle wiedzieli znacznie więcej, niż mogli ujawnić, czy to w gazetach, czy w mediach elektronicznych. Wiele informacji o żonach polityków skazanych za oszustwa, o problemach gwiazd z narkotykami, o przedłużających się w nieskończoność policyjnych dochodzeniach musieli

zachować dla siebie.

Jednym z jego pierwszych zleceń, kiedy zaczynał jako wakacyjny stażysta w redakcji „Norrländska Socialdemokraten” w Älvsbyn, było śledzenie policyjnego polowania na złodziei, którzy wysadzali w powietrze bankomaty. Tuż po pierwszym takim napadzie w różnych miejscach, w sklepach i restauracjach w północnej części kraju zaczęły się pokazywać banknoty w trochę dziwnym odcieniu i o dość nieprzyjemnym zapachu. Nie przebarwiła ich farba z umieszczonych w bankomatach pojemników, które pękały w momencie wybuchu. Wiadomo było, że przyczyna jest inna, ale policja nie potrafiła dociec jaka. W kolejnych miesiącach duże ilości przebarwionych cuchnących szwedzkich banknotów zaczęły się pojawiać w innych częściach Europy, między innymi w Grecji. Policja nadal była bezradna. W końcu jednak, po niemal roku, udało się ustalić, co naprawdę się wydarzyło. Złodzieje, którzy wysadzali bankomaty i których policja już wcześniej miała na oku, przechowywali skradzione pieniądze w truchłach padłych zwierząt. Brązowe przebarwienia były wynikiem działania krwi, nieprzyjemny zapach nadały im resztki rozkładających się ciał. Młody reporter Anders Schyman miał stały dostęp do wyników śledztwa, pod warunkiem że nie opublikuje niczego bez zgody policji. Ponieważ nigdy jej nie otrzymał, historia ta nigdy nie ujrzała światła dziennego. Dlaczego okazał się taki lojalny? I dlaczego policja nie chciała, żeby sprawa wyszła na jaw? Może zamierzała ukryć swoje błędy? Tak było? Niewykluczone, bo sprawcy nigdy nie trafili za kratki.

Schyman pokręcił głową. Dlaczego nagle przypomniała mu się ta historia sprzed lat?

Jeszcze raz spojrzął na plan kolejnego wydania, czy raczej na jego wizję. Zaplanowali artykuły o pozostałych zakładnikach, co jednak czytelników „Kvällspresen” mogło interesować równie mocno, jak zesłoroczny śnieg. Temat nadawałby się na pierwszą stronę pod warunkiem, że któryś z nich zostałby zgładzony, co z kolei pewnie byłoby złą wróżbą dla Thomasa Samuelssona, człowieka, na którego szerokich ramionach spoczywało bezpieczeństwo całej Europy.

Schyman rzucił okiem na zagraniczne serwisy prasowe. Zauważył

zdjęcie żony Rumuna. Można je było kupić od jednej z paryskich agencji fotograficznych. Mogli je opublikować, pozwalając, żeby czytelnicy myśleli, że to zdjęcie Anniki. Oczywiście w pewnym momencie prawda wyjdzie na jaw, ale sprzedaż na pewno wzrośnie.

Spojrzał na zegarek.

Miał jeszcze kilka minut na podjęcie decyzji. Nie wierzył w cuda, ale postanowił poczekać. Może coś się jeszcze wydarzy.

Dopił kawę, wstał i ruszył do działu wiadomości.

* * *

Annika wyszła na ulicę i głęboko zaczerpnęła powietrza. Było przeraźliwie zimno. Niebo było niemal błękitne, czyste, bez jednej chmurki, słońce właśnie zaczynało zachodzić za siedzibą samorządu krajowego. W dole, na ulicy, między kamienicami, panował już półmrok.

Śnieg trzeszczał jej pod nogami. Zanim wyszła z domu, włożyła czapkę, czuła, jak swędzi ją głowa. Ulice nadal były nieodśnieżone.

Siedziba Handelsbanken znajdowała się dwie przecznice dalej, przy Flemingatan, niedaleko dawnego przedszkola dzieci. Kilka lat wcześniej założyła tam konto i potem właściwie już tam nie bywała. Teraz umówiła się z doradcą, na piętnastą piętnaście. Kobieta, z którą rozmawiała przez telefon, powiedziała jej najpierw z wyższością, że tak szybko nikt nie będzie w stanie jej przyjąć. Annika nie pozostała dłużna i stwierdziła, że w takim razie przeniesie konto do banku, którego pracownicy będą mieli dla niej czas. Wtedy się okazało, że w ostatniej chwili ktoś zrezygnował i może przyjść. O piętnastej piętnaście.

Zagryzła zęby. Uświadomiła sobie, że ona jako człowiek nic nie znaczy, że liczy się tylko jej pokaźne konto. To dzięki niemu przeskoczyła kilka miejsc w kolejce do doradcy.

Uznała jednak, że nie powinna narzekać, skoro sama o nim wspomniała, żeby dać nim po głowie babie z banku.

Na co prawda odśnieżonym, ale oblodzonym kawałku chodnika na tyłach ratusza poślizgnęła się i niewiele brakowało, a byłaby upadła. Poczowała, że naciągnęła sobie mięsień w prawej nodze.

Zatrzymała się, wzięła głęboki oddech, ból nieco zelżał. Zobaczyła,

jak jej oddech zamienia się w parę i tworzy chmurę wokół jej głowy.

Skąd się w niej bierze tyle złości? Dlaczego jest taka kłótliwa? Dlaczego szczerą propozycję Schymanu uznała za obraźliwą? Dlaczego miała ochotę zamordować Bogu ducha winną kobietą z banku, która w piątkowe popołudnie była zmęczona i miała dosyć marudnych bogatych klientów?

Zdjęła rękawiczkę i zakryła oczy dłonią.

Musi się kontrolować, inaczej się załamie.

Nie było żadnych nowych wiadomości.

Haleniusz pozostawał w stałym kontakcie z rodzinami pozostałych zakładników i ich pracodawcami, ale porywacze do nikogo się już nie odezwali.

Poczuła, że palce drętwieją jej na mrozie. Włożyła rękawiczki i zaczęła ostrożnie iść.

Nagle się zatrzymała, przekonana, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się i rozejrzała: zejście do metra, fasady domów, wejście do wielopiętrowego parkingu, jakieś baraki na pobliskiej budowie, zaparkowane na ulicy samochody, z kawiarni na rogu wyszła para starszych ludzi. Nikt się jej nie przyglądał. Nikogo nie obchodziła.

Przełknęła ślinę i ruszyła dalej Fleminggatan.

Bank stał na ruchliwym rogu Scheelegatan i Fleminggatan, niski, brązowy budynek z cegły z pomarańczowymi markizami. Wymarzony kandydat na najbrzydszy budynek w Sztokholmie.

Jej doradcą okazał się mężczyzna. Kobieta, z którą rozmawiała przez telefon, była pewnie pracownicą centrali, a może po prostu nie chciała mieć z nią do czynienia?

Nie mogła jej winić, wiedziała, że potraktowała ją okropnie.

Usiedli w boksie, w kącie dużej sali. Annika podziękowała za kawę, poprosiła o szklankę wody. Mężczyzna wstał i podszedł do automatu z wodą.

W banku nie było wielu klientów, było za to wielu pracowników. Wszędzie wokół nich siedzieli ludzie. Mieli na sobie eleganckie, starannie wyprasowane ubrania, rozmawiali cicho, delikatnie stukali w klawiatury, ostrożnie chodzili między ciasno ustawionymi biurka-

mi, kobiety na wysokich obcasach, mężczyźni w starannie zawiązanych krawatach.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, jest pani zainteresowana pożyczką – zaczął doradca.

Postawił przed nią plastikowy kubek z wodą i usiadł naprzeciwko, po drugiej stronie biurka. Przyglądał się jej zmęczonymi oczami.

– Tak, może – powiedziała Annika.

– Ma pani na swoim rachunku bieżącym całkiem pokaźną sumę.

Przyglądała się jego twarzy. Czyżby ją rozpoznał? Domyślił się, że ma przed sobą nieszczęsną kobietę, której mąż został porwany przez gangsterów w Liboi, gdzieś na granicy między Kenią a Somalią? Która potrzebuje pieniędzy na okup?

Nie, niemożliwe.

– Tak – powiedziała. – Wiem, że mam na koncie pieniądze. Chodzi mi o sumę przekraczającą stan konta.

Mężczyzna odchrząknął, stuknął w klawisze.

– Poza lokatą na głównym koncie ma pani konto z możliwością zrobienia debetu. Ta suma umożliwi sfinansowanie nieprzewidzianych zakupów, jeśli na przykład popsuje się pani zmywarka albo zapragnie pani wymienić starą kanapę na nową... Uważa pani, że ta suma jest niewystarczająca?

– Chodzi mi o większą pożyczkę.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Dobrze, spójrzmy, jak sprawa wygląda. Może pani także otrzymać kredyt na nieco większe inwestycje, remont domu, zakup nowego pieca, rozbudowę domu...

– Ile mogę pożyczyć?

– To zależy, jakie ma pani zabezpieczenie. Hipotekę na mieszkanie, udział w nieruchomości, kogoś, kto może być żyrantem...

Annika pokręciła głową.

– Nie mam żyrantów, nie mam żadnych nieruchomości. Już nie – dodała. – Ile możecie mi pożyczyć? – powtórzyła.

Mężczyzna nadal wpatrywał się w monitor. Jego twarz była pusta, wyzerowana. Czytał w skupieniu. Ludzie mijali ich, przepływali obok jak ryby. Obserwowała ich kątem oka.

Ich życie toczyło się tutaj, w tym miejscu. Tu przychodzili codziennie rano, siadali przy biurkach, przekładali swoje kupki papierów, stukali w klawiatury, a kiedy słońce już na dobre chowało się za murami ratusza, schodzili do metra i wracali do swoich mieszkań na przedmieściach, gdzie oglądali wiadomości i może „Tak to leciało”, z nogami na stołach, bo były obolałe po całym dniu dreptania po banku. Ich nikt nie musiał porywać. Byli dożywotnymi zakładnikami, spętanymi konwencjami, oczekiwaniami i bezowocnym dążeniem, by dotrzeć na sam szczyt...

– Mamy jeszcze tak zwaną pożyczkę wakacyjną – poinformował ją mężczyzna. – Trzysta tysięcy koron, wypłacane w ciągu dwudziestu czterech godzin. Może to pani zainteresuje? Jeśli chce pani kupić samochód albo żaglówkę. Udzielamy jej pod zastaw tego, co pani nabędzie. Oprocentowanie ustalane jest indywidualnie przez bank, czyli przez nas. Wystarczy wypełnić formularz i podpisać, wymagany jest też podpis sprzedawcy samochodu, łodzi czy czegokolwiek, na co się pani zdecyduje. Bank przekaże pieniądze bezpośrednio sprzedawcy...

Annika miała wrażenie, że ściany zaraz się zawalą i ją przygniotą. Sięgnęła po wodę, wypła łyk. Woda smakowała pieniędzmi i stęchłą. Nadal miała wrażenie, że spada, że leci w przepaść.

– No i mogę jeszcze zaoferować pożyczkę od ręki, sto pięćdziesiąt tysięcy bez żadnych zabezpieczeń, do podjęcia w ciągu...

– Przepraszam – powiedziała Annika. Wstała, odsuwając głośno krzesło. – Przepraszam, ale muszę to wszystko jeszcze przemyśleć. Dziękuję i bardzo przepraszam...

Mężczyzna uniósł się nieco za biurkiem, powiedział coś, ale ona spieszyła się już do drzwi. Wyszła i znalazła się na szerokim chodniku. Widziała pędzące samochody. Jechały od Barnhusbron w stronę Kungsholmstorg albo Fridheemsplan i dalej w stronę dworca i centrum. Silniki warczały, hamulce piszczały. Zaczepnęła pełnego spalin powietrza i nagle poczuła, że ziemia pod jej nogami się uspokoiła.

Było już niemal całkiem ciemno.

Kiedy kilka lat temu Konsum na rogu Kungsholmsgatan i Scheelegatan otworzył swoje podwoje, Annika była pod wrażeniem obsługi

i wyboru towarów. Jej mama pracowała przecież jako kasjerka w Konsumie w Hälleforsnäs, to znaczy dorabiała tam sobie od czasu do czasu, więc Annika uważała się niemal za eksperta od handlu detalicznego. Konsum Ratusz wydawał jej się sklepem wzorcowym. Może nawet został kiedyś sklepem roku.

Z czasem jednak wszystko zaczęło się zmieniać na gorsze.

Automatyczne drzwi otworzyły się z jękiem, weszła do zaśniewzonego przedsionka. Potem skręciła w prawo i wzięła wózek. Nad stoiskiem z warzywami zobaczyła duży plakat: „Ogórki, szwedzkie, na pyszne aioli! Dziewiętnaście dziewięćdziesiąt za kilogram”.

Ciekawe. Może pracownicy nie wiedzieli, jak się pisze tzatziki?

Powiodła wzrokiem po stoisku z owocami i warzywami, próbując sobie przypomnieć wnętrze swojej lodówki. Na pewno miała pasztet, jogurt i jajka, gorzej było z mlekiem, no i na pewno brakowało śmietany i malin.

Co ma zrobić na kolację? Dzieci pojechały z Berit, ale ona i Helenium muszą coś jeść. A skoro odpowiada za logistykę, za jedzenie i ładowanie komórek...

Znała rozkład stoisk na pamięć. Pchnęła piszczący wózek i zaczęła manewrować między paczkami z pieluchami i karmą dla psów, świątecznymi kartkami i zamrażarkami. Kupiła poledwicę wołową, brokuły i rukolę, pomidorki koktajlowe, francuski kozi ser i malinowe balsamico. Marchewki i baterie różnych rozmiarów, kawę rozpuszczalną i markery.

Przy kasie zauważyła, że marchewka jest zgniła, poprosiła o wymianę.

– To marchew ekologiczna – powiedział chłopak siedzący w kasie. Jakby to wszystko usprawiedliwiało.

Sprawdziła pomidory i też poprosiła o wymianę.

– Mam nadzieję, że ta historia z pani mężem dobrze się skończy – powiedział chłopak.

Naciągnęła czapkę głębiej na oczy.

Torby były ciężkie, mimo że starała się ograniczać. Będzie musiała uważać na oblodzonym chodniku. Z drugiej strony ciężar ją stabilizował, ułatwiał utrzymanie równowagi.

Kiedy dotarła na Agnegatan, była spocona.

– Prawdę mówiąc, bliżej mam na Kungsholmstorg, do tej cholernej Icy – powiedziała zdyszana, kiedy Halenius wyszedł do holu, żeby jej pomóc. – Ale ciągle mam opory przed robieniem tam zakupów. Konsum przynajmniej nie udaje delikatesów dla klientów z wyższych sfer...

Urwała, widząc spojrzenie Haleniusa. Puściła torby z zakupami.

– Coś się stało?

– Mam złe wieści, chociaż nie dotyczą bezpośrednio Thomasa.

Chwyciła się framugi.

– A kogo?

– Francuza. Wejdz i zamknij drzwi. Daj mi torby. Zrobić ci kawy?

Pokręciła głową.

– Idź do pokoju, usiądź.

Annika rozebrała się i posłusznie poszła do pokoju.

Halenius zapalił lampy w oknach, włączył telewizor, ale ściszył głos. Trwały wiadomości. Przez ekran przetaczał się wóz pancerny. Może chodziło o Kadafiego, może o wojska w Afganistanie, może o walki w Jemenie.

Usiadła na kanapie. Po chwili wszedł Halenius z kubkiem kawy w rękę. Usiadł obok niej.

– Znalezione ciało Sébastiena Magurie – powiedział.

Francuz, członek Parlamentu Europejskiego. Czy Thomas jej o nim nie wspominał? Zwykle, kiedy dzwonił do domu, opowiadał jej o uczestnikach konferencji, z którymi współpracował – nigdy o uczestniczkach, a już na pewno nie o młodych i atrakcyjnych. Zwykle bardzo ją to denerwowało, bo co ją obchodził jakiś zadufany w sobie Belg albo genialny Estończyk?

– Thomas chyba go nie lubił – powiedziała.

– Ciało znalezione na ulicy, w Mogadiszu. Ktoś zadzwonił do ambasady Dżibuti i poinformował, gdzie zostało podrzucone.

Dżibuti?

– To kraj sąsiadujący z Somalią, chyba jedyny, który nadal ma w Mogadiszu ambasadę. Kraje zachodnioeuropejskie już dawno ewakuowały stamtąd swoich pracowników. Ambasador Szwecji w Somalii

urzęduje w Nairobi.

– Jak zginął?

Halenius się zawahał. Annika wstała, nie czekała na odpowiedź.

– Annika... – zaczął.

– Zawsze tak robisz – powiedziała i zaczęła się cofać. – Kiedy masz do przekazania coś nieprzyjemnego, przestajesz mówić. Nie jestem z porcelany.

Halenius nie wstał, siedział z prawą ręką na oparciu kanapy.

– Ciało było w worku na śmieci, leżało w pobliżu kamienicy, w której kiedyś mieściła się ambasada Francji, blisko portu, w starej części Mogadiszu, która teraz jest opustoszała. Zaledwie kilka kilometrów od Dżibuti...

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jak zginął?

Halenius zaczerpnął powietrza, wypuścił je i westchnął.

– Od cięcia maczetą, prawdopodobnie. Ciało było w kawałkach. Nie ma jeszcze stuprocentowej pewności, że to rzeczywiście Francuz, ale wiele na to wskazuje.

– Bo?

– W worku było ubranie, które miał na sobie, kiedy zaginął. Na palcu miał obrączkę. Blizna na brzuchu wskazuje na przebytą operację wyrostka robaczkowego.

– Ale?

– Brakuje głowy.

Annika opadła na kanapę, miała wrażenie, że zabrakło jej powietrza.

– To nie jest dobry znak. Zdaje się potwierdzać hipotezę, że porwanie jednak ma charakter polityczny. Jego żona zbierała pieniądze na okup, może porywacze uznali, że nie będą dłużej czekać. Podejrzewamy, że pozostali zakładnicy też są przetrzymywani w Somalii, a nie w Kenii, co dodatkowo komplikuje sprawę. Kenia jest krajem, w którym administracja jako tako funkcjonuje, Somalia nie...

Annika wpatrywała się w panujący w pokoju półmrok, patrzyła na lampy w oknach, na filmy DVD stojące na półce przy telewizorze, na stosy książek leżące na podłodze przy kaloryferze.

– Powiedziałeś, że ciało było poćwiartowane. Jak? I dlaczego ktoś

to zrobił?

Halenius przyglądał się uważnie jej twarzy.

– Wszystko było w kawałkach: ręce, nogi, tułów – powiedział.

– Zwykle tak się robi, kiedy się chce ułatwić sobie usunięcie ciała, kiedy się nie chce, żeby ktoś coś zauważył – powiedziała Annika. – W tym przypadku powód był chyba inny.

Halenius zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem.

– Dlaczego zostało poćwiartowane? Według mnie świadczy to o niezwykłej agresji.

– Kto wie, czym tacy dranie się kierują.

– Jeśli to naprawdę po prostu zwykli dranie. Ludzie, którzy kawałkują ciało, robią to zwykle z powodów osobistych. Czy Francuz był już kiedyś w Kenii?

Halenius pokręcił głową.

– Zanim został politykiem, był urzędnikiem w elektrowni atomowej w Agen. Raczej niewiele podróżował.

Może morderca jest przeciwnikiem energii atomowej? – pomyślała Annika, ale nic nie powiedziała.

– Jest raczej mało prawdopodobne, żeby żona urzędnika mogła uzbierać czterdzieści milionów dolarów – powiedziała. – Może porywacze zdawali sobie z tego sprawę i dlatego zrezygnowali z dalszych negocjacji.

Halenius znów pokręcił głową.

– Nie zabiliby go na tak wczesnym etapie.

Annika wyprostowała się.

– Porywacze mają siedmiu zakładników, tak? Może zdecydowali się poświęcić jednego, żeby wyrzucić presję na pozostałych? I na nas. Zabili go w tak spektakularny sposób, żebyśmy potraktowali sprawę poważnie.

Halenius słuchał jej z uwagą.

– Inaczej nie dzwoniłoby do ambasady Dżibuti, żeby powiedzieć, gdzie jest ciało – ciągnęła Annika. – Wyraźnie chcieli, żeby go znaleziono. Mają w tym jakiś cel, chcą nam w ten sposób coś przekazać. Worek leżał przed dawną ambasadą Francji... – Wstała. – Co mówił

ten człowiek w turbanie? Że należy zlikwidować Frontex i otworzyć granice? I znieść cła ochronne? Czy Francja pełni we Frontexie ważną rolę?

– Prezydent Francji powiedział, że należy zrobić porządek na ulicach, czyli pozbyć się imigrantów. No i jest jeszcze Le Pen, który idzie do wyborów pod rasistowskimi hasłami, ale stanowisko wszystkich krajów śródziemnomorskich jest w tych kwestiach podobne.

– A główna siedziba Frontexu mieści się w Warszawie, więc to chyba nie jest dobry trop – zastanawiała się głośno Annika, chodząc po pokoju. Po chwili usiadła. – Tu chyba nie chodzi wyłącznie o politykę. Wiecie, kim jest ten facet w turbanie?

Halenius po raz kolejny pokręcił głową.

– Nie mamy go na żadnej liście. Ani my, ani Jankesi, ani Brytyjczycy, ani Francuzi.

– To z nim rozmawiałeś przez telefon?

Halenius przeczesał włosy palcami.

– Nie wiem. Może. Facet na taśmie mówił w języku kinyarwanda. Ten, który dzwonił, mówił bezbłędnym angielskim z Nairobi. Ale oba głosy były wysokie i brzmiały podobnie. To mógł być ten sam człowiek.

– Co mówią Francuzi?

– Ich rząd się do tego nie miesza. Francuzi zawsze wszystko załatwiają po swojemu. Nie wiem, czy francuscy urzędnicy mają ubezpieczenie na taką ewentualność, ale członkowie Parlamentu Europejskiego na pewno nie.

– A pozostali?

– Hiszpan ma swojego negocjatora, Niemka też. O Rumunie nic nie wiem, o Duńczyku też nie. Brytyjczycy złożyli w Sky News oświadczenie, że nigdy nie negocjują z terrorystami, co nie jest zbyt rozsądne, jeśli się weźmie pod uwagę sytuację zakładników. Czego się dowiedziałeś w banku?

Annika poprawiła się na kanapie, położyła nogi na stoliku.

– Czterdziestu milionów dolarów bez zabezpieczenia raczej nie dostanę. Mogą mi pożyczyć najwyżej sto pięćdziesiąt tysięcy koron, o ile im zdradzę, na co zamierzam je wydać, i przedstawię odpowiednie

umowy, albo pod zastaw nieruchomości, samochodu czy Bóg wie czego, albo jeśli znajdę zyranta...

– A znalazłabyś kogoś takiego? Mama Thomasa?

Annika pokręciła głową.

– Poprosiliśmy ją kiedyś o podżyrowanie pożyczki, kiedy chcieliśmy kupić mieszkanie, żeby uniknąć wysokiego oprocentowania, ale odmówiła. Alvar, jej teść, podżyrował kiedyś pożyczkę swojemu dość lekkomyślnemu bratu i to się źle skończyło. Rodzina straciła ziemię i gospodarstwo.

– Przykra sprawa. A twoja mama?

– Co najmniej raz w roku zwraca się do mnie z taką prośbą. Najczęściej kiedy przeczyta w sieci o jakichś wspaniałych inwestycjach...

Halenius uniósł rękę.

– Rozumiem. Więc ile masz pieniędzy?

– Niecałe sześć i pół miliona. Oczywiście koron.

Halenius otworzył szeroko oczy.

– No proszę. Wybacz niedyskrecję, ale...

– To pieniądze z ubezpieczenia. Nasz dom w Djursholm spłonął w pożarze. Byłeś tam kiedyś, pamiętasz?

– Kociątko.

– Tak, Kociątko – potwierdziła Annika.

Płatna morderczynie, którą w końcu uznano za winną podpalenia domu Anniki, została wydana Stanom Zjednoczonym na dość wątpliwych podstawach – przynajmniej zdaniem Anniki. Po dłuższym czasie Annice wypłacono odszkodowanie, ale wtedy ona i Thomas byli już w drodze do Stanów, więc całą sumę wpłaciła na świeżo założone konto w Handelsbanken.

– Thomas wie, ile jest na tym koncie?

– Dokładnej sumy nie zna. Ja zresztą też nie. Na pewno nie co do korony. A czemu pytasz?

– Ale mniej więcej wie? Że macie mniej więcej milion dolarów?

– Myślę, że tak.

Halenius zapisał coś w notesie.

– Macie coś jeszcze, co mogłabyś spieniężyć? Może Thomas coś ma?

– Miał żagłówkę, ale zostawił ją byłej żonie. Potem kupił motorów-

kę, ale zostawił ją Sophii Grenborg, kiedy od niej odszedł. Na osłodę... Czemu pytasz?

– Dlaczego trzymasz pieniądze w Handelsbanken?

– Wypłacają najmniejsze premie swoim dyrektorom – powiedziała Annika.

Halenius roześmiał się, wyraźnie ubawiony.

– Przeniosłem tam swoje konto dokładnie z tego samego powodu. Bankowcy uznali, że mają prawo do miliardowych premii, mimo kryzysu, który w dużej mierze sami wywołali.

– Zarabiają miliony i jeszcze oczekują milionowych premii, za to, że raczą pracować – powiedziała Annika.

– Dla nich pieniądze to coś hipotetycznego. Nie rozumieją, że ktoś się składa na te ich wszystkie premie, najczęściej facet z samego końca łańcucha pokarmowego – stwierdził Halenius.

– Albo facetka – dodała Annika.

Uśmiechnęli się do siebie.

– A więc mamy milion – powiedział Halenius.

– Milion dolarów – potwierdziła Annika.

* * *

Był olśniewająco biały, jak skrzydła anioła. Kościół Świętego Andrzeja w Vaxholmie, wówczas kościół misyjny, a ja byłem jedną z wielu owieczek Paula Pettera Waldenströma, jedną z małych białych niewinnych owieczek – przynajmniej na początku.

Lubiłem chodzić do szkoły niedzielnej. W naszej salce zawsze było słońce, niezależnie od pogody. Najpierw wszyscy śpiewaliśmy pieśni i się modliliśmy, potem starsze dzieci szły do sali obok, żeby studiować Biblię. W odcinkach, że tak powiem. Co niedziela dostawaliśmy złożony na pół arkusz papieru, tak kiepskiej jakości, że były w nim drzazgi. Jeśli ktoś próbował zetrzeć coś gumką, w kartce robiła się dziura. Jeśli się miało szczęście, na wszystkich czterech stronach były obrazki, ale to zdarzało się rzadko. Na czwartej stronie, niekiedy także na trzeciej, zwykle były pytania, na które musieliśmy odpowiadać, albo krzyżówki, które trzeba było rozwiązać, albo tezy do dyskusji, na

ogół okropnie nudne, ale i tak chodziłem tam co niedziela. Obrazki bardzo nas fascynowały, opowieści zdawały się ciągnąć bez końca.

Ale oczywiście kiedyś się skończyły.

Wszystko się kiedyś kończy. To, co teraz się dzieje, też w końcu się skończy.

Zabrali Hiszpana. Nazywał się Alvaro Ribeiro. Zapamiętałem jego imię i nazwisko, bo mój dziadek nazywał się Alvar, a poza tym był taki tenisista, Francis Ribeiro. Przez jakiś czas trenował w Finlandii. Ciekawe, co się z nim później stało.

Przyszli po niego po zmroku. Nic nie powiedział, kiedy go podnieśli. Ani *good bye*, ani w ogóle nic.

Rumun do nas nie wrócił.

Próbowałem się wsłuchać w ciemność.

Owieczki, które skończyły piętnaście lat i radziły sobie ze studiowaniem Biblii, zostawały po jakimś czasie pasterzami innych owieczek. Właściwie z czasem wszyscy zostawali pasterzami, tylko nie ja. Właściwie nie wiem dlaczego. Dawno o tym nie myślałem, ale pamiętam, że wtedy mnie to gnębiło. Może nie byłem dość pobożny? Może za dużo grałem w hokeja? Może któryś z dorosłych pasterzy wiedział, że ja i Linus palimy czasem papierosy za szopą na łodzie i że próbowaliśmy już pić piwo, które ojciec Linusa chował w bagażniku swojego samochodu?

Komarów ciągle przybywało. Bez przerwy mnie gryzły, w palce, w ręce, w uszy, w policzki, w powieki.

Znów słyszałem śmiech Anniki. Ona nie wierzy w Boga. Mówi, że Bóg to męski szowinistyczny blef, stworzony po to, by trzymać w ryzach plebs i kobiety. Wiem, że to irracjonalne, ale zawsze gdy tak mówi, zaczynam się bać. Bo po co mówić takie rzeczy? Jeśli On istnieje, na pewno mu się to nie podoba. Zresztą komu by się podobało? Kiedyś jej to powiedziałem. Spojrzała na mnie z takim dziwnym wyrazem w tych swoich wielkich oczach. „Jeśli Bóg istnieje, to wie, co ja myślę, prawda? Inaczej co to by był za Bóg. A jeśli wie, co naprawdę myślę, to może jednak docenia moją szczerłość?” – powiedziała.

Zostaliśmy tylko ja i Duńczyk. Leży cicho obok mnie. Na szczęście przestał rzeźić i charczeć. Przestał też jęczeć. Z jego piersi nie doby-

wają się żadne dźwięki. Jest ciemno. Strażnicy rozpalili ogień przed chatą, przez szpary w drzwiach widzę światło.

Przestali dawać nam jedzenie. Raz oddałem mocz na ziemię.
Zastanawiam się, czy Bóg mnie teraz widzi.

* * *

O dwudziestej trzeciej czterdzieści cztery zadzwonił telefon.

Annika, która zdążyła już zasnąć na kanapie, wzdrygnęła się na dźwięk dzwonka. Odruchowo wyprostowała się i odwróciła głowę w stronę, z której dochodził.

– Chcesz przy tym być? Chcesz się przysłuchiwać rozmowie? – spytał Halenius.

Miał zaczerwienione oczy, pomarszczoną skórę na twarzy, koszula wyszła mu ze spodni.

Pokręciła głową.

Chociaż może powinna, zastanawiała się. Może powinna być z nim w sypialni, wspierać go, wskazywać na kartki na ścianie, na słowa klucze, które wcześniej ustalili, pilnować, żeby aparatura działała i żeby wszystko nagrało się na twardym dysku.

– Wolałabym nie – powiedziała jednak.

Właśnie wybrzmiał drugi dzwonek.

Halenius wstał ciężko, poszedł do sypialni, zamknął za sobą drzwi. Słyszała, jak włącza nagrywanie i sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Pewnie czeka na kolejny dzwonek, żeby odebrać, pomyślała.

I rzeczywiście, kiedy rozległ się trzeci dzwonek, podniósł słuchawkę. Słyszała jego głos, ale nie była w stanie rozróżnić słów.

Na wyświetlaczu magnetofonu pokazała się godzina: dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Dokładny kąt nachylenia osi ziemi.

Cały wieczór poświęciła na odpowiadanie na liczne SMS-y, wiadomości głosowe i mejle. Bez przerwy dostawała je od dziennikarzy próbujących namówić ją na wywiad. Odpowiedź za każdym razem brzmiała tak samo: „Dziękuję za zainteresowanie sytuacją moją i mojego męża. W chwili obecnej nie mogę komentować sprawy. Jeśli coś się zmieni, oczywiście dam znać. Proszę uszanować moją decyzję”.

Bosse z „Konkurrenten” był jedynym, który odezwał się ponownie. Napisał długiego SMS-a, niemal żądając, żeby mu powiedziała, co się dzieje. Obiecywał, że nie wykorzysta tego w artykule. Mogła chyba z nim porozmawiać, może zawrzeć jakąś umowę, dobić targu? „Czy ja wyglądam na przekupkę?” – odpisała.

Może zbyt ostro, zastanawiała się teraz. Prawda była taka, że miała z Bossem pewien problem. To on próbował wywołać skandal po hiszpańskim pocałunku, jakim obdarzył ją Halenius, żegnając się z nią przed restauracją na Starym Mieście tuż przed jej wyjazdem do Hiszpanii. Chciał się w ten sposób zemścić za to, że kiedyś, jakieś sto pięćdziesiąt lat temu, odtrąciła go, gdy próbował z nią flirtować.

Halenius rozmawiał i rozmawiał.

Annika wróciła do SMS-ów. Nie odpowiedziała tylko Schymanowi. Zdawała sobie sprawę, że zareagowała na jego propozycję niedojrzale i nieracjonalnie. A propozycja, musiała to przyznać, była wyjątkowo szczodra. Pozostawało oczywiście pytanie, o jaką sumę tak naprawdę chodzi. Na pewno nie o czterdzieści milionów dolarów, ale też jeśli Halenius miał rację, to ostatecznie okup powinien być znacznie mniejszy.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt jeden. Rozmowa trwała już sześć minut. Mniej więcej tyle co poprzednia. Wieczorem Halenius wielokrotnie przesłuchiwał taśmę z nagraniem, spisał wszystko i spytał Annikę, czy chce przeczytać.

Może później, odpowiedziała.

Nie chciała słuchać głosu porywaczy, ale nie wykluczała, że będzie chciała wiedzieć, o czym rozmawiali, poznać ich argumenty, tylko nie akurat teraz.

W centrali dowodzenia, czyli w sypialni, zapadła cisza, ale nie słyszała, żeby rozmowa została przerwana. Co on tam robił? Czekał na coś? Na co? Coś poszło nie tak?

– Yes? – usłyszała po chwili głos Haleniusa. Odetchnęła z ulgą.

Będzie musiała porozmawiać z Schymanem i wypytać go o szczegóły propozycji. Jaką sumę gazeta jest skłonna jej zapłacić? Co będzie musiała opowiedzieć o swoim związku z Thomasem? O czym miałyby opowiadać? O seksie? O codziennym życiu? Czy dzieci muszą w tym

uczestniczyć?

Poszła do kuchni, ale cały czas gdzieś w tle słyszała cichy głos Haleniusa. Na kolację podała na przystawkę chèvre na liściach rukoli, z orzeszkami piniowymi, pomidorkami, z miodem i z malinowym balsamico. Potem, na ciepło, połówki wieprzowe z cząstkami ziemniaków i sosem z kurek (same je zebrała, a potem zamroziła). Na deser Halenius pochłoniął resztę ciasta.

– Kiedy to wszystko się skończy, będą mnie chyba musieli stąd wywieźć – powiedział, odsuwając talerzyk po cieście.

Annika nie odpowiedziała, zajęła się wkładaniem naczyń do zmywarki.

Od sześciu do sześćdziesięciu dni, tyle zwykle trwają negocjacje w przypadku porwań dla okupu. Dłużej, jeśli w grę wchodzi polityczne. Szef biura Associated Press w Bejrucie Terry Anderson, uprowadzony przez Hezbollah, spędził w niewoli niemal siedem lat. Prawie tyle samo co Ingrid Betancourt, uprowadzona przez kolumbijskich partyzantów z FARC.

Zza ściany nadal dobiegał spokojny głos Haleniusa. O czym tak debatowali? Kolejny raz wytarła blat. Stal nierdzewna błyszczała. Otworzyła lodówkę, wyjęła zimnego pomidorka, wzięła go do ust, rozgryzła.

Dlaczego to tyle trwa?

Wróciła do pokoju, usiadła na kanapie.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt osiem. Rozmowa trwała już niemal kwadrans.

Wyłączyła telewizor.

Wszystkie programy informacyjne podawały wiadomości o Thomasie Samuelsonie, Szwedzie porwanym w Kenii. O pozostałych zakładnikach właściwie nie wspomiano. Informacja o znalezieniu ciała Francuza nie wyciekła jeszcze do mediów, ale to była tylko kwestia czasu. W nocy, najpóźniej rano wszyscy będą o tym mówić albo pisać. Wtedy jej koledzy, którym dzisiaj odmówiła, zapewne znów będą próbowali namówić ją na wywiad, a przynajmniej na kilka słów komentarza do tego, co się stało.

Zamknęła oczy.

Co zrobi, jeśli Thomas zginie? Jeśli go zabiją? Jak zareaguje? Załamie się? Oszaleje? Poczucie ulgę? Rozpłacze się publicznie? Może odzwie się Letterman? Albo Oprah? Pewnie nadal prowadzi swój program, a może już nie? Kogo zaprosi na pogrzeb? Czy powinna się ograniczyć do niewielkiej rodzinnej uroczystości, czy zaprosić ludzi z redakcji, w ogóle media, kolegów Thomasa ze studiów w Uppsali, Sophię Grenborg i Eleonor, zadufaną w sobie panią dyrektor banku, jego pierwszą żonę?

Otworzyła oczy.

Thomas żył, jeszcze nie umarł.

Żył, oddychał, niemal słyszała jego oddech, tuż obok siebie.

A może coś jej się przywidziało? Tak jak starym ludziom wydaje się, że nagle zaczyna ich odwiedzać duch zmarłego męża czy żony. Wrażenie bywa tak sugestywne, że zaczynają z nim rozmawiać.

Siedem minut po północy.

Ile to jeszcze może trwać? Już minęły dwadzieścia trzy minuty. O czym oni rozmawiają?

Próbowała odnaleźć w pamięci obrazki z poranka w Puerto Banús w Hiszpanii, kiedy ona i Thomas znów się zeszli i kiedy zrozumiała, że jej uczucie do niego jest tak silne, że mimo rozwodu jest gotowa do niego wrócić. Czy jest na tyle silne, żeby pokonać śmierć?

Usłyszała kliknięcie, skończyli. Jedenaście minut po północy. Całe dwadzieścia siedem minut.

W mieszkaniu zapadła głucha cisza. Annika oddychała szybko, płytko.

Teraz pewnie sprawdza, czy wszystko się nagrało, zapisuje na dysku, zaraz skończy.

Nie była w stanie wstać z kanapy, nogi miała jak z ołowiu. W drzwiach stanął Halenius. Ruszył w jej stronę, miała wrażenie, jakby płynął przez pokój.

– Żyje i mamy z nim kontakt – powiedział, siadając w jej fotelu.

– Rozmawiałaś z nim? – spytała Annika. W ustach miała sucho. Nagle między zębami poczuła pestkę pomidora.

Halenius pokręcił głową, znów przeciągnął palcami przez włosy. Sprawiał wrażenie wykończonego.

– Dranie rzadko dzwonią z miejsca, gdzie przetrzymują zakładników. Naoglądali się tyle seriali kryminalnych, że wydaje im się, że wystarczy, że policja naciśnie jakiś guzik i już wszystko wie.

– W Somalii lecą seriale kryminalne? – Annika weszła mu w słowo.

– Najwyraźniej są w stałym kontakcie ze strażnikami, pewnie przez komórkę. Zadałem jedno z tych pytań, które wcześniej uzgodniliśmy. Spytałam, gdzie mieszkałaś, kiedy się poznaliście. Kilka minut później odpowiedzieli: *Across the yard from Hantvergata 32*.

W podwórzu przy Hantverkargatan 32.

Przed oczami stanęła jej stara kamienica, przeznaczona do rozbiórki, bez ciepłej wody, bez łazienki. Niemal poczuła podmuchy wiatru wpadające przez nieszczelne kuchenne okno. Kanapa w pokoju. To na niej kochali się pierwszy raz, ona na nim.

– Wiadomo, skąd dzwonią? Można to wyśledzić?

– Brytyjczycy mają już wszystkie dane. Połączenie szło przez Liboi, częściowo przez maszt telefoniczny po drugiej stronie granicy, już w Somalii. Oba nadajniki mają ogromną moc.

– Wiadomo, gdzie jest Thomas? W jakim kraju?

Halenius pokręcił głową.

– Z tych rozmów się tego nie dowiemy.

– Francuz został znaleziony w Mogadiszu.

– Nie wiadomo, czy tam został zabity. Proces rozkładu w tamtych warunkach postępuje szybko. Lekarz, który akurat był w ambasadzie, stwierdził, że zginął co najmniej dobę wcześniej. Wiemy, że porywacze dysponują samochodem, może nawet kilkoma. Niewykluczone, że trzema.

– Mają ciężarówkę i dwie toyoty – uzupełniła Annika.

Halenius się uśmiechnął.

– Więc jednak słuchałaś.

– Toyota take away. O czym tak długo rozmawialiście?

Halenius przetarł oczy.

– Zależało mi na zdobyciu ich zaufania. Rozmawialiśmy o polityce. Zgadzałem się właściwie ze wszystkim, co drań mówił. Prawdę mówiąc, wcale nie kłamałem. Nie popieram Frontexu, ale też nie tym się zajmuję w ministerstwie. Gdyby naprawdę była wola polityczna, bie-

dę w Trzecim Świecie można by zlikwidować niemal z dnia na dzień. Tylko tak naprawdę nikt tego nie chce. Za dużo na tym zarabiamy.

Annika nie odpowiedziała.

– Powiedziałem, że nie możesz zapłacić czterdziestu milionów dolarów. Powiedziałem, że mieszkasz w wynajętym mieszkaniu, masz dwójkę dzieci i normalną pracę. Powiedziałem też, że masz oszczędności, głównie pieniądze z odszkodowania. Spalił się wam dom. W poniedziałek jesteś umówiona w banku, wtedy okaże się, jaką sumą dysponujesz.

Annika wyprostowała się na kanapie.

– Po co im o tym mówiłeś, do cholery? Teraz wiedzą, że mamy pieniądze.

– Na pewno dokładnie przepytają Thomasa, a on na pewno wszystko im powie.

– Tak myślisz?

Halenius spojrzał na nią.

– Jestem tego pewien.

Annika wstała i poszła do kuchni. Halenius za nią.

– Nie wolno kłamać. Jeśli to odkryją, wszystko zacznie się od początku, tyle że nie od zera, ale od minus stu.

Annika oparła się zlew, skrzyżowała ręce na piersiach.

– Rozumiem, że się zaprzyjaźniliście? Ty i porywacze?

Halenius podszedł do niej, widziała jego przekrwione oczy.

– Jestem gotów stanąć na głowie i odśpiewać *Marsylianke* od końca do początku, jeśli w ten sposób sprawię, że Thomas wróci do ciebie i do dzieci – powiedział.

Wyszedł do przedpokoju, włożył kurtkę i buty.

– Laptopa zostawiam. Będę tu jutro z samego rana.

Zniknął za drzwiami, zanim Annika zdążyła cokolwiek powiedzieć, przeprosić, podziękować.

DZIEŃ 4

Sobota, 26 listopada

OBUDZIŁ MNIE odrażający odór. W życiu nic tak strasznego nie czułem. Nie dało się tego porównać ani ze smrodem zgniłych śledzi, ani zepsutych krewetek, ani śmieci. Był ciężki, ostry, czuć było w nim amoniak.

– Halo – wyszeptałem do Duńczyka. – Czujesz ten smród? Co to takiego?

Nie odpowiedział.

Na zewnątrz było już widno, obwódka wokół drzwi była jasna, wyraźna. Zastanawiałem się, która może być godzina. Na równiku bardzo wcześnie robi się jasno, więc może szósta, może siódma. Różnica czasu wynosiła dwie godziny, w Szwecji była czwarta albo piąta. Annika pewnie spała. Może razem z dziećmi w naszym dużym małżeńskim łóżku? Uzgodniliśmy co prawda, że każdy sypia we własnym łóżku, bo to prywatna strefa każdego z nas, ale dobrze wiem, że kiedy wyjeżdżam, Annika nie zawsze tego przestrzega. Najczęściej przychodzi do nas Kalle. Kiedy dręczą go koszmary, Annika zgadza się, żeby spał z nami. Bierze go w ramiona i kołysze do snu.

Dokuczał mi brak wody, czułem, jak ból rozsadza mi głowę. W ustach miałem piasek. Zdrętwiały mi ręce, przewróciłem się na brzuch, żeby pobudzić je do życia. Na noc związywali nam je teraz sznurem, pewnie plastikowa taśma już się skończyła.

W środku nocy do szopy wszedł wysoki. Poświecił mi latarką w twarz, podciągnął do pozycji siedzącej i zaczął krzyczeć: *soma, soma!* Potem podał mi kartkę z napisem: *Where did Annika live when you met her?*

– *What?*

Czułem, jak krew zaczyna mi szybciej pulsować, oślepiło mnie światło, widziałem tylko jasno migoczący punkt. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że ten człowiek zna Annikę. I co to wszystko znaczy? Czyżby to była jakaś nowa zagrywka? Czego on ode mnie chce?

Odwróciłem się do Duńczyka, ale oślepiiony ostrym światłem nie widziałem go.

– *Andika!* – wrzeszczał wysoki mężczyzna. – *Andika jibu.*

Nachylił się nade mną z nożem w rękę, pociemniało mi przed oczami, ale nic dramatycznego się nie wydarzyło. Przeciął sznur krępujący mi ręce i rzucił mi na kolana ołówek.

– *Andika jibu* – powtórzył, podsuwając mi kartkę.

Chciał, żebym napisał odpowiedź?

Ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Próbowałem utrzymać ołówek, ale nie byłem w stanie. Wysoki krzyczał mi coś nad głową. *Haraka, haraka.* W końcu udało mi się chwycić ołówek kciukiem i palcem wskazującym i drżącą ręką napisałem odpowiedź. Kiedy skończyłem, strażnik natychmiast znów związał mi ręce sznurem, zgasił latarkę i zniknął w ciemności, gęstszej niż kiedykolwiek.

– O co tu chodzi? – wyszeptałem do Duńczyka.

Nie odpowiedział.

Byłem wykończony i natychmiast zasnąłem.

Był już ranek, ale tajemnica nocy się nie wyjaśniła.

Skąd wiedzieli o Annice? Nikomu o niej nie wspominałem, ani strażnikom, ani pozostałym członkom delegacji. Więc skąd? Kiedy zabierali mi komórkę, była wyłączona, nikomu nie podawałem PIN-u, więc na pewno nie stąd wiedzieli. Portfel?

Poczułem, jak uchodzi ze mnie całe powietrze. Oczywiście. W portfelu były zdjęcia Anniki i dzieci, z imionami na odwrocie.

Ale dlaczego chcieli wiedzieć, gdzie mieszkała, kiedy się poznaliśmy? Co za dziwne pytanie. Po co im to? Nieistotny szczegół, o którym nikt chyba nie wie...

Nagle zrozumiałem, że musieli z nią rozmawiać. Boże, na pewno z nią rozmawiali, a ona chciała sprawdzić, czy żyję, czy to naprawdę ja... Tak pewnie było! Poczułem ulgę, roześmiałem się głośno.

Ale skąd mieli numer jej telefonu? Wszystkie nasze numery były zastrzeżone, z wyjątkiem numeru mojej komórki, więc skąd wiedzieli, gdzie jej szukać?

Spojrzałem na światło sączące się przez szpary w ścianach. Nagle w jednej z nich zobaczyłem pajaka. W półmroku patrzeliśmy sobie w oczy, trwało to dobrą minutę. Potem pająk postanowił przenieść się na moją twarz, zaczął się po niej wspinać, jakby pokonywał strome kamienne zbocze. Zamknąłem oczy, czułem jego lekkie, szybkie kroki na powiekach. Przeszedł mi po uchu, zniknął gdzieś we włosach. Przestałem go czuć. Nie sądziłem, że może być jadowity, ale uznałem, że jednak bezpieczniej będzie się go pozbyć, potrząsnąłem więc mocno głową, licząc, że po prostu spadnie.

Potem leżałem bez ruchu, nasłuchiwałem. Strażnicy krążyli wokół chaty, coś do siebie mówili. Odór stawał się nie do wytrzymania.

– Słuchaj – zacząłem szeptać do Duńczyka. Podciągnąłem się trochę na rękach, tak że prawie usiadłem. – Nie wiesz, co tu tak cuchnie?

Teraz, kiedy siedziałem, mogłem nareszcie lepiej mu się przyjrzeć. Per, bo chyba tak miał na imię, leżał na plecach. Wpatrywał się w sufit oczami, które zaszły szarą błonką. Jego twarz też była szara, w ogóle cały był szary. Szare usta miał szeroko otwarte, jakby kogoś wołał. Zobaczyłem, że coś po nim chodzi, po jego twarzy, po ustach. I nagle usłyszałem krzyk. Odbił się od sufitu, wypełził przez szpary na zewnątrz, rozszedł się po całej wiosce, uniósł do nieba. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to nie Duńczyk krzyczy, tylko ja. Krzyczałem tak długo, aż drzwi się otworzyły i na ciało Pera padł jasny promień słońca. Wtedy zobaczyłem chodzące po nim mrówki.

* * *

Annika przyglądała się swojej twarzy w lustrze w łazience, przeciągnęła palcami po czarnych cieniach pod oczami. Była w nich samotność, tęsknota za dziećmi, zdradzający ją mąż...

Wśluchiwała się w odgłosy domu, ktoś brał prysznic. Lindström, sąsiad zza ściany, odkręcił kran, słyszała szum łazienkowego wentylatora i szum windy.

I nagle poczuła, że to nie jej dźwięki, jej dom został zaanektowany przez porywaczy i urzędników z ministerstwa.

Thomas uważał, że ich mieszkanie nie jest prawdziwym domem. Uważał, że jest ciasne i nieustawne. Poniekąd było to prawdą, bo kiedy się wprowadził, natychmiast zarządził wymianę lekkich ikeowskich mebli na większe, solidniejsze. Najbardziej nie lubił łazienki: plastikowego dywanika na podłodze, plastikowej zasłony prysznicowej i taniej umywalki. W Vaxholmie on i Eleonor mieli w domu prawdziwe spa, z sauną i jacuzzi. Przesunęła ręką po lustrze nad umywalką, jakby chciała je przeprosić.

To nie była wina łazienki, ale jej też nie.

Thomas sam wsiadł do tego samolotu, a później do toyoty. To on podjął taką decyzję, a jej przyszło za to płacić.

Wzięła lodowato zimny prysznic.

Ubrała się, posłała łóżko, zjadła śniadanie.

Kiedy Halenius zadzwonił do drzwi, zdążyła już nawet posprzątać w kuchni. Zauważyła, że ma mokre włosy, jakby przed chwilą wyszedł spod prysznica. Miał na sobie te same dżinsy co wczoraj, ale koszula była świeża.

Ciekawe, czy sam je prasuje, czy może robi to jego dziewczyna, pomyślała Annika, patrząc, jak zdejmuje kurtkę.

– Przepraszam – powiedziała. – Już nigdy nie będę kwestionowała twoich metod ani twojej oceny sytuacji. Bez ciebie byłabym zgubiona. Dziękuję, że jesteś tu ze mną i robisz to, co robisz. Bardzo to doceniam. Naprawdę. Jeśli potrzebujesz pomocy Hansów, to oczywiście możesz poprosić, żeby tu przyszli. Naprawdę.

Zaczerpnęła powietrza i zamilkła. Kiedy układała sobie to wszystko w głowie, jej wywód brzmiał lepiej. W jej słowach było więcej pokory, wrażliwości. Wypowiedziane na głos brzmiały inaczej. Mówiła ostro, szybko, słowa potykały się o siebie, jakby chciała je jak najszybciej z siebie wyrzucić, wszystko jedno w jakiej kolejności.

Zagryzła dolną wargę, spuściła wzrok, ale zdążyła zobaczyć, że Halenius się uśmiechnął.

– W porządku – powiedział. – Dam się przekupić kawą i ciastem.

Odwzajemniła uśmiech i poczuła ulgę.

– Kiedy wyszedłeś, poczułam się okropnie. Zachowałam się jak ostatnia kretynka – powiedziała i poszła do kuchni. Szybko nastawiła wodę. – Czarną, tak? – upewniła się.

Halenius stanął w drzwiach.

– Rodziny Rumuna i Hiszpana dostały tak zwany *proof of life*. Nagranie wideo. Przesłali je bezpośrednio na adresy zainteresowanych – powiedział lekkim tonem, tak po prostu.

Annika poczuła, jak jej mięśnie się napinają.

– Nie zdążyłam jeszcze sprawdzić poczty...

– Zrobiłem to za ciebie – wszedł jej w słowo. – Nic nie dostałaś.

Uznała, że nie będzie pytać, jak wszedł w jej pocztę.

– Poza tym francuski samolot pasażerski rozbił się dzisiaj rano nad Atlantykiem – ciągnął Halenius. – Na pokładzie nie było Szwedów – dodał.

– Atak terrorystyczny?

– Burza – rzucił, znikając w sypialni.

Po chwili usłyszała, jak włącza komputer i kładzie na stoliku komórkę.

Nachyliła się nad zlewem. Potrzebowała chwili, żeby wiadomość do niej dotarła.

Proof of life. Dowód życia. Był taki film. Chyba z Meg Ryan i Russellem Crowe? I chyba nawet niezły. O ile dobrze pamiętała, Meg i Russel zaczęli kręcić ze sobą na planie. Potem Meg odeszła od Denisa Quaida, chyba się rozwiedli.

Nastawiła piekarnik na sto siedemdziesiąt pięć stopni, włożyła do mikrofali masło, żeby się rozpuściło, wzięła karton z jajkami, wyjęła kilka, wsypała do miski cukier, cukier waniliowy, szczyptę soli, kakao, wlała melasę i roztopione masło, na koniec dodała miarkę mąki.

Więc Hiszpan i Rumun żyją. Ciekawe, jaki błąd popełnił Francuz, zaczęła się zastanawiać.

Posypała formę, tę z wyjmowanym dnem, tartą bułką, wlała ciasto i wstawiła do pieca. Odczekała kwadrans, wyjęła z zamrażalnika lody waniliowe, podgrzała konfitury z jeżyn, postawiła wszystko na tacy. Ciasto, konfitury, lody i kubki z kawą. Zaniosła wszystko do sypialni, do centrali dowodzenia.

– Wzięłam cię za słowo i upiekłam ciasto – powiedziała.

Halenius spojrzał na nią skonsternowany, pochłonięty pracą najwyraźniej zapomniał, o czym rozmawiali. Annice zrobiło się głupio. Nie miała gdzie postawić tacy, całe biurko było zastawione sprzętem do nagrywania, wszędzie leżały notatki, papiery. Na krześle wisiały jej ubrania. Czy nigdy się nie nauczy po sobie sprzątać? Przełknęła ślinę, zawstydzona, czuła, że się czerwieni.

– Zjemy w pokoju – powiedział Halenius i wstał.

Była mu wdzięczna, że szybko rozwiązał krępujący problem. Poszła do pokoju, postawiła tacę na stole, a sama skuliła się w swoim kącie kanapy z fałszywym kubkiem z Białego Domu w rękę. Pozwoliła, żeby włosy opadły jej na twarz.

– Co to za nagrania? – spytała.

– Jeszcze ich nie widziałem – odpowiedział Halenius, sadowiac się w jej fotelu. – Rodziny nie chcą ich upubliczniać, ale dowiedziałem się tego i owego *off the record*. Nagrania są kiepskie, robione w ciemnych pomieszczeniach, tylko twarze są oświetlone. Zakładnicy mówią, że są dobrze traktowani, i proszą, żeby rodziny jak najszybciej wpłaciły okup. To standard.

Annika czuła, jak jej puls znów przyspiesza. *Proof – of – life, proof – of – life*, kołatało jej się po głowie...

– Jak wyglądają?

– Tak jak można się spodziewać. Zarośnięci, brudni, ale w dobrej formie, bez oznak przemocy, przynajmniej tych widocznych.

Annika wzięła głęboki wdech.

– Myślisz, że ja też dostanę takie nagranie?

– Prawdopodobnie tak.

– Kiedy?

– Dzisiaj, może jutro. Dranie wszystko dokładnie zaplanowali, nie działają pod wpływem impulsu. Z tobą skontaktowali się na końcu, może Thomas jest siódmy na ich liście.

Annika pokiwała głową, ugryzła się w policzek.

– Co będzie potem?

– Mogę tylko zgadywać, ale nie sądzę, żeby dzisiaj zadzwonili. Wiedzą, że w poniedziałek jesteś umówiona w banku, więc pozwolą nam

się trochę podenerwować.

Annika podmuchała w gorącą kawę.

– Czekanie na telefon jest gorsze niż sama rozmowa? – spytała w końcu.

Halenius przytaknął.

– Porywacze mają dwa rodzaje broni: przemoc i czas. Pokazali już, że nie stronią od tej pierwszej, teraz przyszła kolej na tę drugą.

Annika wyjrzała przez okno: przemoc i czas. Jak długo Halenius będzie mógł spędzać cały czas w jej sypialni? Jak długo media będą w stanie podtrzymać zainteresowanie sprawą?

– Muszę dzisiaj porozmawiać z Schymanem.

– Słusznie.

– Czy informacja o Francuzie jest już w sieci?

– Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu.

Przypomniała sobie swoje wcześniejsze rozważania.

– Zastanawiałam się, jaki popełnił błąd.

– Że wybrali go na pierwszą ofiarę? Nie musiał popełnić żadnego. Może błąd popełnił negocjator, może rodzina albo obie strony. A może próbował uciec? Ale równie dobrze mogło nie być żadnego konkretnego powodu. Może porywacze chcieli po prostu dać innym przykład.

Annika podsunęła mu talerzyk z ciastem.

– Jedz.

Halenius odchylił się w fotelu – w jej fotelu – i zaczął się głośno śmiać, od ucha do ucha. Śmiała się cała jego twarz, oczy zamieniły się w wąskie szparki.

– Jesteś inna, niż sądziłem – powiedział.

Annika wstała.

– To dobrze czy źle? – spytała.

Halenius nadal się śmiał, potem pokręcił głową i wypił kawę. Annika poszła do kuchni, zrobiła mu kolejny kubek, wzięła kilka serwetek i wróciła do pokoju.

– Czy upublicznienie wiadomości o śmierci Francuza ma dla nas jakieś znaczenie? – spytała, stawiając przed nim kubek z kawą. Na stoliku położyła serwetki.

– Na pewno podniesie temperaturę. Polowanie na porywaczy przyspieszy. Jankesi i Brytyjczycy już nie mogą się doczekać.

Halenius ukroił sobie spory kawałek ciepłego jeszcze ciasta.

– Wszyscy rozentuzjasmowani dziennikarze, którzy wczoraj chcieli ze mną rozmawiać, pewnie znów się odezwą.

Halenius przytaknął z ustami pełnymi ciasta.

– Cholernie dobre z tymi lodami – wymruczał.

Annika spojrzała na lody. Zastanawiała się, czy powinna schować je do zamrażarki, czy zostawić na stole. Może wytrzymają jeszcze chwilę i nie rozpuszczą się od razu? Nagle uderzyła ją absurdalność sytuacji. Siedziała i zastanawiała się, czy lody się rozpuszczą, czy nie, czy siedzący naprzeciwko niej facet już zjadł, czy nie, zamiast wypytać go o naprawdę ważne rzeczy. Jej mąż zaginął gdzieś we wschodniej Afryce, a ona zajmowała się pieczeniem ciast. Zaczęła drżeć, zasłoniła twarz dłońmi. Halenius przestał jeść.

– Przepraszam – wydusiła w końcu. – Przepraszam, ja...

– Jeśli nie chcesz nic mówić, to nie odpowiadaj – powiedział Halenius.

Zamrugła oczami, lekko zdziwiona.

– Rozentuzjasmowanym dziennikarzom.

Spróbowała się uśmiechnąć, sięgnęła po serwetkę, wytarła nos.

– To wszystko jest chore – oświadczyła.

Halenius przytaknął i znów zabrał się za ciasto. Annika spojrzała na swoją komórkę, sprawdziła godzinę.

– Umówiłam się z Anne. Od dwunastej ma jogę.

– Porozmawiaj poważnie z Schymanem o jego propozycji. Przesłucham jeszcze raz wczorajszą rozmowę, spiszę ją. Potem zadzwonię do Q. Chcesz z nim rozmawiać?

Annika wstała, wzięła do ręki pudełko lodów.

– Dlaczego miałabym z nim rozmawiać? – spytała.

Halenius wzruszył ramionami, a ona poszła do kuchni i włożyła lody do zamrażarki. Po chwili wyszła do holu i zaczęła się ubierać.

– A twoje dzieci? – spytała, wkładając rękawiczki. – Nie protestują, że ciągle nie ma cię w domu? Nie zadają pytań?

– Owszem, zadają. Ale dzisiaj wieczorem lecą do Angii. W tym

roku Boże Narodzenie spędzają z nią.

Annika zatrzymała się na chwilę w drzwiach.

– Lecą same? To daleko.

Halenius się uśmiechnął. Wziął talerzyk i kubek, wstał.

– Moja dziewczyna leci z nimi – powiedział. Ruszył do kuchni i zaczął wstawiać brudne naczynia do zmywarki.

Annika próbowała się uśmiechnąć, odwróciła się, otworzyła drzwi i wyszła.

Anne Snapphane czekała na nią w Kafferepet przy Klarabergsgatan. Przed nią na stoliku stała szklanka soku, na talerzyku leżała podłużna kanapka z pełnoziarnistego chleba. Najwyraźniej kupiła po drodze wszystkie możliwe gazety. Sterta na chwiejącym się stoliku był nawet większa od tej, którą poprzedniego dnia przytargał Schyman.

– To straszne z tym seryjnym mordercą – powiedziała, podając Annice świeży egzemplarz „Kvällspresen”. – A słyszałaś o tym samolocie, który spadł do Atlantyku? Boże drogi, terroryści są wszędzie...

Annika postawiła filiżankę z kawą na skrawku wolnego blatu, położyła torbę na podłodze, ściągnęła kurtkę i sięgnęła po gazetę.

– Tym razem przyczyną była burza – powiedziała.

Spojrzała na pierwszą stronę i zobaczyła trzy uśmiechnięte kobiece twarze. Nad nimi wybito dużymi literami: POLICJA PODEJRZEWA, dwukropek i cytat z wypowiedzi funkcjonariusza. Annika pomyślała, że najwyraźniej cytując pierwszego lepszego urzędnika, można napisać co tylko się chce.

Spojrzała niżej:



– Idealnie rozłożone i przemyślane – powiedziała.

Przeszła do kolejnych artykułów na stronach szóstej i siódmej. Ich autorką była młoda utalentowana stażystka Elin Michnik. Jej rozmówca, przedstawiony jako anonimowe źródło w policji, potwierdzał hipotezę „Kvällspresen” z poprzedniego dnia. Morderstwa na sztokholmskich przedmieściach miały szereg punktów wspólnych, co jest obecnie „sprawdzone”, ale policja nie chce uprzedzać faktów.

Oznacza to, pisała Elin Michnik, że policja zapewne będzie chciała porównać wyniki śledztw i poszukać punktów wspólnych.

– Litości – jęknęła Annika. – To naprawdę sztuka mówić tak, żeby właściwie nic nie powiedzieć.

– O co ci chodzi? – spytała Anne, pakując do ust kolejny kawałek kanapki z krewetkami.

– To oczywiste, że jest wiele podobieństw. Wszystkie ofiary to kobiety, zginęły od ciosu nożem, pochodzą z podmiejskich okolic Sztokholmu. Równie oczywiste jest to, że policja „nie uprzedza faktów”, no może z wyjątkiem śledztwa w sprawie Palmego, no i że chcą porównać wyniki śledztw...

– Co Palme ma z tym wspólnego? – przerwała jej Anne, marszcząc czoło.

Annika westchnęła i przerzuciła stronę.

– Śledztwo w sprawie zamordowania Palmego zakończyło się totalną klapą, bo szef policji już na samym początku założył, że Palme został zamordowany przez Kurdów. Później okazało się, że to błąd, ale wtedy minął już rok od zabójstwa i było za późno na cokolwiek.

Przerzuciła kolejne strony.

Artykuły na ósmej i dziewiątej poświęcono rodzinom zabitych kobiet. „Mamy nie ma” – głosił napis biegnący przez dwie strony. Zaginięcie Thomasa zostało zepchnięte na stronę dziesiątą. Zamieścili jego zdjęcie z młodości, kiedy grał w miejscowej drużynie hokejowej. Wyciągnięto je z redakcyjnego archiwum i opatrzone dość bezsensownym tytułem: „Polowanie wciąż trwa”.

Stronę jedenastą wypełniały reklamy.

Następny artykuł był bardziej interesujący.

Na obitej materiałem w kwiatki kanapie siedziała ładna blondynka. Oczami pełnymi łez patrzyła w kamerę, obejmując dwójkę małych dzieci. „Tato, wracaj do domu”, głosił nagłówek. Napis pod zdjęciem wyjaśniał, że kobieta jest żoną towarzysza niedoli Thomasa, przetrzymanego, podobnie jak on, w niewoli gdzieś we wschodniej Afryce.

Annika westchnęła. Zmrużyła oczy, próbowała przeczytać napisany drobnym drukiem tekst. Kobieta ze zdjęcia okazała się żoną Rumuna.

Złożyła gazetę, położyła ją na stoliku.

– Co u Mirandy? – spytała.

Anne miała córeczkę, o kilka lat starszą od Ellen.

– Nie zamierzam z nim konkurować. Jeśli ona dobrze się tam czuje, to tylko się cieszę. Przepada za jego nowymi dzieciakami...

– Czyli za swoim rodzeństwem.

– Nie zamierzam im wchodzić w paradę. Spędza z nimi cały tydzień i tak jest chyba najlepiej. Mam z Mehmetem świetne relacje, z jego nową żoną zresztą też, pomagamy sobie nawzajem, jeśli trzeba.

Annika zamrugnęła oczami.

– No proszę.

– O co chodzi? – spytała Anne.

Annika odchrząknęła.

– Podobno chciałaś mi coś powiedzieć?

Anne nachyliła się do przodu tak, że jej pierś wylądowała w majonezie. Pół roku wcześniej powiększyła sobie piersi. Nosila teraz miseczkę D, ale nie zdążyła się jeszcze do tego przyzwyczać.

– Mam świetny pomysł na program. W poniedziałek zamierzam przedstawić go szefom Media Time.

Annika nie bardzo orientowała się w nowych kanałach cyfrowych, które powstały, kiedy nie było jej w kraju.

– To bardzo poważny kanał telewizyjny – zapewniła ją Anne. – Mają stronę w sieci, mediatime.se. Chcę im zaproponować serię wywiadów na poważne tematy. Nie chodzi mi o czystą rozrywkę, tylko o naprawdę poważne rozmowy, chociaż to też może być rozrywką, prawda? Wiesz, o czym myślę?

– Coś w stylu Oprah albo Skavlana? – spytała Annika, odsuwając filiżankę z kawą.

– Właśnie! – przytaknęła przyjaciółka, usiłując zetrzeć majonez ze sweterka z owczej wełny. – Myślisz, że mogłabyś mi pomóc?

Annika odgarnęła włosy z czoła.

– Anne, przecież wiesz, jak jest. Ta historia z Thomasem...

Anne uniosła rękę.

– Ależ oczywiście, to straszne. Obawiam się, że powinnaś się przygotować na najgorsze. To znaczy nie wierzę, żeby porywacze strzelili w łeb ochroniarzom i tłumaczowi, a potem zabrali wszystkich na kawę do Starbucksa.

Annika wzruszyła ramionami i przytaknęła. Co jeszcze mogła powiedzieć?

– Obiecuj tylko, że będziesz przy mnie i w razie czego mnie wesprzesz, dobrze?

– Jasne.

Anne sięgnęła po komórkę.

– Jesteś pewna, że to była burza? – spytała, sprawdzając swój profil na Facebooku.

Annika rozejrzała się po ciasnym lokalu. Stoliki stały blisko siebie, w powietrzu unosił się zapach mokrej wełny, na wychodzących na ulicę oknach były brudne smugi. Nikt jej się nie przyglądał, nikt jej nie współczuł. Nie wyróżniała się zbyt swoimi pięćdziesięcioma czterema kilogramami, schowana za brudnymi szybami była po prostu jednym z wielu gości.

– Może jednak samolot wysadził jakiś terrorysta, na przykład błyszczkiem? – Anne nie dawała za wygraną. – Albo cieniem do powiek, albo jakąś inną szalenie niebezpieczną substancją, którą, wchodząc na

pokład samolotu, trzeba włożyć do przezroczystej foliowej torebki.

Annika pokręciła głową.

– Linia Air France już wcześniej miała kłopoty z tym samolotem. Jakiś błąd w prędkościomierzu czy wysokościomierzu, nie pamiętam dokładnie...

– Jesteś strasznie naiwna. Nie wierzysz, że Al-Kaida postanowiła znów dać o sobie znać?

– McDonald ma na sumieniu więcej ofiar niż Bin Laden, o ruchu drogowym już nie wspomnę. Ani o niszczeniu środowiska.

– I wszyscy wiemy, jak Bin Laden skończył – skwitowała Anne.

Zebrała gazety ze stolika, podała je Annice.

– Chcesz?

Annika pokręciła głową, więc Anne włożyła wszystkie do swojej sportowej torby.

– Nie wybierzesz się ze mną? Astanga, różne techniki oddychania, kontrola ciała, sztuka koncentracji. Przydałoby ci się. Bandha, dristhi i vinyasa...

Annika spojrzała na zegarek.

– Jestem umówiona w redakcji. Z Schymanem.

Anne zamarła.

– O czym macie rozmawiać?

Annika kiwnęła głową w stronę jej torby.

– Seryjny morderca – skłamała i szybko włożyła kurtkę.

* * *

Zapach nadal utrzymywał się w chacie, mimo że Duńczyk już dawno został zabrany. Miałem wrażenie, że tam, gdzie leżał, została ciemniejsza plama. Może ślad po płynach fizjologicznych, a może po prostu inaczej padał tam cień.

Próbowałem się przesunąć do przeciwległego kąta. Czołgałem się na boku, sunąc biodrem po ziemi. Miałem spuchniętą powiekę, ślady po ugryzieniach komarów swędziały. Potarłem ręką o żwir, poczułem ulgę.

Przez szpary od czasu do czasu wpadały podmuchy wiatru.

Dzień przed wyjazdem na rekonesans rozmawiałem chwilę z Duńczykiem. Przysiadł się do mnie w hotelowym barze i zaczął opowiadać o dzieciach i wnukach. Jego synowi urodziła się niedawno córeczka. Pokazywał mi zdjęcia wnuków, a ja robiłem wszystko, żeby się go pozbyć, bo po mojej drugiej stronie siedziała Catherine. Chciałem z nią porozmawiać na zupełnie inne tematy...

Od chwili kiedy nas oddzielono od kobiet, nie miałem żadnych wiadomości ani o Catherine, ani o Niemce. Od strony ich chaty nie dochodziły żadne rozmowy, żadne krzyki, nic. Znów spojrzałem w ciemność, starając się nie zwracać uwagi na ciemną plamę na ziemi. Próbowałem przywołać w pamięci twarz Catherine, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak wyglądała. Natomiast ni z tego, ni z owego zobaczyłem Ellen, moją małą córeczkę. Była do mnie podobna tak bardzo, że poczułem, jak coś mnie ściska za gardło. Nawet nie zauważyłem, że ktoś odsunął blachę.

Wysoki chwycił mnie i zaciągnął tam, gdzie ciało Duńczyka zostało na ziemi plamę. Odruchowo zacząłem się opierać. Mogłem siedzieć albo leżeć wszędzie, tylko nie tam, nie na tej ciemnej wilgotnej plamie. Ale wysoki uderzył mnie w ucho i przestałem się opierać. Pociągnął mnie pod ścianę i posadził tak, żebym się oparł plecami o blachę. Znów poczułem odór, wilgoć zaczęła przenikać przez koc, którym byłem owinięty.

– *Subiri hapa* – powiedział.

Wyszedł, nie zamykając drzwi. Oślepiająca jasność wypełniła chatę, rażąc mój mózg świetlistymi błyskawicami. Wszystko wokół zrobiło się białe, zamknąłem oczy.

Nagle otwór zasłonił cień i szerokie, masywne ciało nachyliło się nade mną w półmroku. Mężczyzna zmarszczył nos.

– *You stink* – powiedział.

Kiongozi Ujumla. Mężczyzna z maczetą. Był tak niski, że stał w chacie wyprostowany. Jego twarz zniknęła w drobinkach kurzu wirujących pod sufitem, widziałem tylko jego błyszczące oczy.

– *Who Yimmie?* – spytał.

Czułem, że zacząłem szybciej oddychać. Zadał mi pytanie. O co mu chodziło? Yimmie? Kto to jest? Nie znałem nikogo o takim imieniu.

– Kto? – spytałem.

Kopnął mnie w klatkę piersiową, zabolalo mnie zebro, odsunalem sie.

– *Yimmie Allenius* – powiedział mężczyzna z maczetą.

Yimmie Allenius? Czyżby chodziło mu o Jimmy’ego Haleniusa?

– Sekretarz? – spytałem. – Sekretarz ministra? Z mojej pracy?

Tuż przed moimi oczami rozbłysnął rząd białych zębów.

– *Very good! Colleague at work. You secretary, research secretary.*

Pochylił się nade mną, dotknął miejsca, w które mnie przed chwilą kopnął. Jęknąłem.

– *You rich man?* – wyszeptał do ściany za mną.

– Nie – wymamrotałem. – Nie.

Znów dotknął mojej klatki piersiowej.

– *You rich man?!* – krzyknął mi do ucha.

– Tak – odpowiedziałem. – Tak, tak. *I’m rich man.*

Mężczyzna wstał i odwrócił się do drzwi.

– *Picha vifaa* – powiedział.

Wszedł wysoki. Ciągnął za sobą wielką lampę i kamerę wideo. Nagle przypomniałem sobie tego dziennikarza, o którym Annika pisała, będąc w Stanach, tego Amerykanina, któremu na filmie ścięto głowę, a potem umieszczono nagranie w sieci, i nagle cała przestrzeń wokół mnie wypełniła się krwistoczerwoną paniką.

* * *

Musiał przyznać, że ten numer nie był wielkim osiągnięciem dziennikarskim.

Chyba trochę przesadzili z tym rzekomym seryjnym mordercą. Właściwie go wymyślili na tę pierwszą stronę, ale jaki wybór ma szef redakcji? Przede wszystkim musi dbać o nakład.

Rano ziścił się najgorszy koszmar każdego wydawcy, taki przez wielkie K. Wiadomość o katastrofie samolotu przyszła dokładnie dwie minuty po tym, jak numer oddano do druku, i nie można było już nic zmienić. Można było co prawda zrobić nową pierwszą stronę do wydania stołecznego, ale istniało ryzyko, że tak właśnie robi „Konkur-

renten”. Schyman ocenił, że nawet potencjalny seryjny morderca grasujący na przedmieściach Sztokholmu jest tematem bardziej chwytliwym niż katastrofa samolotu, na pokładzie którego nie było Szwedów. Oczywiście w wydaniu internetowym katastrofa była na pierwszym miejscu, a na blogach domorośli eksperci od wszystkiego już uznali, że to islamscy fundamentaliści wysadzili samolot w powietrze, a raczej utopili go w morzu. Najwyraźniej ostatnie wydarzenia w Norwegii niewiele ich nauczyły.

Redaktorzy strony internetowej posunęli się w swoich spekulacjach nawet dalej: w ramce obok artykułu o katastrofie zamieścili listę słynnych zamachów terrorystycznych. W ramkach podano też fakty dotyczące Osamy bin Ladena i Andersa Behringa Breivika.

Schyman nie sądził, żeby to był zamach. Odbывał służbę wojskową w lotnictwie, w bazie F21 w Luleå – co prawda jako poborowy kategorii D pracował na zapleczu, ale zawsze, miał więc podstawową wiedzę z dziedziny lotnictwa. Poza tym interesował się lotnictwem i przemysłem lotniczym w ogóle i doskonale wiedział, że od 2000 roku jest to drugi wypadek tego samolotu. Kilka lat wcześniej airbus A330 z dwustu dwudziestoma ośmioma pasażerami na pokładzie wpadł do morza, lecąc z Rio de Janeiro do Paryża. Dopiero zeszłego lata udało się zlokalizować czarne skrzynki na dnie oceanu. Nadal nie było dokładnie wiadomo, co było przyczyną katastrofy. Może błąd pilota, może nagła burza, turbulencje albo silny wiatr. Schyman nie bardzo wierzył, żeby tym razem wypadek spowodował jakiś zdesperowany muzułmanin z ładunkiem wybuchowym w bucie czy, co byłoby równie mało prawdopodobnie, norweski chrześcijanin.

Kątem oka zobaczył na ekranie wiszącego na krótszej ścianie redakcji telewizora znaną twarz szwedzkiej komisarz unijnej, władającej płynnie pięcioma językami inteligentnej młodej kobiety z partii liberałów, odpowiadającej w Unii za politykę imigracyjną i sprawy bezpieczeństwa wewnętrznego. Rozmawiał z nią dziennikarz Sky News. Schyman sięgnął po pilota, zrobił głośniej.

– Ależ jak najbardziej – powiedziała kobieta, odpowiadając na pytanie, którego nie dosłyszał. – Konferencja w Nairobi zakończyła się powodzeniem. Co prawda wciąż jeszcze nie podpisano odpowiednich

porozumień, ale nasza współpraca z Unią Afrykańską się pogłębiła, lepiej rozumiemy swoje potrzeby, wiemy, jakie kroki należy poczynić.

– Ale nie zamierzacie spełnić żądań porywaczy? Nie otworzycie europejskich granic?

Pani komisarz lekkim ruchem odrzuciła głowę do tyłu.

– Po ostatnich niepokojach w północnej Afryce i na Bliskim Wschodzie Frontex jest potrzebny bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie tylko po to, by chronić obywateli Europy, ale też żeby pomagać i wspierać uchodźców w krajach, w których są najmniej bezpieczni. Frontex ratuje ludziom życie. Bez Frontexu strumień uchodźców...

– Ratuje ludziom życie? – przerwał jej dziennikarz. – Porywacze grożą zakładnikom śmiercią.

– Posterunki na granicy z Somalią muszą zostać wzmocnione, to nasze podstawowe żądanie...

Telefon Schymana zabrzączał. Ostry, przeszywający dźwięk. Wzdrygnął się.

– Ma pan gościa – oznajmił portier. Młody chłopak, pracował w redakcji od niedawna, ale zdawał się mieć głowę na karku.

– Dziękuję – powiedział Schyman, wciskając guzik, który, jak mu się wydawało, powinien wcisnąć, żeby się rozłączyć. Potem sięgnął po pilota i wyłączył panią komisarz.

Spojrzał na redakcję, zobaczył, że w jego stronę zmierza Annika. Szła tym swoim charakterystycznym posuwistym krokiem, który sprawiał, że miało się wrażenie, że nie tyle idzie, ile unosi się centymetr nad podłogą. Może chodziła tak dlatego, że chciała mniej rzucać się w oczy, ale skutek był wręcz odwrotny. Kiedy wchodziła do redakcji, zapadała cisza. Wokół niej tworzyła się próżnia, wszyscy podnosili głowy, żeby sprawdzić, co się stało.

Zapukała w jego szklane drzwi, jakby nie przyjmowała do wiadomości, że przecież musi ją widzieć.

Pomachał do niej.

– Przestano odśnieżać ulice w całej Szwecji? Czy tylko w Sztokholmie? – spytała. Zdjęła kurtkę, upuściła ją na podłogę.

– Demokracja oznacza, że nie zawsze wszystko jest tak, jak byśmy sobie życzyli. To ogół społeczeństwa w swej bezgranicznej mądrości

wybrał takich, a nie innych przedstawicieli, by sprawowali władzę polityczną.

Usiadła w jego fotelu dla gości. Jej włosy, spięte na czubku głowy, przypominały sroczę gniazdo.

– Przemyślałam sprawę – zaczęła. – Przyznaję, że wczoraj pochopnie odrzuciłam twoją propozycję.

Miała ciemne cienie pod oczami, ale spojrzenie jasne i skupione. Wyraźnie wzięła się w garść. I przebrała się. Miała na sobie czerwony sweter i czarne dżinsy.

– Powiedziałem, że masz czas do namysłu.

Zaczęła się kręcić na krześle.

– Nie podoba mi się takie publiczne obnażanie się. To trochę jakbym wyszła nago na rynek, żeby ludzie mieli się czym gorszyć.

Schyman skinął głową i czekał. Gdyby siedział przed nim ktoś inny, właściwie obojętne kto, uznałby to zdanie za wstęp do negocjacji – sumy i warunków. Ale Annika wszystkie sprawy załatwiała wprost. Nie umiała i nie chciała udawać, wszelka manipulacja była jej obca. Parła do przodu jak czołg, pokonując po drodze wszystkie przeszkody.

– Nadal nie wiem, czy te pieniądze będą mi potrzebne. Kiedy muszę ci dać ostateczną odpowiedź?

– Zarząd prosił, żebym odpowiedział w poniedziałek rano.

To nie była prawda. Dostał w tym względzie wolną rękę, nie musiał o nic pytać zarządu ani o niczym go informować. W budżecie były pieniądze (pozycja: koszty dodatkowe) do jego wyłącznej dyspozycji, chociaż oczywiście nie czterdzieści milionów. W tego rodzaju wyjątkowych sytuacjach w grę wchodziły najwyżej trzy miliony koron.

Annika spojrzała na świeży numer gazety. Leżał na samym wierzchu na biurku.

– Wierzysz w to? – spytała.

Dobry nastrój Schymana prysł jak bańka mydlana.

– Annika...

Wskazała na zdjęcie Linnei Sendman.

– Cztery razy wносиła oskarżenie przeciwko mężowi. Znęcał się nad nią. Wiedziałeś o tym? Dwa razy próbowała uzyskać dla niego zakaz zbliżania się do niej, ale jej się nie udało. O tym też nie wiedziałeś?

– Może był jakiś powód, żeby te sprawy umarzać – powiedział Schyman.

Sam słyszał, jak mało przekonująco to zabrzmiało. Powiedział to tylko po to, żeby dać jej odpór. Nie chciał tego, ale z jakiegoś powodu zawsze dawał jej się sprowokować. Nachyliła się nad jego biurkiem i ciągnęła:

– Prokurator uznał zapewne, że jest histeryczką, i doradził, żeby zamiast się przejmować drobiazgami, spróbowała pójść na kompromis. Czy nie tak zawsze się mówi?

– Więc co według ciebie powinniśmy byli zrobić? Nie możemy oskarżyć faceta o coś, czego nikt mu jeszcze nie udowodnił – powiedział Schyman.

Doskonale wiedział, że balansuje na krawędzi.

Annika zamknęła oczy, jak zawsze, gdy miała dosyć jego niewiarygodnej głupoty.

– A samolot wysadzili terroryści, tak?

Zdenerwował się, wstał. Co to wszystko miało wspólnego z jego propozycją, że zapłacą okup za jej porwanego męża?

– Nigdy nie obwiniamy konkretnych ludzi, dobrze o tym wiesz – powiedział.

Annika odchyliła się do tyłu.

– Czytałeś raport Europolu o terroryzmie w Europie?

Schyman zamknął na chwilę oczy, zbierał siły.

– Tylko w ciągu roku doszło w Europie do czterystu dziewięćdziesięciu ośmiu zamachów terrorystycznych. Zatrzymano setki ludzi podejrzanych o różnego rodzaju działalność terrorystyczną. Większość z ich była muzułmanami. A wiesz, ile z tych czterystu dziewięćdziesięciu ośmiu zamachów było dziełem muzułmanów?

– Annika...

– Jeden.

Schyman patrzył na nią.

– Jeden?

– Jeden. Pozostałe czterysta dziewięćdziesiąt siedem to głównie dzieło różnych organizacji separatystycznych, ETA czy tych durniów z Korsyki. Za częścią z nich stali neonaziści, za niektórymi komuniści,

reszta była po prostu dziełem szaleńców. Ale za każdym razem, kiedy piszemy o terrorystach, mamy na myśli muzułmanów.

– Tu chodzi o...

– Pamiętasz, co się działo po wybuchu bomby w Oslo i strzelaninie na Utøya? Nawet poważne dzienniki kazały swoim korespondentom zastanawiać się nad tym, jak międzynarodowy terroryzm dotarł do Norwegii, dodając, że jeśli posyłamy naszych chłopców do Afganistanu, to nie powinniśmy się dziwić takim historiom.

Schyman nie odpowiedział, bo co mógł powiedzieć?

– Rozpowszechniamy mity, straszymy ludzi, na ogół całkowicie bezpodstawnie, a kiedy ktoś morduje młodą matkę, nagle żądamy nie wiadomo jakich dowodów, najlepiej wyroku skazującego Sądu Najwyższego. Chyba że uda nam się wykreować seryjnego mordercę. Wtedy znów możemy zacząć snuć domysły.

Schyman usiadł, nagle poczuł się zmęczony.

– Ostatnią wiadomością z kabiny pilota była wygenerowana automatycznie nieprawdziwa informacja o spięciu w instalacji. Nic nie wskazuje na to, żeby na pokładzie doszło do wybuchu, żeby to był zamach terrorystyczny.

Annika przyglądała mu się dłuższą chwilę, bez słowa. A on pozwalał jej milczeć. Nie miał siły dociekać, co się dzieje w jej głowie. Kiedyś sądził, że może mogłaby w przyszłości zastąpić go na stanowisku szefa gazety. Cóż za niedorzeczny pomysł.

– Francuz nie żyje – odezwała się w końcu. – Ciało zostało poćwiartowane. Podrzucili je w worku pod ambasadę Dżibuti w Mogadiszu. Bez głowy. Nadal jej brakuje.

Schyman poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

– Został zabity?

Annika milczała.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Nie wiem, dlaczego ciągle nie podają tego do wiadomości publicznej. Pewnie jest jakiś powód, może nie mogą się skontaktować z nikim z rodziny, nie wiem. Tak czy inaczej, już wiesz. A ja mam pytanie.

– Pytanie?

– Jaka suma wchodzi w grę?

Nie zastanawiając się, odpowiedział wprost, tak jak ona zwykle robiła, nie owijając w bawełnę.

– Trzy miliony.

– Koron? – spytała z lekkim niedowierzaniem. Była zawiedziona.

– To wszystko, co możemy dać.

Milczała chwilę, zastanawiała się.

– Mogłabym dostać te pieniądze w ramach pożyczki?

– I pracować za darmo do końca życia, żeby być moim wiecznym wyrzutem sumienia?

Widział, jak kuli się w fotelu. Co on robi? Dlaczego czuje tak silną potrzebę przyparcia jej do muru? Urowadzono jej męża, a on zmusza ją, żeby się targowała o swoją godność.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem...

– Kiedy artykuły miałyby zostać opublikowane? Chcecie dać je teraz czy kiedy już będzie po wszystkim?

– Możemy poczekać – usłyszał własną odpowiedź, chociaż wcześniej postanowił, że zaczną od razu.

– Dzieci też mają w tym uczestniczyć?

– Tak, to jeden z warunków.

– Ale tylko jeśli wszystko dobrze się skończy. Jeśli Thomas zginie, ograniczę się tylko do swoich wypowiedzi.

Schyman skinął głową, uznał to za rozsądne.

– Teksty będę pisać sama. Rodzaj dziennika, od chwili kiedy się dowiedziałam, że Thomas zniknął. Nie mam kamery wideo, więc będziecie musieli mi pożyczyć. Filmować będę sama, ale potem możemy usiąść, razem wszystko przejrzeć i zmontować ostateczną wersję. No i będę zwolniona z innych obowiązków.

Schyman znów przytaknął.

– Porozmawiam z Pellem o wypożyczeniu kamery, powołam się na ciebie – rzuciła Annika, sięgając po leżącą na podłodze kurtkę.

Wstała.

– Prześlę ci mejlem numer konta. Jak szybko możecie przelać pieniądze?

Najwyraźniej nie zamierzała nawet próbować negocjować.

– Pewnie w ciągu jednego dnia, może dwóch – odpowiedział.

Wyszła z jego klatki, nie oglądając się za siebie. Schyman nie potrafił powiedzieć, czy jest zadowolony, czy wręcz przeciwnie.

* * *

Po drodze kupiła coś na wynos w Indian Curry House. Wróciła zgrzana, z czerwonymi policzkami i dymiącymi torbami w ręku. Halenius wziął je od niej i zaczął rozpakowywać. Ona rozbierała się w holu.

– Przyszło jakieś nagranie? – spytała.

– Nic. A tobie jak poszło?! – zawołał z kuchni.

– Schyman mnie nie rozumie – zaczęła, wieszając kurtkę na wieszaku w przedpokoju. – Jest przekonany, że jestem niespełna rozumu, impulsywna, kieruję się emocjami, typowa histeryczna baba. Więc osiągnęłam wszystko, co chciałam.

– Gratuluję – powiedział Halenius, stając w drzwiach. – Jaką sumą dysponujemy?

– Większą, niż przypuszczałam. Dadzą mi trzy miliony.

Halenius aż zagwizdał.

– Jesteś głodny? – spytała Annika. – Proponuję jeść, póki gorące – rzuciła, mijając go w drzwiach. Jej ręka dotknęła jego klatki piersiowej.

Sytuacja była dziwna. Ona umawiała się na mieście na kawę, chodziła na spotkania do redakcji, a on był tutaj, jadał w jej kuchni, korzystał z jej łazienki. Jego obecność była dojmująca, promieniował dziwnym ciepłem, trochę jak piecyk naftowy.

– Nie wiem, ile Schyman zapłacił, kiedy kochanka króla opowiadała na łamach „Kvällspresen” o swoim romansie – powiedziała Annika. Sięgnęła do górnej szafki po talerze. Nie patrzyła na Haleniusa. – Ale pewnie coś w tych granicach – dodała.

Halenius nadal opierał się o framugę, czuła na sobie jego spojrzenie.

– Tak myślisz? – powiedział. – Sądysz, że zapłacili jej za ten wywiad?

Stanęła, spojrzała na niego.

– Pewności nie mam, byłam wtedy w Waszyngtonie. Ale z jakiego innego powodu miałyby o tym opowiadać właśnie „Kvällspresen”?

– Żeby zwrócić na siebie uwagę? – zasugerował Halenius.

– Gdyby jej zależało tylko na tym, wybrałaby prasę kolorową albo któryś z programów telewizyjnych, nie „Kvällspresen”. To mądra dziewczyna. Kurczak tandoori czy jagnięcina korma?

Halenius pochylił się nad torbami.

– A które jest które?

Annika była przekonana, że nie będzie w stanie nic zjeść, ale nałożyła sobie na talerz trochę kurczaka. Halenius usiadł naprzeciwko niej, zderzyli się pod stołem kolanami.

– Miałaś rację. Thomas sam się zgłosił na ten rekonesans. Skąd wiedziałaś?

Annika zaczęła przeżuwać kawałek kurczaka, rósł jej w ustach. Nie zdenerwowała się, od początku podejrzewała, że tak właśnie było.

– Thomas nie lubi podróżować. Lubi dobre wina i dobre jedzenie. Jeśli miałyby się wybrać w taką podróż, to z trzech powodów: gdyby sprawa była prestiżowa, gdyby dostał polecenie służbowe albo z powodu kobiety.

Halenius doskonale wiedział, że ten wyjazd nie był ważny. Thomas nie musiał tam jechać. Zrozumiał, że w grę wchodził trzeci powód, i nagle poczuł się zażenowany.

– Coś się stało? – spytała Annika, odgryzając kawałek chlebka naan.

Halenius nie odpowiedział, pokręcił tylko głową.

Annika opuściła rękę z chlebkiem.

– To nie twoja wina – powiedziała. – Thomas nie jest monogamiczny. Myślę, że nawet próbuje, ale nie bardzo mu wychodzi.

– Czy wszystko zawsze musi być czyjąś winą? – powiedział Halenius i uśmiechnął się niepewnie.

Annika pokręciła głową, nagle poczuła się bardzo zmęczona. Wzięła do ust ostatni kawałek kurczaka, zebrała ostatnie ziarenka ryżu i wstała.

– Chyba muszę chwilę odpocząć – powiedziała.

Przespała się godzinę na łóżku Kallego. Kiedy się obudziła, na dworze

było już ciemno, szara ciemność, bez poświaty księżyca, bez gwiazd. Głowę miała jak z ołowiu. Słyszała, jak Halenius rozmawia z kimś cicho przez telefon w sypialni. Prześlizgnęła się do łazienki w samym T-shircie i majtkach, połknęła dwa panadole, zrobiła siku, umyła zęby, usiadła na chwilę na sedesie, próbując wrócić do rzeczywistości. Kiedy wyszła, w holu stał Halenius. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, w rękę trzymał kubek z kawą.

– Chodź – powiedział, ruszając do sypialni. – Wrzucili do sieci nowe nagranie.

– Z Thomasem?

– Nie. Z facetem w turbanie.

Szybko wróciła do pokoju dzieci, włożyła dżinsy i sweter i na bosa-ka poszła do sypialni. Halenius siedział już przed monitorem.

– Jest wiadomość o Francuzie. Najwyraźniej czekali na to, bo nagranie ukazało się zaledwie kilka minut po tym, jak AFP podało informację o jego zabójstwie.

Annika nachyliła się nad nim. Na stop-klatce widać było mężczyznę w turbanie. Tego z poprzedniego nagrania. Tło i tym razem było ciemnoczerwone, reszta też się nie zmieniła.

– Posłużyli się tym samym serwerem? – spytała Annika.

Halenius zaczął się targać za włosy.

– Ja mam to wiedzieć? Ledwie potrafię się zalogować do własnego komputera... Wiem tylko, że w Somalii działa pewnie ze trzech dostawców internetu. Największy to Telecom, ale to nie jego serwery. Pewnie któregoś z mniejszych... Chcesz obejrzeć?

– Zrozumiem coś z tego, co mówi?

– To link BBC, są napisy. Może weźmiesz krzesło...

Annika przeciągnęła się, jej włosy dotknęły jego ramienia. Szybko zdjęła ubrania z krzesła stojącego pod oknem i rzuciła je na łóżko. Przysunęła krzesło do biurka, postawiła je w odpowiedniej odległości od fotela Haleniusa, a właściwie od swojego własnego krzesła na kółkach. Halenius wcisnął klawisz, nagranie ruszyło. Poprawił się na krześle, przysunął się bliżej ekranu. Mężczyzna w turbanie wpatrywał się w kamerę. Był zły, mrużył oczy. Wygłosił swoje przesłanie w tym samym języku co poprzednio, tak samo wyraźnie i powoli. Mówił

właściwie to samo, tyle że żądał znacznie więcej.

„Zło i ignorancja zachodniego świata nie mogą pozostać bezkarne. Nadeszła godzina zemsty. Fiqh Jihad zabiła francuskiego psa za grzechy, które popełnił. Ale nadal możemy wam wybaczyć. Nasze żądania są proste: otwórzcie europejskie granice. Zlikwidujcie Frontex. Rozdzielcie ziemię. Zlikwidujcie cła ochronne. Jeśli świat nas nie posłucha, inni podzielą los Francuza. Wolność dla Afryki! Allah jest wielki!”.

Obraz zaczął drżeć, jak zwykle, kiedy wyłącza się kamerę. Ekran zrobił się czarny. Halenius wyłączył Explorera.

– Tym razem również trzydzieści osiem sekund – powiedział.

– To ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem.

Siedzieli obok siebie w milczeniu, wpatrując się w ciemny ekran.

– Jak myślisz, co to znaczy?

– Pewne wnioski można wyciągnąć. Najwyraźniej biorą na siebie odpowiedzialność za śmierć Francuza. Trudniej mi zrozumieć, o jakie grzechy może chodzić.

– Pracował dla Frontexu? – spytała Annika.

Halenius pokręcił głową.

– Niedawno objął stanowisko, to był jego pierwszy służbowy wyjazd. Prywatnie też nigdy nie wygłaszał rasistowskich poglądów. Poza tym jego żona urodziła się w Algierii.

Annika znów pochyliła się nad komputerem.

– Puść jeszcze raz – poprosiła.

Halenius stuknął w klawisz, pomylił się, ale po chwili włączył nagranie. Annika wpatrywała się w oczy mężczyzny. Kilka razy zerkał w lewo, jakby szukał tam pomocy.

– Jest wykształcony, na pewno potrafi czytać.

Obraz zaczął drżeć, zgasł.

– Jest ich co najmniej dwóch. Ten w turbanie i jeszcze ktoś, kto stoi obok kamery i zapewne też ją obsługuje. Można sprawdzić, kto korzysta z tego serwera?

– Od strony prawnej sprawa nie jest jednoznaczna – powiedział Halenius. – Dostawcom internetu nie wolno ujawniać takich informacji.

Co prawda w tym przypadku popełniono przestępstwo, ale żądanie udostępnienia danych musi być formalne, podpisane przez odpowiednich urzędników. Nie sądzę, żeby w Somalii było to możliwe...

– Brytyjczycy i Amerykanie chyba się nie przejmują takimi drobiazgami, prawda?

Halenius skinął głową.

– Prawda. Kiedy Jankesi uznali, że bin Laden wykorzystywał somalijskie serwery do przeprowadzania transakcji finansowych, po prostu wyłączyli internet w całym kraju. Trwało to kilka miesięcy.

Annika zagryzła wargi.

– Facet mówi o psach, o wybaczeniu, używa dość górnolotnych zwrotów. Może to ma znaczenie symboliczne? Może grzech Francuza ma coś symbolizować? Może w ogóle grzechy Francji? Albo całej Europy?

– Powiedział coś znacznie ważniejszego – Halenius wszedł jej w słowo.

Annika wyjrzała przez okno. Wiedziała, co ma na myśli.

– Grozi, że zabije kolejnych zakładników, jeśli jego żądania nie zostaną spełnione.

Halenius pokiwał głową.

Annika wstała.

– Wyłączę dźwięk w komórkach.

Pierwszy telefon zadzwonił cztery minuty później. Jej służbowa komórka. Przełączyła na automatyczną sekretarkę. Agencja Telegraficzna prosiła o komentarz do nowo powstałej sytuacji.

Annika uznała, że nie będzie czekać na medialny atak na swoją komórkę. Położyła ją w holu, a sama zamknęła się z laptopem w pokoju dzieci. Miała do napisania artykuł za najwyższe honorarium, jakie kiedykolwiek jej wypłacono. „Co czułam, kiedy porwano mojego męża...”. Nie zamierzała zważać na polityczną poprawność, postanowiła, że będzie pisać prawdę, opíše wszystko dokładnie, ze szczegółami, tak jak sama uzna za stosowne. Postanowiła też pisać w czasie teraźniejszym. W tabloidach było to zazwyczaj surowo zakazane, ale w tym przypadku powinno zdać egzamin, a poza tym w ten sposób

zwróci na siebie uwagę. Zaczęła pisać, swobodnie, bez zahamowań, jakby słowa płynęły z jej wnętrza. Nie wiedziała, czy ktoś je kiedykolwiek przeczyta ani kto to ewentualnie będzie, więc nie chciała się skupiać na niczym konkretnym, po prostu wylewała z siebie to, co się w niej nazbierało od czwartku, kiedy dowiedziała się o porwaniu. Podzieliła tekst na dni, godziny, miejscami nawet minuty.

Pisała kilka godzin, w końcu zgłodniała.

Zanim jednak poszła coś zjeść, podeszła do kamery, ustawiła ją na trójnogu, skierowała w stronę łóżeczka Ellen, wcisnęła record, usiadła wśród maskotek, żeby sprawdzić, czy wszystko działa. Raz, dwa, raz, dwa... Wróciła do kamery, cofnęła nagranie, stwierdziła, że źle usiadła, kamera pokazywała głównie jej brzuch. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze raz. W końcu udało jej się wszystko ustawić: jej twarz była w środku kadru, jak twarz mężczyzny w turbanie.

– Jest sobota, 26 listopada – powiedziała do obiektywu, który wyglądał jak oko cyklopa czy jakiejś innej pozaziemskiej istoty. Zimne, czujne.

– Nazywam się Annika Bengtson, Thomas, mój mąż, został porwany. Mamy dwoje dzieci. Thomas zaginął cztery dni temu na obrzeżach Liboi w północno-wschodniej Kenii...

Nagle zdała sobie sprawę, że płacze, zamrugła, pozwoliła łzom płynąć.

– Właśnie się dowiedziałam, że jeśli żądania porywaczy nie zostaną spełnione, zakładnicy zostaną straceni – niemal wyszeptwała.

Siedziała chwilę, kamera wciąż pracowała. Otarła łzy wierzchem dłoni, tusz się rozmazał, szczypał ją w oczy.

– Porywacze chcą, żebyśmy się otworzyli na Trzeci Świat – mówiła, patrząc w kamerę. – Żebyśmy się zrzekli swoich przywilejów i sprzeciwili się panującej na świecie niesprawiedliwości. To nierealne żądania. Wszyscy to chyba rozumieją. Rządy krajów europejskich nie zmienią swojej polityki, nie przestaną chronić swoich obywateli, żeby zapobiec śmierci kilku niższej rangi urzędników.

Poczuła, że ma zatkany nos, oddychała przez usta.

– Może przyszła pora, żebyśmy zaczęli płacić – powiedziała, spoglądając w stronę okna. – My, obywatele starego, wolnego świata, tego

po właściwej stronie muru. Bo niby dlaczego mamy mieć wszystko za darmo?

Spojrzała w kamerę, zmieszana się. Nie tego oczekiwał od niej Schyman. Z drugiej strony nie udzielił jej żadnych wskazówek, żadnych rad. Uznała więc, że może to zrobić po swojemu.

Wstała, wyłączyła kamerę. Obraz zapewne zadrżał tak samo jak w końcowej scenie przemówienia mężczyzny w turbanie.

Usłyszała dzwonek do drzwi.

Spojrzała na zegarek. Nic dziwnego, że była głodna.

Halenius uchylił drzwi do pokoju dzieci.

– Spodziewasz się gości?

Odgarnęła włosy z czoła.

– O wpół do dziewiątej w sobotni wieczór? Liczyłeś, że się załapiesz na imprezę? Jest jakiś nowy film?

– Odpowiedź brzmi: nie. Pójdę się schować – dodał i zniknął w sypialni.

Annika wzięła głęboki wdech. Drogą eliminacji doszła do wniosku, że za drzwiami stoi przedstawiciel „Konkurrenten”. Zapewne od kilku godzin pracowali nad tekstem o losie zakładników ze wschodniej Afryki i brakowało im już tylko zdjęcia zrozpaczonej żony uprowadzonego Szweda. Kiedy otworzy drzwi, oślepi ją błysk lampy. Cokolwiek powie, jej słowa zostaną zacytowane pod jej zdjęciem na pierwszej stronie jutrzejszego wydania. Jeśli to rzeczywiście był ktoś z „Konkurrenten”. I jeśli otworzy.

Szkoda, że w końcu się nie zebrała i nie zamontowała w drzwiach wizjera.

Wyszła do przedpokoju, przyłożyła ucho do drzwi. Coś zaszumiało jak wiatr w lesie.

Znów zadzwonił dzwonek.

– Annika? – usłyszała głos Bossego.

Zapukał, dokładnie tam, gdzie przyłożyła ucho. Zrobiła krok w tył.

– Annika, widziałem światło. Dasz nam krótki komentarz? Otworzysz?

Skąd wiedział, które okna są jej? Miała wrażenie, że traktuje swoje zadanie nieco zbyt ambitnie.

– Annika, wiem, że tam jesteś.

Znów wcisnął dzwonek, przytrzymał go dłużej. Ostry dźwięk ciał powietrze, wypełniał całe mieszkanie. Wiedziała, że musi się opanować, zachować spokój. Chcieli ją sprowokować, doprowadzić do tego, żeby w końcu otworzyła i przestraszona i zdenerwowana wykrzyczała, żeby jej dali spokój.

Halenius wystawił głowę z sypialni, jak zwykle rozczochrany, z włosami sterczącymi na wszystkie strony.

– Nie otworzysz? – powiedział bezgłośnie.

Pokręciła głową.

– Co tam się dzieje!

Lindström, sąsiad zza ściany, zdenerwował się. Był emerytowanym komisarzem policji i raczej nie znał się na żartach.

Dzwonek przestał dzwonić.

Annika znów przyłożyła ucho do drzwi.

– Jesteśmy dziennikarzami... – tłumaczył się Bosse cicho.

– Wasze zachowanie można uznać za sianie zgorzenia. Mówi o tym paragraf szesnasty rozdziału szesnastego kodeksu karnego. Wynoście się stąd, zanim każe was wsadzić do ciupy.

Usłyszała szuranie butów po kamiennej posadzce – drzwi do windy się otworzyły i natychmiast zamknęły – a potem pisk stalowych lin, kiedy winda ruszyła.

Drzwi do mieszkania Lindströma zamknęły się.

Annika odetchnęła z ulgą i spojrzała na Haleniusa.

– Zjemy kolację? – spytała i ruszyła do kuchni.

* * *

Anders Schyman stał w drzwiach, wybierał się już do domu, kiedy wiadomość o zamordowaniu Francuza została w końcu oficjalnie potwierdzona. Pojawił się też nowy film. Temperatura w redakcji natychmiast wzrosła, Schyman zawrócił, zdjął kurtkę. Właściwie równie dobrze mógł zostać. Jego żona wybrała się na kilka dni z koleżankami do spa, w domu czekała na niego zamrożona zapiekanka z ryby i biografia Palmego *Przed nami wspaniałe dni* autorstwa Henrika Berggre-

na. Cholernie dobra. Na przykładzie dziejów rodziny Palmego, a w szczególności losów Olofa, autor przedstawił kawał historii Szwecji. No ale książka mu nie ucieknie.

Usiadł przed komputerem i zaczął sprawdzać, jak świat zareagował na wiadomość o ostatniej akcji porywaczy. Czekał, aż Sjölander wróci z Kungsholmen, gdzie w jakiejś kamienicy, na dole, w pralni, znaleziono martwą kobietę. Było mało prawdopodobne, żeby zginęła z rąk seryjnego mordercy, ale jeśli się walczy o każdy sprzedany egzemplarz, nie zostawia się nic przypadkowi.

Nagle zobaczył, że Sjölander wchodzi do redakcji. Wstał i otworzył drzwi.

– Sjölander? Podejdz tu na chwilę.

Reporter powiesił kurtkę i torbę z laptopem na krześle przy dziale sportowym i ruszył w stronę klatki szefa.

– Ciężko będzie to podciągnąć pod tamte przypadki – zaczął. – Siedemdziesięcioletnia kobieta, żadnych śladów przemocy, po dwóch zawałach. Kiedy się zjawiliśmy, ratownicy zdążyli już przenieść ciało, ale mamy zdjęcie zmartwionego sąsiada na tle pralni...

Schyman uniósł rękę, próbował go powstrzymać.

– Słyszałeś, że somalijscy porywacze zaczęli zabijać zakładników?

Sjölander skinął głową i usiadł w fotelu dla gości.

– W północnym Sudanie i w Nigerii ludzie wyszli na ulice. Popierają żądania porywaczy, żądają otwarcia granic i niższych ceł, a najlepiej, gdyby je w ogóle zniesiono. Domagają się też opróżnienia obozów koncentracyjnych w Libii i likwidacji Frontexu.

– Niech to szlag – zaklął Sjölander.

Wstał i podszedł do komputera. Schyman odwrócił monitor tak, żeby mógł śledzić ciągle napływające informacje.

– Na razie nie są to jeszcze rozruchy, ale jak to się skończy, nikt nie wie – powiedział.

Sjölander czytał w milczeniu.

– No cóż, po śmierci Bin Ladena rebelianci potrzebują nowego przywódcy. Może się okaże, że właśnie go znaleźli.

Na twarzy Schymana malował się sceptycyzm.

– Tak sądzisz? Nikt nic o nim nie wie, nawet chłopcy z Langley.

Tacy ludzie nie spadają z nieba. Bin Laden był uczniem Abdullaha Az-zama, brał udział w wojnie Związku Radzieckiego z Afganistanem, dopiero potem stworzył Al-Kaidę – powiedział.

Sjölander sięgnął po prymkę tytoniu.

– Ten facet też mógł być żołnierzem. To, że o nim nie słyszeliśmy, nic nie znaczy. W Afryce w wielu miejscach toczą się walki i nikt się nimi nie przejmie. Retorykę ma opanowaną.

Schyman milczał.

– Słyszałem wypowiedź pani komisarz w telewizji – odezwał się po chwili. – Nie wyglądało na to, żeby się nosiła z zamiarem zlikwidowania Frontexu.

Sjölander się roześmiał, zaczął skubać prymkę pod wargą.

– Nie żartuj, chciałbyś tego? Frontex to podstawa, i dobrze. Wyobrażasz sobie, jaki chaos zapanowałby na Morzu Śródziemnym w czasie zamieszek w północnej Afryce, gdyby nie było tam łodzi patrolowych Frontexu? Uciekało wtedy tylu ludzi, że można było przejść po nich suchą nogą do Libii. Powinniśmy się cieszyć, że jest ktoś, kto trzyma wszystko w ryzach.

Głośny krzyk sprawił, że obaj nagle podnieśli głowy.

W ich stronę zmierzał Patrik, wymachiwał jakimś wydrukiem jak flagą.

– Niesamowite, do cholery – rzucił, otwierając szeroko szklane drzwi. – Na ścieżce w Sätra znaleziono zamordowaną kobietę. Matka dwójki dzieci, dostała nożem w szyję.

* * *

Moje pierwsze wspomnienie wiąże się z morzem. Kołysałem się na falach, jakbym był w kołysce. Nade mną przesuwały się białe obłoki, leżałem w koszyku, na plecach, i patrzyłem w górę. Uważałem, że wyglądają bardzo dziwnie. Wiedziałem, że jestem na morzu. Nie wiem, ile mogłem mieć lat, ale wiedziałem, że płynę łodzią. Nie pytajcie skąd. Może sprawił to zapach morskiej wody, odgłos uderzających o burzę fal, światło odbijające się od powierzchni wody.

Ten obraz towarzyszył mi nawet tutaj, w tej chacie, czy raczej szo-

pie z blachy. Fale huczały, algi lepiły mi się do nóg.

Zapomniałem, jak bardzo kochałem morze.

Z jakiegoś powodu na samą myśl o tym zacząłem płakać.

Tyle rzeczy zaprzepaściłem, tyle miłości, tyle radości.

Tylu ludzi zawiodłem, nie tylko siebie, jak zwykle sobie wmawiałem, ale wszystkich bliskich.

Poza tym powiedziałem im o pieniądzach. Wiem, Annika, że chciałaś za nie kupić większe mieszkanie, ale bardzo się bałem i bardzo mnie bolało, jak mnie kopał. Wiem, że chciałaś zapewnić nam wszystkim lepszą przyszłość, ale musisz mi teraz pomóc. Boże, nie wytrzymam tego dłużej, pomóż mi, pomóż mi...

Nagle znów byłem na morzu, w łodzi, w drodze do Gällnö, w starej szalupie, którą ojciec odziedziczył po wujku Knucie, szalupie z żaglem, który pachniał praniem i łopotał na wietrze. Gdzieś za mną był pomost i droga do miasta, i budynki gospodarcze z surowego, niepomalowanego drewna, i zardzewiała szopa na łodzie. Niskie czerwono-szare domy, pochylone do siebie, jakby w ten sposób próbowały chronić się przed wiatrem. Szare skały, wysokie chude sosny i krzyk mew na wietrze. Farma w Söderby, łąki, pasące się krowy i muchy, które zasłaniały niebo. Kołysałem się na falach, patrzyłem w niebo, które zdawało się ciągnąć bez końca, i nagle poczułem, że łyzy mi obeschnęły.

Ognisko rozpalone przez strażników dogasało. Słyszałem, jak jeden z nich chrapie. Marzłem, trząsałem się z zimna. Czyżbym miał gorączkę? Może przenoszący malarię komar *Anopheles gambiae* wpuścił mi pasożyta do wątroby? Czy to były pierwsze objawy?

Znów zacząłem płakać.

Byłem bardzo głodny.

Wieczorem dali mi *ugali*, z kawałkiem mięsa. Ale w mięsie były białe robaki, nie byłem w stanie przełknąć ani kęsa. Wysoki krzyczał i próbował mi je wcisnąć do ust, ale zagryzłem zęby. Wtedy zatkał mi nos i zemdlałem. Kiedy doszedłem do siebie, już go nie było. *Ugali* też nie.

Głód skręcał mi kiszki.

Oddychałem w ciemności, w ustach miałem smak zepsutej wody.

* * *

Szwedzka telewizja pokazywała komedię romantyczną z Meg Ryan z czasów, kiedy naprawdę była śliczna i wyglądała zupełnie normalnie, zanim uwierzyła w hollywoodzkie mity, schudła i oszpeciła się monstrualnymi wargami. Annika siedziała na kanapie obok Haleniusa. Wpatrywała się w ekran, ale niewiele do niej docierało. Za to Halenius śledził akcję w napięciu, śmiał się, parskął, od czasu do czasu kiwał głową, gdy sytuacja się komplikowała czy następował nagły zwrot akcji.

Porywacze się nie odzywali. Nie przesłali żadnego nagrania, nie zadzwonili.

Za to od chwili pojawienia się w sieci informacji o zamordowanym Francuzie bez przerwy dzwonili przedstawiciele chyba wszystkich szwedzkich mediów, a także niektórych zagranicznych. Zostawiła komórkę w holu, wyłączyła dźwięk. Leżała tam i wibrowała. W końcu spadła z komody, ale wibrowała nadal, teraz już na butach.

Annika zerknęła na Haleniusa. Zaciekawiony pochylił się w stronę telewizora. Niewiarygodne, że tak się dla nich poświęca, dla niej i dla Thomasa. Naprawdę fantastyczne. Czy któryś z jej szefów zachowałby się tak samo? Schyman albo Patrik Nilsson? Prychnęła.

Zastanawiała się, jakim jest ojcem. Nigdy nie słyszała, żeby rozmawiał z dziećmi przez telefon. Pewnie rozmawiał z nimi w sypialni, przy zamkniętych drzwiach. Wiedziała, że samolot do Kapsztadu odleciał wczesnym wieczorem, ale skoro sam o tym nie wspominał, nie chciała być nachalna. Zastanawiała się, kim jest jego dziewczyna. Pewnie jakaś prawniczka z ministerstwa. Bo gdzie, jak nie w miejscu pracy, samotny ojciec dwojga dzieci może kogoś spotkać?

Ciekawe, czy jest ładna. Pewnie bardzo inteligentna, pomyślała, uznając, że kombinacja tych dwóch cech należy raczej do rzadkości.

Film najwyraźniej się skończył. Halenius wstał, coś powiedział. Ze zdziwieniem uniosła brwi.

– Kawy?

Pokręciła głową.

– Mogę sobie zrobić?

Podniosła się.

– Siedź – powiedziała. – To ja odpowiadam za logistykę.

Przyniosła półmisek z ciasteczkami, które kupiła poprzedniego dnia podczas wyprawy do Konsumu, a potem usiadła i w milczeniu przyglądała się, jak Halenius je, popijając kawą. Telewizor był włączony, leciała powtórka jakiegoś angielskiego kryminału. Wyłączyła głos.

– Jak na sekretarza ministra jesteś bardzo młody – powiedziała nagle.

Halenius przełknął kawałek ciasta.

– Zastanawiasz się, z kim się przespałem, żeby dostać to stanowisko?

Przewróciła oczami. Halenius się uśmiechnął.

– W grę wchodzi tylko jedna osoba: minister. Bo to nie partia, tylko on osobiście wybiera sobie sekretarza.

Teraz ona się uśmiechnęła.

– A czym się zajmujesz? Tak na co dzień, kiedy wszyscy pracownicy są w komplecie.

– Najkrócej mówiąc, to minister działa na zewnątrz, a sekretarz w ministerstwie. Dlatego musimy się bardzo dobrze rozumieć. Inaczej byłoby to niemożliwe...

– Niemal się zrośliście. Nawet mówisz tak jak on. Ale co tak naprawdę robisz?

Halenius znów się roześmiał, sięgnął po kolejne ciastko.

– Czasem zajmuję się kontaktami z mediami, ale tylko wtedy, kiedy trzeba wyciszyć jakąś naprawdę przykrą i skomplikowaną sprawę. – Roześmiał się.

– A do tej sprawy zostałeś przydzielony, bo...

Wypił łyk kawy, popijając kolejny kęs ciasta.

– Nie znaliśmy się bliżej, spotkaliśmy się na jakiejś imprezie, kilka razy graliśmy razem w piłkę. Pewnie potrzebował kogoś z moimi umiejętnościami.

– Czyli...

– W wieku dwudziestu ośmiu lat obroniłem pracę doktorską z prawa administracyjnego. Pracowałem w Sądzie Najwyższym i pewnego dnia zadzwoniła do mnie jego sekretarka i zaprosiła mnie na rozmo-

wę.

Annika spojrzała na niego, zmrużyła oczy. Próbowwała wyobrazić go sobie jako urzędnika Sądu Najwyższego. Nie bardzo potrafiła. Zawsze wyobrażała sobie, że pracują tam starzy mężczyźni, w wytartych garniturach, z łupieżem, nie wiecznie rozczochrani i w dżinsach.

– Jeśli w przyszłym roku wasza partia przegra wybory, odejdziesz?

– Tak jest.

– I pewnie zostaniesz dyrektorem generalnym jakiegoś urzędu o dziwnej nazwie.

Halenius nagle zamarł, wyprostował się, zerknął w stronę holu.

– Mam wrażenie, że słyszałem, jak zatrzymuje się winda – powiedział cicho.

Annika wstała, spięta jak sprężyna. Wstrzymała oddech, podeszła na bosaka do drzwi. Rzeczywiście z klatki dochodziły jakieś głosy, ktoś coś szeptał. Winda zjechała z powrotem na dół. Chwilę później rozległ się dzwonek do drzwi. Podeszła bliżej, zaczęła nasłuchiwać.

– Annika...

Zdziwiona zrobiła krok w tył.

– Kto to? – wyszeptał Halenius.

Annika wpatrywała się w drzwi.

– Moja siostra. Birgitta.

Znów rozległ się dzwonek. Ktoś chwycił za klamkę.

– Wycofam się do centrali dowodzenia – oświadczył Halenius.

Annika zaczęła, aż zniknie w sypialni, i otworzyła.

Jej młodsza siostra, większa od niej o kilka rozmiarów, stała na ciemnej klatce. Chwiała się. Obok niej stał potężnie zbudowany mężczyzna w dżinsowej kamizelce.

– Cześć – powiedziała Birgitta. – *Long time no see*. Możemy wejść?

Zarówno jej siostra, jak i mężczyzna, zapewne Steven, mąż, którego nie zdążyła jeszcze poznać, byli porządnie wstawieni. Zawahała się.

– Mam się wysikać na klatce? – spytała Birgitta.

Annika zrobiła krok w tył, wskazała na drzwi od łazienki. Birgitta ruszyła do nich biegiem. Po chwili usłyszeli, jak oddaje mocz. Annika zamknęła drzwi. Potężny mężczyzna kiwał się na boki, wypełniając swoim obfitym ciałem niemal cały hol. Annika obeszała go, stanęła

w drzwiach do kuchni, skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała się przed nim bronić. Stali tak, czekając w milczeniu, aż Birgitta wyjdzie z łazienki. Mimo panującego w holu półmroku Annika zauważyła, że siostrze jeszcze się nie udało zgubić kilogramów, które zostały jej po ciąży. Długie blond włosy sięgały jej niemal do pasa.

– Nie spodziewałam się was. Dlaczego dostąpiłam tego zaszczytu?

– Byliśmy na koncercie. Rammsteinu. Grali w Globen. Fantastyczna kapela.

Mamy prawie takie same głosy, pomyślała Annika. Ona jest jasną blondynką, ja jestem ciemna, ale jesteśmy niemal identyczne. Jestem jej ciemnym cieniem.

– Myślałam, że pracujesz w weekend. Mama mówiła, że opiekuje się... waszą córeczką.

Nie mogła sobie przypomnieć jej imienia? Destiny? Crystal? A może Chastity?

– Wieczory mam wolne, a skoro Stevenowi udało się zdobyć dwa bilety, szkoda było nie skorzystać z okazji...

Steven, jej mąż, wszedł do pokoju. Annika wzdrygnęła się i ruszyła za nim. Bała się, że za chwilę zacznie zwiedzać mieszkanie, wejdzie do sypialni i znajdzie tam obstawionego laptopami i sprzętem nagrywającym Haleniusa, zobaczy papiery na biurku, na ścianach karteczki z różnymi hasłami, kodami, propozycjami wysokości okupu, schematami negocjacji i sporządzonymi przez Haleniusa kopiami rozmów z porywaczami...

– Czego chcecie? – spytała, zagrządzając mu drogę.

Był od niej wyższy o głowę, na czole miał plamy wątrobowe. Jeszcze się nie odezwał.

– Pomyśleliśmy, że moglibyśmy u ciebie przenocować – powiedziała Birgitta. – Ostatni pociąg do Flen już odszedł, a nie stać nas na nocleg w hotelu.

Annika patrzyła na siostrę. Nie widziały się pewnie ze trzy lata i nagle wpada, w chwili kiedy Thomas został porwany, bo spóźniła się na pociąg?

– Nie wiem, czy wiesz – zaczęła Annika, lekko się zacinając – ale mój mąż został porwany. Jest zakładnikiem, gdzieś we wschodniej

Afryce. W każdej chwili może zostać zabity.

Birgitta potoczyła wzrokiem po pokoju.

– Mama mi mówiła. To straszne. Biedaczka.

Jej mąż opadł na kanapę. Annika zauważyła, że niebezpiecznie się przechylił, jakby zaraz miał zasnąć, i nagle coś się w niej zbuntowało.

– Nie możecie tu zostać – oświadczyła głośno. – Nie dzisiaj.

Steven zdążył się już ułożyć na kanapie, stopy w butach oparł na podłokietnikach, podłożył sobie poduszkę pod głowę. Birgitta usiadła obok niego.

– A jakie to ma znaczenie...

Annika zatkała uszy palcami i stała tak kilka sekund.

– Chcę, żebyście sobie poszli! – wykrzyczała po chwili, szarpiąc męża siostry. – Oboje! – dodała.

– Uspokój się – powiedziała Birgitta, nagle zaniepokojona, może nawet lekko przestraszona. – Nie szarp go, bo się rozzłości.

– Nie macie odrobiny przyzwoitości? – powiedziała Annika łamiącym się głosem. – Wpadacie w środku nocy, dlatego że się upiliście i uciekł wam pociąg? Wynocha!

– Nie mów tak do Stevena – powiedziała Birgitta błagalnym tonem.

Mężczyzna otworzył oczy, spojrzał na Annikę.

– Ty cholerna... – zaczął.

Annika poczuła przeciąg i usłyszała, że drzwi sypialni się otwierają. Jimmy Halenius wyszedł i stanął za nią, czuła, że jego klatka piersiowa dotyka jej pleców.

– Masz w sypialni faceta? – zdziwiła się Birgitta.

– Andersson, wydział kryminalny – przedstawił się Halenius, pokazując ministerialną przepustkę. – To mieszkanie jest traktowane jak miejsce zbrodni, trwa tu śledztwo. Proszę natychmiast wyjść.

Skutek był piorunujący. Potężny mężczyzna natychmiast wytrzeźwiał i dość zwinnie wstał z kanapy.

– Chodź, Steven – powiedziała Birgitta, biorąc go za rękę.

Annika pomyślała, że pewnie nie był to pierwszy kontakt męża jej siostry z policją. Poprzednie spotkania najwyraźniej zostawiły ślad. Na samo wspomnienie natychmiast trzeźwiał.

– Tędy – powiedział Halenius, biorąc go pod drugą rękę.

Annika widziała, jak znikają w holu, potem otworzyły się drzwi na klatkę, potem zamknęły, a potem usłyszała szum windy. Stała w padającym z telewizora świetle i czuła, jak wali jej serce.

Birgitta, ukochana córeczka, ukochane dziecko, płowowłosa, śliczna. Skarb mamusi, średnio utalentowana księżniczka, którą zawsze wybierano na szkolną Łucję.

Ona natomiast była córeczką tatusia, ciemną, o nieco topornej urodzie, z dużym biustem, z wielkimi ciemnymi oczami i zawsze najlepszymi stopniami w klasie, ze wszystkich przedmiotów, mimo że prawie się nie uczyła.

Wrócił Halenius.

– Andersson, wydział kryminalny? – zdziwiła się.

Westchnął i usiadł w jej fotelu.

– Podanie nieprawdziwych danych. Przyznaję się do winy. Czyn zagrożony karą grzywny. A więc to była twoja siostra i twój szwagier.

Annika poczuła, że ma nogi jak z waty, usiadła na kanapie.

– Dzięki za pomoc.

– Pamiętam ją ze szkolnych zdjęć – powiedział. – Była o rok niżej od ciebie, prawda? Rolle trochę się w niej podkochał, ale nie tak jak w tobie.

– Wszyscy kochali się w Biggan – powiedziała Annika. Odchyliła głowę do tyłu, oparła się o ścianę. – Mam wrażenie, że przez jakiś czas, pod koniec gimnazjum, nawet ze sobą chodzili.

– Zgadza się – potwierdził Halenius. – Ale tylko dlatego, że ty go nie chciałaś.

– To jej prawdziwy kolor włosów – ciągnęła Annika. – Pasemka w różnych odcieniach blond. Kobiety wydają majątek, żeby takie mieć.

– Ile ona ma lat? Trzydzieści siedem? Wygląda na starszą.

Annika wyprostowała się, spojrzała na niego.

– Jak to możliwe, że pamiętasz, że Biggan chodziła z Rollem? Nie jestem pewna, czy ona sama to pamięta.

Halenius roześmiał się i pokręcił głową.

Annika pochyliła się w jego stronę.

– Jak dobrze się znaliście? Ty i Rolle?

– Bardzo dobrze.

– Opowiadał ci o nas? O Biggan i o mnie?

– Mówił głównie o tobie. Bez przerwy, jeśli mam być szczery.

Annika spojrzała na niego, zauważyła, że nie spuszcza z niej wzroku.

– Dorastałem z tobą – powiedział. – Byłaś utopią, mirażem, dziewczyną ze snu. Jak myślisz, dlaczego wtedy przyszedłem do was na tę kolację? W Djursholm?

Annika nagle poczuła, że ma sucho w ustach.

– Chciałem zobaczyć, jak wyglądasz – powiedział cicho. – Na kogo wyrosłaś.

– Skonfrontować sen z rzeczywistością? – spytała schrypniętym głosem.

Patrzył na nią chwilę, wstał.

– Widzimy się jutro – powiedział, ubrał się i wyszedł.

DZIEŃ 5

Niedziela, 27 listopada

OBUDZIŁEM SIĘ w chwili, kiedy wysoki wszedł do chaty. Jego zapach uderzył we mnie niczym fala uderzająca o brzeg Gällnö. Zanim zrozumiałem, czego ode mnie chce, przeżyłem chwilę prawdziwej paniki.

Przyniósł herbatę, wodę, *ugali* i świeżego pomidora. Śmiał się i bardzo dużo mówił. *Kula ili kupata nguvu, siku kubwa mbele yenu*. Pochylił się nade mną, poluzował sznur, który krępował mi ręce. Nareszcie mogłem je trochę rozmasować, spróbować przywrócić krążenie w palcach. Kiedy ostrożnie sięgnąłem po pomidora, pokiwał głową z uznaniem.

– *Kula vizuri* – powiedział i wyszedł.

Zostawił mnie z rozwiązzanymi rękami, ale kiedy przynosili jedzenie, zwykle rozwiązywali mi ręce.

Herbata była mocna, słodka i smakowała miętą. Dawno nie piłem nic tak wspaniałego. Woda była chłodna, miała świeży smak, a *ugali* było ciepłe.

Może nieświadomie spełniłem jakieś ich oczekiwania? Może zrozumieli, że nie będę stwarzać problemów, że jestem chętny do współpracy? Może to była nagroda, może teraz zaczną mnie traktować lepiej?

Ta myśl napełniła mnie nadzieją.

A może Annika miała z tym coś wspólnego? Domyślałem się, że są z nią w kontakcie, i wiedziałem, że zrobi wszystko, żeby mnie uwolnić. Może nawet już zapłaciła okup? Może wkrótce podjedzie toyota i zabierze mnie z powrotem na lotnisko do Liboi?

Poczułem taką ulgę, że aż się rozpląkałem.

Kiedy się zastanowiłem, musiałem przyznać, że właściwie strażnicy traktowali mnie nie najgorzej. Co prawda *Kiongozi Ujumla*, potężnie zbudowany mężczyzna w turbanie, zachował się wobec mnie dość brutalnie, ale pewnie dlatego, że go okłamałem. To zrozumiałe, że w ich oczach byłem bogatym człowiekiem. Upieranie się było bez sensu. Żebra, a właściwie klatka piersiowa z prawej strony nadal bardzo mnie bolała, szczególnie gdy brałem głębszy wdech, ale już się z tym pogodziłem. Nie byli winni śmierci Duńczyka, facet miał astmę. A Francuz? Cóż, chwilami sam miałem ochotę skrócić go o głowę.

Hiszpana i Rumuna nie widziałem od chwili, gdy ich zabrali. Może spotkamy się wszyscy w toyocie w drodze na lotnisko? Może nasze rządy połączyły wysiłki i wynegocjowały nasze uwolnienie w zamian za jakieś polityczne ustępstwa?

Najpierw zjadłem, a właściwie pochłonałem pomidora. Potem zabrałem się za *ugali*, a na koniec wypilem wodę. Wylizałem kubek, żeby nie zmarnować ani ziarenka cukru. Nareszcie czułem się syty. Gdyby nie uporczywe swędzenie po ukąszeniach komarów i pulsujący ból w klatce piersiowej, mógłbym powiedzieć, że czułem się całkiem nieźle.

Usiadłem w kącie, oparłem się o ścianę, z dala od ciemnej plamy w miejscu, gdzie umarł Duńczyk. Prawdę mówiąc, ostatnio właśnie tam się załatwiałem. Nie z braku szacunku, tylko ze względów czysto sanitarnych.

Czułem na plecach chłód blachy, wiedziałem, że wkrótce zrobi się gorąca.

Nagle usłyszałem jakiś hałas, głosy, mężczyzn i kobiet. Głos Catherine, mówiła coś po angielsku, głośno, niemal błagalnie.

Wyprostowałem się, wyteżyłem zmysły. Czyżbym słyszał też głosy innych? Hiszpana? Rumuna?

Może Catherine dołączy do nas, kiedy będziemy jechać na lotnisko?
– *Please, please* – słyszałem jej głos. Miałem wrażenie, że płacze.

Stanąłem i wyprostowałem się na tyle, na ile byłem w stanie. Na górze, przy samym suficie, była dość szeroka szpara. Zmrużyłem jedno oko, przyłożyłem twarz do szczeliny. Ośloniłem oko dłonią, żeby

lepiej widzieć. Natychmiast wiatr dmuchnął we mnie piaskiem, zamrugałem i spróbowałem jeszcze raz. Zobaczyłem trzy chaty, nie z blachy, tylko z popękanej gliny, uderzył mnie zapach ognia i stęchliny. Słońce nadal stało nisko, cienie były długie, ostre. Nigdzie jednak nie widziałem rozmawiających ludzi. Musieli być gdzieś dalej, za chatami. Wiatr niósł ich głosy. Znów zacząłem się rozglądać, ale nadal nikogo nie widziałem. Usiadłem i zacząłem nasłuchiwać. Próbowałem zrozumieć, co mówi Catherine. O co prosi. Miałem wrażenie, że słyszę też głos mężczyzny. Może coś jej odpowiedział? Potem usłyszałem, jak Catherine mówi: *No, no, no*, a potem rozległy się krzyki.

* * *

Kobieta zginęła od czterech ciosów nożem w kark. Leżała na skraju lasu, w pobliżu ścieżki spacerowej, na tyłach domków na Kungsätträvägen na południowych obrzeżach Sztokholmu. Niedaleko był plac zabaw. Ciało znalazł mężczyzna, który około szóstej wieczorem wybrał się na spacer z psem. Te dwa zabójstwa, ostatnie i wcześniejsze, Linnei Sendman, były pod wieloma względami uderzająco podobne, stwierdziło „Kvällspresen”. Dla pewności dokładnie wyszczególniono wszystkie podobieństwa, a nawet je zilustrowano.

* Narzędzie zbrodni: nóż. Opublikowano zdjęcie noża fińskiego, zaznaczając, że nie jest to zdjęcie prawdziwego narzędzia zbrodni.

* Cios zadano od tyłu, w kark. Opublikowano zdjęcie kobiecego karku, prawdopodobnie reporterki Elin Michnik.

* Miejsce zbrodni: tuż przy placu zabaw. Zdjęcie pustej huśtawki.

* Przedmieście: miejsc zbrodni nie dzieliło nawet pół kilometra. Zaznaczono je na mapie strzałkami.

Zamordowana kobieta nazywała się Lena Andersson, miała czterdzieści dwa lata, samotnie wychowywała dwie nastoletnie córki. Uśmiechała się do Anniki ze zdjęcia na pierwszej stronie, wiatr rozwiewał jej rude włosy.

Teraz już także policja była skłonna się zgodzić, że może chodzić o seryjnego mordercę. Dwóch śledczych, przedstawionych z imienia i nazwiska, przyznało, że śledztwa w sprawie zabójstwa Leny i Linnei

– policja była już najwyraźniej po imieniu z obiema ofiarami – powinny zostać połączone.

– Skąd macie zdjęcia ofiar? – dziwił się Halenius, jedząc śniadanie, kanapkę z pełnoziarnistego chleba. – Miałem wrażenie, że zamknęliśmy wszystkie archiwa.

Annika złożyła gazetę i odłożyła ją na bok. Nie miała siły myśleć o dwóch nastolatkach, które zostały same. Może w sobotni wieczór czekały na mamę w domu? Nasłuchiwały jej kroków na klatce? A może bawiły się gdzieś ze znajomymi i wcale o niej nie myślały? Może zorientowały się, że jej nie ma, dopiero kiedy zjawiała się policja, żeby oznajmić, że przychodzą ze „smutną wiadomością”?

– To prawda, że zamykając archiwa, utrudniliście nam pracę, ale w cyfrowym świecie jest wiele innych możliwości.

– Na przykład?

– Są blogi, jest Twitter, gazety w sieci, fora dyskusyjne, oficjalne strony różnych urzędów, no i oczywiście Facebook.

Nawet facet, który wysadził się na Drottningsgatan, miał profil na Facebooku.

– A prawa autorskie? Miałem wrażenie, że to dla was ważne.

– Szara strefa – odpowiedziała Annika, nie przestając jeść.

Wciąż miała przed oczami zdjęcie rudowłosej kobiety. Od trzech lat mieszkała sama z córkami, tak przynajmniej wynikało z artykułu Elin Michnik. Pracowała jako fizjoterapeutka w przychodni w centrum Skärholmen. Wracała do domu z jogi i po drodze, w ciemnościach, spotkała zabójcę.

Annika wypła łyk soku pomarańczowego, wzięła do ręki kanapkę, zaczęła jeść.

Koszula, w której Halenius zjawił się rano, nie była już tak starannie wyprasowana jak ta z poprzedniego dnia, co utwierdziło Annikę w przekonaniu, że to jego dziewczyna mu je prasowała.

– Twoje dzieci dotarły na miejsce? – spytała.

Poprawił się na krześle nieco skrępowany i spojrzał na zegarek.

– Wylądowały godzinę temu. Mogę wziąć gazetę?

Przesunęła ją w jego stronę i wstała. Skoro nie miał ochoty rozmawiać o dzieciach, nie chciała go dręczyć.

– Pójdę zadzwonić do swoich – powiedziała.

Wzięła do ręki komórkę, poszła do pokoju dzieci, zamknęła drzwi, niemal bezszelestnie.

Nie zapaliła światła.

Na dworze panował półmrok, pokój krył się w cieniu. Skuliła się w pozycji płodowej na narzucie na łóżku Kallego, wzięła do ręki jego poduszkę. Przeszła zapachem synka. Był bardzo intensywny, od dwóch tygodni nie zmieniała pościeli. Najwyższa pora to zrobić. Powinna też przejrzeć garderobę dzieci. Zaraz po przyjeździe włożyła wszystko do szafy razem z rzeczami, z których już wyrosły, i tak zostawiła. Usiadła na łóżku.

Zbliżał się dzień świętej Łucji, trzynasty grudnia. Powinna sprawdzić, czy dzieci nie wyrosły ze swoich strojów¹. Stare mogą być za małe. Musi pamiętać, żeby w najbliższych dniach wybrać się na zakupy, bo za parę dni nic już nie dostanie. A może Kalle nie będzie w tym roku chciał się przebrać za krasnalą i maszerować w pochodzie? Może w amerykańskiej szkole nie obchodzi się tego święta tak uroczyście jak w szwedzkich?

Wzięła komórkę, wybrała numer Berit. Odebrał jej mąż, Thord.

– Tylko nie przyjeżdżaj po nich za wcześnie. Właśnie wybieramy się na ryby.

Potem słuchawkę przejął Kalle.

– Organizujecie w szkole pochod świętej Łucji? – spytała Annika.

– Mamo – przerwał jej Kalle. – Tata obiecywał nam tysiąc razy, że pojedziemy do Norwegii łowić pstrągi w Randsfjorden. Jeśli nie wróci, to będę mógł pojechać z Thordem?

Annika zaczerpnęła powietrza.

– Jasne – odpowiedziała spokojnie.

– Hura! – krzyknął chłopiec i oddał słuchawkę Ellen.

– Mamo, mogę dostać psa? Takiego żółtego jak Soraya?

– Dobrze wam u Berit i Thorda? – spytała Annika.

– Proooszę! Takiego małego pieska?

– Niedługo po was przyjadę. Wykorzystajcie ten czas i pobawcie się z Sorayą. Poza tym zawsze możecie pojechać ją odwiedzić.

– Jedziemy na ryby – powiedziała Ellen i z hukiem odłożyła słu-

chawkę.

Annika usłyszała kroki, a po chwili trzaski w słuchawce.

– Dużo się tu dzieje – powiedziała Berit.

– Jak mogę ci się odwdzięczyć? – spytała Annika.

– Jak wam idzie?

– Nie wiem. Ostatnio nie mieliśmy żadnych wiadomości. Przyjęłam propozycję Schymanana, będę wszystko relacjonować i filmować. Potem zobaczymy, co z tego będzie można opublikować.

– Brzmi rozsądnie – powiedziała Berit. – Daj znać, gdybyś potrzebowała pomocy.

Annika zauważyła, że ktoś napisał coś kredą na tapecie.

– Gdzie oni jadą na te ryby? – spytała. – Jezioro chyba zamarzło?

– Thord wywiercił dziurę w lodzie. Całą zimę dba, żeby nie zamarzała...

Rozłączyły się. Annika jeszcze chwilę siedziała z komórką w ręku. Potem wstała, nogi miała jak z ołowiu. Podeszła do garderoby, spojrzała na panujący w niej bałagan. Wszystkie ubranka Ellen i Kallego spłonęły w pożarze, ale dzieci szybko rosły i nawet niedawno kupione rzeczy były już na nie za małe. Na jednej z półek zobaczyła strój Batmana. Że też się zachował, pomyślała. Wzięła go do ręki, położyła na łóżku synka, na stercie rzeczy do zachowania. Sięgnęła po następne ubranko, sweterek z pociągami, który Birgitta zrobiła Kallemu na drutach na trzecie urodziny. Jej siostra miała dryg do takich rzeczy. Kalle zostawił go kiedyś u babci w Vaxholmie i dlatego sweterek przeżył pożar. Postanowiła go zachować. Wyrzuciła natomiast strój księżniczki, który Sophia Grenborg kupiła kiedyś Ellen. Wyrzuciła też stare piżamki, skarpetki nie do pary, sprane dresowe bluzy i T-shirty, zostawiła tylko nieliczne, te, które uznała za nadające się jeszcze do noszenia.

Przejrzała mniej więcej połowę rzeczy, kiedy do drzwi zapukał Halenius.

– Jest – powiedział.

Posadził ją w fotelu przed biurkiem. Ekran był ciemny, mały trójkąt w samym środku pokazywał, że ładuje się film.

– Wszystko jest w porządku, nie denerwuj się – uspokajał ją. – Obejrzałem. To standardowe nagranie, krótkie, zwięzłe. Żadnych niespodzianek. Zrobione wczoraj, zaraz zobaczysz.

Annika chwyciła się blatu.

– Na to właśnie czekaliśmy – ciągnął Halenius. Uklęknął przy biurku, obok jej fotela. – Dranie odrobiły lekcje. Odnoszę wrażenie, że to nie jest ich pierwszy raz. Widać, że Thomas przez ten tydzień był przetrzymywany na dworze albo w bardzo kiepskich warunkach. Nie przestrasz się, jest brudny i nieogolony. Przedstawione oświadczenie nie jest najistotniejsze. Najważniejsze, że Thomas żyje i wydaje się być w niezłej formie. Mam włączyć?

Annika skinęła głową.

Monitor się rozświecił, obraz zadrżał, po chwili zobaczyli na ekranie przestraszoną twarz.

Jęknęła.

– Boże, co oni z nim zrobili? – powiedziała, wskazując na lewe oko Thomasa. Powieka była spuchnięta, zaczerwieniona, wyglądała niemal jak mała parówka.

Halenius wcisnął klawisz, zatrzymał obraz.

– Wygląda jak ukąszenie – stwierdził po chwili. – Może komara, może jakiegoś innego paskudztwa. Na twarzy nie ma śladów pobicia. Po prostu jest nieogolony.

Annika znów skinęła głową. Wyciągnęła rękę, dotknęła monitora, przeciągnęła palcami po policzku Thomasa.

– Ma na sobie swoją pedalską koszulę – powiedziała. – Wyraźnie chciał jej zaimponować – dodała po chwili.

– Oglądamy dalej?

– Zaczekaj – powstrzymała go.

Odsunęła krzesło, pobiegła do pokoju dzieci, wzięła redakcyjną kamerę i wróciła do sypialni.

– Możesz filmować, jak to oglądam? – poprosiła, podając Haleniusowi kamerę.

Zamrugnął zdziwiony.

– Po co?

– Trzy miliony. Mam przynieść statyw?

– Daj mi ją.

Annika wróciła przed monitor, przyglądała włosy i znów spojrzała na przestraszoną twarz Thomasa. Wyglądał na autentycznie przerażonego. Włosy miał mokre od potu, twarz mu błyszczała, oczy były przekrwione i szeroko otwarte. W tle widać było ciemnobrązową ścianę. W paski. Tapeta? A może to ślady wilgoci?

– Przypomniał sobie Pearla – powiedziała Annika. – Jest przekonany, że zaraz utną mu głowę. Włączyłeś kamerę?

– Nie bardzo wiem, jak to się robi...

Annika wzięła kamerę, wcisnęła play.

– Ustaw tak, żebyś mnie widział – powiedziała, odwracając się do monitora.

Spojrzała Thomasowi w oczy.

Robię to dla nas, pomyślała.

– Niedzielny poranek – zaczęła głośno. – Porywacze przysłali film. Właśnie go otrzymaliśmy. To tak zwany *proof of life*, dowód życia, dowód, że mój mąż żyje. Jeszcze go nie widziałam. Za chwilę zobaczę go po raz pierwszy...

Nachyliła się, wcisnęła klawisz.

Obraz zadrżał. Zobaczyła, jak Thomas mruga w silnym świetle lampy. Świeciła mu prosto w twarz. Zerkał gdzieś wyżej, w prawo. Pewnie ktoś tam stał, może mierzył do niego z broni... Thomas trzymał w rękach kartkę, miał spuchnięte nadgarstki i czerwoną szramę.

– Jest dwudziesty szósty listopada – zaczął po angielsku.

Annika pochyliła się, zrobiła głośniejsze. Dźwięk był kiepski, ledwie słyszała, co Thomas mówi. Coś trzeszczało, jakby wiał wiatr. Usłyszała szum pracującej obok kamery.

– Rano francuski samolot pasażerski spadł do Atlantyku – powiedział Thomas.

Halenius wcisnął stop-klatkę.

– Porywacze najwyraźniej nie mają dostępu do aktualnej prasy. Zwykle dają zakładnikowi do ręki bieżące wydanie jakiejś gazety. Ci kazali mu opowiedzieć o czymś, co właśnie się wydarzyło, o czymś, o czym wcześniej nie mógł wiedzieć.

– Filmujesz? – spytała Annika.

– Tak, do licha.

Nagranie ruszyło.

– Czuję się dobrze – powiedział Thomas schrypniętym głosem. – Jestem dobrze traktowany.

Annika wskazała na jego czoło.

– Coś po nim chodzi, chyba pająk.

Na filmie Thomas dotknął palcem wargi, czytał chwilę w milczeniu, pająk schował się w jego włosach.

– Apeluję do wszystkich rządów Europy, by spełniły żądania... – przysunął kartkę do twarzy, zmrużył oczy w silnym świetle – ...żądania Fik... Fiqh Jihad... Żeby spełniły żądania Fiqh Jihad: żeby otworzyły granice i podzieliły się zasobami. Nadeszły nowe czasy.

– To oświadczenie polityczne – wtrącił Halenius.

– Chcę zwrócić uwagę na konieczność przyspieszenia negocjacji dotyczących okupu – mówił dalej Thomas. – Jeśli przywódcy Europy nie spełnią przedstawionych żądań, zginę. Jeśli nie zapłacicie okupu – też zginę. Allah jest wielki!

Thomas opuścił kartkę i zerknął niepewnie w górę, w prawo. Obraz zrobił się czarny.

– Tam ktoś stoi – powiedziała Annika, wskazując na prawą stronę monitora.

– Mogę już wyłączyć kamerę?

– Jeszcze chwilę.

Annika odwróciła się do Haleniusa. Kamera jakby dodała jej sił. Czarny obiektyw wciągnął ją w swoją otchłań, w jakąś równoległą rzeczywistość, w której rozgrywały się rzeczy, które zależały nie od oszalałych somalijskich piratów, tylko od niej, od jej zdolności koncentracji.

– Thomas twierdzi, że jest dobrze traktowany, ale ja w to nie wierzę – powiedziała głośno. – Zmusili go, żeby tak powiedział. Jestem przekonana, że przechodzi piekło. Spojrzała na Haleniusa. – Teraz możesz wyłączyć.

Halenius opuścił kamerę, Annika ją wyłączyła.

– Brytyjczycy to przeanalizują. Będą szukać szczegółów niewidocznych na pierwszy rzut oka. Chodzi o różne dźwięki w tle, szczegóły

obrazu.

– Kiedy to przyszło? – spytała Annika.

– O jedenastej dwadzieścia siedem. Dwadzieścia minut temu. Jak tylko je obejrzałem, przesłałem je Brytyjczykom i poszedłem po ciebie.

Annika odłożyła kamerę.

– Pojadę po dzieci – powiedziała.

* * *

Redakcyjne kolegium zbliżało się do końca. Nastrój był luźny, jak dla Schymana wręcz zbyt frywolny, za dużo kiepskich żartów i poklepywania po plecach. Ale zwykle tak bywało, kiedy coś im się naprawdę udało. I niekoniecznie musiało chodzić o relację z jakiegoś szalenie ważnego wydarzenia politycznego czy o sprawozdanie na żywo z miejsca katastrofy. Mógł na przykład wypalić pomysł, który komuś z nich przyszedł do głowy. Tym razem powodem do zadowolenia był oczywiście seryjny morderca. Nie dlatego, że ginęły kobiety, ale dlatego, że postawiono na właściwego konia, jeśli można to tak określić. „Konkurrenten” na razie pozostawał w tyle, ale to była tylko kwestia czasu. W redakcji na drugim końcu miasta zapewne rwali sobie włosy z głowy i zastanawiali się, co zrobić, żeby nie wyszło na jaw, że ewidentnie przespali sprawę.

– No dobrze, powtórzmy jeszcze raz, co mamy. – Schyman nieco obcesowo przerwał luźne rozmowy.

Przy stole siedzieli przedstawiciele poszczególnych działów: rozrywki, sportu, wydania internetowego, działu politycznego, obecny był także szef działu wiadomości i jego zastępca. Schyman wskazał na przedstawicielkę działu rozrywki.

– Wieść niesie, że Benny Andersson zostanie szefem Konkursu Eurowizji – powiedziała drobna dziewczyna, której imienia za nic na świecie nie mógł sobie przypomnieć.

Skinął głową, ale w duchu głęboko westchnął. Zastanawiał się, czemu, do licha, Benny z ABBY zdecydował się na taki krok.

Po chwili spojrzął znacząco na Hassego z działu sportowego.

– Milan spotyka się wieczorem z Juventusem, gra Zlatan Ibrahimović. Na pewno będzie się działo.

Trochę mało konkretnie, ale w porządku, pomyślał Schyman.

– Wiadomości?

Patrik wyprostował się.

– Mamy seryjnego mordercę, no i faceta, który umarł i trzy lata przeleżał w mieszkaniu, zanim ktokolwiek się zorientował, co się stało. Poza tym dostaliśmy cynk, że minister finansów do remontu swojego luksusowego apartamentu zatrudniał ludzi na czarno, nawet byłych kryminalistów.

Patrik przybił piątkę ze swoim zastępcą, młodym geniuszem o imieniu Brutus. Schyman zastukał w stół.

– Nie zapomnijcie śledzić rozwoju wydarzeń we wschodniej Afryce – dodał.

Patrik jęknął.

– Tam się nic nie dzieje. Kompletny zastój, zero nowych informacji, zero zdjęć, martwa cisza.

Schyman wstał. Wyszedł z sali i ruszył w stronę swojej szklanej klatki.

Ostatnie zabójstwa kobiet niepokoiły go.

Ledwie rano wszedł do redakcji i zdjął kurtkę, na jego biurku zadzwonił telefon. Dzwoniła matka zamordowanej kobiety. Była zła, w szoku, bardzo wzburzona. Mówiła łamiącym się głosem, ale jasno i wyraźnie, bez hysterii.

– To nie był seryjny morderca, tylko Gustaf, ten drań, z którym się zadała. Zerwała z nim i wtedy zaczął ją prześladować. To trwało kilka miesięcy, chyba gdzieś od lipca, tak, od końca lipca.

– A więc to ojciec dziewczynek...

– Nie, nie. To nie Oscar. On i Lena mieli bardzo dobre układy. Jestem przekonana, że to Gustaf. Przyszedł do niej kiedyś, do przychodni. Był na zwolnieniu, miał problemy z kręgosłupem, tak się poznali. Kiedy z nim zerwała, nie chciał się z tym pogodzić. A jaki ona miała z niego pożytek? Jeszcze jeden wydatek, tak to wyglądało...

– Bił ją? – spytał Schyman. Od czasu do czasu zaglądał jednak do policyjnych raportów.

– Niechby spróbował – oburzyła się kobieta. – Natychmiast trafiłby za kratki. Z Leną nie było żartów.

– Wniosła przeciwko niemu oskarżenie?

– O co?

– Mówiła pani, że ją prześladował...

Kobieta zaczęła szlochać.

– Bagatelizowała sprawę. Twierdziła, że w końcu mu się znudzi, że nie ma się czym przejmować. No i tak się skończyło!

Rozpłakała się. Schyman słuchał jej płaczu, ale ludzka rozpacz nie robiła już na nim większego wrażenia. Jakby z czasem stracił zdolność empatii. Może była to skaza zawodowa, może za wiele widział, może się wypalił.

– Przedstawiamy jedynie podejrzenia policji – powiedział. – Oczywiście zostanie wszczęte śledztwo. Jeśli winnym okaże się ten człowiek...

– Ma na imię Gustaf.

– Na pewno zostanie aresztowany i oskarżony. Jeśli zbrodnię popełnił ktoś inny, policja do tego dojdzie.

Kobieta wytarła nos.

– Tak pan sądzi?

– Większość morderstw zostaje wyjaśniona – stwierdził Schyman z nadzieją, że się nie myli.

Rozłączyli się, ale potem jeszcze długo odczuwał dyskomfort.

A jeśli te wszystkie morderstwa to po prostu zwykłe zbrodnie? Statystyka by na to wskazywała. Ofiary, broń, sposób postępowania, motyw: mąż nie może kontrolować żony i rozwścieczony zadaje jej cios nożem do chleba, w domu albo w pobliżu miejsca zamieszkania. Nawet bez pomocy Anniki był w stanie przedstawić całą listę zastrzeżeń do lansowanej przez własną gazetę teorii.

Nie wiedział dlaczego, ale przypomniały mu się słowa znanego i często występującego w mediach politologa Stiga Björna Ljunggrena. Kiedyś powiedział: „W debacie publicznej często pada zarzut, że media zakłamują rzeczywistość. Wynika to z założenia, iż zadaniem mediów jest bycie dla społeczeństwa lustrem. Ale jest to założenie z gruntu fałszywe. Media mają nam dostarczać przeżyć, raczej bawić,

niż informować... Ich zadaniem nie jest opisywanie rzeczywistości, tylko jej koloryzowanie”.

Schyman spojrział na zegarek.

Jeśli zaraz wyjdzie, dotrze do domu o tej samej porze, o której jego żona ma wrócić z wyprawy do spa.

* * *

Podjazd był odśnieżony, a całe podwórze posypane piaskiem. Annika zaparkowała przed domem i wyłączyła silnik. Siedziała jeszcze chwilę w samochodzie. Daleko na zamarznętym jeziorze widziała trzy kropki: jedną dużą i dwie małe. Miała nadzieję, że udało im się złowić kilka okoni. Usmażą je na maśle i podadzą z chrupkim pieczywem. Pycha. Tylko trzeba pamiętać o ościach.

Weszła na ganek, zapukała. Dzwonka nie było.

Odwróciła się i znów spojrzała na jezioro.

Berit i Thord sprzedali willę w Täby i kupili gospodarstwo na wsi, po tym jak ich dzieci wyprowadziły się z domu. Annika wiedziała, że był jeszcze jeden powód: Berit miała romans z komisarzem Q. Dla niej i dla jej męża przeprowadzka była ostatnią szansą na uratowanie małżeństwa. Najwyraźniej im się udało.

Berit otworzyła drzwi.

– Dlaczego tak stoisz?

Annika roześmiała się cicho.

– Mam miejskie nawyki.

– Jeszcze nie wrócili. Będziecie jeść okonie przez cały tydzień. Kawy?

– Poproszę – powiedziała Annika, wchodząc do dużej wiejskiej kuchni.

Wszystko wyglądało jak wycięte z pisma wnętrzarskiego. Duże kafle, deski na podłodze, bielona sosna, piec, stojący wiejski zegar, kuchenka gazowa i zamrażarka z maszynką do lodu.

Annika usiadła przy stole. Patrzyła, jak Berit parzy kawę w staromodnym ekspresie. Była ubrana dokładnie tak samo jak zwykle ubierała się do pracy: czarne spodnie, bluzka, sweter. Wykonywała spo-

kojne ruchy, też jak zawsze ograniczone do minimum, wyważone, nigdy na pokaz.

– Ty nigdy nie udajesz – powiedziała Annika. – Zawsze jesteś po prostu sobą.

Przyjaciółka spojrzała na nią zdumiona, zastygła z miarką kawy w ręku.

– Nie masz racji, mnie też czasem się zdarza udawać. Chociaż rzeczywiście nie w pracy. Z tego już wyrosłam.

Zaparzyła kawę, wyłączyła ekspres, usiadła przy stole, postawiła na blacie dwa kubki, obok położyła dwie czyste łyżeczki.

Na stole leżały „Kvällspresen” i „Konkurrenten” z poprzedniego dnia i oba poranne dzienniki z obfitymi dodatkami niedzielными. Annika wzięła gazety do ręki, ale nie była w stanie żadnej otworzyć.

– Dostaliśmy nagranie – powiedziała cicho. – Dowód życia. Thomas wygląda okropnie.

Zamknęła oczy. Znów miała przed sobą jego twarz: zapuchnięte oko, przerażone spojrzenie, mokre od potu włosy. Ręce zaczęły jej drżeć, czuła, że zaraz wpadnie w panikę. Jeśli przywódcy Europy nie spełnią przedstawionych żądań – zginę...

On umrze, umrze, umrze...

A ja nie mogę nic zrobić, pomyślała.

– Boże – powiedziała. – Boże...

Berit obeszła stół, przyciągnęła swoje krzesło do jej krzesła, objęła ją i przytuliła.

– To się kiedyś skończy. Kiedyś będzie po wszystkim. Wytrwasz.

Annika próbowała uspokoić oddech. Zmusiła się, żeby normalnie oddychać. Wiedziała, że jeśli do krwi dostanie się za dużo tlenu, serce zacznie jej walić, zacznie jej się kręcić w głowie, zdrtwieją jej ręce.

– To okropne, a ja jestem bezradna – wyszeptała.

Berit podała jej kawałek kuchennego ręcznika. Annika głośno wytarła nos.

– Próbuję to sobie wyobrazić, ale wiem, że na pewno nie jestem w stanie do końca postawić się w twojej sytuacji.

Annika zakryła oczy dłońmi.

– Czuje, że rozpadam się na kawałki – powiedziała. – Już nigdy nie

będę taka, jak byłam kiedyś. Nawet jeśli w końcu jakoś się pozbieram.

Berit wstała i podeszła do ekspresu.

– Wiesz, że w Muzeum Narodowym w Cardiff, w Walii, jest japoński talerz, który specjalnie został rozbity, a potem sklejony? Japońscy mistrzowie parzenia herbaty często specjalnie rozbijali kosztowną porcelanę, ponieważ uważali, że naprawiona jest znacznie piękniejsza. – Nalała kawy do kubków i usiadła naprzeciwko Anniki. – Oczywiście wolałabym, żeby zostało ci to oszczędzone, ale jestem pewna, że wyjdiesz z tego wszystkiego cało.

Annika chwyciła kubek, próbowała ogrzać dłonie.

– Mogą go zabić.

– Mogą.

– Zgłosił się na ten wyjazd dobrowolnie – powiedziała Annika. – To była jego decyzja, to on chciał jechać do Liboi. – Wyjrzała przez okno. Z kuchni nie było widać jeziora. – Powód, dla którego zdecydował się na wyjazd, ma na imię Catherine. Jest Brytyjką.

Widziała jej zdjęcia w sieci. Blondynka, ładna, drobna, jak Eleonor i Sophia Pieprzona Grenborg. Dokładnie w jego typie, tak różnym od niej jak to tylko możliwe.

Znów spojrzała na Berit.

– Wiem, że życie toczy się dalej, wiem, że...

Berit się uśmiechnęła. Annika zaczęła mieszać kawę.

– Chcieliśmy zmienić mieszkanie, ale teraz wszystkie pieniądze z ubezpieczenia pójdą na okup. Może i dobrze. Tak naprawdę to nie były moje pieniądze, tylko Ragnwalda...

Zajmując się sprawą Czerwonej Wilczycy, Annika znalazła w skrzynce elektrycznej w pobliżu Luleå worek banknotów euro. Wyposażone dziesięć procent znaleźne wystarczyło na wille w Djursholm i mieszkanie dla Anne Snapphane, ale dom spłonął, a mieszkanie Anne sprzedała.

– Będziesz chciała z nim być? – spytała Berit. – To znaczy, jeśli wrócisz – dodała.

Annika zasłoniła usta dłonią, po policzkach poleciały jej łzy. Berit urwała kolejny kawałek kuchennego ręcznika i wytarła jej twarz.

– Już dobrze – powiedziała. – Nie martw się na zapas. Zobaczysz,

co przeniesie przyszłość. Nie zastanawiaj się teraz nad rozstaniem. Zjesz z nami obiad? Będą kotlety mielone z cebulką.

– Brzmi fantastycznie – powiedziała Annika. Udało jej się nawet uśmiechnąć.

Berit podeszła do lodówki, wyjęła ziemniaki i przygotowany wcześniej farsz. Obrała ziemniaki, włożyła je do garnka, zapaliła gaz i postawiła na nim garnek. Potem wyjęła patelnię i zapaliła drugi palnik.

Annika siedziała, nie mogła się ruszyć. Za oknem wiatr targał nagie gałęzie brzoza, sikorka skubała ziarna w karmniku. Wkrótce zapadnie zmrok. Na patelni skwierczało masło, sięgnęła po egzemplarz „Kvällspresen”.

– Czytałaś o tym kolejnym morderstwie? Miała dwie nastoletnie córki.

– Robi się nieprzyjemnie – powiedziała Berit. – Nadal nie wierzę w seryjnego mordercę, ale w tym ostatnim przypadku zabójcą na pewno nie był były mąż. Był wtedy służbowo w Niemczech, bodajże w Düsseldorfie, jeśli dobrze pamiętam. Przerwał podróż i wraca do domu, żeby się zająć córkami. Nigdy nie używał wobec niej przemocy ani jej nie groził.

Annika jeszcze raz przeczytała artykuł i pokręciła głową.

– Coś tu się nie zgadza – stwierdziła. – To nie był czysty przypadek. Był wczesny wieczór, napadnięto ją w pobliżu miejsca zamieszkania, została ugodzona nożem w kark. To coś bardzo osobistego.

Berit opłukała ręce pod kranem i zaczęła formować kotleciki.

– Facet z Haga, który przez wiele lat gwałcił kobiety w Umeå, wybierał ofiary całkowicie przypadkowo, a to, co robił, było równie gwałtowne i osobiste. I czasem robił to w pobliżu miejsc ich zamieszkania...

Berit włączyła wentylator i położyła na patelni pierwsze kotlety.

– A może mamy do czynienia z kimś, kto go naśladuje? Może pomysł Patrika kogoś zainspirował, do tego stopnia, że ten ktoś postanowił wprowadzić go w życie?

– O ile dobrze pamiętam, to ty rzuciłaś ten pomysł – powiedziała Berit, uśmiechając się do niej przez ramię.

Annika zaczęła się drapać po głowie.

- Żartowałam sobie z niego, to chyba było oczywiste.
- Wracają nasi wędkarze – powiedziała Berit, wskazując ruchem głowy w stronę werandy.

Dzieci miały czerwone policzki, jak świąteczne jabłka na choince, oczy im błyszczały. Przynieśli czternaście nabitych na brzożową gałąź okoni i jednego szczupaka. Weszły do kuchni i zaczęły na wyścigi opowiadać, jak było. Wymachiwały wędkami, aż w końcu któryś z nich niemal trafiło Annikę w oko. Zaczęli dzielić łup: siedem okoni dla Kallego i Ellen, siedem dla Thorda, który poza tym zatrzymał też szczupaka, bo w końcu i wędkę, i przynętę należały do jego.

Kotlety smakowały bosko.

Po zmroku pogoda nagle się zmieniła. Zrobiło się ciepło, w powietrzu wisiał deszcz.

Dzieci oglądały film w dużym pokoju, w towarzystwie Thorda i Sorai. Berit rozwiązywała krzyżówkę, Annika zdrzemnęła się na gościnnym łóżku w pokoju dla służby.

Kiedy się obudziła, na dworze mżyło.

– Na drodze będzie lodowisko – ostrzegł ją Thord, gdy odkręciła szybę, żeby im pomachać na do widzenia.

Na szczęście mam dobry samochód, pomyślała Annika. Kiedy wrócili ze Stanów, Thomas kupił używanego jeepa grand cherokee, wielkiego amerykańskiego miejskiego jeepa, śmiertelnie niebezpiecznego dla wszystkich poza pasażerami.

– Mamo, kupisz mi psa?

Annika zignorowała pytanie, skupiała się na utrzymaniu samochodu na drodze.

Zatrzymali się przy McDonalddie w Hägernäs, kupili dwa zestawy Happy Meal i dwa Big Maki i ruszyli dalej, do Sztokholmu. Dojechali do Norrtull bez większych problemów, udało im się nawet zaparkować na Bergsgatan, prawie pod domem. Annika podejrzewała, że pewnie dlatego, że właśnie ta strona ulicy miała być w nocy sprzątna. Jeśli do północy nie przestawi samochodu, jutro zobaczy za szybą solidny mandat.

Kiedy weszli do domu, Halenius siedział i rozmawiał przez komórkę.

– Ktoś dzwonił? – spytała niemal bezgłośnie.

Pokręcił głową.

Postawiła torbę z hamburgerem na jego komputerze, sama zjadła z dziećmi w kuchni. Ellen i Kalle byli wykończeni, ledwie mieli siłę jeść.

Kalle zaczął płakać.

– Czy tata w ogóle wróci do domu?

– Staramy się o to – powiedziała Annika, głaszcząc go po włosach. – Jak tylko się czegoś dowiem, tobie pierwszemu o tym powiem.

– Umrze tam w Afryce?

Pocałowała go w czoło.

– Nie wiem – powiedziała. – Ale nie sędzę. Ludzie, którzy go porwali, chcą za jego zwolnienie pieniędzy, a ponieważ mamy w banku trochę oszczędności, zapłacimy najszybciej, jak to będzie możliwe. Co ty na to?

Odwrócił się od niej.

– Mam wam zostawić włączone światło? – spytała.

Wpatrując się w ścianę, chłopiec skinął głową.

– Paskudny ten hamburger – stwierdził Halenius.

Wyszedł z sypialni, zmiął opakowanie i wrzucił je do papierowej torby.

– O co ci chodzi? – spytała Annika. – Coś się stało?

– Owszem.

– Nie rozmawiajcie tak głośno! – zawołał Kalle.

Przeszli do sypialni i zamknęli za sobą drzwi. Halenius usiadł tam gdzie zwykle, czyli na jej fotelu. Otworzyła okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, wślizgnęła się do łóżka, usiadła z podwiniętymi nogami. Na dworze padał drobny deszcz, zimowa mżawka. Sprawiała, że miasto wydawało się jeszcze bardziej szare i ciemne. Halenius wyglądał na zmęczonego. Włosy jak zwykle sterczały mu na wszystkie strony, koszulę miał rozpiętą niemal do połowy klatki piersiowej.

– Mężczyzna w turbanie został rozpoznany – powiedział. – To

Grégoire Makuza, Tutsi, urodzony w Kigali, w Rwandzie. Miałaś rację, jest człowiekiem wykształconym, studiował biochemię na uniwersytecie w Nairobi. Dzięki temu został zidentyfikowany.

Annika zagryzła wargę.

– Wszystko to wiemy od Brytyjczyków. To może nic konkretnego, ale pewne wnioski można wyciągnąć. Chociaż wiele pytań nadal pozostaje bez odpowiedzi.

– Ludobójstwo w Rwandzie – powiedziała. – Gdzie wtedy był? Mówiłeś, że jak się nazywa? Gregorius...

– Grégoire Makuza – poprawił ją Halenius. – W 1994 roku był nastolatkiem, w Kigali...

– Jeśli rzeczywiście tam był. Może już wtedy mieszkał w Kenii.

– Możliwe.

Annika się wzdrygnęła. Wstała z łóżka, podeszła do okna, zamknęła je.

– Biochemik – powiedziała. – Dlaczego został porywaczem?

Usiadła na krześle.

– Nigdy nie zrobił dyplomu – powiedział Halenius. – Z jakiegoś powodu przerwał studia na semestr przed końcem. Nie był orłem, ale miał dobre oceny i cieszył się dobrą opinią. Mógł zrobić karierę naukową w przemyśle medycznym.

Annika wstała i podeszła do komputera.

– Masz jego zdjęcie?

Halenius zaczął szukać wśród mejli i plików. Annika stała za jego plecami, patrzyła na jego włosy. Zauważyła kilka siwych, a nawet kilka zupełnie białych. Miał niezwykle szerokie ramiona, wręcz potężne, zastanawiała się, czy nie ćwiczy podnoszenia ciężarów. Kusiło ją, żeby go dotknąć, sprawdzić, czy jego mięśnie rzeczywiście są tak twarde, na jakie wyglądają. Zacisnęła dłonie, żeby nie ulec pokusie.

– Mam – powiedział nagle i puścił nagranie. – To jest to pierwsze, które pojawiło się w sieci – dodał.

Annika przysunęła krzesło, usiadła na nim, tuż obok niego.

Zobaczyła twarz mężczyzny, obraz był niewyraźny, drżał. Halenius wcisnął stop-klatkę.

– Urodzony na początku lat osiemdziesiątych.

– Czyli dzisiaj ma koło trzydziestki – szybko podliczyła Annika.

– Wygląda na starszego – stwierdził Halenius.

Przyglądał mu się, przekrzywiając głowę.

– Raczej na młodszego – uznała Annika.

Wpatrywali się chwilę w wyraźne rysy jego twarzy.

– Tutsi – zaczęła Annika. – Drudzy co do liczebności, zaraz po Hutu, prawda? Czym się różnią?

– Teraz już nikt tego nie wie. To raczej nie plemiona, tylko warstwy społeczne.

– Tutsi to ci uprzywilejowani?

– Belgowie, którzy w 1916 roku ustanowili w Rwandzie protektorat, podkreślili te różnice, wprowadzając paszporty, w których podawano przynależność rasową. Poza tym Tutsi dostawali lepsze posady i w ogóle cieszyli się większym szacunkiem.

Film ruszył, usłyszeli wysoki głos.

– „Fiqh Jihad porwał siedem osób, obywateli krajów Unii Europejskiej, by w ten sposób ukarać zachodni świat za zło i ignorancję...”.

Annika zamknęła oczy. Bez angielskiego przekładu wypowiediane przez niego słowa nic nie znaczyły. Równie dobrze mogła słuchać piosenki w jakimś języku bantu, ody opiewającej zbrodnię, która na zawsze zostawi w niej ślad. Pieśń zakończyła się słowami: *Allah Akbar*. Zapadła cisza.

– Ostatnie dwa słowa to arabski – powiedział Halenius.

– Allah jest wielki.

– A dokładniej jest tym większym albo największym. Tak się zaczynają wszystkie muzułmańskie modlitwy, zgodnie z zaleceniem proroka Mahometa.

Annika zmrużyła oczy. Nadal wpatrywała się w ciemny monitor.

– W Rwandzie nie ma chyba muzułmanów?

Halenius odsunął się z fotelem, zaczął czochrać włosy.

– Przed ludobójstwem było ich niewielu, ale chrześcijańscy przywódcy dopilnowali, żeby to się zmieniło. Bardzo wielu duchownych, zakonników i zakonnice, brało udział w masakrze Tutsi.

– O ile wiem, zostali skazani – Annika weszła mu w słowo.

– Tylko część, za mało, żeby odbudować zaufanie do chrześcijan.

Ludzie zaczęli masowo przechodzić na islam i dzisiaj mniej więcej piętnaście procent mieszkańców Rwandy to muzułmanie.

– Cofnij trochę – poprosiła nagle Annika.

– Nie bardzo wiem jak...

Sięgnęła i zabrała mu mysz, cofnął dłoń, jakby jej ręka go parzyła.

Wyszukała jeden z wcześniejszych kadrów pod koniec nagrania, kiedy mężczyzna patrzy prosto w kamerę, małymi oczkami bez wyrazu.

Czyżby widziała w nich zło? Czyste, niczym niezmacone zło? Zło, które jest narzędziem władzy, służy poniżaniu, które wyróżnia mężów dręczących żony, ale również dyktatorów i terrorystów, przekonanych, że mają prawo narzucać innym własne zdanie: masz robić tak, jak ci każe, a jeśli nie, to cię zabiję. A może było w nich coś innego? Może była w nich obojętność wobec życia? Przyszedł jej na myśl Osama bin Laden, delikatny syn bogatego człowieka, który zdobył uznanie dopiero, gdy pod koniec wojny udało mu się wygrać w górach Afganistanu bitwę przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Został bohaterem wojennym, ale został nim za późno. Musiał więc wymyślić sobie nową wojnę, i zrobił to. Wypowiedział wojnę wrogowi, o którym niewiele wiedział, więc ochrzcił go Szatanem. I nagle inni niemający celu w życiu młodzi mężczyźni zyskali powód, by wstawać rano i realizować cel, walczyć w imię Boga, którego sami sobie wymyślili, by ich życie w końcu nabrało sensu.

– Ten film też wrzucono na serwer w Mogadiszu?

– Nie – odpowiedział Halenius. – W Kismayo. To miasto w Somalii, nad Oceanem Indyjskim, jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć mil od Liboi.

– O co w tym chodzi? Co to za różnica? Co to znaczy, czysto praktycznie? Że porywacze, gdy umieszczali te filmy na serwerach, robili to w różnych miejscach? A może takie rzeczy nie wymagają fizycznej obecności? Jak oni się porozumiewają? Mają telefony satelitarne albo komórki? A może bezprzewodowy internet?

Halenius znów zaczął targać włosy.

– Ktoś mi to kiedyś tłumaczył, ale szczerze mówiąc, nie bardzo potrafię powtórzyć...

Annika musiała się uśmiechnąć.

– Spróbuj.

– Wiemy, z jakich serwerów korzystają, co nie znaczy, że możemy się z nimi skontaktować telefonicznie. Nie udało się też namierzyć rozmów telefonicznych, tak mi przynajmniej powiedziano. Jeśli mam być szczery, to nie wierzę, że Jankesi mówią nam wszystko, co wiedzą. Jestem przekonany, że część informacji zachowują dla siebie...

Urwał, bo nagle rozległ się dzwonek, przeciągły, uporczywy. Annika odgarnęła włosy z czoła.

– Potrzebują kolejnego ujęcia – powiedziała.

Halenius spojrzał na nią pytająco.

Annika wyszła do holu, dzwonek nadal dzwonił. W niedzielę o wpół do jedenastej wieczorem tak arogancko mógł się zachowywać tylko dziennikarz telewizyjnego programu publicystycznego albo reporter którejś z popołudniówek. Uznała za raczej mało prawdopodobne, żeby to był telewizyjny sprawozdawca z całą ekipą. Dzwonek nadal dzwonił. Spojrzała na drzwi pokoju dzieci, jeszcze chwila, a oboje się obudzą. Zaczerpnęła powietrza, otworzyła drzwi i wyszła na klatkę. Oślepił ją błysk flesza, zobaczyła gwiazdy.

– Annika Bengtson – usłyszała głos Bossego. – Chcemy ci dać szansę skomentowania artykułu, który ukaże się w jutrzejszym numerze, a który dotyczy...

– Przestań świrować, Bosse. Naprawdę nie musisz udawać. Oboje dobrze wiemy, że nie chodzi o żaden komentarz. Potrzebujesz zdjęcia, na którym widać, jak rozpaczam.

Odwróciła się do fotografa, który szybował gdzieś nad świecącym jej w twarz reflektorem.

– Byłam wystarczająco wzburzona? – spytała.

– Możemy spróbować jeszcze raz?

Spojrzała na Bossego. Zauważyła, że jest spięty, sama była zimna jak lód.

– Nie zamierzam niczego komentować – powiedziała. – Chcę tylko, żebyście ty i twoja gazeta zostawili mnie w spokoju. Wolność słowa oznacza, że mam prawo mówić to, co chcę, ale i nic nie mówić. Rozumiemy się?

Odwróciła się, żeby wejść z powrotem do mieszkania. Znow błysnął flesz.

– Dziennikarze mają obowiązek dociekać – rzucił Bosse, wyraźnie dotknięty.

Zatrzymała się, zerknęła na niego przez ramię, oślepił ją kolejny błysk.

– Tylko dziennikarze mogą bezkarnie prześladować i nękać ludzi. Może zainstalujesz tu kamerę? Żeby mnie filmować z ukrycia? Tego nie wolno już ani policji, ani nikomu innemu, tylko dziennikarzom.

Bosse zamrugał. Zmieszał się. Podsunęłam mu dobry pomysł, pomyślała. Że też nigdy nie potrafię trzymać języka za zębami, wyrzucała sobie.

Weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi.

Halenius wyszedł do holu. Był biały. Annika czuła, jak krew odpływa jej z mózgu do nóg.

– Co? – spytała, opierając się o ścianę. – Co się stało?

– Brytyjka – powiedział. – Catherine Wilson. Znalezione ją martwą. Ciało podrzucono pod obóz dla uchodźców w Dadaab.

Serce waliło jej jak młot. Czy prosząc ją o komentarz, Bosse właśnie to miał na myśli?

– Jak...

Halenius schował twarz w dłoniach, po chwili opuścił ręce.

– Rozpłatali ją. Od środka.

* * *

W nocy dźwięki były bardziej dojmujące niż w dzień. Odbijały się echem od blaszanych ścian, słycać było jakieś trzaski, szuranie, wyście, zawrođenje. Odgłos kroków powodował, że ziemia zaczynała drzeć. Nerwowo zacząłem szukać kąta, w którym mógłbym się ukryć, schować się przed dźwiękami. Znow związali mi ręce i nogi, ale nauczyłem się już skakać, pęzać i czołgać między prześladowającymi mnie dźwiękami, bo uciec przed nimi nie mogłem. W końcu wykończony wylądowałem na ciemnej plamie, tam gdzie umarł Duńczyk. Poczulem odór moczu i odchodów, ale dźwięki jakby trochę ucichły. Stam-

tąd było trochę dalej do drzwi i dalej do pozostałych chat i do krwi, którą ziemia natychmiast wchłaniała, pokrywając się brunatną skorupą.

Ziemia była tak sucha, że przypominała skałę. Ale nie była skałą. Żyła i pochłaniała wszystko, chowała wszystko w sobie, nic nie mogło się zmarnować, wszystko przyjmowała, zamieniając to albo w truciznę, albo w żółć.

Próbowali mnie zmusić do jedzenia, ale rzucałem je na ziemię. Nie zmuszą mnie już do niczego, do niczego. Do niczego. Do niczego. Oddawałem jedzenie i wodę ziemi, jej cuchnącemu wnętrzu. Nie chcę brać udziału w ich haniebnym czynach. Już nigdy.

Jej oczy mnie prześladowały, szkliste z bólu, ale nadal pełne pogardy, oceniały mnie. Jej spojrzenie dosięgało mnie wszędzie, w każdym kącie, w którym próbowałem się schować.

A dźwięki rozbrzmiewały tak głośno, że wiedziałem, że się przed nimi nie ukryję.

DZIEŃ 6

Poniedziałek, 28 listopada

ANNIKA STAŁA W HOLU, gdy zadzwonił telefon stacjonarny. Zastygła w pół kroku z ręką na klamce i zaczęła nasłuchiwać.

– Idziemy, mamó?

Czuła zniecierpliwienie dzieci. Miały na sobie kurtki, pociły się. Dlaczego zawsze tyle zwleka, zanim podniesie słuchawkę?

Drugi dzwonek.

– Tak, już idziemy, za chwilę...

Czy to jakaś specjalna taktyka prowadzenia negocjacji? Czekać na trzeci sygnał, zanim się odbierze? Czy wtedy zażądają mniejszego okupu albo negocjacje nabiorą tempa?

– Idziemy dzisiaj na basen, mamó. Chyba powinniśmy wziąć kostiumy.

Niech to szlag. Basen. Puściła klamkę.

I wtedy rozległ się trzeci sygnał.

– Oczywiście, że musicie mieć kostiumy – rzuciła.

Wróciła biegiem do pokoju, wyrzuciła rzeczy z szafy Ellen, znalazła wśród skarpetek kostium. Czwarty sygnał. Słyszała, jak Halenius podnosi słuchawkę. Stała na środku pokoju i czuła, jak czas upływa.

W nocy źle spała, było to dla niej nowym doświadczeniem. Denerwowała się. Obudziła się i już nie mogła zasnąć. Poszła do pokoju dzieci, usiadła w ciemnościach i wsłuchiwała się w ich oddechy. Potem wróciła do dużego pokoju, usiadła przy oknie i zaczęła wypatrywać gwiazd, ale nie było ich widać. Zmęczenie przychodziło falami, zaburzając jej zwykły rytm.

– Mamó, mogę wziąć tę torbę?

Ellen trzymała w ręku reklamówkę z Konsumu. Stała przed nią spocona i zdenerwowana. Nie znosiła się spóźniać. Kalle czekał na klatce, słyszała, jak kopie w drzwi windy.

– Jasne – odpowiedziała.

Wcisnęła do torby kostium córeczki i ręcznik z łazienki. Miała nadzieję, że nie ma na nim śladów krwi – miała okres – a foliowa torba jest czysta, bez resztek jedzenia.

Halenius rozmawiał przez telefon, mówił coś cicho, po angielsku. Zamknęła drzwi, zostawiając za sobą jego słowa, odwróciła twarz do światła.

Pogoda była beznadziejnie ponura, jak szara skała. Śnieg na chodnikach zamienił się w bryły lodu. Właściciele sklepów przy Hantverkargatan usiłowali w niektórych miejscach skuć lód, niektórzy posypali chodnik piaskiem i przejście przez ulicę stało się trochę mniej niebezpieczne.

– Mamy dzisiaj geografie – oświadczył Kalle. – Wiesz, że Sztokholm leży na pięćdziesiątym dziewiątym stopniu szerokości geograficznej północnej i na osiemnastym stopniu długości wschodniej?

– Tak – przytaknęła Annika. – Na tej samej szerokości co Alaska. Więc dlaczego mamy łagodniejszy klimat?

– Golsztrom! – wykrzyknął Kalle, wskakując w zaspę.

Liboi leży na równiku. Szerokość geograficzna zero stopni. Dzisiaj ma tam być trzydzieści osiem stopni w cieniu, sprawdziła to w internecie, kiedy nie mogła w nocy spać.

Przechodząc przez jezdnię, chwyciła mocniej dzieci za rączki. Szli cały czas pod górę, wiatr wiał im w twarz. Kiedy dotarli do bramy szkoły, kucnęła i przyciągnęła je do siebie. Kalle się zawstydził i próbował się bronić, ale przytrzymała go.

– Jeśli ktoś będzie was pytał o tatusia, nie musicie odpowiadać – powiedziała. – Jeśli będziecie chcieli, to oczywiście możecie, ale nie musicie. Rozumiemy się?

Kalle wyzwolił się z jej uścisku, Ellen przytuliła się do niej. Po chwili oboje pobiegli dalej. Annika wstała i wyciągnęła szyję. Wypatrywała ich w tłumie dzieci, kolorowych czapeczek i plecaków. Szybko zniknęli w wejściu. Nie zauważyła, żeby ktoś z rodziców przygłą-

dał się jej szczególnie uważnie.

Niemal biegiem ruszyła z powrotem do domu. Winda była zajęta, ruszyła szybko po schodach. Wpadła do domu zdyszana, z trudem łapiąc oddech, czuła, jak coś ją ściska za gardło. Halenius siedział w sypialni, przy biurku, ze słuchawką w uchu, pogrążony w myślach. Kiedy weszła, wygasił ekran, wyjął słuchawkę i odwrócił się do niej. Usiadła na łóżku, z trudem chwytając powietrze. Spojrzała w jego poważną twarz.

– Podjęli dyskusję na temat zmniejszenia wysokości okupu – poinformował ją. – To niewątpliwie przełom.

Zamknęła oczy.

– Thomas żyje?

– Nie mamy żadnego nowego dowodu.

Położyła się na łóżku, na plecach, opadła na poduszki. Gdzieś nad nią w padającym z okna szarym świetle unosił się sufit. Cudownie było tak leżeć, z nogami zwisającymi z materaca, i wsłuchiwać się w odgłosy domu.

Zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio się kochali. Na tym łóżku. Przygody pod prysznicem i w kuchni, na kuchennym stole, należały już do przeszłości.

– Musisz się dowiedzieć, co należy zrobić, żeby przelać większą sumę z banku w Sztokholmie do banku w Nairobi – powiedział Halenius. – Byłoby dobrze, gdybyś to zrobiła dzisiaj.

Annika uniosła lekko głowę, spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Negocjatorzy Niemki, Rumuna i Hiszpana twierdzą, że zbliżają się do końca negocjacji. Sprawy idą szybko, chociaż nie powiedziałbym, że tempo jest zawrotne.

Annika usiadła na łóżku.

– Podobno takie negocjacje zwykle trwają od sześciu do sześćdziesięciu dni – powiedziała.

Halenius spojrzał na nią jakby zdziwiony, że nie tylko go słucha, ale nawet zapamiętuje, co mówi.

– Sumy, które w tej chwili wchodzi w grę, to około miliona dolarów. Podejrzewam, że poniżej nie uda nam się zejść.

– Myślisz, że to ten facet, który był na nagraniu? Że to on dzwoni i negocjuje?

– Amerykanie przeprowadzili cyfrową analizę głosu. Twierdzą, że to on.

– Jaką techniką się posłużyli?

Halenius uniósł brwi zdziwiony.

– Mnie o to pytasz?

– Dlaczego na filmach nie mówi po angielsku?

Halenius wstał i podszedł do okna. Na parapecie stała mała laserowa drukarka.

– Rozmawialiśmy krótko. Dziewięć i pół minuty. Przetłumaczyłem wszystko i spisałem. Chcesz przeczytać?

Podał jej wydruk, kartkę formatu A4. Annika pokręciła głową, położyła kartkę na blacie biurka i znów usiadła.

Spojrzała przez okno, na czubki drzew.

– Brytyjka nie żyje – powiedziała. – Francuz też nie żyje. Rumuni, Hiszpanie i Niemcy negocjują. My też. Ale jeśli dobrze pamiętam, był jeszcze Duńczyk.

– Duńczycy też negocjują. Są mniej więcej na tym samym etapie co my.

Halenius sprawiał wrażenie zdenerwowanego, był bardziej zmęczony niż zwykle. W nocy na kilka godzin wrócił do domu. Ale teraz śpi sam, pomyślała Annika. Jego dziewczyna jest w Południowej Afryce. Może bez niej trudno mu zasnąć, pomyślała. Może śpi po jej stronie łóżka, okrywa się jej kołdrą, leży na jej poduszce, chłonie jej zapach. Może kiedy są razem, kochają się co noc. A może rano? Może mu tego brakuje i dlatego źle się czuje?

– Jak się czujesz? – spytała.

Podniósł wzrok, spojrzał na nią zdziwiony.

– Dobrze – powiedział. – Dobrze. A ty?

Annika poczuła, jak materac się pod nią ugina.

– Bank jest już otwarty – powiedziała.

Poszła do dużego pokoju, spakowała kamerę i statyw.

Nie umówiła się wcześniej na rozmowę z osobistym doradcą, kobieta

z działu obsługi klienta zmarszczyła brwi. Annika musiała odczekać dłuższą chwilę, zanim urzędniczka sprawdziła, czy któryś z doradców się nad nią zlituje i jednak ją przyjmie, co, biorąc pod uwagę, że była jedyną klientką, nie mogło być niemożliwe. Dotknęła kamery. Po raz kolejny zauważyła, jak ostrożnie wszyscy wokół niej się poruszają, jak dyskretnie błyszczy złota biżuteria kobiet i jak wyraźnie widać wszystkie niedociągnięcia w ich ubiorze, fałdkę na koszuli, oczko w rajstopach. Mężczyzny o zmęczonych oczach, tego, który ją obsługiwał ostatnio, nigdzie nie było. Może jej pytania przepełniły czarę goryczy i biedak się załamał? Może wpadł w depresję po tym, jak nie przyjęła jego wspaniałych propozycji?

Poczuła, że ze zmęczenia bolą ją nogi, zaczęła lekko przytupywać, żeby mniej bolało.

Kobieta wróciła, dała jej znak ręką. Annika ruszyła przed siebie, manewrując między biurkami wypełniającymi otwartą biurową przestrzeń. Dotarła do końca sali. Za biurkiem, za stertą papierów siedział inny zmęczony mężczyzna, w szklach w metalowych oprawkach. Wyglądał na trochę młodszego od kolegi.

– Proszę nie zwracać na to uwagi – powiedziała Annika, stawiając statyw tuż obok krzesła. Umocowała na nim kamerę, skierowała obiektyw na zdziwionego młodego bankowca i włączyła ją.

– Słucham? – odezwał się mężczyzna. – O co chodzi?

Usiadła naprzeciwko niego.

– Muszę mieć pewność, że wszystko dobrze zrozumiałam – zaczęła.

– Nie ma pan nic przeciwko kamerze?

Mężczyzna patrzył na nią spojrzeniem bez wyrazu.

– W banku nie wolno niczego filmować ani niczego nagrywać. Proszę to wyłączyć.

Annika westchnęła, wstała, zdjęła kamerę ze statywu, schowała do torby.

– Muszę przesłać pieniądze do Nairobi – zaczęła znów. – Jak to się odbywa?

– Do Nairobi? Do Kenii?

– A jest jakieś inne Nairobi?

– Jaki jest tytuł przelewu?

Annika nachyliła się do niego i ściszyła głos.

– Albo wycofam pieniądze z waszego banku, albo zacznie pan odpowiadać na moje pytania, rozumiemy się?

Mężczyzna zaczerpnął powietrza i wystukał coś na klawiaturze. Widziała refleksy odbijające się w szklach jego okularów.

– Niestety muszę jeszcze raz zadać pani to pytanie. Jeśli to większa suma, musimy poinformować o przelewie szwedzki urząd skarbowy. Musimy podać tytuł przelewu i odpowiedni kod, jeśli na przykład chce pani coś stamtąd sprowadzić. Bez kodu pieniądze nie zostaną wypłacone. Jeśli dane będą się zgadzały, informacje zostaną automatycznie przekazane urzędowi skarbowemu...

Annika odchyliła się na krześle, nagle poczuła się zmęczona.

– Proszę mi po prostu powiedzieć, jak to się odbywa.

– Musi pani mieć numer IBAN i tak zwany Swiftaddress banku, no i oczywiście numer konta, na które dokonuje pani przelewu.

– Konto? Banku w Nairobi?

– Może pani dokonać przelewu na rzecz kogokolwiek, ale tak czy inaczej, kod jest potrzebny. Mamy do czynienia z przelewem zagranicznym. Zwykle pieniądze dochodzą w ciągu trzech dni. Opłata to od stu pięćdziesięciu do dwustu koron. Więcej, jeśli zdecyduje się pani na przelew ekspresowy.

– Jaką sumę mogę przelać?

Mężczyzna uśmiechnął się z przekąsem.

– To zależy, jakimi środkami pani dysponuje.

Annika nachyliła się nad biurkiem, położyła mu przed nosem prawo jazdy.

– Chcę przesłać pieniądze na konto internetowe w Nairobi, ale nie mam konta w żadnym tamtejszym banku. W Nairobi chcę natychmiast mieć dostęp do całej sumy. Chcę, żeby wypłacono mi ją w amerykańskich dolarach, w banknotach o niewielkich nominałach.

Mężczyzna wstukał jej PESEL, zamrugał kilka razy, najwyraźniej zdziwiony wysokością sumy. Rano na jej konto wpłynęły pieniądze od Schymana, co oznaczało, że było na nim teraz prawie dziewięć i pół miliona koron.

– I te pieniądze chce pani przesłać do Kenii? Całą sumę?

– Ile to będzie w dolarach? – spytała.

– W amerykańskich? Dziewięć milionów czterysta pięćdziesiąt dwa tysiące osiemset dziewięćdziesiąt koron łącznie z odsetkami... – Znów zaczął stukać w klawisze. – Milion czterysta dziewięćdziesiąt cztery tysiące trzysta czternaście dolarów i osiem centów. Jeśli kupi pani dolary po dzisiejszym kursie, czyli po sześć koron trzydzieści trzy öre.

Prawie półtora miliona dolarów. Zakręciło jej się w głowie.

– Jeśli nie mam konta w żadnym kenijskim banku, to jak będę mogła pobrać pieniądze? Gdzie jeszcze mogę je przesłać? Do jakiegoś oddziału Western Union?

Urzędnik patrzył na nią z wypiekami na twarzy.

– Nie można przesłać pieniędzy z Handelsbanken do kenijskiego oddziału Western Union. Musiałaby pani tego dokonać przez ich przedstawicieli, ale w przypadku sumy tego rzędu nie jest to zbyt poręczne. Mogłaby pani przesłać jednorazowo najwyżej siedemdziesiąt pięć tysięcy koron, nie więcej niż dwa przelewy dziennie...

Annika chwyciła się blatu, żeby nie spaść z krzesła.

– Czyli muszę mieć konto – powiedziała. – W banku w Nairobi.

Mężczyzna patrzył na nią pustym wzrokiem.

– Mogłabym je przewieźć sama? – spytała. – Na przykład w walizce?

– Banknot, niezależnie od nominału, waży jeden gram. Milion dolarów w banknotach dwudziestodolarowych będzie ważyć pięćdziesiąt kilogramów.

Obliczył to wszystko w pamięci, Annika była pod wrażeniem.

– Poza tym nie można wywieźć z Unii takiej sumy, nie zgłaszając tego w urzędzie celnym. Trzeba wypełnić specjalny formularz, podać, na co pieniądze są przeznaczone, podać dane ich właściciela i osoby, która je wywozi, podać, skąd pieniądze pochodzą, jakie nominały są wywożone...

– Pięćdziesiąt kilogramów – powtórzyła Annika. – Trudno będzie to uznać za bagaż podręczny.

Kiedy ostatnio leciała samolotem, kontrola na lotnisku była bardzo drobiazgowa. Na pokład można było wnieść jedynie sześć kilogramów. Jej walizka ważyła prawie siedem, zasady były jasne. Wyjęła

więc z niej powieść Jonathana Franzena i pozwolono jej przejść. Książkę włożyła do kieszeni, nikt nie miał zastrzeżeń.

– Nie radzę próbować – odezwał się mężczyzna. – Na lotniskach przeświała się walizki. Ale jest inny sposób.

Annika znów wychyliła się do przodu.

– *Cash cards* – powiedział głośno, z lekką pogardą.

Annika miała wrażenie, że jedna z siedzących niedaleko nich urzędniczek zaczęła zerkać w ich stronę.

– To karta gotówkowa – ciągnął mężczyzna. – Wpłaca się pieniądze, a potem można je podjąć wszędzie na świecie, ze zwykłego bankomatu.

– Z bankomatu?

– Tak. Oczywiście podjęcie takiej sumy będzie wymagało większej liczby podejść. Podejrzane typy, które korzystają z takich rozwiązań, zatrudniają zwykle sztab ludzi, którzy dokonują kilkuset takich operacji. Ale jeśli się chce uniknąć kamery ochrony, to jest to dobry sposób...

Podejrzane typy. Czy tak właśnie ją postrzega? Cień poruszający się na obrzeżach rzeczywistości, próbujący naśladować prawdziwych ludzi i ich prawdziwe działania? W tym banku pracowali prawdziwi ludzie, ludzie, którzy troszczyli się o swój wygląd, o swoje ubrania, biżuterię, zapewne umawiali się z przyjaciółmi na kolacje w drogich lokalach i zamawiali drogie wina.

Wstała trochę niepewnie, chwyciła się statywu, żeby nie stracić równowagi, potem złożyła go i schowała do torby.

– Serdecznie panu dziękuję. Udzielił mi pan wielu ważnych informacji.

Czuła z tyłu jego wzrok, parzył ją w plecy. Ruszyła do wyjścia, statyw wystawał jej z torby. Potrąciła kubek z kawą stojący na jednym z biurek. Upadł na podłogę. Udała, że tego nie zauważyła.

* * *

Schyman złożył ostatnią gazetę i odchylił się w fotelu. Oparcie zatrzeszczało złowieszczo, jak zawsze.

Przyglądał się leżącej przed nim pokaźnej stercie gazet, które codziennie czytał, latem, zimą, w dni powszednie i w święta, nawet podczas urlopu. W ostatnich latach tempo pracy cały czas rosło. Musiał przyznać, że niekiedy było dla niego za ostre. Nie był w stanie czytać wszystkiego równie uważnie, właściwie tylko przerzucał strony, szczególnie porannych dzienników.

Dzisiaj jednak miał powód do zadowolenia.

Wylansowany przez nich temat seryjnego mordercy podchwyciły niemal wszystkie krajowe gazety. Były co prawda i takie, które wyrażały pewne wątpliwości, ale tym się nie przejmował. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że policja połączyła postępowania, więc nie okłamywał czytelników.

Sprawa zakładników ostatnio przycichła. Oczywiście gazety odnotowały fakt, że porywacze nawiązali kontakt z rodzinami, przekazując nie do końca zrozumiałą wiadomość w języku kinyarwanda, ale nie spowodowało to szturmów czytelników na punkty sprzedaży. „Konkurrenten” zilustrował tekst okropnym zdjęciem Anniki. Była rozczochrana, miała na wpół otwarte usta, patrzyła w kamerę przerażonymi oczami.

„Nie mam nic do powiedzenia”, cytowali ją.

Rzeczywiście, triumf poważnego dziennikarstwa, westchnął Schyman.

Ale nie wszystkie artykuły w numerze opierały się na tak niepewnych informacjach. Były też historie wzięte z życia, jedna z nich głęboko go poruszyła. Starszy mężczyzna zmarł w swoim mieszkaniu i przeleżał tak kilka lat, bo nikt się nie zainteresował jego losem. Znalaziono go dopiero przy okazji instalacji szerokopasmowego internetu w kamienicy, w której mieszkał. Drzwi nie były zamknięte, instalator wszedł do mieszkania i już w progu potknął się o stertę przesyłek. Starszego pana znalazł na podłodze w łazience.

Zawartość lodówki, stemple pocztowe na listach w przedpokoju i daleko posunięty rozkład ciała pozwoliły policji stwierdzić, że mężczyzna zmarł dobre trzy lata wcześniej. Jego emerytura wpływała na konto, wszelkie opłaty regulował bank. Przez te trzy lata nikt się nim zainteresował, ani sąsiedzi, ani syn, ani dawni koledzy z pracy. Poli-

cja nie podejrzewała zbrodni.

Drzwi były otwarte. Trzy lata. Nawet żaden złodziej się nie pofatygował, żeby go okraść.

Usłyszał pukanie do swoich szklanych drzwi, podniósł wzrok.

Na zewnątrz stali Berit Hamrin i Patrik Nilsson. Ich ponure miny nie wróżyły niczego dobrego. Dał im znak, żeby weszli. Stanęli przed jego biurkiem z wydrukami i notatkami w rękach.

– Potrzebujemy twojej rady – zaczęła Berit.

– Nie rozumiem, dlaczego wszystko trzeba tak komplikować – wszedł jej w słowo Patrik.

Schyman wskazał im krzesła dla gości.

– Minister finansów zatrudnił na czarno ludzi do remontu swojego luksusowego apartamentu, na dodatek część z nich to kryminaliści – ciągnęła Berit. – Jeśli to się potwierdzi, to mamy świetny temat. Ale jest pewien problem.

Patrik skrzyżował ręce na piersi. Schyman dał Berit znak, żeby mówiła dalej.

– Po pierwsze to nie minister zlecił remont, tylko firma doradcza, której jest udziałowcem.

– To chyba nie ma znaczenia – Patrik znów wszedł jej w słowo.

Berit zignorowała jego uwagę.

– Po drugie nie jest to żaden luksusowy apartament, tylko siedziba wspomnianej już firmy doradczej, zatrudniającej pięć osób.

– I co z tego? – wtrącił Patrik.

– Po trzecie był to nie tyle remont, ile standardowa wymiana instalacji w całej kamienicy. Wymieniono kanalizację w trzydziestu sześciu pomieszczeniach.

– To szczegóły – rzucił Patrik.

– Po czwarte firma doradcza podpisała całkowicie legalną umowę z przedsiębiorcą budowlanym i zapłaciła mu za wykonaną pracę. Firma budowlana zatrudniła podwykonawcę do robót wyburzeniowych, wypłacając mu umówioną wcześniej sumę. Dokładnie go sprawdziła, facet miał wszystkie zaświadczenia wymagane przez związki zawodowe, Towarzystwo Budowlane i urząd skarbowy.

– To wszystko sprawy techniczne.

Berit odłożyła notes na kolana.

– Nie, Patrik, ta sprawa to jakiś nonsens.

– Ale mediatime.se rozmawiała z facetem, który twierdzi, że dostał na czarno forszę za remont luksusowego apartamentu ministra.

Schyman złapał się za głowę.

– Mediatime.se! Patrik, rozmawialiśmy o tym, to plotkarska agencja, absolutnie niewiarygodna.

– Jeśli cytowany przez nich facet mówi prawdę, to jest to materiał na artykuł – odezwała się Berit. – Bo jak to się dzieje, że firma, która ma podpisaną legalną umowę i otrzymała zapłatę za wykonaną pracę, zmusza swoich pracowników do pracy na czarno? Warto też sprawdzić, kim są ci pracownicy. Czy to Szwedzi zarejestrowani jako bezrobotni, a więc pobierający jednocześnie zasiłek? Czy imigranci, którzy mieszkają w piwnicach i pracują za niewolniczą pensję?

Patrik nerwowo żuł długopis.

– I jak to możliwe, że minister ma firmę konsultingową? – nie ustępował. – Jak godzi to ze swoim stanowiskiem? W takiej sytuacji musi dochodzić do konfliktu interesów. Należałoby sprawdzić, czy ministerstwo zlecało coś jego firmie. Jeśli trochę pogrzebiemy, na pewno coś się znajdzie...

Berit patrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

– Remont odbył się siedem lat temu. Jansson został ministrem trzy lata później. Obejmując stanowisko ministra, sprzedał swoje udziały w firmie.

– Ale może mimo wszystko coś jej zleca? Daje pracę dawnym kumpom...

Schyman uniósł dłoń, nachylił się nad biurkiem.

– Patrik, dajmy sobie z tym spokój. Nic tu nie ma. Proponuję, żebyś zainteresował się raczej szwindlami w branży budowlanej. Sprawdź, jak ludzie oszukują na odpisach remontowych.

Patrik rzucił obśliniony długopis na biurko i wstał. Krzesło uderzyło o ścianę. Wyszedł bez słowa.

– Nie zawsze daje się dopasować rzeczywistość do potrzeb tabloidu – stwierdziła Berit. – Ale przekręty w branży budowlanej to bardzo dobry pomysł.

Schyman potarł ręką twarz.

– Pomysł jest dobry, tylko nie mamy środków, żeby go zrealizować. Berit wstała.

– Sprawdzę, czy uda mi się znaleźć kogoś, kto by cierpiał na syndrom obcej ręki – powiedziała i wyszła z jego szklanej klatki.

Schyman patrzył za nimi dłuższą chwilę.

Zastanawiał się, czy jeśli jego żona umrze przed nim, a on pewnego dnia straci przytomność w łazience, to może się zdarzyć, że zostanie znaleziony dopiero po trzech latach? Czy komuś będzie go brakowało? Może jakiemuś koledze z pracy?

* * *

Annika odstawiła statyw, torbę z kamerą rzuciła na kanapę w dużym pokoju. Na dworze zrobiło się nieco jaśniej, na białym niebie pokazało się słońce. Nie robiąc hałasu, weszła do sypialni.

Halenius zasnął na jej łóżku. Leżał na boku, z podciągniętymi kolanami i dłońmi pod jedną z poduszek. Oddychał cicho i regularnie.

Nagle otworzył oczy, spojrzał na nią skonsternowany.

– Już jesteś? – powiedział i usiadł.

Podrapał się po głowie. Zauważyła, że jeden z guzików jego koszuli wisi na nitce.

– Jest tylko jeden sposób na przelanie pieniędzy – oświadczyła. – Muszę je wpłacić na konto w Nairobi. Nic innego nie wchodzi w grę.

Halenius wstał, trochę niepewnie.

– Dobrze. Trzeba będzie to tak załatwić – powiedział i wyszedł z sypialni.

Annika usiadła na łóżku. Słyszała, jak idzie do łazienki i podnosi deskę sedesową. Odgłos oddawanego moczu był tak wyraźny, jakby zostawił otwarte drzwi. Na podłodze przy łóżku leżała sterta gazet, najwyraźniej czytał je, a potem zasnął. Usłyszała, jak odkręca kran, a potem spuszcza wodę.

Kiedy wrócił, zauważyła, że zmoczył włosy i przyczesał je przed lustrem. Guzik od koszuli odpadł.

– Co dalej? – spytała. – Nie mam konta w Kenii.

Usiadł obok niej na łóżku. Nie na krześle, jak zwykle.

– Albo będziesz musiała tam pojechać i założyć, albo znajdziemy kogoś, na czyje konto będziesz mogła przelać pieniądze.

Przypatrywała się jego twarzy. Jego niebieskie, niemal błękitne oczy były zaczerwienione.

– Znasz kogoś, prawda? Masz na myśli kogoś konkretnego.

– Frida Arokodare – powiedział. – Mieszkała z Angie w jednym pokoju w akademiku. Nigeryjka, pracuje dla Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nairobi.

Nigdy nie widziała tak niebieskich oczu, niemal się świeciły. Dlaczego były czerwone? Czyżby płakał? Dlaczego miałby płakać? A może był uczulony? W takim razie na co? Wyciągnęła rękę, dotknęła jego policzka. Zamarł, poczuła, jak materac znieruchomiał. Cofnęła rękę.

– Naprawdę możemy to zrobić?

Spojrzał na nią.

– Co? – spytał cicho.

Otworzyła usta, ale nie odpowiedziała. Nie dlatego, że nie wiedziała. Wiedziała doskonale, czego im zrobić nie wolno. Mimo że tak bardzo tego pragnęła. Że czuła, że jej ciało tego pragnie.

Nie, pomyślała przerażona. Nie.

Halenius wstał i podszedł do komputera. Miała wrażenie, że trzyma dłoń tak, żeby zasłonić krocze.

– Pięć lat temu Grégoire Makuza opublikował artykuł w „The Daily Nation”. Wtedy był jeszcze studentem uniwersytetu. Bardzo krytycznie wypowiadał się na temat Frontexu. Pokazywał, jak poszczególne kraje pozbywają się problemu, czyniąc z zamkniętych granic wspólny problem i odwołując się do odgórnych zaleceń. Czysta hipokryzja, bo Europa Zachodnia wykorzystuje dziś imigrantów na niepotykaną dotychczas skalę...

– „Daily Nation”?

– Największy dziennik we wschodniej Afryce. Muszę przyznać, że w niektórych sprawach Makuza miał rację. Jego poglądy podziela dzisiaj wiele osób, także w Europie. Miał przed sobą karierę publicysty, gdyby się zdecydował pójść tą drogą.

Usiadł na fotelu przy biurku, odsunął się z nim tak, że znalazł się prawie przy drzwiach.

– Ale wolał zostać nowym bin Ladenem – powiedziała Annika.

Sięgnęła do leżącej na podłodze sterty gazet, wzięła do ręki świeży egzemplarz „Konkurrenten”. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie mężczyzny w turbanie. Wpatrywał się w obiektyw.

– To nie jest do końca dobre porównanie – powiedział Halenius. – Bin Laden pochodził z piekielnie bogatej rodziny finansistów. Grégoire Makuza jest co prawda Tutsi, ale jego rodzina nigdy nie miała szczególnie wysokiej pozycji. Ojciec był nauczycielem w szkole, matka zajmowała się domem. Był najmłodszym z czworga rodzeństwa, oboje rodzice i dwaj bracia zaginęli podczas ludobójstwa. Ich ciała leżą pewnie w jakimś masowym grobie.

– Uważasz, że powinnam mu współczuć? – spytała Annika.

Zauważyła, że oczy Haleniusa są jakby trochę mniej czerwone.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie, ale tłumaczy pewne rzeczy. Jest szaleńcem, ale nie jest głupi.

Podał jej wydruki. Wzięła je z pewnym wahaniem, jakby ją parzyły.

– Masz. Spisałem rozmowę. Rozmawiałem z nim już kilka razy, za każdym razem wygląda to mniej więcej tak samo.

– Co znaczą litery N i P?

– Negocjator i porywacz. Pamiętaj, że moim zadaniem jest zbić wysokość okupu i jak najszybciej dojść z nimi do porozumienia. On cały czas upiera się przy swoim, ale na końcu ustępuje. Czytaj od tego miejsca – powiedział, wskazując jej miejsce w tekście.

P: Byliście już w banku?

N: Musimy mieć dowód życia.

P: Nie wystawiajcie mojej cierpliwości na próbę. Co wam powiedzieli w banku?

N: Annika, żona Thomasa, właśnie tam jest. Skąd możemy mieć pewność, że Thomas żyje?

P: Musisz mi po prostu zaufać. Czego się dowiedzieliście w banku?

N: Żona Thomasa jeszcze nie wróciła. W Szwecji jest

wczesne przedpołudnie. Jeśli nie dostaniemy nowego dowodu życia, to do niczego nie dojdzie, to chyba zrozumiałe...

P (krzyczy): Czterdzieści milionów dolarów albo utniemy draniowi głowę (porywacz użył słowa *asshole*).

N (słysząc westchnienie): Dobrze wiecie, że taka suma jest nierealna. Jego żona pracuje, mają dwoje dzieci, mieszkają w wynajętym mieszkaniu...

P (trochę spokojniej): Ma pieniądze z odszkodowania, po pożarze.

N: To prawda. Ale to i tak za mało. Skąd weźmie resztę?

P: Niech się postara.

N: To znaczy?

P: Ma chyba cipkę, jak każda kobieta? Niech z niej zrobi użytek. A może nie chce, żeby mąż wrócił?

N (głośne westchnienie): Ma trzydzieści osiem lat. Widziałeś, jak wygląda?

P (głośny śmiech): Masz rację, przyjacielu, w ten sposób pewnie wiele nie zarobi. Dobrze, że ma pracę, inaczej dzieciaki umarłyby z głodu...

Annika podniosła głowę, spojrzała na Haleniusa.

– Widziałeś, jak wygląda?

Halenius spojrzał na nią bardzo poważnie.

– Osobiście uważam, że jesteś piękna. Zawsze tak uważałem.

Annice nagle zabrakło tchu. Wróciła do czytania.

N: Bardzo chce, żeby wrócił. Jest smutna i wzburzona. Dzieci tęsknią za ojcem. W mojej ocenie jest gotowa zapłacić okup, ale niestety ma ograniczone możliwości.

P (prycha): To już nie mój problem. Rozmawialiście z policją?

N: Nie. Wiesz, że nie rozmawiamy z policją. Rozumiem, że macie problem, ale spróbujcie też zrozumieć ją. Ona nie ma czterdziestu milionów dolarów. I żadnej możliwości, żeby je zdobyć.

P (wzburzony): Albo zdobędzie pieniądze, albo drań umrze. Wybór należy do niej.

N: Obaj wiemy, że to nie tak. Jeśli nie zejdzicie z czterdziestu milionów, to nie dostaniecie nic. Chcemy się z wami dogadać. Rozwiązać problem i zakończyć sprawę, ale wasze żądania są zbyt wygórowane.

(cisza)

P (rzeczowo): Ile jest gotowa zapłacić?

N: Jak już mówiłem, nie ma dużych dochodów, pracuje, ale...

P: Ile ma w banku?

N: Nie tak dużo, ale jest gotowa dać wszystko, co ma...

P: Nie może pożyczyć?

N: Pod zastaw czego? Wiecie, jak funkcjonują kapitałystyczne banki. A ona nie ma własnego domu, nie ma akcji ani luksusowego samochodu. Jest przeciętną obywatelką, pochodzi z klasy robotniczej, zresztą oboje się z niej wywodzą...

P: A rząd? Szwedzki rząd nie może zapłacić? On pracuje dla rządu.

N (parsknięcie): Jako sekretarz przy projektach. Szwedzki rząd nie dba o swoich obywateli, nawet o tych, którzy dla niego pracują. Szwedzki rząd dba przede wszystkim o siebie. Zależy mu na władzy i na pieniądzach.

P: Wszędzie jest tak samo. Dranie gwałcą własnych obywateli.

N: Rządy nie przejmują się tym, czy ktoś umrze, czy nie.

P: Szczają na ich groby.

N: Tak to wygląda.

(cisza)

P: Ile ona ma? Kilka milionów?

N: Dolarów? Nie, znacznie mniej.

P: Drań twierdzi, że ma kilka milionów.

N: Tak, ale szwedzkich koron. To nie to samo. Korona jest co prawda warta więcej niż kenijski szyling, ale nie tyle co dolar.

(krótka pauza)

P: Co to był za pożar?

N: Ten, za który dostała odszkodowanie? Mieli mały dom, był ubezpieczony, więc kiedy spłonął, wypłacono im pewną sumę. To wszystko, co ma. Tak jak powiedziałem, nie jest tego dużo...

(cisza)

P: Skontaktujemy się z wami.

(koniec rozmowy)

Annika pozwoliła, żeby kartka opadła jej na kolana. Nagle poczuła, że robi jej się niedobrze. Nie wiedziała, w którą stronę spojrzeć. Czuła się pokonana, jakby nagle przestała cokolwiek znaczyć. Poniżył ją. Sprzymierzył się z tymi łajdakami. Zrobił z niej starą, brzydką kobietę, sukę bez pieniędzy i bez możliwości ich zdobycia. Była jęczącą babą, która mogła liczyć tylko na litość porywaczy. A to, że się zlitują, było raczej mało prawdopodobne.

– Nie zapominaj, jaki był cel – odezwał się nagle Halenius. – Wiesz, co chcemy osiągnąć.

Nie była w stanie na niego spojrzeć, czuła, że trzęsą jej się ręce. Żalotne.

Papiery spadły na stertę gazet.

Halenius wstał, podszedł do łóżka, usiadł obok niej. Objął ją, przyciągnął do siebie. Poczuł, że się opiera. Nagle uderzyła go w bok. Mocno, z całej siły.

– Jak mogłeś? – powiedziała zduszonym głosem.

Wszystkie blokady puściły, z oczu poleciały jej łzy. Próbowwała go odepchnąć, ale trzymał ją mocno.

– Annika... – zaczął. – Posłuchaj, proszę...

Szlochała oparta o jego ramię.

– Przecież to wszystko nieprawda. Ani jedno słowo. Dobrze o tym wiesz. Annika, spójrz na mnie...

Ukryła głowę pod jego pachą. Zapach proszku i dezodorantu.

– To tylko strategia. Jestem gotów powiedzieć wszystko, byle tylko ci pomóc.

Przez kilka sekund oddychała z otwartymi ustami.

– Dlaczego mi to pokazałeś? – spytała z twarzą w jego koszuli. Materiał tłumiał jej słowa.

– Jestem tu ze względu na ciebie. Musisz wiedzieć, co robię, co mówię. Uwierz mi, Annika...

Cofnął się, a ona uniosła głowę i spojrzała na niego.

Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła, uśmiechnął się.

– Hej – powiedział.

Zamknęła oczy i w końcu też się uśmiechnęła. Puścił jej ramiona, cofnął się, poczuła chłód.

– Nienawidzę tego wszystkiego – powiedziała.

Halenius wstał, podszedł do biurka, usiadł przed komputerem i zaczął czytać. Cisza w pokoju była tak wszechogarniająca, że niemal nie do udźwignięcia. Annika wzięła z podłogi stertę gazet i wstała z łóżka.

– Muszę nadrobić zaległości, żeby wiedzieć, co się dzieje na świecie – rzuciła i wyszła z sypialni.

Zabójstwa kobiet na przedmieściach Sztokholmu wypełniały szpalty wszystkich dzienników. Nagle przemoc okazała się nośnym tematem, więc wszyscy o niej pisali.

„Morderca Linnei Sendman stał i czekał za drzewem przy ścieżce, tuż za przedszkolem”, czytała. „Kiedy zaczęła uciekać, prawdopodobnie pobiegł za nią, a potem zadał jej cios, z niespotykaną siłą. Jeden z kręgów szyjnych był złamany”.

Próbowwała wyobrazić sobie tę scenę, ale nie potrafiła. Przed oczami

wciąż miała wystający ze śniegu but, obcas wycelowany w niebo.

„Sandra Eriksson, pięćdziesięcioczworoletka z Nacka, biegła przez parking, kiedy zadano jej cios, od tyłu. Nóż wszedł między żebra, trafił prosto w serce. Zmarła w ciągu kilku sekund. Zostawiła czworo dzieci, najmłodsza córka ma trzynaście lat”.

„Eva Nilsson Bredberg miała trzydzieści siedem lat, mieszkała w Hässelby. Zadano jej czternaście ciosów, w różne miejsca na całym ciele. Morderca użył prawdopodobnie dużego, długiego noża. Ofiara biegła w stronę domu, ale się potknęła i przewróciła, została zaatakowana od tyłu, na ulicy”.

Autorzy artykułów zwracali uwagę na wspólne punkty: narzędzie zbrodni, sposób postępowania, bliskość placów zabaw i we wszystkich przypadkach – brak świadków. Nigdzie nie napisano tego wprost, ale średnio rozgarnięty czytelnik nie miał wątpliwości, że sprawca działał z premedytacją i że był człowiekiem zimnym i pozbawionym uczuć.

Annika sięgnęła po komórkę, poszła do pokoju dzieci i zamknęła za sobą drzwi. Zadzwoiła do redakcji, wybrała bezpośredni numer Berit. Przyjaciółka odebrała natychmiast.

– Chyba nie chcesz wiedzieć – odpowiedziała na pytanie, czy dzieje się coś ciekawego. – Pół dnia straciłam na jakąś beznadziejną historię o tym, że minister finansów miał rzekomo przeprowadzić remont swojego luksusowego apartamentu, korzystając z czarnej siły robotniczej, między innymi byłych kryminalistów.

– Supersprawa – powiedziała Annika.

– W najlepszym ze światów pewnie tak – zgodziła się Berit. – Teraz znów zajmuję się seryjnym mordercą.

– *Sorry*, ale właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Znasz adresy tych pięciu zamordowanych kobiet?

– A o co ci chodzi?

– Mam pewien problem z miejscami zbrodni.

– Jaki?

– Trzy kobiety, te z Sättra, Hässelby i Axelsberg, zostały zamordowane bardzo blisko swoich domów. A te z Nacka i Täby? W ich przypadku było podobnie?

Usłyszała, jak Berit szeleści papierami.

– W Nacka tak. Kobieta zginęła niemal przed drzwiami swojego mieszkania. W przypadku dziewczyny z Täby było inaczej.

Annika zaczerpnęła powietrza.

Jeśli mężczyzna chce zamordować kobietę, to najwygodniej mu to zrobić w domu. W mieszkaniu łatwiej kobietę osaczyć, no i nie ma świadków. Jeśli jednak mężczyzna i kobieta nie mieszkają już razem, do zbrodni najczęściej dochodzi gdzieś na zewnątrz.

Tak było z nią i ze Svenem. Po rozstaniu nie wpuszczała go do domu, więc czekał na nią w lesie. Kiedy zaczęła uciekać, pobiegł za nią, aż do starej huty w Hälleforsnäs. Tam w końcu ją dopadł, tuż przy wielkim piecu. Ją i jej małego kotka, małego Whiskasa...

Odgarnęła włosy z czoła, przypomniała sobie żółte futerko i ciche pomrukiwanie.

– Im większa odległość od domu, tym gorsze relacje między ofiarą a zabójcą... – powiedziała Annika zamyślona.

– Tak, wiem – Berit weszła jej w słowo. – Znam statystyki. We wszystkich tych przypadkach są co prawda szczegóły, które teoretycznie mogłyby potwierdzać teorię o szalonym seryjnym mordercy, ale, jak sama zauważyłaś, znacznie więcej zdaje się wskazywać na to, że chodziło o nieudane związki.

– Masz na myśli raport Mikaela Ryinga?

– Tak – potwierdziła Berit. – Przemoc wobec kobiet w związkach. Dane pochodzą co prawda sprzed kilku lat, ale ich wymowa jest jednoznaczna. W dziewięćdziesięciu czterech na sto wyjaśnionych przypadków ofiara dobrze знаła mordercę.

Komórka Anniki zapiszczała, dostała SMS-a. Zignorowała go.

Oparła się plecami o poduszki na łóżku Ellen, podciągnęła nogi.

Dane z raportu znała na pamięć. W połowie przypadków mordercą był były mąż ofiary. Przez wiele lat śledziła rozprawy w podobnych sprawach, nie przejmując się niechęcią szefostwa. W trzydziestu ośmiu na sto przypadków narzędziem zbrodni był nóż. Następną przyczyną było uduszenie, na trzecim miejscu broń palna, potem siekiera i inne. Zdarzało się też, że ofiara umierała w wyniku przemocy, zakatowana kopniakami, biciem, nie wspominając o takich metodach jak

razenie prądem.

– Szaleńcy zwykle dokonują mordów masowych, zabójstw na tle seksualnym i zabójstw, które są skutkiem wcześniej popełnionych przestępstw, na przykład kradzieży – ciągnęła Berit.

– To nie ten przypadek – Annika weszła jej w słowo.

Sięgnęła po „Fina Morgontidningen” i zaczęła się przyglądać zdjęciom pięciu zamordowanych kobiet. Sandra, Nalina, Eva, Linnea i Lena. Twarze zwykłych kobiet w różnym wieku. Miały różne fryzury, różnie się malowały, zapewne wszystkie stosowały najróżniejsze diety, żeby nie przytyć, uczyły się, zajmowały dziećmi i zapewne miały za sobą niejedną nieudaną związek.

Czy rzeczywiście padły ofiarą szaleńca? Czyżby jej nieopatrzna uwaga, żart, miała się okazać strzałem w dziesiątkę?

– Co zamierzasz napisać?

Berit westchnęła.

– Polecono mi przeprowadzić wywiady z byłymi mężami ofiar, z wyjątkiem tego, który został zatrzymany. Żeby pokazać, że policja traktuje sprawę poważnie.

– To chyba nie takie trudne?

– Ale nie takie znów łatwe. Rozmawiałam już z byłymi partnerami tej z Nacka i z Hässelby. Obaj byli bardzo wygadani.

– Jakoś wcale mnie to nie dziwi – stwierdziła Annika.

– Nie ukrywali, co myślą o swoich byłych. Oczywiście są zdruzgotani tym, co się stało, ale biorąc pod uwagę to, jak ona się zachowywała, można było się tego spodziewać.

– A opowieści o tym, że je bili i grozili, to oczywiście pomówienia, kłamstwa.

– Oczywiście. Facet skazany za pobicie żony uważa się za niewinnego. Jeśli nawet mu się zdarzyło kilka razy ją uderzyć, to nie było to nic strasznego.

– Bo tak naprawdę to była jej wina – dodała Annika.

Komórka znów zapiszczała, kolejny SMS. Na dworze zaczęło się już robić ciemno. Może tylko się zachmurzyło, a może dzień już się kończył. Nie potrafiła powiedzieć.

– Pytanie brzmi: co tak naprawdę mogę napisać. Nie mogę się ogra-

niczyć do cytowania byłych mężów i pozwolić im mówić, że przecież nic złego nie robili. Musiałabym tłumaczyć wszystko od początku, a na to nie mamy miejsca.

– To podstawowy problem w takich sytuacjach – powiedziała Annika. – Mamy dostęp tylko do jednej wersji.

– Musimy pozwolić czytelnikom wyciągać wnioski.

– Większość na pewno uwierzy im – stwierdziła Annika, otwierając gazetę. – Ilu zostało już zatrzymanych?

– Tylko Barham Sayfour. Kuzyn Naliny Barzani. Jeśli policja go zwolni, zostanie deportowany. Nie ma już powodu, by występował o pozwolenie na pobyt.

– O tym nie pomyślałam – przyznała Annika.

W słuchawce znów coś zapiszczało, ktoś próbował się do niej dozwonić.

– Ktoś się do mnie dobija. Muszę odebrać.

– A ja muszę wrócić do pisania – powiedziała Berit. – Ten artykuł to będzie balansowanie na krawędzi...

Rozłączyły się. Annika sprawdziła, kto dzwonił.

Anne Snapphane.

– Stoję na dole, przed twoim domem. Mogę wejść?

Kiedy Anne weszła do holu, bił od niej blask. Miała na sobie błyszczącą bluzkę, na rękę mieniące się bransoletki i coś błyszczącego we włosach.

– Udało się! – krzyknęła rozradowana, ściskając Annikę. – W końcu mi się udało!

Annika odwzajemniła uścisk i też się uśmiechnęła.

– Gratuluję. A co konkretnie?

– Właściwie powinnam się teraz napić czegoś mocniejszego, ale zadowolę się filiżanką kawy.

Anne od wielu lat była niepijącą alcoholiczką.

Annika poszła do kuchni, włączyła czajnik.

– Jak tylko wypłacą mi honorarium za pierwszą serię wywiadów, kupię ci prawdziwy ekspres – powiedziała Anne, siadając przy kuchennym stole.

Annika spojrzała na nią zdziwiona.

– Daruj sobie ten sceptycyzm. Kupili mój pomysł.

Annika starała się przypomnieć sobie, co to był za pomysł. Nerwowo szukała w pamięci.

Anne rozłożyła ręce.

– Jesteś okropnie roztargniona. Media Time! Obiecałaś, że mi pomożesz. Tylko nie mów, że zapomniałaś.

– Jasne, że nie – powiedziała Annika, wsypując do kubków rozpuszczalną kawę.

Anne sięgnęła do torebki, kolorowego pudełeczka ze złotymi nitami i logo znanej firmy na wierzchu. Wyjęła lusterko, przeciągnęła po ustach błyszczkiem. Annika wlała do kubków wodę i postawiła je na stole.

– Szefowie Media Time zapalili się do mojego pomysłu. Zaproponowali, żebym natychmiast przystąpiła do pracy. Nie masz nic przeciwko temu?

Annika uśmiechnęła się do niej, wyjęła z lodówki mleko. Anne zawsze zwracała uwagę na indeks glikemiczny, nie piła mleka, nie jadła cukru ani pieczywa.

– To chyba dobrze. Co to za spółka?

– Nowoczesny dom medialny. Mają własny kanał telewizji cyfrowej, nadają w internecie, puszczają muzykę i wiadomości.

Annika zatrzymała się w pół kroku, z mlekiem w ręku.

– Mediatime.se?

– Reprezentują nowe podejście do dziennikarstwa. Nie boją się publikować rzeczy, których inni nie chcieliby tknąć.

– To oni podali informację o remoncie apartamentu ministra finansów? Na czarno?

Anne znów rozłożyła ręce.

– Zawsze twierdziłam, że socjaldemokraci dbają głównie o własne interesy, żeby się jak najwięcej nachapać.

Annika ostrożnie usiadła na krześle. Miała wrażenie, jakby wpuściła do kuchni ogromnego słonia, który wysysał z powietrza cały tlen.

– Anne, o czym z nimi rozmawiałaś?

– O serii wywiadów. Ciekawe rozmowy z ciekawymi ludźmi, na po-

ważne tematy. „Anne docieka prawdy...”. To tytuł serii. Dobry, prawda? Będziesz moim pierwszym gościem.

Annika złapała kubek, czuła, jak ją parzy.

– Jak to? – spytała, chociaż doskonale wiedziała, do czego Anne zmierza.

– Opowiesz o porwaniu. Nie musisz się stresować. Mamy mnóstwo czasu, całe dwadzieścia pięć minut. Mów, co chcesz, nie będę cię do niczego zmuszać.

Anne pochyliła się nad stołem, położyła dłonie na dłoniach Anniki.

– Zgadzam się na wszystkie twoje warunki. Nie musimy nagrywać w bezosobowym studiu telewizyjnym, możemy to zrobić tutaj, w twoim domu. W kuchni, przy stole, albo w pokoju dzieci...

Annika cofnęła ręce. Słoń wypełnił całą kuchnię: szafki, szuflady, lodówkę i zamrażarkę, mikrofalówkę, jeszcze chwila, a przyprze ją do ściany i zmiążdży.

– Anne – powiedziała. – Chyba nie mówisz serio.

Słoń przestał oddychać. Cisza była tak gęsta, że można by było ją kroić.

– Dla ciebie to też dobrze – powiedziała Anne lekko, do tego stopnia, że Annice ta lekkość wydała się sztuczna. – Proponuję ci świetne warunki. Będziesz mogła wszystko obejrzeć i zatwierdzić. Jeśli będziesz chciała, żebym coś wycięła, nie ma sprawy.

Annika podparła dłonią czoło.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś.

Anne otworzyła szeroko oczy.

– Taki wywiad to wyróżnienie, nie kara. Wiesz, w ilu krajach na świecie ludzie nie mają możliwości mówić tego, co naprawdę myślą? Powinnaś się cieszyć, że ktoś chce cię słuchać. Chyba gorzej byłoby, gdyby wszyscy mieli gdzieś ciebie, Thomasa i wasze problemy, prawda?

Wasze problemy? N a s z e p r o b l e m y?

Annika przypomniała sobie klatkę kamienicy na Östermalm, gdzie kiedyś mieszkała Anne. Po pożarze domu, z którego ona i dzieci ledwie uszli z życiem, pojechała prosto do niej. Była bez pieniędzy, bez niczego. Stała na klatce, trzymając za ręce dzieci, brudne od sadzy.

Na dole czekała taksówka. Ale Anne odmówiła im pomocy. Właśnie poznała chłopaka. Jak Annika mogła prosić, żeby ją w takiej sytuacji wpuściła? Czyżby oczekiwała, że poświęci dla niej swoją przyszłość?

– Jesteś niesamowita. Chcesz zyskać sławę moim kosztem?

Anne się wzdrygnęła, jakby Annika dała jej w twarz. Oczy jej pociemniały, ręka, w której trzymała kubek, zaczęła drżeć.

– Chcesz mnie zawieść? Teraz, kiedy w końcu dostałam szansę?

– Tak, wiem, zawsze wszystko ci zabieram – przerwała jej Annika. – Zabieram ci mężczyzn, zniszczyłam ci karierę, może pozbawiłam cię też córki? Może to moja wina, że Miranda mieszka z Mehmetem?

Anne siedziała po drugiej stronie stołu, oniemiała ze zdziwienia.

– Twój egoizm nie ma granic – odezwała się w końcu. – Ale tym razem ci nie odpuszczę. Obiecałaś, że mi pomożesz. Zrobię ten program, za twoją zgodą czy bez.

Annika odsunęła kubek z kawą.

– Rozumiem. Rób, co chcesz. W końcu mamy demokrację. I wolność słowa.

Anne wstała, gwałtownie odsunęła krzesło. Kawa się rozlała. Wyszła do holu, zaczęła się szybko ubierać, ręce jej się trzęsły. Nie spuszczała Anniki z oczu.

– Zawsze stałam za tobą murem – powiedziała zduszonym głosem.

– Zawsze miałam czas, żeby cię wysłuchać, pocieszyć. Gdybym nie poświęcała ci tyle uwagi i czasu, mogłabym się zająć sobą i coś osiągnąć. I tak mi dziękujesz?

Annika przełknęła ślinę.

– Powtarzasz to tak często, że pewnie już sama w to uwierzyłaś. Prawdę mówiąc, to smutne.

– Pożalujesz tego – rzuciła Anne i wyszła.

Annika nadal stała w kuchni. Słyszała szum windy. Po chwili ucichł. Zdrętwiały jej dłonie i stopy, w żołądku rosła gula. Czyżby Anne mówiła poważnie? Naprawdę jest gotowa jej zaszkodzić? Świadomie?

Zamknęła oczy, zmusiła się do racjonalnego myślenia.

Anne nie ma żadnej władzy. Nikt się nią nie przejmuje. Funkcjonuje na obrzeżach świata mediów, jest nic nieznaczącym trybikiem. Nie

stanowi żadnego zagrożenia.

Annika odetchnęła z ulgą, opuściła ramiona, zaczęła masować dłonie.

Nagle znów usłyszała szum wiatru, spięła się. Może Anne czegoś zapomniała? A może wraca, żeby ją przeprosić?

Ale okazało się, że to Kalle i Ellen wrócili ze świetlicy.

– Mamo, zrobiłam kartę małego pływaka! Kupisz mi taki specjalny znaczek?

Annika objęła dzieci, przytuliła je mocno.

– Jak wam minął dzień?

– Dobrze – odpowiedzieli oboje mechanicznie.

– Ktoś was pytał o tatę?

Ellen pokręciła główką.

– Kupisz mi ten znaczek? Można przez internet.

– Taki jeden facet pytał – powiedział Kalle. Zdjął czapkę, rzucił na podłogę.

Annika zaniepokoiła się.

– Jaki facet?

– Z jakiejś gazety. Miał ogromną kamerę.

W drzwiach stanął Halenius. Annika zauważyła, że Kalle natychmiast się spał.

– Cześć – powiedział Halenius do dzieci. – Możesz na chwilę pozwolić? – zwrócił się do Anniki.

Poczuła, że nie jest w stanie się ruszyć.

– Mów. Powiedz, proszę.

Halenius spojrzał na dzieci.

– Hiszpan został zwolniony – powiedział.

* * *

Schyman nerwowo stukał w klawiaturę. Szukał kolejnych translatorów. Po raz pierwszy żałował, że nigdy nie dołączył do żony, która od lat chodziła na kursy hiszpańskiego organizowane przez Towarzystwo Oświatowe ABF, Instituto Cervantes albo Enforex. Zawsze wymawiał się pracą, twierdził, że nie ma czasu. Siedział więc teraz i próbował

czytać „El Pais” za pomocą Babel Fish. Nie szło mu to najlepiej. Przerzucił się na program Google’a. Był trochę lepszy. „Mężczyzna Hiszpan oglądać można na ulicy miasta Kismaju tego popołudnia”. Coś jednak można było z tego zrozumieć.

Sytuacja zakładników nie była dobra. Najpierw poćwiartowano Francuza, potem zabito Brytyjkę. Wypuszczenie Hiszpana było pierwszą dobrą wiadomością.

Dalej walczył z tłumaczeniem, cały czas zerkając na programy informacyjne. Kiedy na stronie Reutersa zobaczył napis *Urgent*, a potem *Hostage Free in Kismayo*, darował sobie próby tłumaczenia i kliknął w link.

Przeleciał wzrokiem zwięzły, rzeczowy tekst.

Alvaro Ribeiro, lat trzydzieści trzy, został znaleziony w poniedziałek po południu przed uniwersytetem w portowym mieście Kismaju. Był wyczerpany i wychudzony. Miał dwa złamane żebra, był niedożywiony, ale poza tym w dobrym humorze. Jakiś student pożyczył mu komórkę, żeby mógł zawiadomić rodzinę i przyjaciela, dziennikarza „El Pais”. Informacja podana przez Reutersa była dokładnym tłumaczeniem hiszpańskiego artykułu, na szczęście byli tacy, którzy pilnie uczęszczali na kursy językowe. Przedstawiono pokrótce losy delegacji Frontexu zatrzymanej na granicy Kenii z Somalią i relację Hiszpana. Opowiadał o tym, jak delegacja została zatrzymana i uprowadzona, jak wywieziono ich w nieznanym kierunku, zmuszono do długiego nocnego marszu, a potem zamknięto w chacie bez wody i jedzenia i bez możliwości załatwiania potrzeb fizjologicznych.

Schyman poczuł się zażenowany. Kwestie fizjologii zawsze go krępowały.

Zamknięcie w chacie było ciężkim przeżyciem. Było gorąco, nie dostawali jedzenia, na ich oczach poćwiartowano ciało ich francuskiego kolegi.

Cóż za groteska, pomyślał Schyman, przebiegając wzrokiem kolejne fragmenty tekstu.

Po jakimś czasie Hiszpan został przeniesiony do innej chaty. Potem już nigdy nie widział ani Duńczyka, ani niemieckiej delegatki, Helgi Wolff. Pozostałych zakładników zobaczył w poniedziałek rano, dwu-

dziestego siódmego listopada. Wtedy wyprowadzono ich wszystkich na plac, wokół którego stały gliniane chaty. Brytyjka, Catherine Wilson, leżała naga na ziemi, ukrzyżowana. Ręce i nogi przybito jej gwoździami do ziemi. Najpierw zgwałciło ją trzech strażników. Przywódca porywaczy, wielki generał, jako jedyny się do niej nie zbliżył. Potem wyprowadzono zakładników i wszystkim mężczyznom kazano ją zgwałcić. Gdy odmówili, zagrożono im odcięciem dłoni. Więc zaczęli ją gwałcić, wszyscy po kolei. Hiszpan nie był w stanie odbyć z nią stosunku. Żył z mężczyzną i nigdy nie czuł pociągu do kobiet, ale udawał, że bierze ją siłą. Potem generał ją zabił, gwałcąc ją maczetą.

Dalej opisywano, jak doszło do uwolnienia Hiszpana. Wsadzili go do samochodu, jakiś czas jeździli z nim w kółko, a potem go wyrzucili.

Schyman odsunął monitor, podniósł głowę, spojrzął na dział wiadomości.

Informacje o losie Brytyjki były tak straszne, że wydawało się, że nie mogą być prawdziwe. Naprawdę można publikować tak drastyczne szczegóły? W ten sposób Thomas, ojciec dwojga dzieci, został gwałcicielem. Ale przecież to już poszło w świat. A zmuszanie kogoś do gwałtu samo w sobie jest chyba aktem przemocy.

Siedział i targał się za brodę. Z artykułu nie wynikało, czy Hiszpanie przekazali okup, ale zapewne to zrobili. Śmierć Brytyjki była aktem bestialstwa, ale kim on jest, żeby decydować, jaka śmierć jest jak okrutna? Czy byłoby lepiej, gdyby umarła od ukąszenia szerszenia? Albo na zawał?

Nie ponosił winy za wszelkie zło tego świata, to nie był jego problem. Miał natomiast obowiązek informować o tym, jak wygląda rzeczywistość, jak wygląda świat.

Znów spojrzął na tekst. Był wyjątkowo zwięzły, niemal sterylny. W takiej postaci nie nadawał się do publikacji w „Kvällspresen”. Będą musieli skorzystać z rady niezastąpionego Stiga Björna i trochę wszystko udramatyzować.

Usłyszał krzyk Patrika, domyślił się, że pewnie właśnie zobaczył podaną przez agencję wiadomość.

Zagryzł wargi.

Tak czy inaczej, mieli pierwszą stronę i główny temat na kolejny dzień.

* * *

Thomas zawsze kochał się bardzo delikatnie. Na początku Annika była zachwycona. Był czuły, wrażliwy, całkowicie inny od Svena, który bywał gwałtowny, niekiedy wręcz brutalny. Ale z czasem delikatne pieścizny Thomasa, lekkie niczym muśnięcia, przestały ją podniecać. Łapała się na tym, że czasem niemal marzy, żeby ją chwycił mocniej, żeby poczuła, że naprawdę jej pragnie.

Zaczerpnęła powietrza i wybrała numer. W willi w Vaxholmie rozległ się dzwonek. Długie sygnały odbijały się echem od ścian domu, wprawiając w drżenie kryształki żyrandola.

– Doris Samuelsson – przedstawiła się matka Thomasa.

Jej głos brzmiał słabiej niż zwykle. Było w nim jakieś wahanie, jakby zakładała, że wszyscy są zobowiązani wiedzieć o jej nieszczęściu.

– Cześć, to ja, Annika. Nie przeszkadzam?

Doris odchrząknęła.

– Nie, nie przeszkadzasz. Właśnie skończyliśmy jeść kolację, więc mogę rozmawiać. Masz nowe wiadomości od Thomasa?

– Od ostatniego nagrania, tego, o którym ci opowiadałam w sobotę, nic nie dostaliśmy. Wiemy za to, że inny zakładnik, Alvaro Ribeiro, Hiszpan, został zwolniony. Jest cały i zdrowy.

Doris odetchnęła z ulgą.

– Najwyraźniej poszli po rozum do głowy. Jak można tak więzić ludzi, przetrzymywać w tak strasznych warunkach...

Annika dotknęła ręką czoła.

– Doris – zaczęła. – Opowieść Hiszpana o tym, co przeżył, jest bardzo dramatyczna. Przetrzymywano ich bez jedzenia, dochodziło do aktów przemocy. Thomasowi... też grożono. Zmuszono go do strasznych rzeczy.

Doris milczała kilka sekund.

– Mów – powiedziała w końcu.

Bezgłośny oddech.

– Zagrozili, że odrąbią mu dłonie, jeśli nie wykona ich poleceń.

Cichy jęk.

– I zrobili to? Okaleczyli go?

– Nie, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo. Hiszpan o tym nie wspominał. Nie wiem, jakie szczegóły ukażą się jutro w prasie, ale...

Urwała, zamilkła. Nie była w stanie powiedzieć: „Twój syn zgwałcił ukrzyżowaną kobietę, prawdę mówiąc tę, z powodu której zdecydował się jechać do Liboi, w nadziei, że ją tam uwiedzie”.

Więc powiedziała tylko:

– Zmuszano ich do przemocy seksualnej. Znęcano się nad nimi, bito, Hiszpanowi złamano dwa żebra. Podawano im jedzenie z robakami...

– Wystarczy – przerwała jej Doris cicho. – Rozumiem. Wybacz mi, ale muszę...

– Jeszcze jedno – dodała szybko Annika. – Dzieci nie mogą zostać w Sztokholmie. Nachodzą je dziennikarze. Poza tym nie chcę, żeby były w szkole, kiedy informacja o Hiszpanie zostanie podana do publicznej wiadomości.

Doris wymamrotała coś niewyraźnie, niezadowolona.

– Mam nadzieję, że to wszystko wkrótce się skończy, że się dogadamy co do okupu, ale wtedy będę musiała pojechać do Kenii...

– W sprawie okupu? Mówisz poważnie? Zamierzasz dać tym mordercom pieniądze?

Annika przełknęła ślinę.

– Partner Hiszpana jest teraz w Kenii. Wczoraj wieczorem zostawił milion dolarów w kontenerze na śmieci na przedmieściach Nairobi. Dlatego go uwolnili. Muszę się liczyć z tym, że też będę musiała tam pojechać, może nawet jeszcze w tym tygodniu.

– Tu się tyle dzieje – Doris weszła jej w słowo. – W środy i w piątki spotykamy się na lunchach, poza tym czeka mnie sprzątanie domu. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Annika mocno zacisnęła powieki.

Gdyby to były dzieci Eleonor, na pewno znalazłabyś czas, pomyśla-

ła. Ale Eleonor nie chciała mieć dzieci, nie chciała psuć sobie figury, niszczyć kariery. Nigdy ci tego nie powiedziała, prawda? Kiedy pytałaś ją o dzieci, uśmiechała się smutno, więc doszłaś do wniosku, że nie może ich mieć, i nawet jej współczułaś. Dlatego powiedziałaś Thomasowi, że urodzić dziecko potrafi każda suka, ale opiekować się nimi to już co innego. Tak właśnie mnie traktujesz, prawda? Jak sukę. A twoje własne wnuki nie zasłużyły na to, żebyś im pozwoliła się bawić na swoich perskich dywanach...

– Jasne – powiedziała głośno. – Oczywiście, rozumiem. Odezwę się, kiedy się dowiem czegoś nowego.

Rozłączyła się, trzęsąc się ze złości.

– Nie przekonałaś jej? – spytał Halenius z sypialni.

Podśluchiwał.

– Zadziwiająca, prawda? – powiedziała Annika, wybierając numer matki.

Wydawała się trzeźwa, ale zmęczona.

– Cały tydzień haruję. Pracuję od dziewiątej do szóstej.

Haruję? Od dziewiątej do szóstej? Annika uznała to za lekką przesadę, ale nic nie powiedziała.

– Mamo, mam do ciebie prośbę.

– Nie powiem, nie narzekam. Jak idą święta, potrzeba pieniędzy.

Annika jęknęła w duchu, słysząc, jak niepoprawnie mówi.

– Mamy wiadomości o Thomasie. Porywacze traktują ich bardzo źle. Będziemy próbowali ściągnąć go jak najszybciej i dlatego mam do ciebie prośbę. Mogłabyś się zająć Kallem i Ellen? Przez kilka dni.

– Wieczorami opiekuję się Destiny. Birgitta dostała fuchę w markecie, na wieczorną zmianę...

Annika uderzyła czołem o stół. Czego się spodziewała?

– Jasne, rozumiem. Możesz mi podać numer Birgitty?

– Postanowiłaś w końcu zadzwonić i ją przeprosić?

Annika wyprostowała się, westchnęła cicho.

– Tak – powiedziała.

Matka dała jej numer, rozłączyły się.

Wzdrygnęła się, nagle zrobiło jej się zimno, palce miała lodowate, przesyłała ją dreszcz. Do pokoju wszedł Halenius.

– Czy tu jest zimno? – spytała.

– Może będziemy musieli lecieć już jutro albo w środę – powiedział. Podniosła rękę.

– Wiem. Staram się. Jestem gotowa zrobić wszystko, nawet się poniżyć, byle znaleźć kogoś, kto się zaopiekuje dziećmi.

Halenius odwrócił się, poszedł do sypialni.

Annika wybrała numer siostry. Birgitta odebrała niemal natychmiast.

– Przede wszystkim... – zaczęła Annika, patrząc w kamerę. Stała na statywie przy telewizorze i rejestrowała wszystkie jej poczynania. – A więc przede wszystkim chcę cię przeprosić za to, że nie przyjechałam na twój ślub. Nie powinnam była przedkładać pracy nad rodzinę. Teraz już wiem, że ludzie są ważniejsi niż artykuły.

To prawda, teraz już to wiedziała.

– No proszę. Pani Zawsze Mam Rację też czasem się myli. Po co dzwonicz?

Annika postanowiła nie owijać w bawełnę.

– Potrzebuję twojej pomocy. Lecę do Afryki, może mi się uda wrócić z Thomasem. Nie mam z kim zostawić dzieci. Pomożesz mi?

– Tak jak ty pomogłaś nam w sobotę?

Annika zakryła oczy dłonią.

– Birgitta, moje mieszkanie zostało zamienione w biuro. Urzędują tu ludzie z ministerstwa sprawiedliwości, negocjują z porywaczami zwolnienie Thomasa. Mają tu komputery, aparaturę nagraniową i Bóg jeden wie co jeszcze. Są w stałym kontakcie z porywaczami i przedstawicielami innych krajów, których obywatele też zostali porwani.

– Rozumiem, że mam być pod wrażeniem. Jesteś taka wyjątkowa, tak?

Annika zamilkła. Musiała przyznać siostrze rację. Od trzydziestu lat bez przerwy dawała jej do zrozumienia, że jest lepsza od niej, że jej się udało. Bo rzeczywiście, udało jej się. Uwolniła się od Svena, skończyła studia dziennikarskie, potem pracowała w redakcji, wyjechała do Stanów jako korespondentka „Kvällspresen”, jej mąż pracował w Rosenbad, dzieci chodziły do prywatnej szkoły. Jeśli chodzi o pozy-

cję społeczną, na pewno była wyżej od siostry. Więc wygrała.

Ale Birgitta miała przyjaciół. Jeździła do mamy i razem oglądały festiwale piosenki w telewizji. To Birgitta kupiła Lyckebo, dawny domek babci w lesie. Teraz miała tam sad i hodowała jabłonie.

– Przepraszam – powiedziała Annika. – Przepraszam, że zadzwoniłam. Nie powinnam była. Nie zasługuję na pomoc. Nie jesteś mi nic winna.

– Daj spokój – przerwała jej siostra. – W tym tygodniu i w następnym pracuję od dwunastej w południe do późnego wieczoru. Gdyby nie to, mogłabym się nimi zająć.

W pokoju zrobiło się trochę cieplej. Przestała się trząść.

– Przedświąteczna gorączka?

– Wszystko, co zarobię, pójdzie na prezenty, i tak to się kręci...

Annika się roześmiała. Że też to było takie proste.

– Właściwie to mogłyby być ze Stevenem. Ale on nie ma ręki do dzieci...

Annika spojrzała na kanapę, przypomniała sobie, jak Birgitta się zachowała, kiedy Steven się uparł, że nie wyjdzie. Nie ciągnij go tak, rozzłości się. Nie mów tak do niego, prosiła cicho.

– W porządku – powiedziała. – Poradzę sobie. Ale dziękuję...

– Co robicie w święta? Przyjedziecie do Hälleforsnäs?

Birgitta była wyraźnie podniecona, radosna.

– To zależy. Nie wiem, co będzie z Thomasem...

– Musicie poznać Destiny. Jest najśłodszym dzieckiem na świecie.

Pożegnały się, Annika położyła komórkę na kolanach. Nie chciała dzwonić do Berit i znów prosić o pomoc, nie chciała nadużywać jej gościnności. Poza tym i ona, i Thord pracowali, codziennie dojeżdżali do Sztokholmu.

Halenius znów wetknął głowę do pokoju.

– Mogę? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Możesz wyłączyć kamerę?

Podszedł bliżej, usiadł obok niej na kanapie.

– Dlaczego chcesz, żebym ją wyłączyła? Powinnam wszystko nagrywać, żeby mieć dokumentację.

– Proszę.
Wstała, wcisnęła pauzę.
– Podejrzewam, że dranie się dzisiaj odezwą. Pewnie chcą już to mieć z głowy. Jak ci idzie?
Annika przełknęła ślinę.
– Jeszcze nikogo nie znalazłam.
– Sprawa robi się pilna – powiedział Halenius. – Musisz powiększyć obszar poszukiwań, że tak powiem. Może jakiś nauczyciel ze szkoły, ktoś z sąsiadów, opiekunka ze świetlicy...
Annika odwróciła się do niego.
– Więc w Somalii jest uniwersytet? – spytała nagle.
Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.
– To mały prywatny uniwersytet, kształci nauczycieli i personel medyczny. Nie mam pojęcia, jak funkcjonuje.
– Sądzisz, że właśnie tam jest Thomas? W Kismaju?
Halenius odchylił się do tyłu, zamknął oczy.
– Nie mam pewności. Z Liboi do Kismaju jest dwadzieścia, może dwadzieścia pięć mil. Hiszpan twierdzi, że spędził w samochodzie co najmniej osiem godzin. Przejechali kawałek drogi, nawet jeśli nie jechali autostradą...
– Gdzie jest teraz?
– Hiszpan? W amerykańskiej bazie w Kenii. Jankesi wysłali po niego śmigłowiec, swojego black hawka.
Nie chciała go wypytywać, dlaczego amerykańska armia może latać wojskowym śmigłowcem nad Somalią. Pewnie nie może, pomyślała.
Odchrząknęła.
– Muszę jeszcze do kogoś zadzwonić – powiedziała.
Halenius wstał z kanapy, wrócił do sypialni.
Annika kilka razy głęboko odetchnęła. Znała numer na pamięć, zaczęła wciskać kolejne cyfry, klawisze parzyły ją w palce.
Trzy sygnały. Potem czwarty, piąty.
Ktoś odebrał.
– Cześć, mówi Annika – przedstawiła się. – Annika Bengtson.

* * *

Kiedy byłem mały, puszczałem latawiec za domem, w Söderby. Na łące, tam gdzie pasły się konie. Plastikowy, w kształcie orła. Skrzydła, głowa i dziób były pomalowane na żółtobrazowo. Ptaki na łące szalały na jego widok, wyskakiwały z gniazd, zaczynały machać skrzydłami, broniły potomstwa przed potworem. Uważały mój latawiec za prawdziwego orła.

To był niezwykły latawiec. Szybował wysoko, wysoko wśród chmur, maleńka kropka na niebieskim niebie. Potrafiłem nim sterować tak, żeby leciał w dół, a potem w ostatniej chwili podrywałem go do góry. Był duży i potężny jak prawdziwy ptak, ale zawsze mnie słuchał.

Holger mi go zazdrościł, chciał go ode mnie pożyczyć, ale dostałem go w prezencie urodzinowym i bardzo o niego dbałem. Kiedy wracałem, zawsze wycierałem linki do sucha.

Kiedyś, kiedy byłem chory na odrę, Holger go wziął i poszedł z nim na dwór. Zawsze chodził z nim do lasu za schroniskiem turystycznym, bo tam nie było go widać z domu. Puścił go. Latawiec zaplątał się w gałęzie sosny, plastik się połamał, linki się pozrywały.

Nigdy mu nie wybaczyłem, że go wziął.

Nigdy nie czułem się tak wolny jak wtedy, kiedy go puszczałem na łące za domem. Wszystko wokół mnie było jasne, świetliste, latawiec szybował wysoko między chmurami. Nadal widzę, jak tańczy gdzieś w oddali, a potem się do mnie zbliża. Na dole jest ciemno, ale wokół latawca migoczą i skrzą się gwiazdy. Latawiec otwiera drzwi do prawdy, zaraz się tu zjawi.

DZIEŃ 7

Wtorek, 29 listopada



ANDERS SCHYMAN Z UZNANIEM pokiwał głową. Artykuł był doskonale wyważony. Sjölanderowi i młodej Elin Michnik udało się wyłuśkać z opowieści Hiszpana wszystkie drastyczne szczegóły, ale bez epatowania okrucieństwem.

„Alvaro Ribeiro, lat trzydzieści trzy, wrócił do życia. Odbił podróż do piekła i z powrotem. Wraz z pozostałymi zakładnikami uwięzionymi we wschodniej Afryce, między innymi ze Szwedem, Thomasem Samuelssonem, doświadczył niewyobrażalnego okrucieństwa...”.

Schyman podrapał się w brodę. Pulitzerza za to nie dostaną, ale tekst jest chwytliwy. Szczególnie ostrzeżenie w tytule. Intrygowało i przyciągało czytelników, wzbudzało zaufanie. Masowy gwałt i zabójstwo Brytyjki określono jako „sadystyczny akt przemocy, wyrafinowany w swym ponurym okrucieństwie”. Zdjęcia też były dobre: na jednym, co prawda nie najlepszej jakości, widać było brudną, pokąsaną przez owady twarz Hiszpana. Zostało zapewne zrobione komórką,

prawa do niego kupili od „El Pais”. Na drugim widać było jedynie zakurzoną ulicę w Kismaju, ale za nie zapłacili grosze.

Artykuł zajmował cztery strony: szóstą, siódmą, ósmą i dziewiątą.

Na dziesiątej i jedenastej zamieszczono zdjęcie, a raczej kadr z nagrania wideo, przedstawiający porywacza, Grégoire’a Makuzę.

RZEŹNIK Z KIGALI

krzyczał tytuł.

W artykule nie podano o nim żadnych bliższych informacji, z tego prostego powodu, że ich nie posiadano. Napisano tylko, że dorastał na przedmieściach stolicy Rwandy. To właśnie w tym kraju w środkowo-wschodniej Afryce dwadzieścia lat wcześniej doszło do ludobójstwa na niespotykaną skalę. Przytoczono wiele drastycznych szczegółów. Być może przedstawiając historyczny kontekst wydarzeń, próbowano wyjaśnić, jak to się stało, że normalny człowiek zamienił się w potwora.

Schyman przeczytał tekst po raz kolejny i podobnie jak wtedy, kiedy go czytał po raz pierwszy, poprzedniego wieczoru, przed oddaniem numeru do składu, poczuł, że robi mu się słabo.

Od szóstego kwietnia do początku lipca 1994 roku bojówkarze Hutu zamordowali dziewięćset trzydzieści siedem tysięcy ludzi, głównie z plemienia Tutsi. Większość zginęła od ciosów maczetą. Gwałty były na porządku dziennym. Szacuje się, że zgwałcono około miliona kobiet i dziewcząt, także małych dziewczynek. Gwałtów dopuszczali się nie tylko bojówkarze. Często zmuszano ludzi do aktów przemocy seksualnej w rodzinie, ojcowie gwałcili córki, bracia siostry. Dlatego w nocy mieszkający po sąsiedzku mężczyźni nocowali u siebie nawzajem. Schyman wstukał w Google *rwanda forced incest*. Pięć milionów sześćset tysięcy wyników. Bojówkarze zmuszali też rodziny do kaniibalizmu. *Forced cannibalism*, dwa miliony siedemset tysięcy wyników.

Okaleczali ludzi, ucinali im dłonie, stopy, ręce, nogi. Kobietom odcinali piersi, mężczyznom penisy, rozcinali kobietom pochwy, a kobietom w ciąży wyjmowali z brzuchów płody. Zgwałcone kobiety nadzieiwali na oszczepy, pozwalając, by się wykrwawiły...

Schyman odsunął gazetę, miał dosyć. Sięgnął po „Konkurrenten”, zaczął go pospiesznie kartkować.

„Konkurrenten” i „Kvällspresen” ukazały się w porównywalnym nakładzie, temat numer jeden był oczywiście ten sam, nawet tytuły brzmiały podobnie. W „Konkurrenten” Grégoire Makuza został nazwany „katem z Rwandy”. Na jednej z ostatnich stron zamieszczono zdjęcie, którego nie miał nikt inny. Fotografowi udało się aparatem z teleobiektywem sfotografować dzieci Anniki bawiące się na szkolnym boisku. Podpis głosił, że bardzo tęsknią za ojcem. Kalle, lat jedenaście, miał podobno powiedzieć: „Mam nadzieję, że tata wróci na święta”, co zacytowano w tytule artykułu.

Schyman podejrzewał, że dziennikarz spytał Kallego, czy ma nadzieję, że tatuś wróci na Boże Narodzenie, a on skinął głową i wymruzczał coś pod nosem. Teraz na pewno rozpęta się burza. To, że w Afryce kobietom rozpruwano maczetami brzuchy, zapewne nie wywoła takiego oburzenia, jak to, że dziennikarz sfotografował z ukrycia dwoje szwedzkich dzieci i zamieścił ich zdjęcie w prasie. Obrońcy etyki dziennikarskiej przystąpią do ataku. Schyman targał nerwowo brodę. Co prawda tym razem to nie on dopuścił się przewinienia, ale wiedział, że czytelnicy nie zawsze rozróżniają dwa konkurujące ze sobą tytuły. Za jakiś czas połowa czytelników będzie przekonana, że zdjęcie ukazało się w „Kvällspresen”. Dlatego uważał, że krytykowanie „Konkurrenten” jest bez sensu. To jakby strzelić sobie samemu w nogę. Należało tego unikać.

Może czytelników bardziej niż zdjęcie zainteresuje to, że chłopiec powiedział, że „Jimmy z pracy tatusia” był u nich w domu i próbował pomóc uwolnić tatę. Dziennikarz nie omieszkał poinformować czytelników, że w całym ministerstwie sprawiedliwości jest tylko jeden Jimmy, mianowicie Jimmy Halenius, sekretarz ministra, jego prawa ręka. Pytanie brzmiało, czy socjaldemokratyczny minister powinien pozwolić, by tak wysoki rangą urzędnik zajmował się negocjacjami z terro-

rystami...

Schyman odchylił się w fotelu.

Podejrzewał, że już po południu któryś z deputowanych z partii konserwatywnej zgłosi sprawę do komisji konstytucyjnej, zrobi się wrzawa, a deputowani partii mieszczańskich nie odpuszczą, zanim komisja oficjalnie nie stwierdzi, że grupa porwaczy nie jest instytucją publiczną i dlatego urzędnicy nie powinni poświęcać czasu na ta-

kie sprawy...

I właśnie wtedy, w chwili gdy przed oczami stanęła mu czerwona twarz przewodniczącego komisji, oparcie fotela zaskrzypiało i pękło. Redaktor naczelny runął do tyłu i uderzył głową w stojący za fotelem regał z książkami.

* * *

Winda cicho sunęła do góry. Zatrzymała się na najwyższym piętrze wykładanej marmurem klatki, obok drzwi apartamentu, który jego właścicielka nazywała penthouse'em.

Annika nie podejrzewała, że jej noga jeszcze kiedykolwiek tu postanie, że będzie jechać tą windą, dzwonić do tych drzwi. Chociaż nie była tu już dobre trzy lata, wszystko wydawało jej się nieprzyjemnie znajome: elegancki chłód, biała kamienna podłoga, drewniane drzwi, grube dywany.

– Mamo, dlaczego mamy mieszkać u Sophii? – spytała Ellen, ściskając ją za rękę.

GREN Borg, przeczytała Annika na mosiężnej tabliczce na drzwiach. Nadal były na nich ślady po zdemontowaniu drugiej tabliczki. Z nazwiskiem SAMUELSSON.

Pogładziła córeczkę po włosach.

– Sophia wiele razy o was pytała. Tęskniła za wami, kiedy byliśmy w Waszyngtonie. Bardzo się ucieszyła, kiedy jej powiedziałam, że ją odwiedzicie.

– Wiesz, że ja nie mówię do niej Sophia, tylko Sofa – odezwał się Kalle.

Annika otworzyła harmonijkowe drzwi windy, wzięła torby i wyszli na klatkę. Tych samych toreb używali wtedy, już ponad trzy lata temu, kiedy dzieci kursowały między nią a Thomasem. Samo patrzenie na nie sprawiało, że ścisnął jej się żołądek.

– Jak długo tu zostaniemy? – spytała Ellen.

– Dlaczego nie możemy chodzić do szkoły? – dociekał Kalle.

Zagryzła wargi i wcisnęła dzwonek. Szybkie kroki po drugiej stronie i drzwi się otworzyły.

Sophia Grenborg ostrzygła się. Na pazia, ale krócej niż kiedyś. Była ubrana na czarno, bez makijażu. Kiedy odgarnęła z czoła grzywkę, Annika zauważyła, że jej ręka drży.

– Proszę, wchodźcie – powiedziała. Cofnęła się, żeby ich wpuścić.

Dzieci płątały się Annice pod nogami, musiała je lekko pchnąć, żeby weszły. Sophia Grenborg kucnęła, oczy zaszyły jej łzami.

– Ale urosliście... – powiedziała zdziwiona. Wyciągnęła rękę do Ellen, ale jej nie dotknęła. – Jacy jesteście duzi...

Nagle Kalle podszedł do niej, pozwolił, żeby go objęła. Odwzajemnił jej uścisk. Po chwili Ellen odstawiła plecak i też podeszła do Sophii. Stali tak razem przez chwilę, lekko się kołysząc. Annika usłyszała, że Sophia płacze.

– Tak bardzo za wami tęskniłam – powiedziała zduszonym głosem, wtulając głowę w ciała dzieci.

Annika oddychała cicho przez usta. Nagle poczuła, że jej stopy i ręce zaczynają rosnąć, robią się długie. Bała się nimi poruszyć, żeby nie uderzyć o ścianę albo o stół.

Kiedy ich dom stanął w płomieniach, była sama z dziećmi, bo Thomas był tu, w tym lodowym pałacu. A potem zamieszkał tu, z widokiem na dachy miasta, podczas gdy ona musiała się męczyć w tymczasowym mieszkaniu przerobionym z biura, do którego nigdy nie docierało słońce. Wiedziała jednak, że nie była to wyłącznie jego wina.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – odezwała się.

Sophia podniosła głowę, zapłakana, ze łzami w oczach.

– To ja... – zaczęła. – To ja powinnam ci dziękować – dokończyła po chwili.

Gdzieś za białymi chmurami kryło się słońce. Annika wolnym krokiem wracała na Agnegatan. Szła Kungsgatan, w stronę Hötorget. *I Am the Tiger*, chyba taki tytuł miał klip, który ABBA nagrała kiedyś właśnie na tej ulicy. Agneta prowadziła amerykański kabriolet, obok siedziała Anni-Frid, z chustką na głowie.

Jako dziecko uwielbiała tę piosenkę. Niosła zapach wielkiego miasta, asfaltu i przygody. Może dlatego nie znalazła się w musicalu *Mamma Mia*. Nie pasowała do greckiej sielanki.

Wyszła na jezdnię, żeby przejść przez ulicę. Pisk opon, autobus gwałtownie zahamował. Usłyszała trąbienie, kierowca położył się na kierownicy. Podskoczyła i szybko wróciła na chodnik. Potrafiła wózek z dzieckiem, matka krzyknęła do niej coś, czego nie zrozumiała.

Zaczekała, aż autobus pojedzie dalej, przeszła na drugą stronę. Jakby szła po lodzie.

Często wracała do domu właśnie wtedy, nawet jeśli to trochę wydłużało drogę. Nie chciała chodzić Hamngatan, mijać domu towarowego NK. Wtedy zawsze ziemia usuwała jej się spod nóg.

Właśnie tam po raz pierwszy zobaczyła Thomasa i Sopię Grenborg. Pora roku też była ta sama, tuż przed świętami. Na sklepowych wystawach królowały Święte Mikołaje i czerwone krasnale, migotały ledowe lampki, dając złudzenie ciepła.

Ruszyła szybko przed siebie. Mijała matki z dziećmi, włóczęgów i biznesmenów.

Kiedy weszła do mieszkania, Halenius czekał na nią w holu. Podał jej jakiś wydruk, zobaczyła duże litery P i N i pokręciła głową.

– Po prostu powiedz, co tam jest – powiedziała, wchodząc do pokoju.

Nie chciała słuchać wysokiego, piskliwego głosu porywacza, nawet gdy to, co mówił, zostało spisane i wydrukowane.

– Sądzę, że jesteśmy na dobrej drodze. Podejrzewam, że w najbliższym czasie zgodzi się na milion dolarów – oświadczył Halenius.

Annika usiadła na kanapie, oparła głowę i zamknęła oczy.

– Przed chwilą rozmawiałem z Fridą – ciągnął Halenius. – Możemy skorzystać z jej konta. Możesz przelać pieniądze, nawet teraz.

Annika przycisnęła dłonie do oczu.

– Milion dolarów na konto Nigeryjki, która mieszka w Nairobi? Myślisz, że je jeszcze kiedyś zobaczymy?

Usłyszała, że Halenius siada w fotelu obok niej.

– Brat jej ojca jest szejkiem naftowym w Abudży. Jej rodzinie nie brakuje pieniędzy, delikatnie mówiąc. Gdybym jej nie powiedział, że planujemy taki przelew, pewnie nawet by nie zauważyła. Poza tym dobrze będzie przelać trochę więcej, na wszelki wypadek.

Annika podniosła głowę, spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Podał jej jakiś wydruk.

– Wielu ludzi w Afryce mieszka w chatach, ale nie wszyscy. To jest numer jej konta, IBAN banku i Swiftadress.

Annika wzięła kartkę, wstała, sięgnęła po laptopa i poszła do pokoju dzieci. Przelew zagraniczny też mogła zrobić przez internet.

Przelała wszystko, co miała, dziewięć milionów czterysta pięćdziesiąt dwa tysiące osiemset dziewięćdziesiąt koron, na konto w Kenya Commercial Bank. Właściciel rachunku: Frida Arokodare. Wpisała wszystkie cyfry, adresy, kody, na formularzu dla urzędu skarbowego podała kod czterysta sześćdziesiąt dwa, czyli „usługi inne”, zatwierdziła transakcję i wcisnęła wyślij.

Pieniądze natychmiast zniknęły z jej konta.

Stan konta: zero przecinek zero zero koron. Czerwone cyferki.

Zamrugwała, próbując wyobrazić sobie, jak jej spalony dom wiruje gdzieś w elektronicznym smogu cyberprzestrzeni pod postacią jedynek i zer. Zastanawiała się, co czuje, ale wokół niej była pustka.

– Jak poszło? – spytał Halenius.

– Dobrze – odpowiedziała. Wstała i wyszła z pokoju.

Cała operacja zajęła jej niecałe dziesięć minut.

Przespała się chwilę na łóżku Ellen, dręczyły ją koszmary. Kiedy się obudziła, była zaniepokojona, spocona. Potem długo stała pod zimnym prysznicem. Zrobiła lunch, dla siebie i dla Haleniusa. Wegetariańskie fettuccine, sos ze świeżych pomidorów, papryki, cebuli, czosnku, z pesto i z miodem.

Potem zamknęła się w pokoju dzieci i pisała kilka godzin. Nagrała, jak siedzi na łóżku Kallego. Kiedy skończyła, poszła do dużego poko-

ju. Nogi miała jak z ołowiu, usiadła ciężko na kanapie.

Na dworze było już ciemno. Latarnie rzucały głębokie cienie.

Halenius siedział w jej fotelu ze stertą gazet na kolanach. Sięgnął po jedną z nich.

– Jest tu całkiem niezły artykuł o dzielnicy Kibera. Kiedyś była to największa dzielnica biedy w Afryce Wschodniej, teraz najwyraźniej to się zmienia.

Annika przyglądała mu się w zapadającym zmroku.

– Mogę cię o coś spytać?

Halenius uniósł brwi.

– To dość osobista sprawa – ciągnęła Annika.

Odłożył gazetę. Zauważyła, że to afrykański magazyn biznesowy.

– Gdyby to zależało od ciebie, gdybyś mógł wybierać, czy masz się urodzić, czy nie, co byś wybrał?

Halenius chwilę milczał.

– Trudno powiedzieć – odezwał się w końcu. – Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć jednoznacznie. Ale pewnie chciałbym.

Annika spojrzała na niego.

– Uważasz, że to dziwne pytanie?

Patrzył na nią zamyślony, ale nie zły.

– Dlaczego się nad tym zastanawiasz? – spytał.

Annika zacisnęła ręce.

– Często się zastanawiałam, co ja bym zrobiła, i wydaje mi się, że chyba wolałabym się nie urodzić. Wiem, że taką odpowiedź można uznać za prowokację. Mama okropnie się rozzłościła, kiedy jej to powiedziałam. Uznała, że jestem rozpieszczona i niewdzięczna. Thomas prawie się na mnie obraził. Zarzucił mi, że nie kocham ani jego, ani dzieci, a przecież to wcale nie o to chodzi. Oczywiście, że kocham ich wszystkich, tylko zastanawiam się, czy życie jest warte tego trudu, który...

Halenius przytaknął.

– Chyba mniej więcej rozumiem, co masz na myśli.

Annika poprawiła się na kanapie, po chwili mówiła dalej:

– Ale nie wiem, czy takie rozważania mają jakikolwiek sens. Gdyby ta wiedza była nam do czegoś potrzebna, tobyśmy ją mieli. Więc

może naprawdę nie ma sensu się nad tym głowić. Po prostu nie jest nam dane to wiedzieć.

Zamilkła.

– Ale?

– Ale nie wydaje mi się, żeby życie było czymś w rodzaju nagrody. Widzę je raczej jako wyzwanie. Musimy przez nie przejść i starać się wypaść jak najlepiej. Oczywiście są w życiu rzeczy fantastyczne, dzieci, praca i cudowne letnie dni, ale gdybym mogła wybierać... – Odgarnęła włosy z twarzy. – Uważasz, że jestem rozpieszczona? – zwróciła się do niego.

Halenius pokręcił głową.

– Wiem, że niektórym może się tak wydawać. Wiem, jak ludzie żyją.

Wskazała na leżącą na stoliku gazetę, zakładając, że to „Kvällspresen”, chociaż równie dobrze mogła to być „Konkurrenten”. Tytuł artykułu brzmiał: „Rzeźnik z Kigali”, zdjęcie przedstawiało porywacza Thomasa, Grégoire’a Makuzę.

Halenius sięgnął po gazetę.

– Brytyjczycy dogrzebali się ciekawych informacji o jego życiu – powiedział.

Annika wyjrzała przez okno. Niebo było szare, gdzieś tam przechodziło w purpurę.

– W International Criminal Tribunal w Rwandzie i w międzynarodowym sądzie w Aruszy w Tanzanii jest mnóstwo zeznań świadków na temat masakr, do których w 1994 roku dochodziło na przedmieściu, na którym mieszkał Makuza.

Annika poprawiła się na kanapie.

– Zabito tysiące ludzi, gwałcono kobiety i małe dziewczynki, nastoletnim chłopcom obcinano jądra, a następnie kazano im je zjadać...

Annika przyłożyła dłoń do ust, odwróciła się do ściany.

– To może tłumaczyć, dlaczego ma taki wysoki głos – powiedział Halenius cicho.

– Nie chcę nic wiedzieć – broniła się Annika.

– Miał siostrę we Francji. Była najstarsza z rodzeństwa, wyjechała z Kigali już jesienią 1992 roku. Pracowała na czarno w zakładach tek-

stylnych na obrzeżach Lyonu. Była nawet w stanie trochę odłożyć. To ona opłacała jego studia na uniwersytecie w Nairobi, aż do przedostatniego semestru.

– Szkoda, że później już nie – wymamrotała Annika.

W mroku nie było widać twarzy Haleniusa.

– W fabryce wybuchł pożar. Spłonęła. Wyjścia awaryjne były zablokowane, gaśnic nie było. Makuza musiał przerwać studia. Ale nie wrócił do Rwandy, pojechał do Somalii.

Annika wstała, zapaliła górną lampę i małe lampki w oknach.

– Kiedy doszło do tego pożaru? – spytała. Poszła do pokoju dzieci, przyniosła laptopa.

– Pewnie jakieś pięć lat temu – powiedział Halenius.

Wpisała w Google *factory fire lyon*. Musiała chwilę poszukać, zanim znalazła to, co ją interesowało. Pożar nie był szczególnie głośny. Na stronie BBC External Service znalazła notkę, że zginęło sześć szwaczek, dwadzieścia osiem udało się uratować. Fabryka produkowała markowe torby. W luksusowych butikach sprzedawano je po dziesięć tysięcy koron sztuka. Siostra Makuzy i pozostałe szwaczki spały w fabryce, nie miały szans się stamtąd wydostać. Wszystkie były imigrantkami, pracowały na czarno. Sześć kobiet z setek tysięcy pracujących i mieszkających w zachodniej Europie w nieludzkich warunkach. Kobiet, które uciekły ze swoich krajów w poszukiwaniu lepszego życia, zapożyczały się, żeby zdobyć pieniądze na opłacenie podróży, i znalazły się w pułapce długów.

Zdjęć nie było.

– To nie jest żadne usprawiedliwienie, może jedynie próba wytłumaczenia – powiedział Halenius.

Zadzwoiła jego komórka. Annika zamarła, jakby się spodziewała najgorszego. Halenius zniknął w sypialni, podłączył komórkę do aparatury nagrywającej. Zaczął rozmawiać, mówił cicho, jak zawsze, gdy odbierał ważne rozmowy w Brukseli, z JIT, od przedstawicieli innych wywiadów, od innych negocjatorów albo wysłanników Policji Krajowej. Tym razem jednak mówił po szwedzku, co mogło znaczyć, że skontaktował się z nim któryś z wysłanników policji.

Albo ktoś z ministerstwa. Jeden z parlamentarzystów reprezentują-

cych partię umiarkowaną wniósł właśnie skargę na ministra do komisji konstytucyjnej. Może właśnie o tym rozmawiali. A może ambasada w Nairobi chciała się czegoś dowiedzieć, może dzwonił któryś z prawników...

Poszła do kuchni, zrobiła kawę, nalała do dwóch kubków.

Kiedy wróciła, Halenius stał na środku pokoju. Blady jak ściana.

Postawiła kubki na stoliku.

– Annika...

– Nie żyje?

Podszedł do niej, wziął ją za ramiona.

– Przed komisariatem w Liboi znaleziono skrzynkę. Była w niej odcięta lewa dłoń.

Pod Anniką ugięły się nogi, usiadła na kanapie.

Halenius usiadł obok niej, nie spuszczał z niej wzroku.

– Annika, słuchasz mnie? Muszę ci to powiedzieć.

Chwyciła się oparcia kanapy.

– To dłoń białego mężczyzny. Na serdecznym palcu była gładka złota obrączka.

Pokój zawirował, Annika poczuła, że zaraz wpadnie w panikę, zaczęła szybko oddychać. Za późno się zorientowali, było tuż przed Bożym Narodzeniem, wszyscy grawerzy byli zajęci, w końcu udało im się znaleźć jednego przy Hantverkargatan. Potężnie zbudowany mężczyzna w skórzanym fartuchu kazał im chwilę poczekać i natychmiast zabrał się do pracy. Uznali to za dobry znak, jakby potwierdzenie tego, że znaleźli siebie w ostatniej chwili.

– Na wewnętrznej stronie jest wygrawerowane imię, Annika, i data: trzydziesty pierwszy grudnia...

Odepchnęła go, przebiegła przez hol, wpadła do łazienki, nachyliła się nad sedesem, uderzyła czołem o deskę, podniosła ją. Poczuła gwałtowny skurcz jelit, zwymiotowała wszystko, co zostało w jej żołądku po ostatnim posiłku. Fettuccine i kawałki pomidorów obryzgały ścianki klozetu, poczuła je na twarzy, krzyknęła, woda wirowała, chwyciła się klozetu rękami, w uszach jej dzwoniło.

Kiedy trochę oprzytomniała, poczuła na ramieniu rękę Haleniusa.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał.

Pokręciła głową.

– Trzydziesty pierwszy grudnia, sylwester?

– Dzień naszych zaręczyn – wyszeptała.

Halenius usiadł na podłodze, przyciągnął ją do siebie.

Annika drżała, słyszała, jak zgrzyta zębami, zaczęła cicho płakać. Zmoczyła mu koszulę, ciemna plama robiła się coraz większa. A on tulił ją i lekko kołysał. Kiedy się uspokoiła i znów zaczęła normalnie oddychać, pomógł jej wstać.

– Nie żyje? Umrze? – spytała schrypniętym głosem.

– Chodź, usiadzemy na kanapie – powiedział Halenius.

Annika wzięła kawałek papieru toaletowego, wytarła twarz, potem nos.

Nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że pokój wygląda dokładnie tak jak zawsze. Paliła się lampa, na stoliku przed kanapą leżała sterta gazet. Obok stały kubki, kawa zdążyła już ostygnąć.

Usiedli obok siebie na kanapie.

– Nie ma jeszcze pewności, czy to rzeczywiście dłoń Thomasa. Nawet jeśli to faktycznie jego obrączka, nie musi to nic znaczyć. Rozmawiałem już z ludźmi z Policji Krajowej. Pobrali odciski palców, czekają na wyniki. Dopiero wtedy będziemy mieć pewność.

Annika wzięła głęboki oddech.

– Skąd będą wiedzieć, czy to jego odciski?

– Od każdego, kto wjeżdża do Kenii, pobierane są na cle odciski palców.

Zamknęła oczy.

Halenius mówił dalej.

– Nawet jeśli się okaże, że to dłoń Thomasa, nie musi to jeszcze oznaczać tragedii. Jest praworęczny?

Annika przytaknęła.

Pogładził ją po włosach.

– Thomas sobie poradzi. Nie umiera się po amputacji dłoni.

– Na pewno bardzo krwawił. Mógł stracić dużo krwi.

– To prawda, taka rana krwawi. Dochodzi do przecięcia dwóch aort, ale żyły zasklepiają się samoistnie. Jeśli się uniesie rękę i ściśnie opaską, rana przestaje krwawić po kwadransie. Bardziej niebezpiecz-

na może być infekcja.

– To boli? – wyszeptała znów Annika.

– Tak, można nawet zemdleć. Ból utrzymuje się zwykle jeszcze przez dwa, trzy dni po amputacji.

Zamrugła oczami.

– Policjanci ci to wszystko powiedzieli? – spytała. – O aortach i tak dalej?

– Rozmawiałem ze znajomym lekarzem. Pracuje w szpitalu, w Södersjukhuset.

Spojrzała na niego, rzeczywiście myślał o wszystkim. Zauważyła, że ma zaczerwienione oczy, jakby on też płakał. Odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła, uśmiechnął się do niej. Podciągnęła nogi, zwinęła się w kłębek, położyła głowę na jego kolanach. Światło lamp stojących na parapetach odbijało się od szyb, czerwone i zielone plamki na tle zimowego nieba, frędzle abażurów ruszały się powoli w niewidocznym przeciągu. Zasnęła.

* * *

Wyposażenie naszej redakcji jest tak samo marnej jakości jak nasze dziennikarstwo, pomyślał Schyman. Ostrożnie dotknął bandaża na głowie.

Kolegium redakcyjne o szóstej coraz częściej zaczynało się o wpół do siódmej, a nawet później. Była za kwadrans siódma. Schyman uniósł głowę, rozejrzał się. Miał wrażenie, że siedzi tak już całą wieczność. Powiódł wzrokiem wokół stołu, przedstawiciele poszczególnych działów zajmowali powoli swoje stałe miejsca: rozrywka, wiadomości, publicystyka i sport, wydanie internetowe.

Ktoś rozlał kawę.

Schyman westchnął głęboko.

– Zamknijcie drzwi i siadajcie. Może w końcu uda nam się zacząć...

Ludzie zaczęli siadać, zapadła pełna oczekiwania cisza. Jakby Schyman za chwilę miał wyciągnąć z kapelusza królika, jakby to on ustalał porządek dnia na świecie.

Kiwnął głową w stronę Patrika. Na pierwszym miejscu są wiadomo-

ści, zawsze to podkreślał. Szef działu informacji z podniecenia niemal podskakiwał na krześle.

– Policja ma podejrzanego o morderstwa na przedmieściach – powiedział z triumfem. – Nie mamy jeszcze oficjalnego potwierdzenia, ale Michnik i Sjölander trzymają rękę na pulsie.

Schyman w zamyśleniu pokiwał głową. Morderca z przedmieść, całkiem zgrabne określenie.

– Znamy jakieś szczegóły? – spytał, pstrykając długopisem.

– Są świadkowie, którzy mogą go powiązać z przynajmniej jednym morderstwem, a jego komórka wskazuje, że na pewno był w okolicy jeszcze jednego miejsca zbrodni.

Patrik przybił piątkę ze swoim zastępcą.

Schyman znów dotknął bandaża. Założono mu cztery szwy. Rana obficie krwawiła, krew poplamiała roczne sprawozdanie.

– No, cóż, musimy czekać. Nie traćcie z oczu zakładników. Tam też wkrótce może się coś wydarzyć.

Jimmy Halenius zadzwonił do niego tuż przed kolegium, żeby powiedzieć, że Thomas Samuelsson prawdopodobnie stracił lewą dłoń. Na razie jednak Schyman nie zamierzał o tym mówić.

– Wczorajszy news o Hiszpanie był w porządku, ale teraz znów wszystko siadło.

– Mamy zdjęcia z jego spotkania z partnerem i z matką – wtrącił Pelle, redakcyjny fotograf.

– Powiedział może coś jeszcze? – spytała dziewczyna z wydania internetowego. – Na przykład o Thomasie Bengtzonie.

Schyman zamknął oczy, Patrik jęknął.

– Nic. Przekazał przez jakiegoś dziennikarza, że prosi, żeby go zostawiono w spokoju. Mamy coś o facecie w czepku?

Schyman zamrugał oczami, nie bardzo wiedział, o co chodzi.

– O tym facecie w turbanie z ręcznika – ciągnął Patrik. – Rzeźnik z Kairu.

Schyman miał przed oczami Thomasa Samuelssona. Przystojny mężczyzna, na luzie, w marynarce, ale bez krawata. Próbował wyobrazić go sobie bez lewej dłoni.

Halenius nie potrafił powiedzieć, czy okaleczenie było próbą podbi-

cia wysokości okupu, czy tylko brutalnym aktem sadyzmu. Doszli do wniosku, że pewnie jednym i drugim.

– Dajcie coś o porwaniu – powiedział. – Może zdjęcia ofiar, a na nich dużymi literami: ZAMORDOWANY, WIĘZIONY, UWOLNIONY. Podajcie wszystko, co o nich wiemy. Kim są, skąd pochodzą, jak zginęli, wszystko...

Powinni śledzić rozwój wydarzeń. W weekend sytuacja może się zmienić. Halenius uprzedził go, że przekazanie okupu i uwolnienie zakładnika to krytyczny moment. Gdy pieniądze zostaną przekazane, zakładnik staje się zbędnym obciążeniem. Bardzo często właśnie wtedy zostaje zamordowany. Czasem porywacze podrzucają ciało, czasem ślad po nim ginie.

Patrik nie wyglądał na zachwyconego.

– Zaczekajmy, aż coś się wydarzy. Na razie mamy zupę na gwoździu.

– Więc radzę przygotować garnek – odparował Schyman. – Coś jeszcze?

Patrik, niezadowolony, spojrzał w notatki.

– Pora na odchudzanie – powiedział. – Zleciłem temat jednemu ze stażystów.

Schyman coś zanotował, pokiwał głową. Pomysł na czasie.

Dawniej dość często pisano artykuły na podstawie informacji od czytelników. Czasem chodziło o przestępstwo, czasem o nową metodę odchudzania. Ale to było dawno. Teraz tematy planowało się z dużym wyprzedzeniem, szczególnie te na pierwszą stronę. Chyba że działo się coś nadzwyczajnego, jak porwanie i uprowadzenie szwedzkiego obywatela, do tego ojca dwojga dzieci, albo morderstwa na przedmieściach Sztokholmu.

Artykuł o odchudzaniu można było zaplanować z wyprzedzeniem.



Kiedy tytuł był gotowy i rozstawiony na stronie, można było rozpocząć poszukiwanie nowej rewelacyjnej metody. Z tym na ogół nie było problemu. Zawsze też można było liczyć na jakiegoś profesora, który gotów był tę rewelacyjność potwierdzić. Wtedy pozostawało tylko znaleźć kogoś, najlepiej dobrze wyglądającą kobietę, która by zaświadczyła, że stosowała prezentowaną metodę. I w ciągu trzech miesięcy rozmiar czterdzieści osiem zamieniła na trzydzieści sześć.

– Coś jeszcze? – spytał Schyman.

– Jutro rocznica śmierci Karola XII. Naziści zapewne uznają, że to dobra okazja, żeby wyjść na ulicę i pomachać flagami ze swastyką. Będziemy ich mieć na oku. Poza tym mija dwadzieścia pięć lat od zamknięcia pierwszego reaktora w Czarnobyli. Winston Churchill obchodziłby urodziny, Billy Idol będzie obchodził, a ty masz imieniny.

Schyman stłumił ziewnięcie.

– Dzwonili z mediatime.se – powiedział Patrik. – Pytali, czy wiesz coś o swoim urazie mózgu.

Schyman odchylił się ostrożnie w fotelu. Nagle poczuł, że chyba rzeczywiście nadeszła pora, żeby się zajął czymś innym.

* * *

– Mamo, byliśmy w Skansenie – powiedziała Ellen. – I wiesz co? Wdzieliśmy łosia! Był brązowy i miał wielkie rogi! I był też taki maleńki łos, taki *babycalf*. Był super, *cute*...

Annika stłumiła westchnienie. Może posłanie dzieci do amerykańskiej szkoły jednak nie było najlepszym pomysłem.

– Naprawdę ten mały cielaczek był taki słodki? – powiedziała pedagogicznie.

Gdzieś przeczytała, że w takich wypadkach nie należy dzieciom wytykać błędów, tylko powtórzyć zdanie czy słowo poprawnie.

– A jeśli łoś miał poroże, to pewnie był samcem – dodała.

– I wiesz co, mamó – ciągnęła Ellen podekscytowana – Sophia kupiła nam napoje. Kalle dostał colę, a ja fantę. Cytrynową.

– Cieszę się, że miło spędzacie czas.

– A wieczorem obejrzymy film. *Ice Age 2 – The Meltdown*. Widziałas go, mamó?

– Nie, chyba nie...

– Idzie Kalle.

Ellen oddała komórkę bratu.

– Cześć, synku, jak tam?

– Tęsknię za tobą.

Annika roześmiała się w słuchawkę, czuła, że łzy podchodzą jej do oczu. Kalle zawsze był wobec niej niesłychanie lojalny. W ciągu dnia pewnie w ogóle o niej nie myślał, ale lojalność kazała mu ją zapewnić, że dla niego jest najważniejsza.

– Ja też za tobą tęsknię – zapewniła go. – Ale bardzo się cieszę, że możecie spędzić kilka dni u Sophii. My tu robimy wszystko, żeby tata mógł wrócić do domu.

– Negocjujecie z porywaczami?

Skąd on zna takie słowa?

– Jimmy z nimi rozmawiał. Mamy nadzieję, że niedługo uwolnią tatę.

– Tę kobietę zabili – powiedział Kalle.

Annika zamknęła oczy.

– Tak, to prawda. Nie wiemy, dlaczego tak się stało. Ale wczoraj wypuścili innego zakładnika. Hiszpana. Ma na imię Alvaro. Kiedy ostatnio widział tatę, to... To tata miał się dobrze – powiedziała.

W pierwszym odruchu chciała powiedzieć: To tata żył, ale nie mogła się przemóc.

Kalle pociągnął nosem.

– Za tatą też tęsknię – wyszeptał.

– Mnie też go brakuje – zapewniła go Annika. – Mam nadzieję, że niedługo się wszyscy zobaczymy.

– A jeśli tata nie wróci? A jeśli jego też zabiją?

Przełknęła ślinę. Przypomniała sobie, że kiedyś w przychodni lekarza powiedziała jej, że nigdy nie należy oszukiwać dzieci, mówić, że coś nie będzie boleć, jeśli wiadomo, że będzie.

– Skarbie, wiesz, że takie rzeczy się zdarzają. Ale na ogół zakładnicy zostają uwolnieni i wracają do domów. Mam nadzieję, że tym razem też tak będzie.

– Ale jeśli?

Annika wytarła oczy.

– Jeśli tata nie wróci, to nadal mamy siebie. Jesteśmy ja, ty i Ellen. No i Sophia.

– Lubię Sophię – oświadczył Kalle.

– Ja też – powiedziała Annika i pomyślała, że to chyba prawda.

Siedziała na kanapie z komórką w ręku.

Miała wrażenie, że spada, leci w dół, jeszcze chwila, a pochłonie ją czarna otchłań.

Zrobiła obiad, ale nie była w stanie go zjeść. Próbowwała pisać, opisać, jakie to uczucie, gdy nagle człowiek dowiaduje się czegoś tak niewiarygodnego. Przez chwilę oglądała telewizję. „Rapport” i jakiś program historyczny, ale nie potrafiła się skupić.

W sypialni Halenius rozmawiał z kimś po angielsku, nie wiedziała z kim.

Miała ochotę się poddać, zostać na kanapie i dać się wciągnąć otchłani, spaść, zanurzyć się w podziemnym świecie Sztokholmu, dziurawym jak ser szwajcarski, pełnym piwnic, tuneli metra, skalnych korytarzy. Kiepsko się orientowała w terenie, więc pewnie by zabłądziła i została tam już na zawsze, wędrowałaby między zawilgoconymi kablami i nisko sklepionymi piwnicami.

Zaczerpnęła powietrza, wstała i poszła do pokoju dzieci. Przeciągnęła ręką po zabawkach, po pościeli, podniosła z podłogi piżamę Kallego. Spojrzała na stosy ubrań pod ścianą, efekt niedokończonych porządków.

Stała na środku pokoju. Czuła obecność dzieci, tak wyraźnie, jakby były przy niej.

Życie toczyło się dalej, trwało.

Ułomność nie określa człowieka. O tym, jaka jest, nie decyduje jej lewa dłoń, jej ręce ani nogi. Ułomność to pewna okoliczność, nie cecha człowieka.

– Annika? Możesz pozwolić?

Puściła piżamę, spadła na podłogę. Poszła do sypialni, do Haleniusa. Zauważyła, że odłożył komórkę. Siedział ze słuchawkami w uszach i pisał coś na komputerze.

– Słyszałam, że wymieniałeś nazwisko Niemki – powiedziała, siadając na łóżku.

Halenius zatrzymał nagranie, wyjął z uszu słuchawki, odwrócił się do niej.

– Zwolnili ją. Wypuścili przy szlabanie, przy którym ich porwali. Szła do Liboi, kiedy znalazł ją patrol wojskowy.

Annika zastanawiała się, co czuje. Ulgę? Obojętność? Czuje się skrzywdzona? Nie potrafiła powiedzieć.

– Została potraktowana tak samo jak Brytyjka. Strażnicy ją zgwałcili, a potem kazali zakładnikom zrobić to samo. Thomas odmówił i wtedy ich szef odciął mu maczetą dłoń.

Annika spojrzała w okno. Zobaczyła w nim swoje odbicie.

– Rano wsadzono ją do samochodu. Kilka godzin jeździli z nią w kółko, w końcu wysadzili przy szlabanie.

– Kiedy to było?

– Kiedy doszło do gwałtu? Wczoraj rano.

Thomas stracił dłoń półtora dnia temu.

Wstała, poszła do dużego pokoju po kamerę.

– Możesz to wszystko powtórzyć? Proszę.

Halenius spojrzał na nią. Patrzył, jak unosi kamerę i usiłuje ustawić ją tak, żeby objąć jego postać. Po chwili dała mu znak, że może zaczynać.

– Nazywam się Jimmy Halenius – powiedział, patrząc w obiektyw.

– Jestem w mieszkaniu Anniki Bengtson, usiłuję jej pomóc uwolnić męża.

- Miałam na myśli historię Niemki – przerwała mu Annika.
- Często sobie wyobrażałem siebie w jej sypialni – ciągnął Halenius.
- Tylko nie w tych okolicznościach.
Annika trzymała w ręku kamerę, czekała.
Halenius odwrócił głowę, oboje spojrzeli w kamerę.
 - Dzisiaj wieczorem na obrzeżach Liboi znaleziono Helgę Wolff. Była zmęczona, głodna i spragniona, ale bez widocznych urazów. Nie wiemy, czy zwolniono ją po przekazaniu okupu, ale jest to wielce prawdopodobne.
 - Brzmiśz, jakbyś był z drewna – powiedziała Annika.
Opuściła kamerę.
Halenius wyłączył komputer.
 - Chyba pójdę do domu, prześpię się chwilę.
 - A co będzie, jeśli zadzwonią?
 - Podłączę twój telefon stacjonarny do swojej komórki.
Wstał, zaczął zbierać rzeczy. Annika się odwróciła, poszła do pokoju. Wyłączyła kamerę, położyła ją na stoliku przy kanapie.
Halenius wyszedł z sypialni, zaczął wkładać marynarkę.
 - Rozmawiałeś dzisiaj z dziećmi? – spytała.
 - Dwa razy. Kąpały się na plaży przy Camps Bay.
 - Twoja dziewczyna. Kim ona jest?
 - Halenius podszedł bliżej.
 - Tanya? Jest analitykiem w Instytucie Polityki Zagranicznej. Dlaczego pytasz?
 - Mieszkacie razem?
Jego twarz kryła się w cieniu, nie widziała jego oczu.
 - Ma swoje mieszkanie.
Promieniował ciepłem. Jak piecyk, pomyślała. Czowała, jak ją parzy, ale nie ruszyła się z miejsca.
 - Kochasz ją?
Zrobił krok w bok, żeby ją ominąć. Poszła za nim, położyła dłoń na jego piersi.
 - Nie idź – powiedziała. Czowała, jak jego pierś się unosi i opada. – Chcę, żebyś został.
Położyła drugą dłoń na jego policzku, poczuła szorstki zarost, pode-

szła bliżej, pocałowała go. Stał bez ruchu, czuła, jak szybko bije mu serce. Stała tuż przy nim, przytuliła policzek do jego szyi, objęła go.

Jeśli ją odtrąci, umrze.

Jego dłonie wędrowały po jej plecach, jedną ręką przyciągnął ją do siebie, drugą gładził jej włosy i kark. Wbiła paznokcie w jego ramiona, jęknęła. Czuła jego dłonie na swoich plecach, szerokie, mocne. Przeciągnęła palcami po jego włosach. Pocałowała go, a on tym razem odwzajemnił pocałunek. Smakował solą i pożądaniem, miał ostre zęby. Zaczepnęła powietrza, ich spojrzenia skrzyżowały się w półmroku, ciężkie i ciemne. Odgarnął jej włosy z twarzy, palce miał suche i ciepłe. Zaczęła rozpinać guziki jego koszuli, zdjęła z niego marynarkę, rzuciła na podłogę, obok kamery.

– Nie powinniśmy – powiedział cicho.

– Owszem, powinniśmy.

Jeśli czegoś była pewna, to właśnie tego. Zdjęła sweter, odpięła stanik, pozwoliła, żeby spadły na podłogę. Położyła dłoń na jego policzku, drugą zaczęła pieścić jego plecy. Skórę miał ciepłą, suchą. Czuła jego dłoń na swojej piersi, ścisnął jej brodawkę, pociemniało jej w oczach. Jimmy, Jimmy. Jimmy z Himmelstalundsvägen, z Norrköping, kuzyn Rolanda, który zawsze nosił w portfelu jej zdjęcie. Zdjął z niej dzinsy, położył ją na kanapie, zaczął pieścić jej uda i łono. Jego mocne, ciepłe, suche dłonie na jej skórze. A potem w nią wszedł. Odpreżyła się, oddychała przez otwarte usta, żeby się nie rozsypać na kawałki. Poddała się jego rytmowi, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, i nagle doszła, a ciemność rozproszyła się i zniknęła.

DZIEŃ 8

Środa, 30 listopada

MĘŻCZYŻNA ZOSTAŁ ZATRZYMANY w swoim mieszkaniu w Bagarmossen, przy Byälvsvägen, o szóstej trzydzieści dwie rano. Właśnie robił sobie śniadanie: talerz owsianki z mlekiem i borówkami, dwie kanapki z wędzoną pasztetówką i kubek kawy z trzema kostkami cukru, kiedy do drzwi zapukała policja. Zatrzymanie przebiegło spokojnie. Żalił się tylko funkcjonariuszom, że zanim wróci, śniadanie wystygnie.

Z pewnością, pomyślał Schyman, odkładając wydruk. W tym przypadku redaktorzy „Kvällspresen” rzeczywiście się przyłożyli. Wykazali się dużą starannością zarówno jeśli chodzi o przedstawienie sylwetki domniemanego mordercy, jak i o jego zatrzymanie. Wprowadził zmiany do wydania stołecznego, reszta kraju będzie mogła śledzić rozwój wydarzeń w sieci.

Spojrzał na zdjęcie na pierwszej stronie: Gustaf Holmerud, lat czterdzieści osiem, wyprowadzany z domu przez sześciu umundurowanych i uzbrojonych policjantów. Funkcjonariusze wyglądali na spiętych, ale raczej z powodu obecności dziennikarzy niż zagrożenia ze strony zatrzymanego.

Podano pełne dane domniemanego przestępcy: imię, nazwisko, wiek i adres, a także szczegóły z jego życia: kiedy przerwał naukę w liceum, że miał problemy z kręgosłupem, a ostatnio był na zwolnieniu lekarskim. Na pewno znajdą się tacy, którzy będą protestować przeciwko publikowaniu takich informacji, zanim mężczyzna został osądzony i skazany, ale Schyman miał gotowe kontrargumenty.

Gdyby nie było można podawać szczegółowych danych przed za-

padnięciem wyroku, opinia publiczna do dzisiaj nie poznałaby imienia i nazwiska mężczyzny, którego sztokholmski sąd uznał za winnego zamordowania Olofa Palmego. Miał przed oczami pomarszczoną twarz Christera Petterssona, podstarzałego dilera, którego później zwolnił sąd wyższej instancji. W jego sprawie wyrok nigdy nie zapadł.

Poza tym przy obecnych możliwościach technicznych media kierujące się dawnymi zasadami były bez szans. Już chwilę po zatrzymaniu w sieci pojawiały się najróżniejsze plotki i oskarżenia, często wyssane z palca. „Kvällspressen” przynajmniej sprawdzała swoje źródła, poza tym wydawca numeru, czyli on sam osobiście, zawsze ponosił odpowiedzialność za ewentualne nieścisłości. No a dodatkowo autor artykułu w kilku miejscach podkreślał, że mężczyzna nadal jest jedynie podejrzanym.

Przyglądał się twarzy domniemanego seryjnego mordercy. Przypominał sobie rozmowę z matką Leny, zamordowanej kobiety. „To był Gustaf... Zerwała z nim i od tamtej pory ją prześladował...”.

Odchylił się ostrożnie w swoim nowym fotelu. Pielęgniarka obiecała, że po południu zmieni mu opatrunek na mniejszy. Ale głowa nadal bolała, a kiedy dotknął rany, miał wrażenie, że pod bandażem wyczuwa szwy.

Wrócił do lektury. Jego uwagę przykuł rysopis mężczyzny, którego świadkowie widzieli na skraju lasu w Sättra: wzrost mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć, przeciętna budowa, kasztanowe włosy, gładko ogolony. Ubrany w ciemną kurtkę i ciemne spodnie.

Opis pasowałby pewnie do osiemdziesięciu procent Szwedów w średnim wieku, pomyślał.

Przyszło mu do głowy, że może rzeczywiście wyciągają zbyt pochopne wnioski, ale szybko się z tymi wątpliwościami rozprawił.

Policja prowadziła postępowanie. Zadaniem mediów było śledzić jej pracę i informować społeczeństwo, nawet jeśli czasem robiły to w zbyt dramatycznej formie.

Czekając na rozwój wydarzeń we wschodniej Afryce, sięgnął po pismo, które zamierzał wysłać do zarządu koncernu. Jeszcze raz przeczytał to, co napisał: Niniejszym proszę o zwolnienie mnie ze stanowiska redaktora naczelnego „Kvällspressen”.

* * *

Obudziło ją blade światło świtu, niepewne, schowane za chmurami, jakby jeszcze się wahało. W Kenii było dwie godziny później, wiele mogło się już wydarzyć.

Miała wrażenie, że na coś jest już zdecydowanie za późno, ale nie potrafiła powiedzieć na co.

Ciało nadal miała ciężkie i ciepłe, czuła, jak pulsuje jej krew. Odwróciła głowę, jej spojrzenie padło na ciemną czuprynę na poduszce. Wyciągnęła dłoń, przeciągnęła palcami po włosach leżącego obok niej mężczyzny. Zdziwiająco miękkie, jak włosy dziecka.

Za późno, a może raczej za wcześnie. Nie potrafiła powiedzieć.

Przywarła do niego, objęła go nogami, przeciągnęła dłonią po jego ramionach. Obudził się, pocałował ją. Leżeli w milczeniu, wpatrując się w siebie.

– Już ósma – wyszeptała w jego oczy.

Przyciągnął ją do siebie, mocno, aż jęknęła. Zaczepnęła powietrza i poczuła, że znów w nią wchodzi. Przyjęła go, wciąż jeszcze mokra i chętna, westchnęła z rokoszy. Czuła, jak w niej rośnie, jak napinają się jego mięśnie, jęknął głośno, z trudem łapiąc powietrze.

– Boże drogi, muszę do kibelka – powiedział nagle.

Roześmiała się, trochę zażenowana.

Zjedli razem śniadanie przy kuchennym stole: jogurt z orzechami włoskimi, kanapki z pasztetem, do tego kawa i sok z czerwonych pomarańczy. Halenius zdążył się już ubrać, miał na sobie dżinsy i koszulę, nie zapiął jej. Siedział w jej kuchni, czytał „Dagens Nyheter”, sięgał po omacku po kubek z kawą i kruszył na podłogę.

Spojrzała na swój jogurt, wydał jej się delikatny jak szkło, bała się, że się rozsypie, kiedy dotknie go łyżką. Jego włosy w porannym świetle, ostro zarysowana klatka piersiowa, oczy skupione na lekturze gazety. Trzymał ją w objęciach, tak blisko siebie.

Oddychała z otwartymi ustami, bojąc się, że zaraz się udusi.

Złożył gazetę, położył ją na parapecie.

– Zabieram się do roboty – powiedział.

Wstał, przeszedł obok niej, nie dotykając jej.

Długo stała pod prysznicem, sama. Własne ciało wydawało się jej większe, jakby nagle się rozsypała, zaczęła żyć w zwolnionym tempie. Krople wody trafiały jej skórę, kłuły jak igły.

Wyszła spod prysznica, zaczęła sprzątać łazienkę. Umyła sedes, usunęła ślady wymiocin, wytarła lustro, umywalkę, podłogę. Słyszała, jak Halenius w sypialni rozmawia z kimś przez komórkę, po angielsku.

Ubrała się, włożyła jasnoniebieskie dżinsy i bluzkę z lejącego materiału. Halenius skończył jedną rozmowę, był w trakcie kolejnej. Poszła do pokoju dzieci, postanowiła dokończyć porządkę.

Dziesięć po dziewiątej zadzwonił telefon stacjonarny, jej serce stanęło.

Pobiegła do sypialni, minęła Haleniusa, skuliła się na nieposłanym łóżku. Halenius w skupieniu wykonywał przećwiczone już tyle razy czynności: włączył aparaturę nagraniową, sprawdził hasła, zerknął na notatki, sprawdził, czy ma czym pisać, zamknął oczy i odetchnął głęboko dwa razy, a potem podniósł słuchawkę.

– *Halo? Yes*, mówi Jimmy.

Wokół ust miał białą otoczkę, rozbiegane oczy.

– Tak, otrzymaliśmy wiadomość o odciętej dłoni.

Zamilkł, zamknął oczy, zacisnął mocno powieki. Uniósł rękę, przecesał włosy palcami, ramiona miał sztywne jak kłody.

– Tak, wiem, że musimy zapłacić, ale...

Urwał, milczał, w słuchawce rozbrzmiewał ostry głos porywacza.

– Zebrała sporą sumę, ale nadal mniej niż...

Znów cisza.

– Wszystko rozumiem, ale spróbujcie spojrzeć na to z jej strony. Wybrała wszystko z konta, całe odszkodowanie, pożyczyła tyle, ile mogła, od rodziny i przyjaciół. Nie ma więcej...

I znów cisza, głosy w słuchawce.

– Musimy dostać dowód życia. Tak, od tego nie odstępimy.

Zauważyła krople potu na jego czole. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak trudne i nieprzyjemne były dla niego te rozmowy. Nie musiał przez to przechodzić, a jednak się zdecydował. Czy kiedykolwiek

mu się za to odwdzięczy?

– Obcieliście mu dłoń. Skąd mogę wiedzieć, że nie obcieliście mu też głowy?

Brzmiało to obojętnie, ale Annika widziała, że drży mu ręka. Usłyszała głośny śmiech porywacza, zaraz potem padła jakaś odpowiedź.

Halenius spojrzał na nią.

– Jej mejl? Teraz?

Kiwnął głową, wskazał na swój komputer. Natychmiast zerwała się z materaca, podeszła do biurka, do jego komputera, weszła w redakcyjną skrzynkę, wcisnęła klawisz. Odbierz.

Cztery mejle. Otworzyła najświeższy, nadawca nieznany. *Unknown*. Czują, jak jej puls przyspiesza, otworzyła.

– Jest pusty – wyszeptała.

– Pusty? Ale...

– Zaraz, jest załącznik.

– Pobierz go – odpowiedział jej, także szeptem.

Zdjęcie, niewyraźne, ciemne. Thomas leżał na plecach na czymś ciemnym, głowę miał odwróconą, widać było profil. Miał zamknięte oczy, jakby spał. Poczua ulgę, przeszła ją fala ciepła. Ukłucie poczucia winy. I nagle zobaczyła, że tam, gdzie powinna być jego lewa dłoń, ręka zlewa się z podłogą. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, z jej krtani wydobyło się rzeźenie, cofnęła się mimowolnie.

– To nie jest żaden dowód życia – powiedział Halenius do słuchawki. – Wygląda, jakby nie żył.

Porywacz się roześmiał. Głośny śmiech kogoś zadowolonego. Jego wysoki głos wdarł się do sypialni. Annika wstała i otworzyła okno, jakby w ten sposób chciała się go pozbyć.

Na dworze było chłodno, ale już nie tak bardzo jak wcześniej. W powietrzu wirowały płatki śniegu, jakby nie do końca zdecydowane, czy spaść na ziemię, czy poszybować dalej. Promienie słońca nie przedarły się przez chmury, było ciemniej niż rano.

Odwróciła się i nagle zrobiło jej się zimno.

Halenius stał, lekko pochylony, ze słuchawką w ręku.

– Udało jej się zebrać milion sto tysięcy dolarów. Tak, milion sto tysięcy.

Milczenie. Po obu stronach słuchawki.

W końcu usłyszała wysoki głos po drugiej stronie.

Halenius nadal milczał, stał z otwartymi ustami.

– To niemożliwe – powiedział w końcu. – Sztokholm leży przy biegunie północnym, Nairobi na równiku... Nie, nie dostarczymy pieniędzy dzisiaj. My... Nie, my... Tak, polecimy do Nairobi najszybciej jak to możliwe, może nawet dzisiaj w nocy... Numer mojej komórki?

Podał numer, porywacz coś powiedział. Annika usłyszała stuknięcie. Rozłączył się.

Halenius odłożył słuchawkę.

– Mamy dwadzieścia cztery godziny – powiedział.

Kazał jej usiąść na kanapie, sam usiadł w fotelu naprzeciwko, wziął jej dłonie w swoje.

– To będzie próba sił.

Annika skinęła głową, jakby naprawdę rozumiała, co do niej mówi.

– Przyjął moją propozycję. Milion sto tysięcy dolarów. Zażądał, żebyśmy mu przekazali całą sumę w ciągu dwóch godzin. Chociaż wiedział, że to niemożliwe.

– Dlaczego milion sto tysięcy? – spytała Annika.

– To świadczy o tym, że rzeczywiście próbowałaś i nic więcej nie jesteś w stanie zrobić. Powiedział, że odezwie się w ciągu dnia i powie, jak mamy mu przekazać pieniądze.

Próbowała cofnąć ręce, Halenius chwycił ją mocniej.

– Musimy lecieć do Nairobi, najpóźniej w nocy. Załatwisz bilety?

Skinęła głową.

– Usiądź tu, przy mnie – poprosiła.

Usiadł obok niej na kanapie, ale nie dotykał jej. Spuściła wzrok, patrzyła na swoje dzinsy.

– Myślisz, że żyje?

Halenius zaczął targać włosy.

– Wszystko przemawia za tym, że tak. Inaczej nie przysłaliby zdjęcia. Ale całkowitej pewności nie mam. Francuzka w końcu zapłaciła, a potem się okazało, że jej mąż nie żyje. Oszukali ją.

– Co teraz?

Zastanawiał się chwilę.

– Jest kilka możliwości. Zdarza się, że zakładnik ginie, zanim okup zostanie przekazany.

– To chyba kiepski biznes.

– Zgadza się. Ale zakładnik może też zginąć podczas próby ucieczki albo próby odbicia, może dostać zawału, zachorować. Zdarza się też, że umiera z głodu. To pierwsza możliwość. Druga jest taka, że okup zostaje przekazany, ale zakładnik i tak zostaje zabity.

– Jak Francuz – Annika weszła mu w słowo.

– Właśnie. Zwykle dzieje się tak, kiedy porywacze się boją, że zostaną zidentyfikowani albo kiedy ich przywódca jest psychopata. Podejrzewam, że w tym przypadku może tak być. Trzecia możliwość: okup zostaje przekazany, ale porywacze nie uwalniają zakładnika. Żądają więcej pieniędzy i negocjacje zaczynają się od początku. Tak dzieje się zwykle wtedy, gdy okup jest duży i zostaje przekazany stosunkowo szybko. Porywacze dochodzą wtedy do wniosku, że mogą wytargować więcej.

– W tym przypadku też może tak być?

– To mało prawdopodobne. Od początku robiliśmy wszystko, żeby zbić wysokość. Czwarta możliwość jest taka, że okup zostaje przekazany, zakładnik wypuszczony, a potem znów uprowadzony. Ale to się prawie nie zdarza. Piąta: okup zostaje przekazany, a zakładnik zwolniony. I szósta: zakładnik ucieka albo zostaje odbity, bez wypłacania okupu.

Annika milczała dłuższą chwilę. Halenius czekał, nie poruszył się.

– Trudno powiedzieć, jak wszystko się potoczy, prawda? – powiedziała w końcu cicho.

– Ma się z nami jutro skontaktować. Rano, ale niewykluczone, że zrobi to dopiero po południu. Tak czy inaczej, musimy być gotowi, mieć przy sobie pieniądze, samochód z pełnym bakiem i kierowcą, naładowane komórki, wodę i jedzenie, bo takie historie potrafią się przeciągnąć.

Annika odchrząknęła.

– Co robi policja? – spytała.

– JIT w Brukseli czyta moje SMS-y, ale porywacze muszą uwierzyć,

że działamy sami. Nie będą ryzykować aresztowania. Zażądam, żebyśmy mogli przekazać okup z rąk do rąk. Oni pewnie się na to nie zgodzą.

– A miejsce? Miejsce przekazania okupu. Myślisz, że to będzie gdzieś w Nairobi?

Halenius wstał, poszedł do sypialni. Po chwili wrócił z notesem w ręku.

– Hiszpan zostawił pieniądze w kontenerze, w somalijskiej dzielnicy w południowej części miasta – powiedział, zerkając do notatek. – Syn Niemki w rowie, jakieś dziesięć mil na północ od góry Kenia. Żona Rumuna ma dzisiaj przekazać osiemset tysięcy dolarów w Mombasie, na wybrzeżu. Francuzka zostawiła pieniądze w Nairobi, ale potem nie potrafiła wskazać gdzie.

– Na pewno jakoś się zabezpieczają.

Halenius usiadł obok niej, znów zaczął kartkować notes.

– Zwykle do przekazania okupu dochodzi w pobliżu miejsca porwania, góra dziesięć mil od niego. Ale w tym przypadku jest inaczej.

– No dobrze, a co potem?

– Zanim zakładnik zostanie uwolniony, może minąć nawet czterdzieści osiem godzin.

Annika położyła rękę na jego udzie, przełknęła ślinę.

– A potem? – spytała cicho, patrząc na niego.

Odwrócił twarz, Annika cofnęła rękę.

– Niczego nie żałuję – powiedziała.

Halenius wstał i bez słowa poszedł do sypialni. Nawet na nią nie spojrział.

Została sama. Siedziała oniemiała, czuła, jak jej trzewia wypełnia pustka, oddychała z trudem. Powoli wstała i poszła za nim. Halenius siedział w sypialni i pisał coś na komputerze, skupiony, z czerwonymi oczami.

Nagle poczuła się okropnie głupio, jakby mu się podlizywała, jakby zabiegała o jego uwagę, jak spragniony miłości szczeniak.

– Załatwię bilety – powiedziała. – Masz jakieś życzenia?

– Byle nie Air Europa i nie z przesiadką na lotnisku de Gaulle'a.

Uśmiechnął się do niej.

Niepewnie odwzajemniła uśmiech i poszła do pokoju dzieci.

Tylko Air France miały jeszcze miejsca do Nairobi, ale z przesiadką w Paryżu, na lotnisku Charles'a de Gaulle'a.

– Cały czas lecimy Air France? – wypytywała Annika kobietę z biura podróży. Usłyszała stukanie w klawiaturę.

– Lot do Paryża to lot Air Europa. Przesiadacie się na lotnisku Charles'a de Gaulle'a.

– Nie ma innego połączenia?

– Jest, przez Brukselę, ale samolot odlatuje za dwadzieścia minut, z lotniska na Brommie.

Annika zarezerwowała bilety na lot o szesnastej zero pięć, z Arlandy do Paryża, i dalej Air France, wylot o dwudziestej dziesięć. Samolot miał wylądować w Nairobi o szóstej dwadzieścia rano, czasu wschodnioafrykańskiego. Powrotu nie bukowała.

Bilety miała dostać mejlem.

Odłożyła słuchawkę. Był środek dnia, ale na dworze panował już półmrok. Poczowała się zawieszona w próżni, gdzieś między teraz a potem.

Halenius pojechał do domu wziąć coś do przebrania, szczoteczkę do zębów i golarkę. Annika przez czterdzieści minut pisała artykuł, potem spakowała komputer, coś do ubrania i kamerę. Trójnóg zostawiła, nie zmieściłby się w bagażu podręcznym. Zajrzała do lodówki, wyrzuciła produkty, których termin przydatności do spożycia właśnie mijał, wyniosła śmieci, pogasiła wszystkie lampy. Potem stała chwilę w ciemnym holu i wsłuchiwała się w odgłosy domu.

Na coś było zdecydowanie za późno albo stanowczo za wcześnie.

Wyszła na klatkę, zamknęła drzwi, zeszła na dół. Miała tam czekać na Haleniusa, obiecał podjechać po nią taksówką.

Czekając, zadzwoniła do Sophii Grenborg.

– Jestem w drodze na lotnisko – powiedziała. – Ustaliliśmy wysokość okupu. Samolot startuje za dwie godziny.

– Dać ci dzieci?

Błyszczące czarne volvo z przyciemnionymi szybami wyłoniło się ze

śnieżycy i zatrzymało przed klatką. Drzwi się otworzyły, Halenius wystawił głowę.

– Zadzwoń z lotniska – rzuciła i rozłączyła się.

Wyszła w zawieję, uśmiechnęła się do jego rozczochranych włosów, kątem oka widziała, jak jakiś fotograf celuje w nią aparatem z teleobiektywem. Kierowca w szarym palcie wysiadł z samochodu. Rozpoznała go. Jeden z Hansów. Wziął torbę z jej komputerem i włożył do bagażnika. Usiadła z tyłu, obok Haleniusa. Kątem oka znów dostrzegła wycelowany w siebie teleobiektyw. Halenius rozmawiał przez komórkę.

– Okup ma zostać przekazany w dolarach amerykańskich, w banknotach dwudziestodolarowych, owiniętych mocną folią, oklejoną srebrną taśmą klejącą.

– Co tu robi Hans, i to sam? – spytała Annika.

Volvo ruszyło z cichym pomrukiem.

– To wóz rządowy. Muszę zadzwonić w kilka miejsc. Nie chciałbym jutro przeczytać o nich na mediatime.se.

Annika przypomniała sobie słowa młodego bankowca z Handelsbanken.

– Banknoty dwudziestodolarowe? Będą ważyły pięćdziesiąt pięć kilogramów.

– Poprosiłem Fridę, żeby kupiła dwie duże sportowe torby.

Chwycił ją za rękę.

– Facet chce, żebyś osobiście dostarczyła pieniądze – powiedział. Puścił jej rękę.

Wyjrzała przez szybę. W zamieci ledwie było widać szare kamienice.

Halenius sięgnął po komórkę, wybrał długi numer, zaczynał się od zero zero dwa pięć cztery. Annika oparła głowę o miękką skórzaną tapicerkę. Miasto rozplynęło się w prószącym śniegu.

Hala odlotów na Arlandzie była pełna ludzi.

– Nie mogę państwu dać kart pokładowych na całą trasę. System Air Europa nie jest kompatybilny z pozostałymi. W Paryżu muszą państwo osobiście odebrać karty pokładowe na lot do Nairobi.

Halenius nachylił się nad kontuarem.

Na lotnisku Charles'a de Gaulle'a nie ma specjalnego punktu dla pasażerów tranzytowych, a my nie będziemy mieli czasu stać w kolejce.

Kobieta zaczęła stukać w klawisze.

– W Paryżu macie państwo godzinę.

Halenius się spocił.

– Była tam pani kiedyś? – spytał cicho. – Samoloty zatrzymują się daleko od terminali, trzeba jechać autobusem. Potem będziemy musieli zmienić terminal, dostać się z 2B do 2F. Nie zdążymy.

– Ależ oczywiście, że państwo zdążą. Pójdą państwo bezpośrednio do terminalu 2F i...

– Nie wpuszczą nas bez kart pokładowych.

Annika głośno przełknęła ślinę. Uprzedzał ją, a ona to zignorowała.

– Jeśli rzeczywiście będzie jakieś opóźnienie, będziecie państwo mogli polecieć następnym lotem. Bilet jest ważny.

– Musimy lecieć tym. To bardzo ważne – upierał się Halenius.

Kobieta odwróciła głowę i roześmiała się.

– Wszyscy tak mówią.

Annika, która do tej pory trzymała się pół kroku za Haleniusem, przecisnęła się do kontuaru.

– To ja robiłam rezerwację. Obiecano mi, że przy wylocie dostaniemy jedną kartę pokładową. Inaczej bym się nie zdecydowała.

Kobieta przestała się śmiać.

– Bardzo mi przykro, ale niestety obowiązują pewne zasady...

– Rozmawiałam z kierownictwem lotniska Charles'a de Gaulle'a i główną siedzibą Air Europa w Amsterdamie. Wszędzie zapewniono mnie, że to możliwe...

Usta kobiety zamieniły się w wąską kreskę.

– Nie rozumiem, jak to...

– Więc proszę wziąć telefon i zadzwonić w kilka miejsc. Albo jeszcze lepiej wezwać kogoś bardziej kompetentnego – powiedziała Annika. Wyjęła notes i pióro: – Mogę prosić pani imię i nazwisko?

Na szyi kobiety pokazały się czerwone plamy. Wstała, po chwili zniknęła w drzwiach po lewej.

Halenius ze zdziwieniem patrzył na Annikę.

– Myślałem, że główna siedziba Air Europa mieści się na Majorce.

– Nie mam pojęcia, gdzie się mieści.

Spojrzała na taśmę z bagażami. Walizki Samsonite, torby golfowe, dziecięce wózki w plastikowych torbach płynęły nieprzerwanym strumieniem i znikwały w czarnej czeluści. Wysoko sklepiony dach nad głowami pasażerów przypominał niebo, stojący za nimi pasażerowie zaczęli niecierpliwie przestępować z nogi na nogę i spoglądać na zegarki. Thomas leżał gdzieś w chacie na klepisku. Cała odpowiedzialność spadła na nią.

Kobieta wróciła w towarzystwie starszej koleżanki.

– Proszę mi powiedzieć, w czym problem.

– Zapewniono mnie, że dostaniemy jedną kartę pokładową na cały lot do Nairobi – powiedziała Annika. – Ale najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie. Cieszę się, że nareszcie zajmie się tym ktoś kompetentny.

Starsza kobieta się uśmiechnęła.

– Niestety, sprawa wygląda tak, że...

Annika zobaczyła szarą twarz Thomasa. Miała wrażenie, że gdzieś od strony taśmy bagażowej dobiega wysoki głos porywacza. Halenius jęknął, jego jęk powędrował do góry i utknął pod sufitem.

Pochyliła się nad kontuarem.

– Teraz. Natychmiast – powiedziała, ziejąc ogniem.

Starsza kobieta nachyliła się nad monitorem, wcisnęła kilka klawiszy, sięgnęła do drukarki i po chwili położyła na kontuarze dwie zastępcze karty pokładowe.

– Proszę – powiedziała. – Wszystko załatwione.

* * *

Schyman przeczytał najświeższe doniesienie Agencji Informacyjnej TT i poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Cholera, więc jednak mieliśmy rację, pomyślał.

Przesłuchanie Gustafa Holmeruda odbywało się za zamkniętymi drzwiami, więc agencja nie mogła podać, dlaczego go aresztowano, ale sąd najwyraźniej nie miał wątpliwości: mężczyzna został areszto-

wany, jest podejrzany o zamordowanie dwóch osób.

Pewnie Leny Andersson i Naliny Barzani, pomyślał Schyman, sięgając po telefon.

– Patrik? Możesz pozwolić?

Szef działu wiadomości ruszył w stronę jego szklanej klatki z nieśmiertelnym długopisem w ręku.

– Podejrzany o popełnienie dwóch morderstw. Mieliśmy nosa, do cholery!

– Czego nie wiemy?

Niezbyt precyzyjny rysopis i dane operatora telefonii komórkowej nie byłyby wystarczającym powodem do wydania nakazu aresztowania.

Patrik zaczął ssać długopis.

– Dochodzenie prowadzi Q, więc zajmie się tym Berit.

Wszyscy w redakcji wiedzieli, że Berit Hamrin i komisarz Q z Policji Krajowej się przyjaźnili, ale nikt – oprócz Schymana i może jeszcze Anniki – nie wiedział, jak bliska była to przyjaźń. Przez kilka lat Berit i komisarz Q mieli romans. Zerwali ze sobą, ale Berit najwyraźniej udało się zachować na tyle dobre stosunki z byłym kochankiem, że nadal informował ją o różnych sprawach, do których inni nie mieli dostępu.

Schyman wiedział o jej romansie, bo kiedyś spytał ją wprost, skąd wie tak niezwykle rzeczy i kto jest jej źródłem w policji. A ona bez skrepowania odpowiedziała, że ma romans z komisarzem Q i że w każdy wtorek po południu spotykają się w jednym ze służbowych mieszkań policji. Schyman nie miał pewności, czy nadal to robią.

– Policja musi mieć jakiś inny powód – powiedział Schyman. – Świadców, dowody rzeczowe, narzędzie zbrodni, a może facet po prostu się przyznał? Chcę wiedzieć, o co chodzi.

Patrik spojrzał na redakcję.

– Dobrze, że byliśmy czujni, kurde. – Spojrzał na szefa, zobaczył grymas na jego twarzy. – Tak? – Znów zaczął się bawić długopisem. – Właściwie to zasługa Anniki – powiedział. – To ona pierwsza rzuciła takie przypuszczenie. Trochę po to, żeby się ze mną podrażnić. Zlekceważyłem zdjęcie, które mi przysłała. Ten but naprawdę wyglądał

jak korzeń. Wtedy zwróciła mi uwagę, że to nie pierwsze takie morderstwo. Wymieniła je wszystkie i zasugerowała, że możemy mieć do czynienia z seryjnym mordercą. Kazałem Berit i Michnik przyjrzeć się temu bliżej...

Schyman pochylił się nad biurkiem. Nie przypuszczał, żeby Patrik kiedykolwiek miewał wobec kolegów skrupuły natury moralnej. Uznał to za dobry znak.

– W dzisiejszych czasach wszystko zmienia się z godziny na godzinę, dlatego musimy być czujni i otwarci na różne możliwości. Nie mamy monopolu na prawdę. Kiedy coś się dzieje, naszym obowiązkiem jest o tym informować.

Na twarzy Patrika widać było ulgę.

– Dowiedz się, na jakiej podstawie wydano nakaz aresztowania – dodał Schyman.

Kiedy Patrik wyszedł i zamknął za sobą drzwi, sięgnął po kopertę zaadresowaną do przewodniczącego zarządu Hermana Wennergrena. Wziął głęboki wdech i połączył się z portiernią.

– Mam wiadomość dla zarządu. Macie kogoś, kto mógłby ją przekazać?

Zerknął na kalendarz i obrysował aktualną datę: trzydziesty listopada.

Zgodnie z kontraktem miał prawo do sześciomiesięcznego wypowiedzenia, od dnia złożenia podania. Więc mógłby odejść ostatniego dnia maja przyszłego roku, w najpiękniejszym miesiącu roku.

Przez szklaną ścianę zobaczył, że idzie do niego nowy portier. Znów wziął do ręki kopertę, chwilę ważył ją w ręce.

Czy zarząd przyjmie jego wypowiedzenie? Czy będą próbowali go przekonać, żeby jeszcze został? Może zaproponują podwyżkę? Może dodatkowe ubezpieczenie emerytalne? Może będą go prosić?

Podał kopertę portierowi.

– Nie ma pośpiechu. Najważniejsze, żeby została doręczona dzisiaj.

– Zaraz się tym zajmę – powiedział chłopak.

* * *

Tak jak Halenius przewidywał, samolot wylądował daleko, spory kawałek od terminalu. Najpierw czekali na autobus. Pierwszy szybko się zapełnił, musieli poczekać na kolejny. Jechali dobry kwadrans.

Kiedy w końcu dotarli do terminalu 2B, Annika zdążyła wpaść w panikę. Nie widziała nic: ani ludzi wokół siebie, ani sklepów i lotniskowych restauracji. Widziała tylko ogromną tablicę przylotów i odlotów i migające *final call* przy locie do Nairobi. Halenius z torbą zarzuconą na ramię puścił się biegiem, Annika ruszyła za nim. Biegli, niemal frunęli długimi korytarzami, mijali kolejne poczekalnie, hale, tablice z migającymi literami i cyframi zestawionymi jakby bez sensu, a kiedy w końcu dotarli do 2F, zobaczyli – tam gdzie odprawiano nocny lot do Nairobi – tabliczkę z napisem *gate closed*. Do punktu kontroli stała kolejka ludzi, minęli ich w biegu. Annika wysyczała coś do kontrolerów. Poprosili, żeby otworzyła torbę z komputerem, wyjęli z niej tubkę pasty do zębów. W końcu dotarli do bramki. Uprosilili starszą panią, pracownicę lotniska, żeby otworzyła szklane drzwi, i mimo spóźnienia zostali wpuszczeni na pokład.

– Zawsze tak jest – westchnął Halenius, opadając na fotel, miejsce 36L. – Na tym cholernym lotnisku nic się nie zmienia.

Annika nie odpowiedziała. Uderzyła kolanami o fotel stojący przed nią, po pięciu sekundach bolała ją już cała noga. Siedzieli obok siebie w wąskich fotelach, dotykali się łokciami. Czują jego zapach.

Na monitorze, który miała przed sobą, przeczytała:

KARIBU!

Witamy na pokładzie!

Na dole, pod tekstem, widniały trzy lwy, kogut i dwie kury. Logo linii Kenya Airways i jej motto: *The pride of Africa*.

Obraz się zmienił, pojawił się napis: UMBALI WA MWISHO WA SAFARI 4039 MAILI.

Po chwili pokazała się mapa z samolotem wielkości Europy Zachodniej. Trasa lotu została pokazana na czworokącie na dole, łagodny łuk prowadzący skrajem Afryki. Lot miał trwać osiem godzin i dziesięć minut.

Wyjrzała przez okno. Mężczyzna w ochroniaczach na uszach i grubej kurtce ciągnął po ziemi kabel. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek był w Afryce.

Na pokładzie mieli komplet. Powietrze już było gęste.

Zamknęła oczy, zasłoniła uszy rękami. Pilot włączył silniki, samolot zaczął się toczyć po pasie, poczuła silne wibracje.

Jego kolano zderzyło się z jej kolanem.

Dwanaście godzin wcześniej leżała w swoim łóżku przy Agnegatan z nim u boku, z nim w sobie i z poczuciem, że na coś jest zdecydowanie za wcześnie albo za późno.

Nadal nie wiedziała na co.

DZIEŃ 9

Czwartek, 1 grudnia

CO JAKIŚ CZAS budziła się, ze sztywnym karkiem i śliną w kącikach ust. Spoglądała na siedzącego obok niej Haleniusa. Czasem spał z na wpół otwartymi ustami, czasem w skupieniu oglądał film na maleńkim ekranie, ze słuchawkami wciśniętymi głęboko w uszy.

Dwadzieścia po czwartej nad ranem, czasu kenijskiego, jej ciało się zbuntowało: to nie była pora snu. Postanowiła oddać się rozrywce. W zasobach linii lotniczych znalazła film, w którym Julia Roberts grała młodą studentkę prawa. Co piętnaście sekund kadr zaczynał drżeć, głos zanikał, a przez monitor zaczynały maszerować mrówki. Za każdym razem traciła wątek, bo za każdym razem, kiedy Julia wracała, była jakby zupełnie inną Julią i mówiła o rzeczach, o których ona nie miała pojęcia. Po dziesięciu minutach się poddała. Wybrała inny film, ze starszym Adamem Sandlerem. Historia się powtórzyła. Wyłączyła monitor.

Za oknem rozciągała się ogromna czarna przestrzeń. Nie było widać gwiazd, tylko migoczące światełko na końcu skrzydła. Na pokładzie światło było przytłumione, większość pasażerów spała. Ktoś czytał książkę, ktoś rozwiązywał sudoku w świetle umieszczonej pod schowkiem na bagaże lampki do czytania.

Annika schyliła się i wyłowiła z torby plik kartek z informacjami o Kenii. Wydrukowała je ze strony Instytutu Polityki Zagranicznej, dwadzieścia dziewięć stron, na których omówiono wszystko, począwszy od geografii, klimatu i historii, skończywszy na polityce zagranicznej i turystyce.

Może to Tanya to napisała? Może to ona zebrała informacje na te-

mat bieżącej polityki kraju, przeanalizowała je i opatrzyła komentarzem.

Na pewno była odczytana i mądra.

Kolebka ludzkości znajduje się we wschodniej Afryce, czytała. Już wiele milionów lat temu nad brzegami jeziora Turkana w północno-zachodniej Kenii mieszkali ludzie.

Według spisu ludności z 2010 roku Kenia ma obecnie trzydzieści dziewięć milionów mieszkańców, o jedną trzecią więcej niż dziesięć lat temu.

Połowa ludności żyje w biedzie. Pracują głównie kobiety. W 2005 roku milion trzysta tysięcy Kenijczyków było zarażonych wirusem HIV. W tym samym roku sto czterdzieści tysięcy zmarło na AIDS, jeszcze więcej na malarię. Okresowo życie niemal jednej dziesiątej ludności zależy od pomocy żywnościowej Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Po wyborach prezydenckich w grudniu 2007 roku w wielu częściach kraju doszło do gwałtownych starć, głównie w slumsach Nairobi, ale też w miastach na zachodzie kraju, w Eldoret i Sisumu. Szacuje się, że zginęło wówczas tysiąc sto osób, a ponad sześćset tysięcy zostało zmuszonych do ucieczki. Starcia miały podłoże między innymi etniczne. Najbardziej ucierpieli Kikuju, to głównie oni tworzyli poprzednią ekipę rządzącą.

Annika opuściła kartki na kolana. Wyglądało to na uwerturę do kolejnego ludobójstwa, jak w Rwandzie, ale tym razem społeczność międzynarodowa interweniowała. Kofi Annan podjął się mediacji, udało się uniknąć krwawej rzezi.

Zamknęła oczy. Próbowwała przywołać w pamięci obraz Thomasa. Widziała jego dłonie, twarz, jego jasne włosy, szerokie ramiona, ale obrazy uciekały, rozplýwały się w zagłuszającym wszystko szumie na pokładzie samolotu i huku pracujących silników.

Musiała znów zasnąć. Kiedy się obudziła, usłyszała przez głośniki głos kapitana. Informował, że właśnie zaczęli podchodzić do lądowania w Nairobi.

Monitor ożył, znów pojawiła się na nim mapa z ogromnym samolotem. Za oknem nadal panowały ciemności. Według mapy przelatowali

właśnie nad jakąś miejscowością.

Annika przetarła oczy, wyjrzała przez okno. Nie widać było żadnych świateł, ale wiedziała, że tam na dole są ludzie. Mieszkańcy małej miejscowości, żyjący w bezkسیężycowym mroku.

– Ominęło cię śniadanie – poinformował ją Halenius. – Nie chciałem cię budzić, tak smacznie spałaś.

Annika przetarła oczy.

– Przepiórcze jaja i zimny szampan, tak? – powiedziała. Wstała i przeszła nad jego nogami.

– Właśnie pokazał się napis, że mamy zapiąć pasy...

– Nie sądzę, żeby obsługa była szczęśliwa, jeśli zmoczę fotel – rzuciła Annika, ruszając w stronę toalety.

W środku pachniało środkiem dezynfekującym i uryną. Siedziała na sedesie dłuższą chwilę. W końcu usłyszała pukanie do drzwi. Stewardesa poprosiła, żeby wróciła na miejsce i zapięła pas. Samolot podchodził do lądowania.

Ruszyła z powrotem, maszyna drżała, trzęsła. Zrobiło jej się niedobrze, poczuła pragnienie.

– Udało się? – spytał Halenius, kiedy przeciskała się z powrotem na swoje miejsce.

Nie odpowiedziała.

– Co z tobą? Źle się czujesz?

– Nie wiem, czy dam radę – odpowiedziała tak cicho, że nie miała pewności, czy ją usłyszał.

Terminal Jomo Kenyatta International Airport był tak naprawdę jednym długim niskim korytarzem. W gorącym, dusznym powietrzu unosił się zapach potu. Podłoga była szara, plastikowe płyty w niektórych miejscach przybierały odcień czerwony, w innych żółty. Miała wrażenie, że dach przygniata jej kark, a ściany ograniczają ruchy rąk. Poddała się strumieniowi ludzi. Thomas cały czas jej towarzyszył: raz miała wrażenie, że idzie za nią, raz, że tuż przed nią. Halenius szedł obok.

Wypełniła żółte i niebieskie formularze wizowe. Okazało się, że oba są niewłaściwe, powinna wypełnić białe.

Na cle pobrano od niej odciski palców.

Na zewnątrz powietrze było zadziwiająco przejrzyste i chłodne. Nad ulicą unosił się bliżej nieokreślony zapach palonych ziół. W nocy padał deszcz, opony piszczały na wilgotnej nawierzchni. Na wschodzie zaczynał wschodzić dzień, różowa poświata.

– Wynajmiemy samochód?

Halenius pokręcił głową.

– Dostałem dokładne wskazówki co do modelu. Frida chyba już nam coś znalazła. Zaczekaj tu chwilę...

Została sama na chodniku przed terminalem. Wszędzie kłębili się ludzie, natychmiast straciła Haleniusa z oczu. Mijały ją czarne twarze, po drugiej stronie ulicy widziała niskie budynki. Po obu stronach wejścia były kawiarenki.

– *Taxi, madame, you want taxi?*

Pokręciła głową i spojrzała w ciemność, próbując dojrzeć budynki po przeciwnej stronie jezdni. Z lewej mijały ją samochody, białe, żółte, i ludzie, twarze z białymi oczami, *taxi madame, you want taxi?*

– W porządku – usłyszała głos Haleniusa. – To ta srebrna bryczka po drugiej stronie.

W tłumie ludzi i samochodów zobaczyła ubraną na czarno kobietę z długimi włosami. Stała obok dużego srebrnego samochodu. Wzięła walizkę i ruszyła w jej stronę.

Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że kobieta ma włosy zaplecione w miriady małych warkoczyków. Sięgały jej niemal do pasa, połowa była fioletowa. Mimo półmroku miała na nosie okulary słoneczne w złotych oprawkach. Nie uśmiechała się.

– *I'm Frida. Nice to meet you.*

A więc tak wygląda. Koleżanka Angeli Sisulu z akademika. Bogata Nigeryjka, Frida Arokodare, pracująca dla Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wysoka, szczupła, wyższa od Haleniusa. Pasek z nitami, mnóstwo bransoletek i kolczyk w nosie. Annika podała jej rękę. Nagle zaczęła się zastanawiać, czy w tym pośpiechu, w toalecie na pokładzie samolotu, zdążyła umyć ręce. Poczuła się brudna.

– *I appreciate your help so much* – powiedziała, czy raczej wydukała, ze szwedzkim akcentem.

– *Glad to contribute* – odpowiedziała Frida, zajmując miejsce za kierownicą. Zwinna, zgrabna, skuteczna.

Annika czuła się przy niej niezdarna i gruba. Otworzyła tylne drzwi, a właściwie odsunęła je, jak w małym busie volkswagenie. W samochodzie było osiem miejsc, wyglądał jak pudełko na buty. Usiadła z tyłu, sztywne, jakby połknęła pogrzbacz.

Halenius zajął miejsce obok Fridy.

– Co to za samochód? – zainteresowała się Annika.

– Toyota noah, właściwie sprzedają ją tylko w Azji. Na szczęście znajomi Fridy zgodzili się ją nam pożyczyć. Rozumiem, dlaczego dranie wybrali właśnie ten model. Rzuca się w oczy, łatwo go zauważyć w tłumie.

Odwrócił się do Fridy.

– Gotowa? – spytał.

– Wczoraj poprosiłam mojego mechanika, żeby sprawdził klocki hamulcowe. Wszystko działa jak trzeba – powiedziała Frida. Przeciągnęła nerwowo ręką po włosach. – Zrobiłam wszystko, o co mnie prosiłeś – powiedziała, wskazując na tył wozu. – Mamy pełen bak i dwa dodatkowe kanistry.

Uniosła dłoń, wskazała na torbę lodówkę i dwa kartony na siedzeniu obok Anniki.

– Jedzenie i woda, apteczka, papier toaletowy, dwie dodatkowe komórki i telefon satelitarny. Zainstalowałam też *vehicle tracking device*, żeby twoi policjanci mogli potem wszystko dokładnie przeanalizować. Niestety nie miałam czasu sprawdzić, czy działa. Co teraz?

– Podjęłaś pieniądze?

Frida ruszyła.

– Bank otwierają dopiero o wpół do dziewiątej – powiedziała, włączając się do ruchu. – Jedliście śniadanie? Możemy zjeść w Hiltonie. I tak musimy poczekać, aż otworzą bank.

Halenius poprawił się w fotelu. Denerwuje się, pomyślała Annika.

Wyjechali na czteropasmową autostradę. Wielka tablica informowała, że wybudowali ją Chińczycy.

– Chiny wykupują Afrykę – powiedziała Frida. – Kupują ziemię, lasy, minerały, ropę, wszystkie bogactwa naturalne... Ale powiedz, co

u ciebie – zwróciła się do Haleniusa. – Nadal pracujesz u tego swojego ministra? I harujesz jak niewolnik?

Halenius się roześmiał.

– Władza korumpuje – stwierdziła Frida. – Dzieci są u Angie?

– Pojechały w niedzielę. Z Tanya. W Kapsztadzie mieli fatalną pogodę, ale teraz jest już podobno lepiej.

– A co u Tanyi? Nadal jest w Instytucie Polityki Zagranicznej?

– Tak, ale stara się o pracę w siedzibie ONZ-etu w Nowym Jorku.

Frida z aprobatą pokiwała głową.

– Bardzo dobrze. Przyda się im tam.

Annika przełknęła ślinę. Siedziała na tylnym siedzeniu i miała wrażenie, że jest to dla niej właściwe miejsce. Frida i Halenius rozmawiali o rzeczach, o których nie miała pojęcia. Postanowiła się nie wtrącać. Sięgnęła po kamerę. Przystawiła ją do szyby, oglądała miasto na małym monitorze. Mijali stację benzynową, Kenol, i ogromne billboardy, reklamujące rzeczy, o których istnieniu nie miała pojęcia. „Kupujcie napój ananasowy Mouida!”. „Najlepszy operator to Airtel!”. „Chandarana – twój ulubiony sklep!”. „Piwo Tusker!”. Mijali piętrowe domy w budowie, bambusowe rusztowania, polewaczki, kolejne stacje benzynowe, jedną Total, drugą Oillibya, „Czytajcie dziennik «The Star»! *Fresh! Independent! Different!*”. Jezdnią sunęły citi hoppery, na chodnikach leżały sterty ziemi, wszędzie unosił się zapach palonych ziół. Chińska autostrada się skończyła, przeszła w wąską asfaltowaną drogę. Powierzchnia nadal była mokra po nocnym deszczu. Żadnych chodników, żadnych rozgałęzień, strumień ludzi idących dokądś, a może skądś wracających, w tenisówkach, w butach z płótna, klapkach i błyszczących butach ze skóry. Kobiety z wysoko upiętymi włosami, w źle dopasowanych ubraniach, z dziećmi na plecach, młodzi chłopcy w T-shirtach reklamujących egzotyczne podróże i amerykańskie trunki.

Oszołomiona nadmiarem doznań odłożyła kamerę.

Dzień wstawał szybko, ale słońce nadal kryło się za ciężkimi chmurami.

Zieleń była obfita, przytłaczająca.

Hotel Hilton mieścił się w wysokim budynku w samym centrum miasta. Frida zostawiła samochód w podziemnym garażu. Zarówno przy wjeździe, jak i dalej, na samym parkingu, stali ochroniarze.

Hol był ogromny, kryształowy żyrandol przypominał statek kosmiczny. Ruszyli po błyszczącej niczym lustro marmurowej posadzce do Traveller's Restaurant. Usiedli w kącie, Halenius zamówił dla niej croissanta i kawę. Ze zdziwieniem zauważyła, że jest w stanie jeść.

– Co teraz? – spytała Frida, sięgając po filiżankę z kawą.

Halenius milczał chwilę, kończył jeść.

– Porywacze mają się odezwać koło dziewiątej. Prawdopodobnie poinformują nas, gdzie mamy zostawić okup. Będę musiał powiedzieć, że to ty jesteś kierowcą. To może być problem.

Frida odsunęła filiżankę, odchyliła się na krześle.

– Dlaczego? – spytała.

Halenius wypił łyk kawy.

– Porywacze zawsze wolą, żeby ten, kto przekazuje okup, był w samochodzie sam. Jeśli w samochodzie są dwie osoby, natychmiast zakładają, że ta druga jest z policji. Wiedzą, że Annika nie przyjechała sama, że jestem tu z nią, ale nie wiem, czy się zgodzą na twoją obecność. Zobaczymy. Obawiam się jednak, że bez ciebie sobie nie poradzimy.

Annika spuściła wzrok, Frida się przeciągnęła.

– Sami wybrali samochód, ale jeśli będziemy mieli pecha, mogą zażądać, żebyśmy go jeszcze dodatkowo oznaczyli albo włożyli na siebie coś charakterystycznego.

Annika rozejrzała się po restauracji. Przy ścianie obok baru stały stare walizki, ustawione jedna na drugiej. Najwyraźniej ktoś usiłował oddać atmosferę starego pociągu. Przypomniała sobie słowa Haleniusa. Poprzedniego dnia, czy może w zeszłym tygodniu, powiedział w pewnym momencie: „Jeśli porywacz każe ci ogolić głowę, natychmiast zacznij się rozglądać za golarką”.

Czy była skłonna zgolić włosy, żeby Thomas mógł wrócić do domu? Pozwolić, żeby jej odcięto lewą dłoń? Pójść do łóżka z negocjatorem?

Frida nerwowo bawiła się złotą bransoletką zegarka.

– Wiesz, na co somalijscy piraci przeznaczają pieniądze z okupów?

– zwróciła się do Haleniusa.

– O ile wcześniej się nie utopia z swoją częścią forsy...

– Za te pieniądze utrzymują całe wioski – powiedziała Frida.

– Powiedziałbym, że nie wszyscy – Halenius wszedł jej w słowo.

– Więcej, niż ci się zdaje. Na całym wybrzeżu.

Annika wyprostowała się na krześle, Halenius dopił kawę.

– Rzeczywiście, od kiedy piraci utworzyli ten biznes, ceny wzrosły tam o sto procent. Ceny wszystkiego: ziemi, obuwia... I pojawiły się nowe problemy, jakby wcześniej było ich za mało... Nieurodzaj, wojny domowe...

Frida wskazała w stronę wybrzeża.

– Wzdłuż wybrzeża Somalii codziennie przepływają zbiornikowce warte setki milionów dolarów. Głodni ludzie stoją na brzegu i tylko się im przyglądają.

– Co nie daje im prawa rabować i porywać ludzi – przerwał jej Halenius.

Annika odstawiła filiżankę z kawą, czuła, że drży jej ręka.

– Rozumiem, że wyznajesz ideologię Robin Hooda – powiedziała. – Ale mój mąż nie jest właścicielem tankowca, a poza tym użyto wobec niego przemocy. To też da się obronić?

Frida zdjęła okulary, odwróciła się do Anniki. Oczy miała jasne, niemal szare.

– Dlaczego przemoc zawsze jest bardziej okrutna, kiedy dotyka białych?

Powiedziała to spokojnie, obojętnym tonem, bez emocji.

Annika pomyślała o Rwandzie. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Bardzo dbacie o prawa pracownicze. Związki zawodowe negocjują warunki pracy, podwyżki, ale to dotyczy tylko waszych ludzi. Warunki pracy szwaczek, które w fabrykach w Azji szyją dla was ubrania, i ludzi pracujących w przemyśle naftowym w Sudanie, dzięki którym możecie jeździć swoimi samochodami, was nie obchodzą. Mówicie o demokracji, o prawach człowieka, ale tak naprawdę chodzi wam wyłącznie o własną wygodę. – Włożyła okulary, uśmiechnęła się, przelotny grymas wykrzywił jej usta. – Nie bój się – zwróciła się do Anniki. – Chciałam tylko odwrócić tok rozumowania. Świat nie jest

czarno-biały. – Spojrzała na zegarek. – Jeśli skończyliście, to proponuję jechać do banku. Walizkę weźmiemy teraz czy wrócimy po nią później?

Halenius spojrzał na Annikę, czekał, aż weźmie z krzesła torbę.

– Thomas mieszkał tu podczas konferencji – powiedział cicho. – Pracownicy hotelu spakowali jego rzeczy, wiedzą, że masz po nią przyjechać...

Annika zatrzymała się w pół kroku.

– Tutaj? Rzeczy Thomasa są tutaj?

Nagle całą salę wypełnił zapach jego wody po goleniu.

– Możemy poprosić, żeby ją wysłali na Agnegatan. Jeśli nie chcesz jej ze sobą zabierać – powiedział Halenius.

Annika stała na środku restauracji, nie mogła się ruszyć. Jego rzeczy nie miały dla niej żadnego znaczenia: maszynka do golenia, krawaty, kilka marynarek.

– Wezmę je ze sobą – usłyszała, jak mówi. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Frida przeszła po marmurowej posadzce do recepcji, portier zniknął za jakimiś drzwiami. Po chwili wrócił, z metalową walizką marki Rimowa. Annika pokwitowała odbiór i nagle stała na środku holu z dodatkowym nieporęcznym bagażem.

Pamiętała, jak ją pakował. Pamiętała też, że odnotowała, że bierze różową koszulę. Wiedziała, że nie ma jej w walizce. Na zdjęciach widziała, że miał ją na sobie, widziała przesiąknięty krwią lewy rękaw.

Ciągnąc za sobą walizkę, ruszyła za Fridą i Haleniusem. Skręcili w stronę wind, zjechali do garażu.

Tylko jedna przecznica dzieliła hotel Hilton od siedziby Kenya Commercial Bank przy Moi Avenue. Frida wyjechała z hotelowego garażu i niemal od razu wjechała na podziemny parking banku.

– To nie potrwa długo. Uprzedziłam dyrekcję, że przyjdę. Folia, torby, srebrna taśma klejąca, wszystko, co chciałeś, jest z tyłu.

Halenius skinął głową. Annika nie była w stanie się ruszyć. Frida wyskoczyła z samochodu, minęła ochroniarza, kiwnęła do niego głową, po chwili zniknęła w windzie.

Cisza w samochodzie była gęsta jak wata. Lekko żółte oświetlenie rzucało na ściany samochodu brązowe cienie. Halenius odwrócił głowę, wyglądał przez okno. W półmroku widziała jego profil, jego wiecznie rozczochrane włosy. Milczenie zamieniło się w gulę w jej żołądku.

– Wczoraj w nocy... – zaczęła.

– Porozmawiamy o tym później – przerwał jej.

Zaczerpnęła powietrza. Jakby jej dał w twarz. Poczowała, że pieką ją policzki.

Nagle leżąca z tyłu walizka Thomasa wypełniła całe wnętrze.

– Frida jest inna, niż sądziłam – powiedziała. Miała sucho w ustach.

Halenius spojrzał na nią w lusterku.

– Frida jest bardzo szczególną osobą – powiedział. – Nie musiała się kształcić, nie musi pracować, ale chce.

– Fioletowe włosy – Annika weszła mu w słowo.

– Pracując dla UNHCR, robi wiele dobrego. To organ Narodów Zjednoczonych zajmujący się uchodźcami. Nie boi się pobrudzić ani ubłoczyć butów.

Annika nie odezwała się.

Frida wróciła w towarzystwie dwóch strażników, każdy z nich niósł karton. Odsunęła drzwi od strony Anniki. Kartony z pieniędzmi, z jej pieniędzmi, wylądowały na siedzeniach, strażnicy zawrócili w stronę wind. Dwóch ich kolegów zostało: jeden przy windzie, drugi przy wyjście z parkingu.

– Co teraz? – spytała Frida.

– Możemy im ufać? – spytał Halenius. Ruchem głowy wskazał na strażników.

Frida zaczęła się nerwowo bawić włosami.

– Na pewno nie możemy spakować pieniędzy tutaj, na parkingu – powiedziała.

– Może u ciebie w domu?

– W Muthaiga? Sam dojazd zajmie kilka godzin.

W podziemnym garażu było chłodno, ale na czole Haleniusa pojawiły się krople potu.

- Nie zrobimy tego na ulicy.
- Może wynajmiemy pokój w Hiltonie?

Halenius spojrział na zegarek.

– Drań może zadzwonić w każdej chwili. Za kwadrans musimy być gotowi.

Annika wysiadła, otworzyła tylne drzwi, wyjęła folię, torby, srebrną taśmę klejącą i dwie pary dużych nożyc.

– Zawartość jednego kartonu musi się zmieścić w jednej torbie – powiedziała i chwyciła nożyczki.

Halenius zagryzł zęby, otworzył karton z pieniędzmi. Annika przyglądała się plikom banknotów. Tak spakowane dotychczas widywała jedynie na filmach.

Przed oczami stanął jej dom przy Vinterviksvägen. Leżał przed nią w plikach banknotów po pięć tysięcy dolarów każdy.

Halenius postawił karton na podłodze, otworzył jedną ze świeżo kupionych toreb. Spojrział na metkę z ceną. Trzy tysiące dziewięćset szylingów. Typowa sportowa torba, czarna, z czerwonym logo po jednej stronie. Mniej więcej pół metra długości, trzydzieści centymetrów szerokości i tyle samo wysokości.

Annika odwróciła wzrok od pieniędzy, rozłożyła na podłodze folię. Rolka miała dwa metry szerokości, folia była gruba, mało elastyczna, taka, jakiej się używa w budynkach do ochrony przed wilgocią. Wzięła nożyczki, odcięła kawałek. Halenius zaczął wyjmować pieniądze z kartonu.

– Ten pasek jest za szeroki – powiedział, wskazując ruchem głowy na odcięty przez Annikę kawałek folii.

– Odetnę trochę, będzie węższy.

Zaczął jej podawać pliki banknotów, opasane banderolą szarozielone cegiełki. Kładła je na folii, ciasno, jeden przy drugim, dziewięć w każdym rzędzie.

– Sto dziesięć plików w każdej torbie – rzucił Halenius.

– Wiem – odpowiedziała.

Układała pliki jeden na drugim, warstwa na warstwie, aż powstał klocek o wymiarach czterdzieści pięć na dwadzieścia centymetrów i prawie trzydzieści centymetrów wysokości. Owinęła go folią, naj-

pierw wzdłuż, potem wszerek, oderwała folię zębami, zawinęła, zakle-
iła taśmą po bokach, jakby pakowała prezenty dla dzieci na Boże Na-
rodzenie.

Był pierwszy grudnia, do świąt zostało trzy i pół tygodnia. Czy bę-
dzie wtedy w domu? Czy Thomas będzie z nimi?

– Pomożesz mi z taśmą? – poprosiła Haleniusa.

Halenius puścił karton, chwycił taśmę, zaczął oklejać pliki bankno-
tów. Gotowa paczka okazała się ciężka, pomógł jej włożyć ją do tor-
by. Zmieściła się.

Annika spojrzała na torbę.

– Co mówi kenijskie prawo na temat wwożenia do kraju pieniędzy
przeznaczonych na okup? – spytała.

Frida i Halenius spojrzeli na siebie.

– Pamiętam, że latem w Somalii zatrzymano dwóch Brytyjczyków,
którzy mieli przy sobie podejrzenie dużo pieniędzy. Dostali po dzie-
sięć lat więzienia. Tutaj obowiązują podobne przepisy?

– Prawdę mówiąc, u nas można dostać za to nawet piętnaście lat –
powiedziała Frida. – Poza tym to nie byli tylko Brytyjczycy, dwóch
było Kenijczykami.

– Z nami może być podobnie? – nie odpuszczała Annika.

Frida i Halenius wymienili spojrzenia. Annika poczuła, że jeżą jej
się włoski na karku.

Nie mogą jej aresztować. Nie może spędzić piętnastu lat w kenij-
skim więzieniu. Co będzie z dziećmi? Dlaczego nie pomyślała o tym
przed wyjazdem? Kto się zaopiekuje dziećmi, jeśli nie wróci? Doris na
pewno się nimi nie zajmie, jest zbyt wygodna. Jej mamy na to nie
stać. Anne Snapphane? Mało prawdopodobne.

Frida podniosła spakowaną torbę i z pewnym trudem postawiła ją
na podłodze, tuż obok miejsca, gdzie wcześniej siedziała Annika. Logo
jaśniało w półmroku.

Annika znów rozwinęła folię i odcięła kolejny kawałek.

Frida spojrzała na betonowy sufit nad parkingiem.

– Myślisz, że jest tu zasięg? – spytała.

Halenius sięgnął po komórkę i zaklął.

– Muszę wyjść na ulicę – powiedział i biegiem ruszył w stronę wyj-

ścia.

Frida otworzyła drzwi od strony kierowcy, wsiadła. Najwyraźniej nie zamierzała dalej pakować pieniędzy.

Annika oderwała kolejny kawałek folii, przycięła go, rozłożyła na podłodze i zaczęła układać na nim pieniądze. Sięgnęła do kartonu, wyjęła kilka paczek zielonych banknotów, rzuciła je na folię. Bande-
role się rozerwały, banknoty rozsypały się na betonowej posadzce. Strażnik stojący przy wyjeździe nerwowo przestępował z nogi na nogę. Zastanawiała się, co zdążył zobaczyć. Trzęsącymi się rękami zaczęła układać banknoty na folii. Tak samo jak poprzednio, warstwa na warstwie, każda po dziewięć plików. Potem owinęła wszystko folią, a później kilka razy srebrną taśmą klejącą, jak poprzednio Halenius. Włożyła paczkę do torby, zaciągnęła zamek. Torba była ciężka. Musiała chwycić ją obiema rękami.

Najlepiej będzie, jeśli dziećmi zaopiekuje się Sophia, pomyślała.

Kątem oka zobaczyła biegnącego w stronę samochodu Haleniusa. W rękę trzymał komórkę.

– Cmentarz Langata – powiedział. – Tam mamy zostawić pieniądze, na cmentarzu Langata, przy bramie, od strony Kungu Karumba Road.

Szybko wyjechali z parkingu. Wypełnione banknotami torby podskakiwały na podłodze przy stopach Anniki.

– Zgodził się, żebym prowadziła samochód? – spytała Frida, włączając się do ruchu. Samochody stały w korku, prawie się nie ruszały.

– Nie miał specjalnie wyboru. Powiedziałem, że sami sobie nie poradzimy, że nie trafimy.

– Podałeś im moje nazwisko?

– Nazwisko nie, tylko imię.

Frida jęknęła.

– Jimmy, do diabła! Miałeś mu nie podawać moich danych! Obiecałeś!

Halenius odwrócił głowę, patrzył przez okno. Annika zobaczyła białą obwódkę wokół jego ust.

– Drań oszalał. Nie da nam dowodu życia.

Annika wpatrywała się w jego głowę.

– Ale przecież mówiłeś, że... Że nie zapłacimy, jeśli oni...

– Tak, wiem.

Frida wymamrotała coś w jakimś niezrozumiałym dla Anniki języku i skupiła się na prowadzeniu. Zahamowała przy zniszczonym, niemal niewidocznym znaku stopu, skręciła w Ngong Road. Linie wysokiego napięcia wisiały nad ulicą, tworząc swoistą pajęczą sieć. Na jezdni nie było żadnych pasów, żadnych białych linii, tylko asfalt i kurz.

Annika zamknęła oczy, nie chciała patrzeć na twarze ludzi, których mijali. Co zrobi, jeśli Thomas umrze? Jeśli już nigdy go nie zobaczy?

Co zrobi, jeśli Thomas przeżyje?

Jeśli wróci okaleczony, po traumie?

Teraz nie mają już pieniędzy na nowe mieszkanie, a on nie cierpi jej trzech pokoi przy Agnegatan. Czy będzie mógł wrócić do pracy? Czy są protezy, które zastępują ludziom dłonie?

Jak będzie się czuła, kochając się z nim?

Zaczerpnęła powietrza.

– Jak mam przekazać okup? – spytała.

– Dokładne instrukcje dostaniemy na miejscu – powiedział Halenius zduszonym głosem.

Zaczął padać deszcz. Frida włączyła wycieraczki. Jedna skrzypiała. Langata Road wiła się po zboczach wzgórza niczym poskręcany sznur. Przystanki autobusowe z zardzewiałej blachy, betonowe mury zwieńczone drutem kolczastym. Drzewa dzielące się już u podstawy, a potem rosnące ku niebu. I wszędzie zapach spalin i węgla.

Frida skręciła w prawo, samochód przechylił się, cały się trząś. Zwolniła.

– To tutaj? – spytał Halenius, wpatrując się w zardzewiałą tablicę.

Annika podążyła za jego wzrokiem.

City Council of Nairobi

Area Councillor Ward manager

Mugumoini Ward

Welcome

Deszcz moczył przednią szybę. Frida przesunęła okulary na włosy, wyłączyła silnik. Zatrzymali się przy bramie z siatki, z drutem kolcza-

stym na górze. W pobliżu stało kilka innych pojazdów. Niektóre trudno było rozpoznać, większość była bardzo zniszczona. Wyróżniał się błyszczący czarny merc.

W samochodzie panowała gęsta cisza.

– Co teraz? – spytała Annika.

– Czekamy.

– On wie, że tu jesteśmy?

– Na pewno.

Rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy wysłannik porywaczy nie ukrył się za jej plecami. Dwóch mężczyzn przeszło za samochodem, potem kobieta z dzieckiem i chłopiec z rowerem. Kto z nich, kto z nich, kto z nich? Tlen w samochodzie się skończył, mimowolnie chwyciła się za gardło.

– Mogę wyjść?

– Nie.

Siedziała z ręką na klamce.

Mijały sekundy. Minuty. Nikt się nie odzywał.

Za moment wyjdzie z samochodu, z torbą w każdej ręce – jeśli w ogóle da radę je unieść, ważyły prawie trzydzieści kilogramów każda – i powoli zacznie kroczyć w cieniu śmierci, przygotowana na najgorsze.

– Ile czasu minęło? – spytała Frida.

Haleniusz spojrział na zegarek.

– Prawie kwadrans.

Annika czuła, że brakuje jej powietrza.

– Muszę wyjść – powiedziała.

– Annika...

Otworzyła drzwi, stanęła na błotnistej ziemi.

– Nie odejdę daleko.

Bramę cmentarza zrobiono z siatki, powiązanej zwykłym sznurem.

Szła, mijając kałuże, schyliła się, przeszła pod furtką i znalazła się na cmentarzu. Hałas z ruchliwej Langata Road ucichł. Jakiś samolot przeleciał na niewielkiej wysokości, śledziła go chwilę wzrokiem.

Ciało można transportować samolotem, tyle wiedziała. Zaczęła się

zastanawiać, czy trzeba zadzwonić do biura podróży, czy też można je po prostu nadać jako bagaż.

Deszcz niemal ustał.

Gdzie każą jej zostawić pieniądze? Za jakimś drewnianym krzyżem? W otwartym grobie?

Po lewej, za płotem z drutu kolczastego, zobaczyła rząd świeżych grobów. Ziemia była brunatna, krzyże białe. Groby ciągnęły się dosyć daleko, te starsze zdążyły już porosnąć trawą, krzyże się przewróciły.

Nie znalazła miejsca, które w naturalny sposób nadawałoby się do tego, żeby w nim zostawić dwie torby, czarne z czerwonym logo. Rzucałyby się w oczy. Ludzie zaczęliby się dziwić, może ktoś postanowiłby sprawdzić, co w nich jest? Powiodła wzrokiem po cmentarzu.

Nieco dalej, po prawej, stał niewielki szary betonowy budynek, z zardzewiałym dachem z blachy i zakratowanymi oknami. Nad drzwiami wisiała tabliczka: *Mugumoini Ward*.

Coś w nim wydało jej się znajome. Drzwi pośrodku dłuższej ze ścian, okna umieszczone symetrycznie po obu stronach drzwi.

Lyckebo, pomyślała. Domek babci nad Hosjön. Typowa szwedzka dwuizbowa wiejska chata.

Drzwi się otworzyły, z budynku wyszły trzy kobiety. Zaczęły jej się przyglądać. Mimo że dom wydawał się nawiązywać do szwedzkiej tradycji, ona sama wyraźnie budziła zainteresowanie. I wyraźnie była tu nie na miejscu.

Odwróciła wzrok.

W zielonej części cmentarza odbywał się pogrzeb. Grupa ludzi stała wokół grobu, którego nie widziała. Jakiś mężczyzna mówił coś do mikrofonu, głośnik trzeszczał.

Stała cicho i słuchała. Głos mężczyzny falował, raz brzmiał ciszej, raz głośniej. Niektórzy z zebranych rozłożyli duże parasole.

Obejrzała się do tyłu, spojrzała na bramę. W oknie samochodu zobaczyła twarze Fridy i Haleniusa. Siedzieli obok siebie, ale nie było widać, żeby ze sobą rozmawiali.

Znów spojrzała na cmentarz. W głębi widoczne były większe groby, właściwie grobowce, niektóre murowane, inne z blachy. Tam zapewne można by było ukryć dwie sportowe torby, pomyślała.

Ruszyła alejką, podeszła do pierwszego grobowca. Obłożona białymi kafelkami cegła i pomalowane na turkusowo dekoracje z kutego żelaza.

Blessed are the pure in heart for they shall see God.

Mężczyzna urodził się w 1933 roku, zmarł w 2005. Na grobie było jego wyblakłe zdjęcie. Wyglądał, jakby się uśmiechał. Białe kafelki miejscami były przysypane czerwonym piaskiem.

Zmarł w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, zapewne otoczony miłością.

Odwróciła się, chciała iść dalej i nagle nadepnęła na pustą plastikową butelkę. Leżała w trawie, na wpół zasypana ziemią. Wydała ostry dźwięk, kiedy Annika podniosła stopę. Obok grobu były ślady ogniska, nadpalone patyki, resztki śmieci, kawałki plastiku, podarty materiał, zniszczona opona. Może plastikowa butelka pod jej stopą uciekła od ognia, może zamiast spłonąć, wolała dać się pogrzebać w ziemi razem z mężczyzną o czystym sercu.

Halenius się nie poruszył.

Właściwie lubiła cmentarze. Pomyślała, że powinna częściej odwiedzać grób babci.

Usiadła na ziemi między dwoma grobami. Charles zmarł w wieku dwunastu lat. Na drugim grobie na krzyżu umieszczono zdjęcie kobiety. Lucy. Zdjęcie z czasem wyblakło, ledwie było widać zarys jej twarzy, grób porastały chwasty.

Annika spojrzała przed siebie. Czy Charles i Lucy chcieliby się urodzić, gdyby dano im wybór? Dobrnęli do celu swojej podróży, pewnie potrafiliby odpowiedzieć na jej pytanie. Żałowała, że nie może ich spytać.

Babcia na pewno odpowiedziałaby, że tak. Kochała życie. Znajdowała radość w drobnych codziennych sprawach. Lubiała zbierać grzyby, siedzieć przy zapalonych świeczkach, oglądać piątkowe programy rozrywkowe w telewizji.

A ona?

Zaczerpnęła powietrza, sceny z własnego życia przelatowały jej przed oczami. Przypomniała sobie, jak kiedyś, kiedy miała siedem lat, babcia uratowała ją, gdy załamał się pod nią lód na jeziorze. Jezioro

zamarzło, a ona postanowiła sprawdzić, czy lód wytrzyma. Przypomniała sobie też, jak innym razem babcia musiała wdrapać się na długą drabinę i pomóc jej zejść z wysokiego modrzewia, bo ona się bała. Pamiętała, jak babcia, która nigdy nie studiowała na uniwersytecie, wspierała ją, gdy zdecydowała się zdawać na dziennikarstwo. „Jeśli chcesz się przekonać, czy dasz radę, musisz spróbować”, mówiła.

Przełknęła ślinę. Co by odpowiedziała, gdyby stała u progu życia i ktoś by ją zapytał, czy chce spróbować? Czy odpowiedziałyby: nie, to chyba za trudne? Czy naprawdę zrezygnowałyby z doświadczenia czegoś nowego, bo mogło się to okazać zbyt trudne?

Odchyliła głowę do tyłu, spojrzała na deszczowe chmury.

Dokonała wyboru.

Zdecydowała się tu przyjechać. Może to wszystko rozstrzyga?

Zmrużyła oczy, znów spojrzała w stronę cmentarza. Jej wzrok zatrzymał się na kolejnym grobie. Ziemia była jeszcze brązowa, więc grób musiał być stosunkowo świeży.

Ukochana żona, matka, babcia.

Sunrise: 1960. Sunset: 2001.

May the Lord rest her in peace.

Wschód słońca i zachód słońca. Jak ładnie.

Umieszczone na grobie zdjęcie było jeszcze wyraźne. Kobieta miała kręcone włosy, na głowie duży biały kapelusz.

– Annika!

Zamarła, spojrzała w stronę bramy. Halenius wysiadł z samochodu, machał do niej.

Pogrzeb jeszcze się nie skończył, ale trzeszczący głośnik ucichł.

Nisko nad cmentarzem znów przeleciał samolot.

Biegiem ruszyła do bramy.

– Coś się stało? – spytała zdyszana.

– To nie tutaj. Musimy jechać dalej.

Zaczerpnęła powietrza, poczuła przyływ adrenaliny.

– Co się dzieje?

– Nowe polecenie. Przysłali SMS-a. Mamy minąć Lifespring Chapel i zostawić pieniądze na wzgórzu nad Kiberą. Wskakuj.

Atmosfera w samochodzie była napięta. Frida ssła wargę, jej oczy za szklami okularów iskrzyły. Wymieniała nazwy kolejnych placów i ulic, gwałtownie zmieniała biegi.

– Niedaleko lotniska jest kaplica. Chyba nazywa się Lifespring Chapel, ale to po drugiej stronie miasta. Może chodziło im o rondo niedaleko Mashimoni, na tyłach Ngong Forest Road, niedaleko rzeki...

Annika się odwróciła, wyjrzała przez tylną szybę, jeszcze raz spojrzała na cmentarz. Płot, przy którym parkowali, cały był porośnięty bujną roślinnością. Zieleń pokryła zardzewiałą siatkę i drut kolczasty. W przerwach między zielenią widziała, jak zgromadzeni wokół grobu żałobnicy składają parasole i ruszają w stronę cmentarnej bramy.

Dlaczego zmieniono plany? Czy zrobiła coś nie tak? Może porywacz miał na cmentarzu swojego człowieka?

Frida wrzuciła bieg, samochód skoczył do przodu, straciła z oczu ludzi na cmentarzu, rozplynęli się w zieleni.

Skręcili w mniejszą uliczkę, asfalt się skończył. Frida zwolniła. Jechali teraz z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, mijali wozy zaprzężone w osły, mężczyźni na rowerach.

Annika usiadła na środku kanapy, jak najdalej od okien.

Miała wrażenie, że domy napierają na samochód, widziała popękana glinę, blaszane baraki, zwirową drogę i pasącą się na skraju sterty śmieci kozę.

Mieli w samochodzie milion sto tysięcy dolarów, w torbach u jej nóg. Czy to widać z zewnątrz? A jeśli ci ludzie na zewnątrz wiedzą? Jak w takim miejscu ma im się udać przekazać pieniądze?

Minęli mężczyznę sprzedającego ceraty, obok szły kobiety z dziećmi na plecach. Czuli na sobie ich ciekawskie spojrzenia.

Nagle rozległ się głuchy huk. Annika wzdrygnęła się, chwyciła się mocniej fotela, Frida zahamowała.

– Co to było? – spytała Annika. – Co się stało?

Frida zaciągnęła hamulec ręczny, zdjęła okulary, z przerażeniem spojrzała na Haleniusa.

– Zachowuj się tak, jakby nas tu nie było – powiedział cicho.

Frida wzięła głęboki oddech. Otworzyła drzwi i wysiadła.

– *Aha! Msipige mawe!* – zawołała.

Ludzkie twarze w ulicznym kurzu. Annika nachyliła się do Haleniusa.

– Co ona mówi?

– Powiedziała, żeby nie rzucali kamieniami w samochód.

Po chwili Frida wróciła, usiadła za kierownicą, zwolniła hamulec ręczny, wrzuciła bieg. Nad górną wargą miała kropelki potu. Annika sprawdziła, czy wszystkie drzwi są zamknięte.

Po lewej ukazała się schodząca w dół zielona dolina, dalej na horyzoncie zieleń przechodziła w spękaną glinę, a potem w szare skały. Księżycowy krater? Czy niekończące się morze gliny?

Westchnęła głośno. Przypomniała sobie, że Kibera to jedno z najgęściej zaludnionych miejsc na świecie, jeden z największych slumsów Afryki. Blaszane budy i gliniane chaty ciągnęły się po horyzont. Sterty śmieci i błoto. Falujący dywan w odcieniach brązu, ciągnący się stąd do wieczności. Chciała coś powiedzieć, ale zabrakło jej słów.

– Tam, w dole, leży Mashimoni – odezwała się Frida. Wjechała na zawieszony kilkadziesiąt metrów nad wyschniętym korytem rzeki rondo. Zatrzymała się, wyłączyła silnik, zaciągnęła hamulec ręczny.

Siedzieli chwilę w milczeniu.

– Powiedzieli, gdzie mam zostawić pieniądze?

Halenius pokręcił głową.

Wszędzie wokół rozciągał się monotony krajobraz slumsów. Na sznurkach wisiało pranie, gdzieś między dachami unosił się dym, wszędzie kłębili się ludzie. Po drugiej stronie doliny maszty telefonii komórkowej zdawały się sięgać nieba.

– Myślisz, że będę musiała tam iść? – spytała Annika, ruchem głowy wskazując w stronę blaszanego labiryntu.

– Nie wiem – odpowiedział Halenius.

Mijały kolejne minuty.

Annika wyjęła kamerę, włączyła ją, zaczęła filmować mijających ich ludzi.

– Mogę opuścić szybę?

– Myślę, że nie musimy tu siedzieć – powiedział Halenius. Otworzył drzwi, wysiadł.

Annika i Frida ruszyły za nim.

Stali na górze, z widokiem na slumsy w dolinie, niczym Król Lew na swojej skale nad sawanną. Z dołu dochodziły do nich głosy, jak monotonny szum.

– Nie mieszka tu tak dużo ludzi, jak kiedyś sądzono – powiedział Halenius. – Dawniej zakładano, że mieszkają tu dwa miliony, teraz mówi się o kilkuset tysiącach.

Czytała o tym, oglądała programy w telewizji, widziała też film *Wierny ogrodnik*. Jego akcja rozgrywała się właśnie tutaj, ale dopiero teraz zrozumiała, jak to wygląda naprawdę.

Odezwała się komórka Haleniusa, nowy SMS.

Halenius zaczął czytać, Annika wstrzymała oddech.

Chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Niech tylko powiedzą gdzie. Gotowa była przenieść torby przez wyschnięte koryto rzeki, ukryć je wśród blaszanych baraków, wejść w tłum kolorowo ubranych kobiet i chłopców w szarych szkolnych mundurkach, wrzucić torby do kontenera na śmieci albo zostawić je gdzieś w warzywniaku. Była gotowa zrobić wszystko.

– Torby z okupem masz zostawić przy wejściu do Langata Women’s Prison.

Annika zamrugnęła oczami. Nic nie zrozumiała.

– To więzienie dla kobiet, w pobliżu cmentarza.

– Wracamy tam, skąd przyjechaliśmy? – spytał Halenius.

Frida szybko podeszła do samochodu, włączyła silnik. Annika i Halenius pospieszyli za nią, Annika zamknęła drzwi. Frida zaczęła cofać, wjechała w dziurę, Annika uderzyła głową o sufit.

– *Sorry* – powiedziała Frida, zerkając w lusterko.

Nie lubi mnie, pomyślała Annika. Wolałaby, żeby mnie tu nie było, wolałaby być tu sama z Haleniusem.

Czy rzeczywiście tak było? Czy dlatego zgodziła się im pomóc? Ciekawe, kiedy uświadomiła sobie swoje uczucia. Może już wtedy, kiedy dzieliła pokój z Angelą Sisulu. Może leżała w sąsiednim łóżku i nasłuchiwała?

A teraz? Czyżby już się domyśliła? Zrozumiała? Przejrzała ich?

Annika wyjrzała przez okno. Jechali zakurzonymi ulicami, mijali wielkie wystawy sklepowe, warsztat szklarski, meczet, rzeźnię. Samo-

chód podskakiwał i trząsał się na wyboistej drodze. Annika próbowała chronić głowę rękami.

Nagle Frida zwolniła. Droga się skończyła, dojechali do wysypanego żwirem placu prowadzącego do żeliwnej bramy, pomalowanej w jaskrawe kolory: na zielono, czarno, żółto i czerwono. Kenijskie barwy narodowe. Nad bramą wisiała tabliczka: „Langata Women’s Maximum Security Prison”. Słońce nadal nie podjęło decyzji, czy wyjść zza chmur. Wokół panowała cisza.

Annika się rozejrzała. Naprawdę ma tu zostawić pieniądze? A może to kolejna zmyłka?

Opuściła szybę, wychyliła się. Budynki więzienia nie wyglądały szczególnie przerażająco, ale sprawiały smutne wrażenie. Z prawej strony wznosił się zwieńczony drutem kolczastym mur, nieco dalej, po lewej, stały czteropiętrowe bloki.

Frida ruchem głowy wskazała na wejście.

– Moja przyjaciółka tu trafiła. Miała dobrą pracę, była stewardesą, ale postanowiła dorobić sobie na boku i zaczęła szmuglować heroinę. Znaleźli przy niej pół kilograma. Odsiedziała już dziesięć lat. Z czterem nastu.

Halenius wpatrywał się w komórkę.

– Myślisz, że to tutaj? – spytała Annika.

Zaczął nerwowo targać włosy.

Po chwili Frida wysiadła i ruszyła w stronę portierni.

– Zostaniesz tu? – spytał Halenius.

Annika skinęła głową.

Wysiadł, zamknął drzwi. Przy blaszanym baraku siedziała młoda kobieta z trójką dzieci. Na tabliczce nad barakiem napisano: „Visitors’ Waiting Lodge”. Poczekalnia dla odwiedzających. Annika uniosła kamerę, zaczęła filmować. Zarówno kobieta, jak i dzieci miały na sobie ubrania w jaskrawych kolorach, wyglądali czysto i schludnie. Annika dziwiła się, że to możliwe. Do bramy podeszła kobieta w czerwonych dżinsach i śnieżnobiałej bluzce, ciągnęła za sobą dużą walizkę. Nowa więźniarka? Co zrobiła, że tu trafiła? – zastanawiała się Annika. Kamera cały czas była włączona.

Poczuła podmuch wiatru. Przyniósł zapach gumy i skwaśniałego

mleka. Opuściła rękę, zamknęła oczy. Z daleka, z głośnika, dobiegł głos mężczyzny. Mówił coś, czego nie rozumiała. Minał ją jakiś samochód. Zza chmur wyszło słońce, promień dotknął jej powieki. Czerwone ciepło.

Thomas mieszkał w hotelu, w którym rano jedli śniadanie. Pewnie schodził do Traveller's Restaurant i flirtował z Brytyjką w barze obok. Była tego pewna. Kiedy drugiego dnia konferencji zadzwonił wieczorem do domu, mówił, że wybrał się na zwiedzanie miasta. Nie sądziła, żeby dotarł do takich miejsc jak Kibera czy Langata Womens' Maximum Security Prison. Thomas żył w świecie, w którym katastrofą jest plama po czerwonym winie na krawacie. Dla niego kobiety w czerwonych dżinsach i białych bluzkach są po prostu dodatkowym obciążeniem dla społeczeństwa. Kiedy byli w Stanach, ją absorbowała niesprawiedliwość społeczna i wykluczenie społeczne ze względu na rasę czy przynależność klasową. Thomas dostrzegał w amerykańskim społeczeństwie głównie wolność jednostki i swobodę ekonomiczną. Wiedziała, że tak do końca żadne z nich nie ma racji, a może mieli ją oboje? Thomas nie miał żadnych wątpliwości. Był przekonany, że jeśli ktoś jest silny, wolny i bierze odpowiedzialność za swoje czyny, to zawsze sobie poradzi. Czy jeśli wróci, zacznie pewne rzeczy widzieć inaczej?

Otworzyła oczy. Wokół samochodu, na trawie, siedzieli ludzie. Wzięła do ręki kamerę, zaczęła filmować. Niektórzy wygrzewali się na słońcu, niektórzy jedli kanapki, kobiety kołysały w ramionach dzieci. Nieco dalej na pieńku siedziała para: kobieta i mężczyzna. Ona miała na głowie fioletowy turban, on trzymał w ręku komórkę. Annika wycelowała w niego kamerę. Może to on jest wysłannikiem porywaczy? Może przed chwilą wysłał SMS-a do Haleniusa, informując go, gdzie mają zostawić okup?

Mężczyzna, którego głos płynął z głośnika, zaczął śpiewać.

Nagle Frida szarpnęła drzwi od jej strony.

– Schowaj kamerę – wysyczała. – To zakład państwowy. Aresztuj nas, jeśli ktoś się zorientuje, że filmujesz.

Halenius podszedł do samochodu, otworzył drzwi z drugiej strony, w rękę trzymał komórkę. Zaciskał wargi.

– To nie tutaj. Każą nam jechać do Eastleigh.

Oczy Anniki zaszły łzami od przeciągu. Frida trzasnęła drzwiami, Annika zamknęła okno, zamrugęła. Czuła, że zaraz się rozpłacze.

– Tym razem to chyba wreszcie będzie tam – powiedział Halenius.

– Eastleigh nazywa się małym Mogadiszu. Mieszka tam wielu Somalijszczyków.

Frida włączyła silnik.

Kobieta w fioletowym turbanie zniknęła.

Mężczyzna z komórką został na swoim miejscu. Nawet nie podniósł głowy, kiedy odjeżdżali.

* * *

– Trzy miliony? T r z y m i l i o n y?!

Prezes zarządu, Herman Wennergren, był tak wzburzony, że jego policzki pokryły czerwone plamy.

– Decyzję podjąłem nie tylko na podstawie szacowanych zysków ze sprzedaży, ale też ze względów czysto humanitarnych. Chodziło o ratowanie ludzkiego życia.

– Ale trzy miliony? Z naszych zysków? Dla tej nieźrównoważonej kobiety?

Herman Wennergren nie należał do wielbicieli Anniki Bengtson. Schyman uznał, że zapewne miał ku temu powody, ale nazwanie ją osobą nieźrównoważoną było jednak przesadą.

W duchu cieszył się, że Wennergren nie rzucił najważniejszego argumentu: że „Kvällspresen” wspiera w ten sposób międzynarodowy terroryzm.

– Annika Bengtson jest w Nairobi. Ma przekazać okup – powiedział Schyman. – Zresztą znacznie większy niż nasze trzy miliony. Większość to jej własne pieniądze. A wracając do naszego wkładu, to uważam, że to dobra inwestycja.

Herman Wennergren wymamrotał coś niezrozumiałego. Rozejrzał się po szklanej klatce Schymana, jak zwykle niezadowolony.

– Znów tu coś pozmienialiście? – spytał, sadowiac się w fotelu dla gości. Postawił teczkę przy nodze fotela, palto przerzucił przez opar-

cie.

W budżecie nie było pieniędzy na żadne przebudowy czy remonty. Doskonale o tym wiedział.

– Czemu pytasz?

Schyman odchylił się w swoim nowym fotelu, przyglądał się prezesowi ze zdziwieniem.

– Twój gabinet... jakby trochę się zmniejszył.

– Jest taki jak zawsze.

Schyman doszedł do wniosku, że jego szef zachowuje się jak ktoś, kto jako dorosły wraca do miejsc z dzieciństwa i stwierdza, że wszystko się skurczyło. Podobnie wyobrażał sobie firmy, które prowadził. Miał cztery, w jego mniemaniu wszystkie potężne i wspaniałe, co nie do końca odpowiadało rzeczywistości. W świecie Wennergrena każdy wydatek był złem. Kiedyś, było to co prawda po firmowej kolacji z mnóstwem wina, powiedział, że gdyby nie redakcja, to „Kvällspresen” byłoby świetnie zarządzaną małą firmą.

Prezes odchrząknął.

– Nie mogę powiedzieć, żeby twoje wypowiedzenie nas zaskoczyło. Od jakiegoś czasu mieliśmy wrażenie, że chcesz się wycofać.

Schyman przyglądał mu się, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Był zdumiony. Zarząd nie mógł się niczego domyślać. Nikomu nie szepnął słowa o tym, że zamierza się wycofać. Członkowie zarządu postulowali nawet ostatnio, żeby poszerzyć jego kompetencje, przeciwko czemu skromnie nie protestował.

– Cieszę się – powiedział. – Rozumiem, że znalezienie następcy nie będzie problemem.

Wennergren uniósł brwi.

– Zapewne macie już gotową listę... – dodał. Dotknął palcami opatrunku na głowie.

– Pomyśleliśmy, że nam w tym pomożesz. To twoje ostatnie zadanie, zanim nas opuścisz.

Schyman położył ręce na blacie biurka, pilnował, żeby nie drżały. Tego się nie spodziewał. Po tylu latach Wennergren nawet nie spróbował go zatrzymać. Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

Wennergren przeciągnął ręką po łysinie.

– Jesteś w tym dobry – ciągnął, nieco skrepowany. – Masz dużą wiedzę, dużo kontaktów. Dzięki pozycji, jaką zajmujesz.

Doprawdy, pomyślał Schyman. A ja sądziłem, że tę pozycję zawdzięczam własnej pracy, a nie kontaktom.

– Jakie cechy ma mieć mój następca? – spytał obojętnym tonem.

Prezes wykonał nieokreślony ruch ręką.

– Sam wiesz najlepiej.

Odchodzący, a może zwolniony szef odchylił się w fotelu. Fotel lekko zatrzeszczał.

– Daj mi jakieś wskazówki.

Wennergren usiadł wygodniej.

– Oczywiście musi to być ktoś zaufany. Reprezentatywny. Ktoś, kto będzie potrafił bronić stanowiska gazety w debatach telewizyjnych. Kto będzie świadom kosztów, ale będzie też kreatywny. No i lojalny, tego chyba nie muszę mówić. Kto będzie potrafił negocjować, dobierać sobie odpowiednich współpracowników, zadba o dystrybucję i sprzedaż, będzie startował nowe projekty...

Nie startuje się projektów, pomyślał Schyman. Kalki z angielskiego przeszkadzały mu. Chociaż pewnie wkrótce sformułowanie to wejdzie do potocznego języka, pomyślał. Po jakimś czasie Akademia Szwedzka uzna je za normę, o ile już tego nie zrobiła.

Nagle zdał sobie sprawę, że Wennergren uważa za oczywiste, że jego następca będzie mężczyzną.

Nie zasłużyli sobie na mnie, pomyślał.

– A od strony dziennikarskiej? – spytał. – Kogo mam szukać?

Prezes zarządu pochylił się nad biurkiem.

– Kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto będzie potrafił pięknie mówić o demokracji i wolności słowa, i drukować w zasadzie to, co chce...

Wennergren urwał. Może się zorientował, że jednak trochę przeszedł.

Schyman położył ręce na kolanach, poruszył się niespokojnie w fotelu. Zastanawiał się, czy drań świadomie go prowokuje, czy może upokarzanie ludzi jest dla Wennergrena czymś normalnym. Nie wspomniał słowem o tym, co Schyman przez te wszystkie lata osiągnął. Nie wspomniał o jego sukcesach, jego poświęceniu dla gazety, która

przecież była okrętem flagowym koncernu.

Przez czternaście lat, czyli przez cały czas, kiedy był jej redaktorem naczelnym, Wennergren reprezentował w zarządzie rodzinę właścicieli koncernu. „Kvällspresen” było tytułem, który przynosił rodzinie największe zyski, a mimo to cały czas traktowano go z lekką pogardą. Zyski były mile widziane, ale o gazecie jako takiej mówiło się niechętnie.

Zarząd najwyraźniej uznał go za kukiełkę, która na forum publicznym pięknie mówi o odpowiedzialności i wolności prasy, ale w gazecie wydrukuje wszystko, co jej się zleci. A na koniec, zamiast podziękować, kazano mu znaleźć następcę. Zarząd pozbędzie się problemu, on odwali za nich robotę, a cała chwała spadnie na nich.

– Proponuję, żebyśmy się zastanowili nad kimś z redakcji – powiedział. – Trudno będzie znaleźć kogoś z zewnątrz, kto miałby niezbędną wiedzę i cieszył się naszym zaufaniem.

– Chyba jednak wolelibyśmy kogoś z zewnątrz – Wennergren wszedł mu w słowo.

– Na przykład z telewizji? Jak w moim przypadku?

– Może raczej z „Konkurrenten”.

Jasne. Najlepiej podkupić najlepszego gracza rywali, prawdziwie sportowe zagranie.

Schyman wpatrywał się w lekko przekrwione oczy prezesa. I nagle przyszedł mu do głowy iście szatański pomysł.

– Może zarząd nie jest tego świadomy, ale mamy w swoim gronie odpowiednich kandydatów – powiedział.

– Myślisz o Sjölanderze? – spytał Wennergren. – Kiepsko wypada w telewizji.

Schyman spojrzał na redakcję. Nie miał nic do stracenia.

– Dział wiadomości ma nowego szefa, który ma duży potencjał. Jest lojalny jak rzadko kto, kreatywny, zna się na publicystyce i wierzy w tabloidy. Patrik Nilsson.

Wennergren się rozpromienił.

– Pisał o tym seryjnym mordercy, tak?

Schyman uniósł brwi. A więc Wennergren jednak ich czyta. I to uważnie. Patrik napisał tylko jeden z całej serii artykułów.

– Tak, o Gustafie Holmerudzie – potwierdził. – Policja właśnie podała powody decyzji o jego aresztowaniu. To prawdziwa sensacja. Przyznał się już do pięciu morderstw, ale ma zostać przesłuchany także w związku z innymi do tej pory niewyjaśnionymi zabójstwami dokonanymi na terenie całej Skandynawii w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

– No proszę – skwitował Wennergren.

Schyman ruchem głowy wskazał w stronę działu wiadomości.

– To Patrik zwrócił uwagę na podobieństwa między tymi morderstwami i naprowadził policję na właściwy trop.

– Patrik Nilsson – powtórzył Wennergren z namysłem. – To świetny pomysł. Przedstawię go właścicielom koncernu. – Odsunął fotel, wstał. – Kiedy zamierzasz odejść? – spytał.

Schyman nie ruszył się z fotela.

– Jak tylko dane z monitoringu prasy pokażą, że jesteśmy lepsi od „Konkurrenten”.

Prezes skinął głową.

– Urządzimy ci prawdziwe pożegnanie, z udziałem członków zarządu, właścicieli koncernu i oczywiście pracowników. No i mam nadzieję, że te miliony rzeczywiście okażą się trafioną inwestycją. Puścili go już?

– O ile wiem, jeszcze nie.

Wennergren wymamrotał coś pod nosem, odsunął szklane drzwi i wyszedł. Drzwi zostawił otwarte. Schyman patrzył, jak idzie do wyjścia z teczką w jednej ręce i paltem w drugiej.

Dla popołudniówki wiarygodność to podstawa. Kiedy Patrik Nilsson zostanie redaktorem naczelnym, katastrofa stanie się nieunikniona. To tylko kwestia czasu. Wennergren, który zgodził się go zatrudnić, będzie musiał odejść, sprzedaż poleci na łeb na szyję. Trzeba będzie lat, żeby odrobić straty.

Ale najpierw musi prześcignąć „Konkurrenten”. Uczyni „Kvällspresen” największym dziennikiem w Skandynawii, z solidnymi finansami, cieszącym się dobrą opinią wśród kolegów dziennikarzy.

Sięgnął po telefon, wybrał numer prywatnej komórki Anniki.

* * *

Utknęli w korku, między bentleyem a wózkiem ciągniętym przez osła.

Zadzwoiła komórka, Annika odebrała.

– Jak wam idzie? – spytał Schyman.

– Mam nadzieję, że do przodu – powiedziała Annika. – Chociaż właśnie stoimy w korku.

Była spragniona, a jednocześnie chciało jej się sikać.

– Przekazaliście okup?

– Jeszcze nie.

– Jak to wygląda?

Wyboista droga, dziurawy asfalt, żadnych chodników, brązowoczerwona ziemia. Sterty śmieci, plastik, potłuczone szkło, kartony. Kable wiszące na drzewach jak liany, pomyślała Annika, chociaż dobrze wiedziała, że nie o to Schyman pyta.

– Ciągłe coś zmieniają – powiedziała głośno. – Jedziemy już w czwarte miejsce. Mamy nadzieję, że okaże się ostatnim.

– Właśnie rozmawiałem z Wennergrenem. Martwi się o naszą inwestycję.

Annika zamknęła oczy, zacisnęła mocno powieki.

– Co chcesz, żebym powiedziała, do diabła?

– Muszę coś zarządowi przekazać.

– Niech sobie potem pogadają z porywaczem. Może dostaną rabat.

Na linii zapadła cisza.

– Chodzi o coś konkretnego? – spytała w końcu Annika.

Miała wrażenie, że po drugiej stronie rozległo się westchnienie.

– Nie – odezwał się Schyman. – Po prostu chciałem się dowiedzieć, jak wam idzie.

– Do przodu – powtórzyła Annika.

Poczuła na sobie spojrzenie Haleniusa. Schyman, powiedziała bezgłośnie.

– Słyszałaś, że nasz seryjny morderca przyznał się do winy? – usłyszała głos szefa.

Za oknem samochodu przejechał mężczyzna na rowerze, na ramie wioził klatkę z kurami.

– Kto? – spytała.

– Gustaf Holmerud. Zabił pięć kobiet. Patrik przyznał, że ty pierwsza na to wpadłaś. Moje gratulacje. Miałaś rację.

Annika przyłożyła rękę do czoła. Zabójstwa kobiet zamieniły się w morderstwa na przedmieściach, jakie to proste.

– Schyman, nie wierzę w to. Wszystkie te kobiety padły ofiarą swoich mężów. Wiesz o tym.

Trzaski na linii, usłyszała tylko końcówkę jego odpowiedzi:

– ...wszyscy bardzo się o ciebie martwią – mówił Schyman. – Filmujesz?

Annika spojrzała na leżącą obok kamerę.

– Trochę.

– Niewiele brakuje, a wyprzedzimy „Konkurrenten” także w sieci. Przydałoby się nam jakieś dobre nagranie, żeby postawić kropkę nad i.

Samochody stojące przed nimi w końcu ruszyły, Frida wrzuciła bieg. Annika wyjrzała przez okno. Dziewczynki w szkolnych mundurkach, mężczyźni w zakurzonych czapkach z daszkiem i za dużych marynarkach.

– Hm... – wymruczała.

– Będziemy w kontakcie – zakończył Schyman.

Halenius spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Czasem mam wrażenie, że z Schymanem naprawdę jest coś nie tak – powiedziała Annika i położyła komórkę na kolanach.

– Musimy coś zjeść – przerwała im Frida. – Jeśli nic się nie zmieni, mamy przed sobą jeszcze kilka godzin. W torbie są kanapki.

– Może powinniśmy zostawić je na później – powiedział Halenius. – Bóg jeden wie, ile to wszystko jeszcze potrwa. Może się zatrzymamy i zjemy coś po drodze?

Annika się wyprostowała.

– Skoro zajmuję się logistyką, to wyskoczę coś kupić.

Jechali jeszcze dziesięć minut, potem Frida wrzuciła kierunkowskaz i zjechała na parking przed dużym kompleksem handlowym. „Nakumatt”, napisano na tablicy z logo sklepu. Ze słoniem.

Frida wzięła od ochroniarza kwit, zaparkowała między dwoma sa-

mochodami, dwoma range roverami. Wskazała na restauracje po lewej: pizzerię, kawiarnię, texmex i sushi.

– Co wam przynieść? – spytała Annika.

– Coś, co nie ostygnie. Jakaś sałatkę – powiedziała Frida.

Annika zajrzała do niewielkiej restauracji przy parkingu. Z głośników płynęła muzyka, funk, metalowe meble ogrodowe, czerwone parasole. Stała przy ladzie, wzięła do ręki jadłospis. Sałatka kosztowała pięćset dwadzieścia szylingów. Można też było zamówić francuską zupę cebulową.

To nie Afryka, to Marbella.

Starła się przypomnieć sobie, ile ludzi w tym kraju żyje z ONZ-owskich przydziałów żywności.

Podeszła do niej kelnerka. Była od niej znacznie młodsza i znacznie ładniejsza. Annika zamówiła trzy sałatki cesarskie z kurczakiem i sześć butelek wody mineralnej, na wynos. Kelnerka zniknęła w kuchni. Annika zaczęła nerwowo przestępować z nogi na nogę.

Przy stoliku obok siedziało czterech białych chłopaków, mieli pewnie po dwadzieścia pięć lat. Jedli hamburgery z keczupem i frytkami. Annika poczuła, że przewraca jej się w żołądku. Poszła poszukać toalety.

Podłoga była z czarnego granitu, w środku stał stolik do przewijania niemowląt. Była zaskoczona. Woda w misce klozetowej była niebieska. Kiedy oddała mocz, zmieniła kolor na zielony.

Pomyślała, że Thomasowi taka łazienka na pewno by się spodobała. Chociaż pewnie zwróciłby uwagę, że uchwyt na papier toaletowy trochę się poluzował. Ale doceniłby i wystrój, i czystość.

Jeśli w toalecie, którą goście widzą, jest brudno, to wyobrażasz sobie, jak brudno musi być w kuchni? – mawiał.

Kiedyś zapytała go, czy chce przez to powiedzieć, że jeśli rodzice uderzą dziecko w miejscu publicznym, to należy przypuszczać, że w domu regularnie je tłuką.

Spojrzał na nią zdziwiony. Co toaleta ma wspólnego z przemocą wobec dzieci? – spytał.

Spuściła wodę, umyła ręce, wyszła na słońce.

Sałatki były gotowe.

Zapłaciła i wróciła do samochodu.

Frida wyjechała na Ngong Road i ruszyła w stronę centrum.

*I had a farm in Africa, at the foot of the Ngong Hills.*²

Teraz Annika patrzyła na te słynne góry. Zza szyby samochodu. Wzięła do ręki kamerę, zaczęła filmować. Nie szło jej najlepiej. Góry wyglądały jak porośnięte krzakami pagórki.

Było gorąco i duszno.

Droga robiła się coraz gorsza, na szczęście ruch też się zmniejszył. Jechali z przyzwoitą prędkością. Słońce zniknęło. Annika się denerwowała, filmowała przypadkowe sceny: młodą dziewczynę grillującą przy drodze kolby kukurydzy, mężczyzn ciągnących taczki. Czuła, że torby u jej stóp stają się coraz większe. Wkrótce się ich pozbędzie. Weźmie w ręce, wrzuci do kontenera na śmieci albo do jakiejś dziury w ziemi, a może do rzeki, bo niby po co miałoby je owijać w folię?

Druty kolczaste odbijały światło, beczki na ropę wydawały zawożdzące dźwięki.

– Gdzie jest Eastleigh? – spytała Frida.

– Al-Habib Shopping Mall, 6th Street, 1st Avenue. Coś ci to mówi?

– Ładnie brzmi – powiedziała Frida. – Ulice, aleje, centrum handlowe... Małe Mogadyszu nie bez powodu tak się nazywa.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Halenius.

– Zobaczysz...

Asfalt nagle się skończył. Na drodze pojawiły się wielkie kałuże. Zmieszane z gliną błoto obryzgiwało koła. Annika filmowała drewniane taczki, wózki, materace, dywany, zioła w blaszanych puszkach, śmieci, papier, plastikowe opakowania, kobiety w czadorach, jeden ogromny, ale dobrze zorganizowany chaos. Widziała oczy ludzi uchwycone w kadrze kamery.

Nagle usłyszała, że ktoś uderzył w okno samochodu tuż obok niej, zaraz potem ktoś inny uderzył w dach. Otoczyli ich mężczyźni. Widziała ich twarze przyklejone do szyb, uniesione ręce, zaciśnięte dłonie, słyszała krzyki.

Frida odwróciła się, spojrzała na nią.

– Filmujesz? Zwariowałaś? To muzułmanie. Nie wolno ci ich filmo-

wać!

Annika puściła kamerę, jakby nagle zaczęła ją parzyć. Robiło się coraz głośniejsze, uderzenia stawały się coraz mocniejsze.

– Boże – jęknęła Frida. – Żeby tylko nie przewrócili samochodu...

Wóz zaczął się kołysać, trząść, Annika chwyciła się obiema rękami fotela. Kamera z hukiem spadła na podłogę. Ktoś szarpał za drzwi, koła buksowały w błocie.

– Wrzuć bieg – powiedział Halenius. – I powoli ruszaj.

– Nie mogę! – krzyknęła Frida. – Rozjadę ich!

– Zejdą ci z drogi, tylko jedź ostrożnie.

Na jezdni tłoczyli się ludzie, mężczyźni ciągnęli wózki, pchali taczki. Frida posłuchała Haleniusa i trąbiąc, powoli ruszyła do przodu. Mężczyźni biegli za nimi, szarpali drzwi, krzyczeli. Jechali dalej.

– Przed nami, po prawej, jest al-Habib! – krzyknęła. – Musimy skręcić.

– Jedź dalej – powiedział Halenius.

Annika pochyliła się do przodu, schowała twarz w dłoniach.

To wszystko jej wina.

Nagle krzyki ustały. Tłum został w tyle, droga znów była pokryta asfaltem. Frida wrzuciła dwójkę. Annika zauważyła, że trzęsą jej się ręce, miała łzy w oczach.

– Co teraz? – spytała cicho Frida.

Halenius szarpał się za włosy.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Dokąd mam jechać?

Złapał się za głowę.

– Nie wiem. Skończyłem kurs, ale takich sytuacji nie omawialiśmy.

Nagle krajobraz się zmienił: śmieci zniknęły, otoczyła ich tropikalna roślinność. Nawierzchnia była idealna, wzdłuż jezdni rosły drzewa, wysokie mury kryły eleganckie rezydencje.

– Porywacze dzwonią ze zwykłej komórki? – spytała Annika.

– Dlaczego pytasz?

– Możesz odpowiedzieć na ich SMS-a?

Halenius spojrzał na nią zdziwiony.

– Prawdę mówiąc, nie próbowałem.

– Spróbuj im wytłumaczyć. Powiedz, że wszystko poszło nie tak. Zwał winę na mnie.

– Wjadę na teren klubu golfowego – powiedziała Frida.

Skręciła w lewo, wjechali w strzeżoną przez dwóch strażników wysoką bramę.

Halenius wziął komórkę, zaczął pisać długą wiadomość. Frida zaparkowała pod ścianą pokrytą kwiatami bugenwilli, wyłączyła silnik. Halenius wcisnął wyslij i czekał w napięciu. W komórce coś zapiszczało.

– Niech to szlag – zaklął.

– Może wiadomość była za długa. Wtedy SMS zamienia się w MMS. Spróbuj skrócić – poradziła mu Annika.

Halenius jęknął i zaczął pisać od nowa. W samochodzie bardzo szybko zrobiło się gorąco. Frida otworzyła okno, usłyszeli śpiew ptaków.

– Co to za miejsce? – spytała Annika.

– Mój klub golfowy – odpowiedziała Frida.

– Mieszkasz w pobliżu?

– Prawie wszyscy dyplomaci i pracownicy Organizacji Narodów Zjednoczonych mieszkają w Muthaiga – powiedziała.

Annika spojrzała na otaczającą ich zieleń. W dali, między palmami, widać było zielone pole golfowe.

Byli zaledwie kilka kilometrów od Eastleigh, ale kontrast nie mógłby chyba być większy.

Komórka znów wydała cichy jęk.

– Nic z tego – oświadczył Halenius.

– Spróbuj zadzwonić – Annika nie dawała za wygraną.

Halenius wybrał numer, przyłożył komórkę do ucha.

– Abonent czasowo niedostępny.

Annika zagryzła wargi.

To nie była jej wina. To, co zrobiła, nie było aż tak ważne.

Frida otworzyła drzwi.

– Wejdźmy do środka – powiedziała, wskazując na klub, w którym najwyraźniej były również restauracja i bar.

– Mam jeszcze sałatkę – powiedziała Annika.

– W środku jest klimatyzacja – rzuciła Frida, nie patrząc na nią.

Słońce zaczęło już zachodzić. W powietrzu wisiała burza. Annika siedziała na schodach przed klubem golfowym, tym samym, do którego Karen Blixen odmówiono kiedyś wstępu tylko dlatego, że była kobietą. Jeśli oczywiście wierzyć filmowi *Pożegnanie z Afryką* z Meryl Streep w roli głównej.

Powiodła wzrokiem po parkingu: czarne kobiety wносиły ciężkie worki ze śmieciami, strażnicy, mężczyźni, odpoczywali w cieniu.

Woman is the nigger of the world, pomyślała. Schyman i jego seryjny morderca to tylko jeden z wielu przykładów. Przypomniała sobie, jak kiedyś rankiem, w pewną czerwcową sobotę, jechała redakcyjnym samochodem do Dalarny, gdzie zamordowano kilka osób. Bertil Strand, fotograf, opowiadał jej, co się stało: „Jakiś żołnierz wpadł w szał i zaczął strzelać do ludzi. Zabił siedem osób, jedną z nich była jego dziewczyna, ale reszta była niewinna”.

Odgarnęła włosy z czoła, było duszno.

Jaką winę ponosi ktoś, kto kocha? Czy ona też jest winna?

Na schodach pojawił się Halenius. Wokół ust miał białą otoczkę, oczy jak szparki. Wstała.

– Dostałeś SMS-a?

– Zadzwonili. Facet jest wściekły.

– Bo filmowałam?

– Bo nie zatrzymaliśmy się przy al-Habib, jak nam kazał. Stwierdził, że nie dotrzymaliśmy umowy, i chciał zacząć wszystko od początku. Powiedziałem, że jego somalijscy pobratymcy próbowali przewrócić nasz samochód i że musieliśmy odjechać, żeby ratować jego pieniądze. Wtedy trochę się uspokoił.

Halenius miał zaciśnięte usta, był spocony, zły. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

– Przepraszam – powiedziała.

Rozłożył ręce.

– Co ci przyszło do głowy, żeby filmować? Nie masz oleju w głowie? Nie rozumiesz, jak to się mogło skończyć?!

Przełknęła ślinę, nie chciała się rozplakać.

– Nie chciałam tego.
– Nieźle namieszalaś. Musimy jechać na północ.
Ruszył do samochodu, tuż za nim szła Frida z rachunkiem w ręku.
– Straszny ruch. Zajmie nam to kilka godzin.
– Dokąd jedziemy? – spytała Annika.
– Na lotnisko. Wilson Airport – odpowiedziała Frida zza pleców Haleniusa.

Annika spojrzała na nich zdziwiona. Halenius odwrócił się w jej stronę, w promieniach zachodzącego słońca jego twarz niemal płonęła.

– Lecimy do Liboi – powiedział. – Drań zażądał, żebyśmy stawili się tam natychmiast, ale potem trochę się opamiętał. Stało na tym, że polecimy jutro rano.

– Do Liboi? – wyszeptała Annika.

Znów miała przed oczyma zdjęcia z Google Earth: puste przestrzenie, spalona słońcem ziemia.

– Tam nie ma regularnych lotów – wtrąciła Frida. – Musicie wynająć samolot.

– Nie mam już pieniędzy – wyszeptała znów Annika.

– Zostało ci jeszcze trochę na moim koncie – powiedziała Frida, wsiadając do samochodu.

Znów utknęli w korku. Wzdłuż drogi w ciemnościach stali ludzie, drżące cienie w świetle reflektorów. Annika próbowała choć na chwilę uchwycić ich spojrzenia.

Ciemność spowiła samochód, okryła go niczym koc. Gdzieś w dali migotały pojedyncze światła. Przez otwarte okno do samochodu wpadało ciepłe powietrze, niosło ze sobą zapach ziemi.

Annika skuliła się na siedzeniu i zasnęła.

Otworzyła oczy i zobaczyła wielkiego lamparta. Minęło kilka sekund, zanim się zorientowała, że ma przed sobą posąg.

– Witaj – powiedział Halenius, gładząc ją po spoconych włosach. – Jesteśmy na miejscu.

Usiadła i zaczęła się rozglądać w ciemności. Przez szpary w gęstej tropikalnej roślinności gdzieś przenikało ciepłe żółte światło.

Padalo ze stojacego nieopodal starego domu z oszklona weranda.

– Przepraszam. Nie powinienem na ciebie napadać – powiedzial Halenius.

– Gdzie jesteśmy?

– Karen Blixen Coffee Garden. Jej dawna farma, przerobiona na hotel. Znam Bonnie, wlascicielke. Wez moja torbe, ja wezme te dwie – powiedzial, wskazujac na torby z pieniędzmi.

– Gdzie Frida?

– Pomogla mi wszystko zalatwic i wraca do domu.

Annika wysiadla z samochodu i nagle zatrzymala sie w pol kroku.

– Lotnisko! Musimy wynajac samolot!

– O tym tez juz pomysleliśmy – uspokoil ja Halenius.

Chwycil torby z pieniędzmi, material zatrzeszczal, postawil je na zwirowej sciezce.

– Jesteśmy umówieni ze znajomym Fridy – dodal.

Annika chwycila torbe Haleniusa, byla lekka jak piorko.

Weszli do starego domu, który rownie dobrze moglyby stac gdzieś w Sörmland albo w Österlen. Na podlodze ciemny parkiet, ulozony w jodeke, biale sciany i weranda z kolorowymi szybkami.

– Karen Blixen tu mieszkala? – wyszeptala Annika.

– Wlasciwie to byl dom zarzadcy, ale ona tez tu pomieszkiwala – powiedzial Halenius. Nagle skrecil w lewo i zniknal.

Ciemnosc na dworze byla wilgotna i gesta.

Wzrok Anniki padl na stare organy stojace pod jedna z dluzszych scian. Klawisze byly brązowe, jak zaniedbane zęby. Wyciagnela reke, chciala posluchac, jaki wydaja dzwiek, ale sie powstrzymala. Czego tak naprawde chciala sie dowiedziec? Jakie melodie skrywa instrument? Moze tylko jeki i zawodzenie?

Zjawil sie Halenius z kluczem w reku.

– Nie dzialaja – rzucil, wskazujac ruchem glowy na organy. – Poza tym nie nalezaly do Karen. Bonnie dostala je od kogos.

Wzial torby z pieniędzmi, zachwial sie pod ich cięzarem, wyszedl na dwor i zniknal w ciemności. Annika schyila sie, chwycila ich torby podróżne i szybko podazyła za nim wylozona klinkierem, wijaca sie w ciemnościach sciezka. Gdzieniedzie okragle lampy rzucaly nieco

ciepłego światła. Otaczały ich odgłosy nocy, takie jakie do tej pory słyszała jedynie na filmach: kumkanie, zawodzenie, skrzypienie i inne, takie, których nawet nie potrafiła określić. Ciemność stawała się coraz gęstsza.

– Gdzie jest hotel? – spytała.

Halenius ruchem głowy wskazał w lewo. Zza bujnej roślinności widać było białe mury.

– Każdy pokój to osobny domek? – spytała zdziwiona.

Weszła do sali o białych ścianach, z czarnymi belkami gdzieś wysoko pod sufitem. Na kutyk żeliwnych karniszach wisiały białe lniane firanki, w kominku palił się ogień, po prawej był mały salonik. Uniosła głowę, zobaczyła łóżko z baldachimem, wyglądało jak statek z burtą z kutego żelaza i baldachimem zamiast żagla. Ostrożnie zaczęła stąpać po błyszczącej drewnianej podłodze, ciemnej jak cienki nocny lód.

Postawiła torby na podłodze, otworzyła drzwi po lewej. Łazienka wyłożona była brązowym łupkiem, od podłogi do sufitu, większa niż jej duży pokój.

– Zostaną nam jeszcze jakieś pieniądze, jak zapłacimy za ten nocleg? – spytała, kiedy Halenius wrócił do pokoju.

– Kosztuje mniej niż jedynek w skromnym hotelu w Nowym Jorku – powiedział. – Ale jest tylko jedno łóżko. Pójdę do recepcji i poproszę o pokój z dwiema sypialniami...

Annika położyła dłoń na jego piersi. Zatrzymał się, spojrzał na płonący w kominku ogień.

– Zrobiłem coś niewybaczalnego.

– To znaczy?

Halenius spuścił głowę.

– Odpowiadam za Thomasa, jestem jego szefem. Jeśli nie może mi ufać...

– Thomas sam za siebie odpowiada, jak każdy z nas.

– Wykorzystałem sytuację. To niedopuszczalne. Jesteś ode mnie zależna, a ja złamałem wszystkie zasady etyczne...

Stała obok niego, objęła go, przeciągnęła palcami po jego plecach.

– Co będziesz czuła, kiedy znów go zobaczysz?

– Dzisiaj nie musimy o tym mówić – wyszeptała i delikatnie ugryzła go w ucho.

Na ramieniu czuła jego ciężki oddech. A potem przyciągnął ją do siebie.

DZIEŃ 10

Piątek, 2 grudnia

OBUDZIŁ JĄ huk wody. Leżała zaplątana w prześcieradło u boku Haleniusa. Nie bardzo wiedziała, gdzie jest.

– Krople deszczu uderzają o blaszany dach – wyszeptał Halenius w ciemności. – Niesamowity dźwięk, prawda?

Leżała rozbudzona, oddychała cicho, gdzieś w ciemności nad łóżkiem widziała moskitierę. Hałas to przybierał na sile, to znów cichł. Gdzieś z daleka, od strony gór Ngong, dochodził odgłos grzmotów.

Odwróciła się do Haleniusa, położyła spoconą nogę na jego udzie, pogładziła go po policzku. Pokój rozświetliła odległa błyskawica. Spojrzała mu w oczy, utonęła w nich.

Kiedy znów się obudziła, świtało. Deszcz ustał. O blaszany dach uderzały pojedyncze krople, jak wystrzały kapiszonów. Po drugiej stronie moskitiery Halenius właśnie wkładał dzinsy.

Odsunęła prześcieradło, spuściła nogi na drewnianą podłogę. W pokoju czuło się przyjemną wilgoć, chłodziła jej skórę. Stała tuż przy nim, przeciągnęła palcami po jego gołej ręce. Widziała, jak drgają mu mięśnie twarzy.

– To my decydujemy – powiedziała cicho. – Tylko my o tym wiemy.

– Frida rezerwowała pokój – powiedział Halenius. – Nic nie wie, ale się domyśla.

Zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go ostrożnie. A on dotknął palcami jej pleców i odwzajemnił pocałunek. Nagle puścił ją, podszedł do krzesła, na którym zostawił koszulę, włożył ją, zapiął na dwa guzi-

ki, wziął torby z pieniędzmi i ruszył do drzwi.

– Frida będzie tu za kwadrans – powiedział i wyszedł.

Annika wyszła na wyłożoną łupkiem werandę i poczuła się jak w podwodnym świecie Cousteau. Chłodne powietrze zalało ją niczym falą, ogromne liście babki lekko falowały, gdzieś przez bujną roślinność sączyło się światło. Zaczepnęła powietrza.

Ostrożnie wyszła do ogrodu. Donice pełne kwiatów, pnącza, palmy, drzewa o czerwonych liściach i pomarańczowych kwiatach, porastający ogrodenie powój. Powietrze było chłodne, oddychała bez trudu, wokół unosił się zapach ziemi i deszczu.

Nagle na ścieżkę, tuż przed nią, zeskoczył złoty kot. Przez moment miała wrażenie, że to Whiskas. Jej ukochany Whiskas, którego Sven zabił w tamten wrześnieowy dzień w hucie w Hälleforsnäs. Kotek ruszył ścieżką przed siebie z wysoko podniesionym ogonkiem, miauczał cicho. Ogrodnik, potężnie zbudowany czarny mężczyzna w gumiakach i granatowym roboczym kombinezonie, odstawił łopatę, schylił się i pogłaskał go. Podrapał go pod brodą, pogładził po łebku i po futerku. Kotek zamruczał zadowolony, położył się na plecach. Najwyraźniej był przyzwyczajony do pieszczot, rozkoszował się nimi.

Zjawiała się Frida, cała w fioletach, idealnie dobranych do odcienia włosów. Na nogach miała boty do kostek.

– Dobrze spałaś? – spytała.

Annika spróbowała się uśmiechnąć. Usiadła na tylnym siedzeniu, przy torbach z pieniędzmi.

Z recepcji nadbiegł Halenius, szybko wskoczył na miejsce obok kierowcy.

Frida włączyła silnik, skrzyła w prawo, w Karen Road. Annika odwróciła głowę, zobaczyła znikający za drzewami posąg lamparta. Mińeli muzeum Karen Blixen i coś, co się nazywało Kazuri Beads and Pottery Center, wyjechali na szosę pełną kałuż. Ruch jeszcze na dobre się nie zaczął, samochód podskakiwał na wybojach, ale posuwał się do przodu. Mijali stragany z meblami, szopy, w których sprzedawano używane samochody i blaszane żyrafy, ozdobne łoża z baldachimami

i drewno do palenia w piecu.

Czerwona ziemia i bujna zieleń, i nieprzebrany tłum ludzi. Dokąd oni wszyscy zmierzają? Czy ich wędrówka nie ma końca?

Wilson Airport, szlaban tuż przed pomalowaną na żółto bramą. Frida zapłaciła za coś przy jednej z budek strażniczych, szlaban powędrował do góry, wjechali na teren lotniska. Wzdłuż płyty stały niskie betonowe budynki z tabliczkami z napisami, które nic jej nie mówiły. Departments Wanausafari, Delta Connection, Safarilink. Zaraz za szlabanem zaczynał się pas startowy, w powietrzu unosił się zapach paliwa lotniczego.

Przyglądała się strażnikom przy szlabanie, stali bez ruchu z bronią na ramieniu.

Czy ktoś jej w końcu powie, czy w Kenii przekazywanie okupu jest legalne? Brytyjczycy, i jak się okazało także Kenijczycy, którzy trafili do więzienia w Somalii, zostali zatrzymani właśnie na lotnisku.

Poczuła, że pocą się jej dłonie.

Halenius wysiadł, otworzył tylne drzwi i wziął torby z pieniędzmi. Annika czuła, że nogi ma jak z waty.

– Czekają nas jakaś kontrola? – spytała.

Halenius chyba jej nie usłyszał. Podszedł do stojącej niedaleko Fridy. W obu rękach niósł torby, postawił je na ziemi i objął ją. Była o głowę wyższa od niego. Obejmował ją i szeptał jej coś do ucha. Annika nie słyszała co.

Spojrzała w stronę bramy, dwóch mężczyzn w żółtych kamizelkach ważyło torby na dużej wadze. Z daleka dochodził huk silników. Budynki terminalu miały blaszane dachy.

Będą sprawdzać bagaże? Co się stanie, jeśli znajdą pieniądze?

Podeszła do niej Frida, przyciągnęła ją do siebie i mocno objęła.

– Dbaj o niego – wyszeptała.

Annika nie była do końca pewna, którego z mężczyzn ma na myśli.

Z jednego z budynków wyszedł pilot, William Grey. Mrużył oczy w silnym słońcu. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę, jasnobezwne lniane spodnie, przyprószone siwizną blond włosy i olśniewający

uśmiech.

– Słyszałem, że lecicie do Liboi – powiedział i wyciągnął rękę. – To niezupełnie na turystycznym szlaku – uśmiechnął się serdecznie. – Polecimy tamtą bryczką – dodał, wskazując na jeden ze stojących nieco dalej na pasie niewielkich prywatnych samolotów. Annika nie miała pojęcia, o który dokładnie mu chodzi.

– Jesteście gotowi? Macie wszystko? – spytał, zerkając na ich bagaże.

Halenius skinął głową.

William Grey skierował się w stronę żółtej bramy, ruszyli za nim gęsiego. Halenius niósł obie torby. Annika zauważyła, że zbiegały mu palce. Każda ważyła dobrych dwadzieścia siedem kilogramów. Zastanawiała się, czy strażnicy to zauważą.

Pilot podał strażnikom plik papierów. Jeden z nich zaczął je przeglądać, po chwili wezwał kolegę. Zaczęli czytać, wymienili jakieś uwagi w języku, którego Annika nie rozumiała. Może to było suahili. Czuła, jak strużka potu spływa jej po plecach, wiedziała, że nie wolno jej teraz zemdleć.

W końcu strażnicy oddali im papiery i otworzyli bramę.

Pilot wyszedł na pas, za nim Halenius i Annika. Strażnicy spojrzeli na torby, ale nic nie powiedzieli.

Grey ruszył w stronę samolotów. Podszedł do niewielkiej pomalowanej na żółto maszyny z jednym silnikiem. Na żółtym tle widniały czarne cyfry, mały samolot wyglądał jak wściekła osa. Grey ruchem głowy wskazał na torby w rękach Haleniusa.

– Co w nich jest?

Annika wstrzymała oddech.

– Pieniądze – odpowiedział Halenius.

Niech to szlag.

– Ach tak. Okup za zakładnika? – spytał pilot.

– Zgadza się – potwierdził Halenius.

– Frida nic mi nie wspomniała – powiedział Grey z uśmiechem. – W takiej sytuacji należy się dodatkowa opłata. Pięć tysięcy. Gotówką. Ale gwarantuję, że wszystko odbędzie się bez komplikacji.

Annika patrzyła na niego zdziwiona. Mówił serio?

Spojrzał na nią, jakby przeprasza ją. Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie wiadomo, jak taka eskapada się zakończy – powiedział.

– Wojsko zostało poinformowane? – zwrócił się do Haleniusa.

– Zakładam, że tak. Interpol w Brukseli miał o to zadbać.

– Hm... Dostaliście współrzędne miejsca, gdzie macie przekazać okup?

– Wiem tylko, że ma się to odbyć w pobliżu Liboi. Dokładniejsze dane otrzymamy podczas lotu. Jest tam jakieś lotnisko?

Pilot włożył okulary słoneczne, spojrzał na północ.

– Lotniska nie ma, ale to już prawie pustynia. Przygotowanie pasa dla takiego samolotu to żaden problem. Trzeba usunąć kilka krzewów i przepłoszyć zwierzęta, to w zasadzie wszystko.

Annika spojrzała na niego.

– Często pan wykonuje takie loty?

– Kilka razy w miesiącu, zwykle na zlecenie brytyjskiej armii. Dam wam znać, kiedy będę gotów do startu...

– Mogę mieć włączoną komórkę? – upewnił się Halenius.

– Oczywiście – odpowiedział Grey i zniknął w jednym z niskich budynków terminalu.

Słońce stało już wysoko, zapowiadał się pogodny, upalny dzień. Nad pasem startowym unosił się lekki opar.

Annika ruchem głowy wskazała na samolot.

– Wydaje się bardzo mały.

Był mniejszy od jej jeepa.

– Inaczej nie mógłby lądować w takich warunkach – powiedział Halenius.

– *Let's go!* – zawołał pilot, wskazując na osę.

Grey zajął miejsce za sterami, Annika i Halenius wcisnęli się w dwa fotele tuż za nim. W kabinie było niewiarygodnie ciasno. Huk silnika zagłuszał wszystko. Pilot włożył słuchawki z zewnętrznym mikrofonem, wskazał na dwa zestawy wiszące przy ich fotelach i dał znak, żeby je włożyli. Annika wykonała posłusznie polecenie i nagle usłyszała kakofonię dźwięków. Domyśliła się, że głosy, które słyszy, to polecenia z wieży kontroli lotów do szykujących się do startu maszyn.

– *Requesting permission for Liboi, one eighteen north east, we are ready for take-off* – usłyszała głos Williama Greya.

Chwilę potem padła odpowiedź, rozległ się szum silnika i maszyna zaczęła się toczyć po pasie. Podskakując, minęli rząd hangarów, pilot wskazał na logo na jednym z nich.

– To chłopcy, którzy przekazują okupy somalijskim piratom – usłyszeli jego głos w słuchawkach. – Wkładają pieniądze do wodoszczelnych pomarańczowych cylindrów i spuszczają do morza. Pojemniki wyglądają trochę jak gaśnice, z doczepionym małym spadochronem.

Annika spojrzała na maszynę z logo firmy na kadłubie. Była duża, błyszczała w słońcu. Kiedy przyjrzała się dokładniej, zauważyła, że największe i najlepsze samoloty na lotnisku są własnością właśnie tej firmy.

Maszyna zadrzała i po chwili byli w powietrzu. Przez okno od strony Haleniusa widziała, jak w oddali znikają slumsy Kibery. W głębi, za nimi, wznosiło się śródmieście Nairobi, okrągły budynek hotelu Hilton, a tuż obok centrum kongresowe Kenyatta International Conference Center, w pobliżu nowej, zbudowanej przez Chińczyków czteropasmowej autostrady.

Samolot trząśł się i drżał, chwyciła się mocniej siedzenia. Grey opowiadał im o miejscach, nad którymi przelatywali: na północy szczyt góry Kenia, pod nimi rzeka Nairobi z zanieczyszczoną, spienioną wodą. Widoczne nieco dalej po prawej cztery zbiorniki wodne były częścią planowanej oczyszczalni ścieków. U stóp Anniki leżała kamera. Pomyślała, że powinna ją włączyć, ale nie była w stanie się przełamać.

– Lot potrwa dwie godziny i dwadzieścia minut – znów usłyszeli głos pilota w słuchawkach. – Jesteście głodni? W torbie za fotelami są kanapki.

Wyjęli po jednej kanapce, jedną podali pilotowi. Annika ugryzła kawałek. Miała wrażenie, że kanapka rośnie jej w ustach i że za chwilę ją udusi. Wypiła łyk wody, zaczęła się przyglądać drzwiom dzielącym ją od otwartej przestrzeni. Były cieńsze od drzwi samochodowych, nie miały zamka, tylko małą chromowaną klamkę, nad którą przyklejono

naklejkę z napisem „CLOSE”. Różne myśli zaczęły jej się kłębić w głowie. A jeśli źle je zamknęłam? – zastanawiała się. A jeśli przypadkiem dotknę klamki i drzwi się otworzą? A jeśli szyba rozpadnie się na kawałki? Jeśli wylecę z kabiny i nie będę w stanie przekazać okupu? Wtedy nie wypuszczą Thomasa i dzieci zostaną z Sophią.

– Widzicie te zielone plamy w dole? – spytał nagle pilot. – To plantacje ananasów, należą do Del Monte. A te trochę bardziej zielone? To plantacje kawy.

Od czasu do czasu w słuchawkach rozbrzmiewało stukanie, komórki przekazywały stacjom naziemnym informacje o ich aktualnym położeniu.

– Kierujemy się na Garisę, właśnie przelatujemy nad obszarami zamieszkanymi przez Kamba. To dobrzy rolnicy, znają się na uprawie ziemi.

Krajobraz pod nimi przypominał teraz surrealistyczny obraz. Kolorowe plamy w stłumionych kolorach, nakładające się na siebie, przechodzące jedna w drugą, obłe kształty, koła. I rzeka wijąca się niczym wąż. A wszystko poprzecinane drogami, pasami jasnobrązowej ziemi.

Duże jezioro po lewej.

– To zbiornik wody dla całego Nairobi – poinformował pilot.

A może gdzieś tam w dole jest Thomas? Może właśnie nad nim przelatują? Może widzi ich samolot? Wie, że jestem w drodze.

Tanzania zniknęła na południu. Gdzieś na północnym zachodzie była Uganda.

Minęli Garisę.

– Aż do granicy ciągnie się równina. *Flat bushland* – powiedział pilot. – Polecimy na wysokości czterech tysięcy metrów. Jeśli zrobi się wam zimno, na podłodze są koce...

Po chwili Annika poczuła na nogach powiew chłodnego, ostrego i wilgotnego powietrza. Sięgnęła po koc. Okazał się polarowym pledem z Ikei.

– Często dostarcza pan okupy? – spytała.

– Osobiście latam głównie z turystami z Kenyatty, którzy lecą bezpośrednio na safari, poza tym pracuję przy opryskach, ale mam kole-

gów, którzy zajmują się prawie wyłącznie dostarczaniem okupów.

Odebrała to niemal jak zniewagę. Czyżby dla niego był to po prostu zwykły dzień pracy, jeden z wielu, tyle że tym razem z nią jako zrozpaczoną żoną w roli głównej?

– Co pan wtedy mówi władzom? Wiedzą, czym się zajmujecie?

Pilot uśmiechnął się do niej.

– Trudno powiedzieć.

Podał jej dokument z pieczętą Office of the President i drugi, z inną: Police Headquarters.

Clearance Certificate is hereby granted...

Przeleciała wzrokiem oba dokumenty.

W rubryce Purpose podano cel podróży:

To carry out EEC Conservation and community development project.

Według kenijskich urzędników lot był częścią projektu większej akcji dobroczynnej, mającej na celu niesienie pomocy mieszkańcom okolic Garissy, w północno-wschodniej Kenii, na granicy z Somalią.

Dokument podpisał Commissioner of Police.

Oddała papiery pilotowi, wytarła rękę, jakby nagle poczuła się brudna.

– Jak często wraca pan z zakładnikiem? – spytał Halenius.

– Zwykle tak właśnie jest. Większość porywaczy to cywilizowani ludzie. Traktują porwania jako biznes, dlatego na ogół dbają o zakładników. Zakładnik okaleczony albo w kiepskim stanie to *bad business*. O interesy trzeba dbać.

Annika przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że przełyka nóż.

Ziemia w dole była sucha, pył i kurz pokrywał niskie krzaki, gdzieś widać było kawałki blachy, dach samochodu, zbiornik wody. Od czasu do czasu mijali niewielkie osady, kilka chat stojących w kole.

– Kiedy podadzą nam współrzędne? – spytał pilot.

– Podczas lotu. Tylko tyle mi powiedzieli. Poinformowałem ich, kiedy startujemy, podałem oznaczenia maszyny. Wiedzą, że jesteśmy w drodze. – Spojrzał na komórkę. – Nie ma zasięgu. Gdzie jest najbliższy maszt?

– W Dadaab.

Na panelu zaczęła mrugać czerwona lampka. Grey postukał w nią palcem.

– Spójrzcie. Im bliżej granicy, tym lepiej działają radary. Wiedzą, że jesteśmy w drodze.

– Kto? – spytała Annika.

– Jankesi. Mają nieformalną bazę na wybrzeżu. Pełna kontrola.

Annika pomyślała, że pewnie chodzi o bazę, o której wcześniej wspominał Halenius. To z niej wystartował śmigłowiec, który zabrał z Somalii Hiszpana.

– Radar nie może nas widzieć – powiedział Halenius. – Porywacze podkreślali to kilka razy. Da się przekazać okup tak, żeby nikt nic nie widział?

– Nad Liboi polecimy na małej wysokości. Zbliżywszy się do wyznaczonego miejsca na wysokości trzydziestu metrów, radar nas nie zarejestruje. Wrócimy tą samą trasą, dopiero koło Liboi wzniesiemy się wyżej. Wtedy znów nas zobaczą.

Trzydzieści metrów to rzeczywiście nisko.

William Grey roześmiał się, widząc niepokój na twarzy Anniki.

– Proszę się nie obawiać. Kiedy robię opryski, lecę sześć metrów nad ziemią. Jeśli spojrzycie w prawo, zobaczycie drogę łączącą Garisę z Liboi. Tylko pojazdy z napędem na cztery koła mogą nią przejechać. A tam jest Dadaab.

Morze dachów ciągnęło się teraz po obu stronach maszyny, słynny obóz dla uchodźców w Dadaab. Chaty stały w równych rzędach, slumsy utworzone w wyniku decyzji Narodów Zjednoczonych. Nic z chaosu Kibery.

– *Holy Moses!* – usłyszeli głos pilota w słuchawkach. – Strasznie się rozrosło od czasu, kiedy tu byłem ostatni raz.

Dachy ciągnęły się po horyzont.

– Susza, głód i wojna domowa – powiedział Halenius. – Lekarze bez Granic szacują, że pod koniec roku będzie tu mieszkać około pół miliona ludzi.

W tym momencie zaczęła mrugać jego komórka. Wziął ją do ręki, wokół jego ust pojawiła się biała obwódka. Serce Anniki zaczęło bić szybciej.

– Cel: szerokość geograficzna zero przecinek zero zero osiemset dwadzieścia cztery, długość czterdzieści przecinek dziewięćdziesiąt sześć osiemdziesiąt osiemnaście – odczytał głośno i wyraźnie.

– Coś jeszcze?

– Żona Annika ma położyć pieniądze na siedzeniu kierowcy.

Annika poprawiła słuchawki, żeby lepiej słyszeć.

– Powtórz.

– Masz położyć pieniądze na przednim siedzeniu, na miejscu kierowcy.

– Na przednim siedzeniu?

– Nic więcej nie napisali.

Miejsce przekazania okupu: siedzenie kierowcy. Annika z trudem łapała powietrze.

Grey w skupieniu wciskał jakieś guziki. Zaczął się targać za włosy.

– Jakiś problem? – spytał Halenius.

– Straszna dziura. Załedwie kilkaset metrów od granicy z Somalią, dokładnie na równiku. Szerokość zero przecinek zero zero, długość czterdzieści przecinek dziewięć.

– Na południe od Liboi?

– Jakież czterdzieści kilometrów na południe, już prawie na pustyni.

Halenius pokręcił głową, odchylił się do tyłu.

Pilot sięgnął po radio.

– *This is five Y AYH, starting our descent to Liboi* – poinformował wieżę.

Silnik zaczął pracować inaczej, ziemia była coraz bliżej, maszyna wpadła w dziurę i zaczęła drżeć. Wielbłądy idące drogą na południe nastawiły uszu, niezadowolone. Annika zobaczyła namiot z literami UNHCR na dachu. Może decyzję o jego postawieniu podjęła Frida?

Pod nimi pokazało się Liboi. Ulica, chaty, kilka murowanych budynków. Przelecieli nad wyboistym pasem startowym, ale nie wylądowali. Lecieli dalej na południe, tuż nad ziemią.

Znów zrobiło się gorąco, Annika położyła koc z Ikei na podłodze.

– Po południu temperatura ma dojść do czterdziestu dwóch stopni – powiedział Grey.

Liboi szybko znikало za ich plecami, lecieli teraz nad sawanną, maszyna podskakiwała i trzęsła się. Annika znów chwyciła się mocno fotela, wpatrywała się w głowę siedzącego przed nią pilota.

– Ile to jeszcze potrwa? – spytał Halenius.

Pilot trzymał mocno ster, nie spuszczał oka z kursu.

– Pół godziny, góra.

Czterdzieści kilometrów w ciągu niespełna pół godziny oznaczałoby, że lecą z prędkością około stu kilometrów na godzinę. Annika zerknęła w dół, ziemia wyglądała jak szarobrazowa bezkształtna masa. W słuchawkach panowała cisza, żadnych dźwięków, trzasków. Czuła wibracje silnika.

Odchyliła się do tyłu. Przez cienkie oparcie poczuła ułożone ciasno w torbie pliki banknotów. Druga torba była wciśnięta za fotel Haleniusa.

Zawsze bardzo doceniała to, że ma na koncie pokaźną sumę. Czuła się dzięki temu wolna. Może to poczucie było złudne, ale już sama świadomość, że je ma, sprawiała, że szła do pracy z przeświadczeniem, że robi to, bo chce, a nie dlatego, że musi. Wiedziała, że w każdej chwili może zrezygnować, odejść.

Poczuła, jak wszystko wywraca jej się w żołądku.

Thomas będzie bardzo zawiedziony, że zlikwidowała konto. Pieniądze były jego przepustką do lepszego świata. Dzięki nim czuł, że jest coś wart, że jeśli zechce, też może zamieszkać w willi w Vaxholmie. Zastanawiała się, czy będzie bardzo zły.

Otworzyła oczy, spojrzała w dół. Pusta przestrzeń, spalona słońcem ziemia, tu i ówdzie krzaki.

– To gdzieś tutaj – powiedział Grey. Był skupiony, zdenerwowany.

Halenius wychylił się do przodu, wyglądał przez okno. Jego udo dotknęło jej uda. Patrzyła przez okno od swojej strony, nie odwróciła głowy.

– To tam! – usłyszeli głos pilota.

Spojrzała przed siebie.

– Gdzie? – spytał Halenius, wyciągając szyję.

Pilot wskazywał na coś ręką, Annika podążyła wzrokiem za jego dłonią.

Wyraźnie oddalili się kilka kilometrów od granicy z Somalią. Skreślił w lewo, polecili prosto na wschód.

– Zanim podejmę decyzję o lądowaniu, muszę sprawdzić stan pasa.

Teraz także Annika zauważyła wąski pas, niemal wprost przed nimi. Poczła, jak jej tętno przyspiesza, zaczęło jej brakować powietrza. Poszukała ręki Haleniusa, ścisnęła ją z całej siły.

– Chyba się nie odważę – powiedziała.

– Odważysz się – zapewnił ją Halenius. – Pomogę ci – dodał.

Przelecieli kilka metrów nad prowizorycznym lądowiskiem, a potem zaczęli się wznosić.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Annika.

– Ten pas był już używany. Nie jest to Heathrow, ale da się wylądować. Przed chwilą widziałem tam kilka dzików, ale już zniknęły.

Grey przeleciał półkolem nad pasem, zbliżał się do niego od południa.

Nagle Annika zobaczyła coś po prawej stronie. Jakby karoserię, pozostałość starego autobusu, zardzewiałą tak bardzo, że niemal wtopiła się w ziemię. W środku rosły chwasty.

Dotknęła ramienia Haleniusa.

– Siedzenie kierowcy – powiedziała.

Halenius ścisnął jej dłoń. Grey ostro skreślił i maszyna zaczęła się szybko zniżać. Annika znów poczuła, że jej żołądek się buntuje, miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

– Trzymajcie się mocno! – zawołał Grey.

Koła dotknęły ziemi, maszyna zaczęła podskakiwać, Annika uderzyła głową o sufit.

– *Sorry!* – usłyszała głos pilota.

Sunęli po nierównej nawierzchni, silnik hałasował. Było niewiarygodnie gorąco.

– Widziałeś autobus? – spytał Halenius.

Pilot skinął głową.

Przerdzewiały wrak stał porzucony na południowym skraju pasa. Maszyna nadal podskakiwała, Annika starała się oddychać wolniej i bardziej regularnie. Jakies pięćdziesiąt metrów od celu pilot zwolnił, zwrócił samolot dziobem na północ, wyłączył silnik.

Zapanowała głucha cisza.

Grey zdjął słuchawki, Halenius i Annika poszli jego śladem.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. Otworzył drzwi i wysiadł.

Halenius pomógł Annice otworzyć drzwi. Okazało się, że to nie takie proste, jak sobie wyobrażała w dręczących ją koszmarach. Mężczyźni wynieśli torby, postawili je na ziemi. Wiał suchy wiatr, niósł ze sobą piach.

Autobus, kiedyś niebiesko-biały, był teraz pokryty rdzą. Wszystkie szyby były wybite, gdzieś tam zostały kawałki szkła. Tylko na jednym kole była opona, ze zderzaka wystawały gałęzie uschniętego krzewu.

– Z drugiej strony chyba widziałem drzwi – powiedział Halenius.

Annika skinęła głową, też je zauważyła. Zmrużyła oczy, rozejrzała się. Dlaczego to takie ważne, żeby zostawiła torby osobiście? Czyżby ktoś ich obserwował?

Powietrze wokół drżało z gorąca. Widziała tylko powietrze i spalone słońcem brązowe krzewy.

– Obróć dwa razy – powiedział Halenius.

Pokręciła głową.

Chwyciła obie torby. Czuła, jak uginają się pod nią kolana. Siłą woli zmusiła je do posłuszeństwa. Wyprostowała się, rozboleł ją kręgosłup, uchwyty toreb wrzynały się jej w dłonie. Jakiś owad usiadł jej na włosach.

Zrobiła krok: jeden, drugi, trzeci. Potem było już łatwiej, jakby nogi same ją niosły. Po chwili niemal biegła, torby obijały jej się o łydki. Potknęła się, ale szła dalej, zaczepiła o krzak, o mało nie upadła.

Cztery metry od autobusu musiała się zatrzymać. Postawiła torby na ziemi, zaczerpnęła powietrza.

Autobus marki Tata, bez świateł, miejsca po nich wyglądały jak puste oczodoły.

Chwyciła torby, ledwie była w stanie je podnieść.

Obeszła autobus, minęła uschnięty krzak rosnący przy masce. Ciągnąc torby po ziemi, podeszła do drzwi.

Znów zaczerpnęła powietrza.

Drzwi były na swoim miejscu i były otwarte. W środku zobaczyła

zardzewiały szkielet fotela.

Ostrożnie weszła do środka.

Tylna część autobusu była pusta, wszędzie rdza, kurz i resztki obitych zieloną ceratą foteli. Z przodu silnik i – o dziwo – fotel kierowcy.

Odetchnęła z ulgą.

– Żona Annika ma zostawić pieniądze na siedzeniu kierowcy – powiedziała głośno.

Spojrzała w dół, chwyciła jedną z toreb obiema rękami i zaniósła do autobusu. Fotel kierowcy nie miał siedzenia, postawiła torbę na podłodze tuż obok. Kilka razy głęboko odetchnęła, poszła po drugą torbę, postawiła obok pierwszej. Potem stała kilka sekund, przyglądając się swoim pieniądzom. I nic nie czuła.

Po chwili odwróciła się, wyskoczyła z wraku i puściła się biegiem w stronę samolotu. Halenius cały czas filmował.

Nagle Grey się odwrócił i wskoczył do maszyny.

– *Let's go!* – wrzasnął, włączając silnik.

Halenius wyłączył kamerę i wrzucił ją do samolotu, chwycił Annikę w pól.

– Ja też niczego nie żałuję – wyszeptał jej do ucha.

Wyswobodziła się z jego objęć, weszła do samolotu, zamknęła drzwi.

Halenius ledwie zdążył wejść, maszyna ruszyła.

Grey próbował wycisnąć z niej wszystko, co się dało. Samolot się trząsał i drżał. Annika założyła słuchawki, wyjrzała przez okno i zobaczyła pędzący przez sawannę czarny samochód. Jechał prosto na nich.

– Uwaga! – wrzasnęła do mikrofonu, wskazując na rozpędzone auto.

– Toyota land cruiser! – krzyknął Halenius. – Ruszaj, do cholery!

Samolot zadrżał i oderwał się od ziemi. Silnik zawył, zaczęli się unosić, szybko, niemal pionowo. Annika oparła się o fotel i poczuła, że za nim jest pusto. Pilot ostro skręcił w lewo, oddalali się od granicy z Somalią. Spojrzała w dół. Czarny samochód zatrzymał się na południowym krańcu pasa startowego. Zza kierownicy wyskoczył mężczyzna w ubraniu koloru khaki. Ruszył biegiem w stronę wraku. Widziała, jak za nim znika. Sekundę później ziemia pod nimi eksplodowała.

Powietrze zrobiło się białe, Annika poczuła, że brakuje jej tlenu. Halenius coś krzyknął, fala uderzeniowa zniosła samolot w lewo. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał autobus, unosił się słup dymu. Toyota stała w płomieniach, ziemia się trzęsła. Annika wyciągnęła rękę, próbowała się czegoś chwycić.

– Co to było, do cholery! – krzyczał Grey.

Samolot drżał.

– Ktoś chyba stwierdził, że ma dosyć Grégoire’a Makuzy – powiedział Halenius zduszonym głosem. Po jego twarzy spływał pot.

Silnik zaczął niepokojąco warczeć.

– *Good Lord* – jęknął Grey, szarpiąc za stery. – Mam nadzieję, że dolecimy do Liboi.

– Okup – wyszeptała Annika. – Teraz nigdy go nie puszczą.

Była w niebie, a niebo było białe. Szybowała wysoko, wśród chmur. Wokół panowała cisza. Zdjęła słuchawki, ale nadal było cicho. Nie słyszała szumu silnika, tylko lekkie zawodzenie wiatru gdzieś w oddali. Była skąpana w jasnym świetle, wszystko wokół się rozproszyło, rozpląnęło. Gdzieś wysoko nad nią przeleciał ptak, wyglądał na orła. Ale to nie był orzeł, tylko latawiec! Latawiec w kształcie orła. Brązowy orzeł szybujący wysoko wśród chmur, jakby sam był powietrzem. Na dole, na ziemi, stał mały chłopiec. Pociągał za sznurki. Ruszał ręką bardzo ostrożnie, latawiec wyglądał, jakby tańczył. Wokół niego krążyły ptaki, krzyczały. Uśmiechnęła się do chłopca. Tak ładnie wyglądał.

Z hukiem spadła z fotela, uderzyła o podłogę. Halenius wylądował na niej. Silnik piszczał, koła buksowały. Objęła głowę rękami, zapomniała, że powinna oddychać.

W końcu maszyna stanęła. Silnik zgasł.

– *Holy macaroni* – jęknął Grey. – Niewiele brakowało.

Halenius usiadł, wyprostował się, pomógł Annice wstać.

– Gdzie jesteśmy? – spytała. Poczuła, że bołą ją plecy.

– W Liboi – odpowiedział Halenius. – William musi sprawdzić, czy samolot nie jest uszkodzony.

– Wyszadzili autobus w powietrze. Pieniądze przepadły. Kto to zro-

bił? Kto go wysadził?

William Grey spojrział na Haleniusa.

– Dobre pytanie? Kto to zrobił?

– Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że Amerykanie.

– Widzieli, dokąd jedziemy?

– Moje SMS-y były przekazywane do Interpolu w Brukseli. Na pewno wiedzieli. Ale to nie tłumaczy wszystkiego. Musieli wcześniej namierzyć to miejsce. Autobus był naszpikowany materiałami wybuchowymi. Takich rzeczy nie robi się podczas przerwy na kawę.

– Wiedzieli – wyszeptała Annika. – Wiedzieli, że zostawiłam okup...

– Stany Zjednoczone walczą z terroryzmem. Ale pamiętaj, że nie oni tę walkę zaczęli – powiedział Halenius.

Grey wysiadł. Podszedł do żołnierza, który stał obok, z bronią automatyczną na ramieniu, i zaczął mu coś tłumaczyć. Od strony miasta zaczęły nadciągać tłumy ludzi. Mężczyźni, dzieci, kobiety w czadorach i burkach. Tłum otoczył samolot, wypełnił całe lotnisko.

Pilot otworzył drzwi od strony Anniki. Spojrzała na niego przez łzy.

– Teraz już na pewno nie wróci.

– Jest tu jakiś mężczyzna, chce z panią rozmawiać.

Czarnoskóry żołnierz z karabinem maszynowym na ramieniu podszedł bliżej. Za nim tłoczyli się ludzie, widziała ich wielkie oczy i otwarte usta.

– Kim jesteście? – spytał żołnierz bezbłędną angielszczyzną. – W jakim celu przybywacie?

Annika spojrzała na niego, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i rozplakała się.

Już nigdy go nie zobaczy. Nawet jeśli żyje, to teraz porywacze zadręczą go na śmierć. Będą się na nim mścić, za wybuch i za śmierć swojego przywódcy. Boże, lepiej by było, gdyby już nie żył, pomyślała i zasłoniła twarz dłońmi.

Halenius podszedł do żołnierza.

– Realizujemy projekt pomocowy – powiedział. – Z ramienia Szwecji.

Ludzie coś krzyczeli, machali do nich. Annika widziała ich jak przez mgłę. Było nieprawdopodobnie gorąco. Słońce stało w zenicie, światło

było rażąco białe. Płakała, nie była w stanie się opanować.

– Pańskie papiery? – żołnierz zwrócił się do Greya, Grey podał mu pozwolenie na lot.

Żołnierz studiował je uważnie.

Już do niej nie wróci. Pomyślała, że nawet gdyby nie doszło do wybuchu, i tak nie byłby tym samym człowiekiem co kiedyś. Człowiek, którego kiedyś znała i z którym kiedyś wzięła ślub, zniknął znacznie wcześniej.

Podniosła głowę, spojrzała przed siebie przez łzy, na południe, na rażące słońce. Miała wrażenie, że w powietrzu czuć spaleniznę.

– Proszę ze mną – powiedział żołnierz.

– Mogę zostać? – spytał Grey. – Nie chcę zostawiać maszyny...

Halenius objął ją, odtrąciła go.

Ruszyli w stronę betonowych budynków o popękanych ścianach, a za nimi tłum ludzi, kilkaset osób.

– Co za poruszenie. Można by pomyśleć, że w życiu nie widzieli samolotu – powiedział Halenius.

Żołnierz się zatrzymał, spojrzał na niego.

– Widzieli jedynie samoloty wojskowe. To pierwszy prywatny samolot, jaki wylądował w Liboi.

Halenius odwrócił wzrok.

Wszędzie na ziemi leżały kamienie i śmieci, połamane gałęzie, stare opony. Annika potknęła się kilka razy. W oddali widać było domy, białe, niskie. Niedaleko pasła się koza, ludzie odpoczywali w cieniu niskich drzew o liściach jak ze skóry.

Niebo było wysoko i zdawało się ciągnąć bez końca.

Żołnierz zaprowadził ich do otoczonej kolistym podwórkiem bambusowej chaty.

Annika weszła do środka. Po ostrym słońcu panujący w środku mrok wydał jej się nieprzeniknioną ciemnością. Pod ścianami stały obite kwiecistym materiałem zniszczone kanapy. Usiadła na jednej z nich i ukryła twarz w dłoniach. Trzęsła się, po twarzy płynęły jej łzy. Powietrze stało. Było ze sto stopni. Gdzieś brzęczał jakiś owad.

Thomas siedział w swoim gabinecie w zarządzie gminy w Vaxholmie, promienie słońca padały na jego twarz i szerokie ramiona. Był

młody, szczuplejszy niż teraz. Przeprowadzała z nim wywiad, odpowiadał formalnym, urzędniczym językiem. Pamiętała, że przerwała mu i spytała, czy zawsze tak mówi. A on odpowiedział, że nawet sobie nie wyobraża, jak długo się tego uczył.

Podniosła głowę i zobaczyła trzech mężczyzn w wojskowych mundurach. Wszyscy mieli broń.

– Przyjechaliście ze Szwecji? – zaczął ten, który stał w środku. – Realizujecie projekt pomocowy?

Stali w rozkroku, we władczej postawie.

– Interesuje nas współpraca między Organizacją Narodów Zjednoczonych a jej agendą, Światowym Programem Żywnościowym – powiedział Halenius. Przywitał się z nimi, wyciągnął rękę.

– Tak? A co dokładnie? – spytał jeden z wojskowych.

Annika wstała i podeszła do niego. Czuła, jak pieką ją oczy.

– Przyjechaliśmy tu szukać mojego męża. To wasza wina, że zagiął.

Czuła, że wszyscy jej się przyglądają. Halenius chwycił ją za ramię, odsunął ją.

– A wracając do projektu... – zaczął wojskowy. Patrzył na nią podejrzliwie.

– Został porwany dziewięć dni temu – ciągnęła Annika. – Wylądował na tym lotnisku. Mieliście go chronić! Wy! – powiedziała i wskazała palcem na stojących przed nią mężczyzn. Jak rozwścieczona bestia, złośliwa, gotowa kąsać każdego, kto stanie jej na drodze. – Mieliście chronić jego i pozostałych członków delegacji. I co? Nic. Znaleźliście jego odrąbaną dłoń. To jedyne, co wam się udało! – wykrzyczała.

Żołnierze zrobili krok w tył.

– Madame, to nie my...

– Przyjechał pomóc Kenii zadbać o bezpieczeństwo własnych granic i jak mu się za to odwdzięczyliście? Co z was za mężczyźni?

– Annika... – usiłował jej przerwać Halenius.

Ale ona mówiła dalej, podniesionym głosem, który odbijał się echem od sufitu, budząc śpiące tam nietoperze. Nie widziała ich, ale zdradzał je zapach.

Na szosie leżały kamienie. Mijali domy, szopy z blachy i gałęzi, ludzi leżących na kocach i materacach. Ulica była zasypana śmieciami. Żadnych samochodów, tylko ciągnące drewniane wózki osły.

Szła i płakała.

Zabrali ją na posterunek policji. Mieścił się w jednym z niskich białych budynków, które wcześniej widziała z daleka. Drzwi były pomalowane na niebiesko, w oknie kłębiły się kable i przewody.

Jakiś mężczyzna, pewnie szef policji, przyjął ją w swoim gabinecie, wielkości windy w jej kamienicy przy Agnegatan. Pod sufitem cicho szumiał wentylator, ale nie dawał chłodu. Pod ścianami tłoczyli się policjanci.

– Przyjechaliście z projektem pomocowym? – powtórzył mężczyzna, domniemany szef policji, i wskazał na stojące przy biurku krzesła.

Halenius usiadł, Annika nie skorzystała z zaproszenia. Przestała płakać. Czuła się pusta, jakby nic z niej nie zostało.

– Nie – powiedziała głośno. – Mój mąż, Thomas Samuelsson, został tu porwany, jakieś dziesięć dni temu. Władze Kenii miały mu zagwarantować bezpieczeństwo, ale okazało się, że nie są w stanie tego zrobić. Co pan, jako szef policji, na to powie?

Mężczyzna patrzył na nią zdziwiony.

– Jest pani żoną jednego z zakładników?

– Szweda, Thomasa Samuelssona. To jego dłoń znaleziono tu kilka dni temu, w pudełku.

Poczuła, że kręci jej się w głowie. Chwyciła się biurka, żeby nie upaść. Szef policji zaczął coś notować na kartce.

– Może pani podać rysopis męża?

– Rysopis?

– Kolor włosów, wzrost, znaki szczególne?

Annika z trudem łapała powietrze.

– Blondyn. Metr osiemdziesiąt osiem. Niebieskie oczy. Kiedy zagiął, miał na sobie różową koszulę.

Szef policji wstał, wyszedł, po chwili wrócił ze skoroszytem w ręku.

– To nadeszło wczoraj wieczorem z Dadaab – powiedział. – Rano pasterz znalazł białego mężczyznę, przed swoją *manyatta*, na południe

od Dadaab. Mężczyzna leżał na ziemi, w pierwszej chwili pasterz pomyślał, że nie żyje. Okazało się jednak, że żyje. Pasterz zawiadomił ludzi z UNHCR, przyjechali i go zabrali. Jest teraz w szpitalu w Obozie III.

Annika poczuła, że uginają się pod nią kolana, usiadła obok Haleniusa.

– Wiecie, kto to jest?

– Nie został zidentyfikowany. UNHCR i Czerwony Krzyż na pewno o tym poinformowały, ale w mieście panuje chaos, więc to może potrwać.

Annika zamknęła oczy.

– Czemu pan mi to mówi?

Szef policji zamknął skoroszyt, spojrzał na nią z powagą.

– Jest okaleczony, odcięto mu lewą dłoń. Miał na sobie różową koszulę.

EPILOG

Jedenaście dni później

Wtorek, 13 grudnia

Dzień 0

ANDERS SCHYMAN PRZYGLĄDAŁ SIĘ zdjęciu na środkowych stronach gazety z dziwnym uczuciem: z dziwnym uczuciem smutku zmieszanego z euforią. Zdjęcie przedstawiało niekończące się rzędy szpitalnych łóżek, w tle stały namioty, wszystko w jednakowych odcieniach brązu i szarości, które dodatkowo podkreślały wrażenie beznadziei obozu dla uchodźców. Na środku na łóżku leżał jasnowłosy mężczyzna, nad nim pochylała się kobieta. Położyła dłoń na jego spalonym słońcem policzku. W dole widać było zabandażowany kikut, tam, gdzie kiedyś mężczyzna miał lewą dłoń.

Scena była tak wzruszająca, że prawie miał łzy w oczach.

Jakość zdjęcia była beznadziejna, właściwie był to kadr z filmu, ale w tej sytuacji nie jakość była najważniejsza. Prawa do dziennika Anniki Bengtson z czasu porwania kupił Reuters, a CNN pokazało dwudziestosekundowy fragment jej filmu.

Schyman nerwowo szarpał brodę. Co za historia. Porywacze zostawili Thomasa w blaszanym baraku, skazując go na niechybną śmierć. Na szczęście udało mu się wydostać. Potem znalazła go Annika. Został przetransportowany do Szwecji...

Sprzedaż „Kvällspresen” poszybowała w górę, nakład przewyższył nakład „Konkurrenten”. Najbliższe dane z monitoringu prasy z pewnością potwierdzą pierwsze miejsce „Kvällspresen” na rynku prasy w ogóle. Wtedy odejdzie.

Wzrost sprzedaży nie był jednak tylko zasługą Anniki. Schyman złożył gazetę i spojrzął na pierwszą stronę.

KVÄLLSPRESSEN
Najgroźniejszy szwedzki
SERYJNY
MORDERCA

A pod spodem zdjęcie uśmiechniętego Gustafa Holmeruda w zabawnym kapelusiku na głowie i z serwetką pod brodą, najwyraźniej zrobione podczas dorocznej uczyty rakowej.

Tytuł nie był jednak do końca zgodny z prawdą. Jak zwykle, pomyślał Schyman. Tak naprawdę najgroźniejszym szwedzkim seryjnym mordercą był bezrobotny osiemnastolatek z Malmö, zatrudniony przy robotach publicznych, który pod koniec lat siedemdziesiątych w szpitalu Östra Sjukhuset zamordował dwudziestu siedmiu staruszków, wsypując im do jedzenia żrące środki czyszczące. Gustaf Holmerud do tej pory przyznał się do pięciu zabójstw, ale śledztwo było w toku, należało więc przypuszczać, że może się to zmienić.

Zaczął przeglądać gazetę.

Na stronach szóstej i siódmej, dwóch najważniejszych, zamieszczono zdjęcia pięciu mężczyzn. Tytuł: OCZYSZCZENI. Byli to mężowie i partnerzy pięciu zamordowanych kobiet, ale i ten tytuł wprowadzał w błąd. Oscar Andersson, jeden z rzekomo oczyszczonych, nigdy nie był nawet podejrzany. Tak naprawdę chodziło o to, że prokurator oskarżył Holmeruda o wszystkie pięć morderstw, co oznaczało, że byli mężowie i partnerzy przestali być potencjalnymi podejrzanyymi.

Schyman odsunął gazetę, spojrzał na zegarek.

Annika się spóźniała, co było raczej niezwykle. Zawsze była bardzo punktualna, w przypadku reporterki to wielka zaleta. Nie ma znacze-

nia, jak dobrze człowiek pisze, jeśli nie dostarcza materiału na czas....

– Przepraszam – usłyszał jej głos.

Zdyszana wpadła do jego szklanej klatki.

– Metro stanęło, a ja...

Schyman uniósł rękę, dając jej do zrozumienia, że nie musi się tłumaczyć.

Zamknęła drzwi, rzuciła torbę i kurtkę na podłogę i usiadła w fotelu dla gości. Miała czerwone policzki i czerwoną ranę pod nosem.

– Jak się czuje Thomas? – spytał Schyman.

Annika zaczerpnęła powietrza.

– Infekcja ustąpiła, malaria już prawie też.

Położyła redakcyjną kamerę na biurku.

– Mam coś podpisać?

Schyman pokręcił głową.

– Jak Thomas to wszystko przyjmuje?

– To znaczy co? Że mu odcięto dłoń? Jeszcze o tym nie wspominał. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, może akurat to nie jest w tym momencie najważniejsze.

Przyglądał się jej. Nie reagowała emocjonalnie, co bardzo sobie cenił.

– Jesteś przeziębiona? – spytał, słysząc jej lekko chrapliwy oddech.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Czemu pytasz?

– Miałabyś ochotę napisać coś o tym, co się teraz dzieje?

– O swoim przeziębieniu?

– O tym, jak Thomas sobie z tym wszystkim radzi. O waszym życiu.

Teraz.

Uśmiechnęła się.

– Jasne – powiedziała. – Za trzy miliony.

Schyman też się uśmiechnął.

– Słyszałem, że zlokalizowano miejsce, gdzie Thomas i pozostali zakładnicy byli przetrzymywani.

Annika skinęła głową.

– Porzucona *manyatta* dwadzieścia trzy kilometry na południowy wschód od Dadaab – powiedziała. – Thomas twierdzi, że musieli jeź-

dzić z nimi w kółko. Może nie bardzo wiedzieli, co z nimi zrobić. No cóż, tego pewnie już nigdy się nie dowiemy... Tego samego dnia, kiedy go znaleziono, Amerykanie pochwalili się, że wysadzili w powietrze Grégoire'a Makużę. Prezydent wygłosił w związku z tym krótką przemowę do narodu, pewnie nie bez związku z przyszłorocznymi wyborami – dodała.

Schyman się zawahał. W końcu zaczerpnął powietrza i spojrzął na Annikę.

– Czytałaś ostatnie wydanie mediatime.se?

– Czarna Wdowa? Jasne.

– Mam nadzieję, że się tym nie przejmujesz.

Annika wzruszyła ramionami.

– Artykuł napisała Anne Snapphane. Kiedyś się przyjaźniłyśmy. To wszystko prawda. Zabiłam Svena, swojego byłego chłopaka, mój mąż został okaleczony przez terrorystów, jeden z moich informatorów został zabity, a mój dom spłonął, podpalony przez płatną zabójczynię. Ale żeby mnie porównywać do pająka, który zabija wszystkich na swojej drodze, to już przesada...

– Sądziłem, że mediatime.se chce zrobić porządek w tym swoim bagienku. Podobno właśnie dlatego powstał ten program: „Ronja docieka prawdy”.

– To ta laska, która kilka lat temu była u nas na stażu? – spytała Annika.

– Znasz inną dziennikarkę o imieniu Ronja?

– Niestety niejedną – odpowiedziała.

Nachyliła się nad biurkiem, na którym leżał świeży egzemplarz gazety ze zdjęciami pięciu mężczyzn na pierwszej stronie. OCZYSZCZENI.

– Paskudna sprawa – powiedziała.

Schyman westchnął.

– Annika...

– Nie popuszczę. Rozmawiałam z Vivecką Hernandez. Twierdzi, że mąż Linnei zaczął się nad nią znęcać fizycznie, kiedy zaszła w ciążę. Uderzył ją w twarz, podbił jej oko. Pewnego dnia wyrzucił ją nagą na klatkę. Właśnie wtedy Vivecka się zorientowała, co się dzieje za

drzwiami sąsiadów...

– Annika...

Nie podniosła głowy.

– Muszę dalej robić swoje – powiedziała, kładąc dłoń na gazecie. –
Także ze względu na te kobiety – dodała.

– Annika, złożyłem wymówienie.

Teraz podniosła głowę, spojrzała na niego.

– Kiedy? Kiedy odchodzisz?

– W maju.

Odchyliła się do tyłu.

– Zawsze się zastanawiałam, jak długo tu wytrzymasz – powiedzia-
ła.

Schyman uniósł brwi. Annika ruchem głowy wskazała na dział wia-
domości.

– Patrik i jego gówniane dziennikarstwo – powiedziała. – Wijesz się
jak piskorz, próbujesz zachować dobrą minę do złej gry. Wiem, że za-
raz powiesz, że to się sprzedaje, ale to krótkotrwały sukces. Ludzie nie
są głupi. Przejrzą to.

Schyman patrzył na nią w milczeniu.

– Mylisz się – odezwał się po chwili. – I to we wszystkim. Ludzie są
głupi. Wierzą we wszystko, co przeczytają. Widziałas te bzdury w sie-
ci? Połowa czytelników mediatime.se jest przekonana, że zjadasz
dzieci.

Wstał.

– A jeśli chodzi o Patrika, to zaproponowałem zarządowi, żeby zo-
stał moim następcą.

Annika siedziała w fotelu i patrzyła na niego swoimi lekko skośny-
mi zielonymi oczami.

– To się nie uda – powiedziała cicho.

Schyman milczał, nagle się wzdrygnął.

– Nie zostaniesz bohaterem dlatego, że gazeta upadnie po twoim
odejściu. Przeciwnie. Zarząd zwali całą winę na ciebie. Nie rozumiesz
tego?

Wstała, podniosła z podłogi torbę i kurtkę. Schyman czuł, jak tętno
mu przyspiesza, wyprostował się, wypiął pierś, żeby ukryć zdenerwo-

wanie.

– Zastanów się nad moją propozycją. Kronika waszego życia, twojego i Thomasa. Po jego powrocie. Trzech milionów ci nie zapłacę, ale na wakacje dla całej rodziny wystarczy.

Annika włożyła kurtkę, zarzuciła torbę na ramię.

– To nie takie proste, bo ja nie zamierzam żyć dalej z Thomasem.

Schyman otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nagle zabrakło mu słów.

– Thomas jeszcze nic nie wie. Powiem mu to dzisiaj. Właśnie idę do niego do szpitala.

Odsunęła szybko drzwi, zamknęła je za sobą i zniknęła.

* * *

Niebo wypełnia całe okno. Jest chłodne i szare, jak z betonu.

Czasem widzę, jak gdzieś wysoko przelatuje ptak, czarna sylwetka na tle jasności, ale to wszystko. Żałuję, że nie ma tu żadnego drzewa czy chociażby jakichś gałęzi.

Można umrzeć z nudów.

Czasem boli mnie ręka, ta, której już nie mam. Swędzą mnie palce, pali wewnętrzna część dłoni. Mówią, że to normalne.

Dostanę protezę.

Podobno są doskonałe. Można nimi sterować za pomocą bluetotha, przekazywać impulsy idące od mięśni. Ta proteza to najnowszy szwedzki wynalazek. Niedługo pewnie wymyślą takie, które będą też czuły.

Annika była fantastyczna. Godzinami słuchała moich opowieści.

Nigdy jej tego nie zapomnę.

Nagle wokół szopy zrobiło się bardzo cicho. Nie dostawałem ani wody, ani jedzenia. W końcu udało mi się kopnąć w blachę, która zasłaniała wejście. Poddała się.

Na zewnątrz było pusto. Nie było mężczyzn, samochodów, broni. Ruszyłem piechotą przez sawannę, a dalej już nic nie pamiętam. Nie pamiętam obozu dla uchodźców, pamiętam tylko twarz Anniki pochylającej się nade mną w samolocie lecącym do Szwecji.

Duńczyka nie znaleźli. Jego córka wierzy, że żyje. Powiedziałem jej, że umarł, ale jest przekonana, że się mylę.

Annika mnie uratowała. Podjęła wszystkie pieniądze, jakie miała, i próbowała mnie wykupić, chociaż już wtedy było na to za późno.

Kalle początkowo bał się spojrzeć na moją rękę, natomiast Ellen od razu chciała zdjąć bandaż i wszystko dokładnie obejrzeć. Odziedziczyła lekarskie geny Holgera.

Bardzo tęsknię za Anniką. Przychodzi tu tak często, jak może, ale ma przecież sporo pracy. Zajmuje się dziećmi, poza tym zbliżają się święta. Niedługo tu będzie, ma przynieść grzane wino i pierniczki.

Obiecali mi, że będę mógł wrócić do pracy, ale nie wiem, czy tego chcę. Mój szef, sekretarz ministra Jimmy Halenius, jest dla mnie ogromnym wsparciem. Był u mnie już kilka razy, żeby się dowiedzieć, jak się czuję. Przekazał mi pozdrowienia od premiera i od ministra sprawiedliwości.

Annika niedługo tu będzie. Prosiłem, żeby mi przyniosła świąteczne bułeczki, z rodzynkami i szafranem.

Chcę, żebyśmy Boże Narodzenie spędzili w Vaxholmie. Jeśli będziemy mieli szczęście, to w tym roku też będzie białe.

Lekarze twierdzą, że wrócę do zdrowia. Będę w pełni sprawny. Mimo protezy.

Podobno można się nawet nauczyć wiązać sznurowadła.

Już jest, słyszę jej szybkie kroki na korytarzu, jej obcasy uderzają o korkową wykładzinę.

Wkrótce znów będzie ze mną.

Podziękowania

Zacznę tak, jak zawsze zaczynam, od pierwszej książki, wydanej jesienią 1997 roku: wszystko to jest fikcją. Wszystkie zdarzenia i osoby występujące w tej powieści są wytworem mojej wyobraźni. Wszystko sprawdzam, niekiedy może nawet nieco zbyt dokładnie, ale świat Aniki Bengtson zrodził się w mojej głowie. Dlatego mogłam umieścić amerykańską szkołę tam, gdzie jej tak naprawdę nie ma, opisać pracę w redakcjach gazet, które nie istnieją, przemeblować kilka istniejących naprawdę mieszkań i opisywać szkółki niedzielne, które pewnie nigdy nie istniały.

Chcę jednak wyraźnie zaznaczyć, że:

nie wiem, czy szwedzki rząd, albo jakikolwiek inny, ubezpiecza swoich pracowników na wypadek porwania. Nie sprawdziłam tego. Gdyby tak było i gdyby ktoś, co mało prawdopodobne, zechciał mi o tym powiedzieć, i tak nie mogłabym o tym napisać. Przypuszczam, że mogłoby to zwiększyć ryzyko porwania urzędników rządowych zarówno w Szwecji, jak i za granicą, i prowadzić do eskalacji żądań. Nie wiem też, czy szwedzki rząd wysyła swoich ludzi na kursy organizowane przez FBI. Jeśli rzeczywiście tak jest, w co raczej wątpię, to nic o tym nie wiem. Fabuła mojej powieści jest całkowicie fikcyjna, co nie oznacza, że jest całkowicie niezgodna z rzeczywistością. Proponuję w ogóle w to nie wnikać.

Żeby się wczuć w sytuację zakładnika, przeczytałam wiele wspomnień spisanych przez ludzi, którzy tego doświadczyli. Często opisują bardzo dokładnie, co kiedy się działo, co przeżywali w poszczególnych okresach uwięzienia. Na dłuższą metę jest to bardzo smutna i nużąca lektura. Niewielu autorom udało się dać wyraz desperacji i poczuciu,

że pogrążają się w szaleństwie, co było zapewne udziałem wszystkich.

Wyjątkiem jest Terry Andersson i jego wspomnienia zatytułowane *Den of Lions*. Były szef biura Associated Press w Bejrucie opisuje siedem lat, które spędził jako zakładnik Hezbollahu w Libanie. Interesujące są też wspomnienia Ingrid Betancourt, uprowadzonej przez FARC w Kolumbii.

Wiele skorzystałam, studiując opisy porwań i podręczniki negocjacji z porwaczami. Najważniejsza pozycja to *Kidnap for Ransom – Resolving the Unthinkable* Richarda P. Wrighta.

Dziękuję wszystkim, którzy mi pomogli. Byli to:

Peter White, pilot, z którym leciałam do Liboi.

Peter Rönnerfalk, ordynator szpitala Södersjukhuset w Sztokholmie, który po raz kolejny pomagał mi w kwestiach medycznych.

Cecila Roos Isaksson z Riksbanken, Bengt Carlsson z Handelsbanken, Annita Urrutia z Forex Bank i Jonas Karlsson z działu walki z przestępczością Urzędu Celnego, który dużo mi opowiedział o ogólnych zasadach robienia zagranicznych przelewów pieniężnych.

Pracownicy sztokholmskiej redakcji „Expressen”, którzy przyjęli mnie w swojej redakcji.

Sara Lövestam, pisarka, która pomogła mi w kwestiach dotyczących języka suahili.

Nikke L., z którego bloga w reco.se zaczerpnęłam informację o ogórku w sosie aioli.

Anna Laestadius Larsson, z której dziennika zaczerpnęłam porównanie bicia dzieci do brudu w toaletach.

Ann-Marie Skarp, która jest moim wydawcą, i wszyscy pracownicy wydawnictwa Piraten.

Niclas Salomonsson, mój agent, i jego współpracownicy ze sztokholmskiej Salomonsson Agency.

Thomas Bodström, adwokat, pisarz i były minister sprawiedliwości, który służył mi swoją wiedzą prawniczą i spojrzął na moją powieść surowym redaktorskim okiem.

Tove Alsterdal, moja redaktorka i pierwsza czytelniczka moich powieści od jesieni 1984 roku: bez twojego niezawodnego wsparcia, mą-

drych przemyśleń i wielkiego spokoju nie byłoby moich powieści.

¹ 13 grudnia, w dniu świętej Łucji, w Szwecji odbywają się pochody dzieci w białych strojach. Dziewczęta idą w orszaku w długich białych sukniach, na głowach mają wianki z płonącymi świecami, niekiedy towarzyszą im chłopcy w strojach krasnali.

² „Miałam w Afryce farmę u stóp gór Ngong” – pierwsze zdanie powieści Karen Blixen *Pożegnanie z Afryką* (przyp. tłum.).